

Sergio Kokis

Mistrz gry

Przełożył z francuskiego

Krzysztof Jarosz

Wydawnictwo „Książnica”

GTW

Tytuł oryginału
Le maître de jeu

Opracowanie graficzne
Mariusz Banachowicz

Ilustracja na okładce
© Renee Lee

Cytaty z Pisma Świętego podano za:
Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu.
Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1975.

Fragment z *Braci Karamazow* F. Dostojewskiego
w przekładzie Aleksandra Wata

Copyright © XYZ éditeur et Sergio Kokis

For the Polish edition
Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2007

ISBN 978-83-250-0070-7

*Pamięci pisarza Miguela Torgi,
którego opowiadanie Vicente zawsze pomagało mi
wytrwać w buncie, zwłaszcza w chwilach klęski.*

*Dusza pewnych indywidualów
nigdy nie pozwoli mi do końca uwierzyć w Boga.*

Léo Ferré

Et basta!

*Analiza paradoksów, których należy unikać, wykazuje,
że źródłem ich wszystkich jest pewien rodzaj błędnego koła.*

*Pojawiają się one na skutek
założenia, że jakiś zbiór przedmiotów
może zawierać elementy dające się zdefiniować
jedynie za pomocą zbioru potraktowanego jako całość.*

Bertrand Russell

Principia Mathematica

Gdy umysł śpi, budzą się demony.

Francisco de Goya y Lucientes

Kaprysy

1

Bywają przedziwne zdarzenia, które pomimo swej absurdalności, chociaż odeszły już w przeszłość, budzą nie dający się opanować strach. A przecież można zadać sobie pytanie, czy rzeczywiście kiedykolwiek się kończą. Odciskają w naszej pamięci ślad tak trwałe, że jeśli nawet powtarzamy sobie później, że były jedynie złudzeniem albo wynikiem zaburzeń umysłowych, mimo wszystko zawsze odtąd na najprostsze rzeczy w naszym otoczeniu patrzymy innym okiem. Poza tym gdyby nawet przyjąć, że to co nam się przydarzyło, było w istocie tylko efektem przejściowego szaleństwa czy rozkielznanej wyobraźni, przygnębia nas świadomość istnienia otchłani podłości i nieracjonalności, do jakich zdolna jest nasza dusza, gdy tylko przestajemy się pilnować. Toteż pozostajemy później niewyobrażalnie samotni, albowiem niektórych odkryć nie da się przekazać innym.

Teraz rozumiem choć trochę cierpienie, jakiego doświadczał biedny Tiago Cruz, kiedy usiłował zwierzyć mi się, czyniąc ze mnie świadka tego, co doznał. Zanim zwolniono go i na poły szalonego skazano na wygnanie w ramach jakiejś wymiany więźniów politycznych, przez długie miesiące był w swoim kraju więziony i poddawany torturom. Z początku jego historia miała dla mnie posmak czysto teoretyczny, stanowiła zwykły pretekst do refleksji natury moralnej. Był to odruch, którego nie wyzbyłem się nawet po porzuceniu teologii. Litowałem się nad losem Tiaga i sądziłem, że postępowałem właściwie, służąc mu za powiernika i doradcę. W rzeczywistości rzecz miała się inaczej. Często irytował mnie i zastanawiałem się wówczas, czy kiedykolwiek jeszcze jego zdawałoby się nieodwracalnie zachwiana psychika zdoła odzyskać równowagę. A przecież długie chwile milczenia, urywane i pozbawione logiki zdania były

skutkiem bestialstwa, którego padł ofiarą ze strony istot tak samo należących do rodzaju ludzkiego jak ja, jak on sam. Nie panował nad językiem, który nie mógł już służyć za przewodnika po ogromie okropieństw, jakie chciał opowiedzieć.

Musiałem sam przeżyć jedną z owych niewyrażalnych przygód, aby choć trochę zrozumieć głębię jego samotności. To co mi się przydarzyło, nie ma nic wspólnego z cielesnym bólem, ale jest równie absurdałne jak dramat przeżyty przez Tiaga. Zresztą pozwoliłem sobie na porównanie tych dwóch doświadczeń dlatego, że w swych opowieściach o torturach Tiago nie kładł nigdy akcentu na cierpienie fizyczne jako takie. Opowiadał mi nawet, że momenty najdotkliwszego bólu w jakimś sensie uwalniały go od upokorzenia: w owych chwilach był już tylko bezbronny organizmem, bezwładnym ciałem krzyczącym, zanim straci przytomność. Tu leżała granica władzy jego oprawcy. Podkreślał, że najgorsze było rodzące się poczucie wspólnoty pomiędzy nim a jego katem, to, że stawał się coraz uleglejszy, w miarę jak tamten, nie uznając już za konieczne znęcać się nad nim fizycznie, ograniczał się wyłącznie do sprawowania nad nim władzy absolutnej, obdarzając go od czasu do czasu drobnymi upokarzającymi gestami przychylności, wyświadczając mu niewiele znaczące grzeczności odzierające ofiarę z resztek godności i odwagi. Wstyd, poniżenie, oto prawdziwie ludzkie odczucia, których ofiara wolałaby nie mieć sobie do wyrzucenia.

Wszystko to co opowiadał mi Tiago - a ja spisywałem skrupulatnie w formie szczegółowych notatek - pozostawało dla mnie wyłącznie słowami. Uważałem, że jest sympatyczny, podziwiałem jego niegdysiejszą siłę charakteru i żywiłem szacunek dla jego losu, nie odczuwałem jednak wobec niego jakiegokolwiek bliskości ani też powinowactwa dusz. Wysłuchałem go uważnie i jak sądzę, oddałem mu pewną przysługę porządkując tę męczeńską relację, ale nic ponad to. Był dla mnie interesujący z poznawczego punktu widzenia i jeśli nawet często zastanawiałem się, jak zachowałbym się na jego miejscu, nie sądzę, bym wysłuchując go zaznał kiedykolwiek owego braterstwa, jakie stwarzają przeżycia rzeczywiście wspólnie doświadczane. Raz jeszcze zadaję sobie pytanie, czy w ogóle jest możliwe dzielić doświadczenia z naszymi bliźnimi...

Ten dystans, ta samotność stanowiły zresztą istotną część problemu, z którym się wówczas borykałem. Zamęt w jakim trwałem, wzrósł jeszcze od czasu, gdy nastąpiły wydarzenia, o których opowiem. Czułem, że zabrnąłem w ślepią uliczkę, czegokolwiek się tknąłem, rozsypywało mi się w rękach, traciło sens, stawało się prawie nieistotne. Zdarzało mi się

czasem żałować moich humanitarnych wzlotów z przeszłości, nawet jeśli moje dawne bezpieczeństwo było tylko iluzoryczne, zależne od religijnych mitów i sztywnych ram, które narzuciłem sobie w charakterze zewnętrznych mechanizmów obronnych. Wyzbyłem się komfortu przyzwyczajęń w nadziei, że odnajdę siebie - czy też raczej że odkryję, kim jestem, że otworzę się na jakąś osobistą drogę - jednak nic takiego się nie zdarzyło. Bardzo wnikliwy rachunek sumienia, który doprowadził mnie do zerwania z przeszłością, w dalszym ciągu uchodził w moich oczach za zwycięstwo, za coś, co napawało mnie dumą. Rezygnacja ze stanowiska adiunkta na wydziale teologii i nowe projekty badawcze zostały przyjęte z pewnym zakłopotaniem przez kolegów z uniwersytetu, zwłaszcza przez mojego promotora, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie chcę opublikować swojej rozprawy, rezygnuję z podoktorskiego stażu w Cambridge i tak gwałtownie palę mosty prowadzące do obiecującej kariery. Uważano wówczas, że popadłem w depresję albo przynajmniej że przeżywam kryzys egzystencjalny. Bez wątplenia w całym środowisku krążyły na mój temat najbardziej przykre pogłoski, tym bardziej że nikomu się nie zwierzałem. Nikt nie mógł wiedzieć, że decyzja ta jest nieuniknionym, logicznym skutkiem długoletnich rozmyślań i że przyniosła mi wielką ulgę. Jak bowiem mógłbym pogodzić świadomość mego sceptycyzmu ze stanowiskiem pastora, nawet pod przebraniem profesora, jak ukryć go, posługując się eufemistycznym określeniem „badacza”, kiedy właśnie moje poszukiwania doprowadziły mnie do odkrycia, że tak naprawdę nigdy nie wierzyłem w tę świętoszkowatą paplaninę. Intelktualna przyjemność, jaką czerpałem z pisanja rozprawy, polegała na uprawianiu gry podporządkowanej czysto abstrakcyjnej wewnętrznej spójności i wygasła wraz z zakończeniem pracy. Tak czy inaczej od początku wiedziałem, że naukowe badania nad Bogiem obarczone są wewnętrzną sprzecznością. Poza tym wszelkie hermeneutyczne czy historyczne badania nad Pismem Świętym czy nad dziełami Ojców Kościoła w nieunikniony sposób prowadzą do odkrycia nierozwiązywalnych oszustw i szalbierstw żądnych władzy polityków. Postać Chrystusa błędnie i kurczy się groteskowo, gdy patrzy się na nią poprzez pryzmat intryg Pawła z Tarsu, istnego Lenina Kościoła powszechnego.

Nie, nie żałowałem niczego, przeciwnie! Nigdy nie zapomnę owego uczucia lekkości, jakiego doznałem, gdy w sekretariacie dziekana złożyłem wszystkie swoje zapiski i materiały, zezwalając na udostępnienie ich wybranemu przez nich naukowcowi, który zechciałby podjąć pracę nad pasjonującym mnie dotąd tematem. Dla mnie od tej chwili nie stanowił on już ani problemu, ani tajemnicy. Czułem się zresztą tak bardzo odległy od zagadnień metafizycznych, że

wybór filozofii ogólnej wydawał mi się tylko mniejszym złem, którego dokonałem w oczekiwaniu na to, aż lepiej poznam, czym jest życie.

Pieniądze nie stanowiły dla mnie problemu, albowiem spadek po ojcu w całości spoczywał jeszcze w banku. Nawykłem do skromnego życia i nie miałem wiele kaprysów. Prace korektorskie i przekłady pozwalały mi na dosyć przyzwoitą egzystencję. Przede wszystkim zaś miałem tyle czasu, ile pragnąłem, aby oddawać się marzeniom, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności, aby czytać to, co uznałem za stosowne, nie mając żadnego innego celu poza rozrywką. Wierzyłem wówczas, że moje rozmowy z Tiagiem zaowocują napisaniem poważnego dzieła, którego publikacja poprowadzi mnie ku innym projektom. Tymczasem błąkałem się bez celu, szczęśliwy z tych wakacji po latach wyętej pracy umysłowej.

Ani się obejrzałem, jak minął okrągły rok. Seminaria z filozofii, na które uczęszczałem, nie wymagały prawie żadnego wysiłku. Chodziłem na nie głównie po to, żeby obserwować kolegów. Wprawa w lekturze dzieł scholastyków i gramatyków, jakiej nabyłem w ciągu wielu lat studiów, pozwalała mi z niebywałą łatwością przetrwać każdy tekst współczesny. Ponadto do rzadkości należeli profesorowie dorównujący mi znajomością greki i łaciny, co bardzo imponuje, zwłaszcza od czasu gdy do mody wróciły gry słowne a la Heidegger. Z pomocą dobrego słownika etymologicznego i odrobiny ludycznej giętkości student może dziś produkować cuda niezmiernie głębokie. W istocie dzienne światło współczesności zanadto oślepia i nie bardzo wiadomo, jak się nim posługiwać, zatem zongluje się słowami, wierząc, że języki obdarzone są jakąś wrodzoną mądrością niczym szczątki kopalne i jako takie mogą pomóc zrozumieć współczesny ból egzystencjalny.

Żyłem bez zbędnego wysiłku w nic się na serio nie angażując. Zapaliłem się przeto do rozmów, jakie prowadziłem z Tiagiem. Słuchałem go uważnie, lecz moje liczne notatki i transkrypcje zdradzały już ducha konkluzji, które z czasem miały się z nich wyłonić. W istocie mimo iż poszukiwałem wraz z nim moralnego sensu dla jego granicznego doświadczenia, jakiegokolwiek lekcji, zdawało się, że wszystko prowadzi wyłącznie do uznania niepowodzenia, porażki i przypadku. Milczałem z powściągliwości, ale również dlatego, iż nie ośmielałem się przyznać przed samym sobą, że ten biedny człowiek stał się po prostu igraszką jakiegoś absurdałnego fatum. To nurzanie się w samym środku ludzkiego cierpienia i absolutnego zła zbytnio mnie jednak fascynowało; nie miało żadnego wspólnego mianownika z tym, co dotąd przeżyłem, i pozwalało mi ironicznie rozmyślać o studiach, które pochłonęły prawie pięć lat.

Kontrast między męką tego prostego człowieka a mgławicą sprzecznych opinii o naturze zła nagryzmołonych od czasów Ireneusza i Tertuliana posłużył mi za argument umacniający decyzję o zerwaniu z religią. Zło było dla mnie dotąd jedynie predykatem erygowanym do statusu rzeczownika, logiczną partykułą stanowiącą budulec spiętrzonych sylogizmów, z których należało bądź to wyłuskać błędy rozumowania, bądź zastąpić je innymi wywodami pozwalającymi uniknąć oczywistości paradoksów. Ileż to razy flirtowałem z koncepcją doskonałego dualizmu, aby wyjaśnić ów monoteizm z nieprawego łoża zakładający zamaskowaną wszechobecność diabła? Albo Bóg jest nieskończenie dobry, albo jest wszechmocny - z tej alternatywy nie sposób wyjść za pomocą najprzemysłniejszej logicznej sztuczki. Albo jest odpowiedzialny za zło, albo istnieje równy mu władzą diabeł. Sprzeczność da się rozwiązać wyłącznie w wypadku, gdy Bóg nie istnieje. Z czego wynika, że nawet On ma granice swojej pychy.

Żeby ujarzmić swoją ofiarę, oprawca, pułkownik Figueiredo, również usiłował uratować zarazem dobro i władzę. „Jestem twoim panem”, oświadczał Tiagowi ze słodyczą w głosie w przerwach między przesłuchaniami, które okazały się konieczne, żeby lekarz zbadał więźnia, zaaplikował mu środki wzmacniające i zmienił umiejscowienie elektrod tak, aby nie doprowadzić do całkowitej martwicy pewnych części skóry. Nie przestawał mówić, gdy zbiry polewały wodą blade ciało Tiaga, żeby choć częściowo zmyć ekskrementy ściekające ofierze po nogach.

- Twoim jedynym panem, młody człowieku. Trzeba cię wychować, zadbać o ciebie, nauczyć cię żyć jak wzorowy obywatel. Widzisz, Tiago, że zajmuję się tobą, dbam o twój błogostan, o twoją wygodę. Nie chcę, żebyś cierpiał, życzyłbym sobie, żebyś z tego wyszedł, uwierz mi. Idź, odpocznij trochę, mój mały, dobrze nam się razem pracowało, poczciwie się zachowywałeś względem swojego pana... Przyjemnie jest z tobą pracować. Wiem, to trochę boli, Tiago, ale to dla twojego dobra, żebyś się oczyścił. Codziennie robisz postępy, to nie jest dobry moment, żebyś się zatrzymał, nieprawdaż? Szkoda byłoby po przebyciu tak dalekiej drogi. Jesteś dobrym materiałem na patriotę i byłbym dumny mając cię pod moimi rozkazami, gdybyś nie pozostał zwykłym studentem. Kto wie? Może byłby z ciebie dobry oficer, Tiago. Kiedy pomyślę, że dałeś się oszukać tym wszystkim tak zwanym towarzyszom partyjnym, tym śmieciom, które nie potrafiły rozpoznać wartości człowieka... Nędznicy! Pomogę ci, mój mały Tiago, twój pan pomoże ci pognać wszystkich tych szalbierzy. Popatrz, jeszcze kilka zdjęć. Nie, poczekaj, niech cię wytrą jak należy... Może odrobinę wody? Dobrze, spójrz jeszcze na tych ludzi, którzy

cię zdradzili, opuścili, opowiadali kłamstwa na twój temat. Żaden z nich nie wykazał się taką wytrzymałością jak ty. Gardzę nimi. Nie tobą, jesteś zbyt uczciwy. Wiesz, stałeś się dla mnie jak syn. Wczoraj wieczorem przed zaśnięciem pomyślałem o tobie z czułością i cieszyłem się na myśl, że dziś ujrzę cię ponownie, że powrócimy do naszej rozmowy. Pragnę, byś wiedział, że jest mi przykro, kiedy widzę cię tak związanego, ale mistrz nie może uwolnić się od obowiązku wychowywania swojego ucznia, zwłaszcza takiego jak ty, Tiago. Spójrz jeszcze raz na te fotografie i powiedz, gdzie je zrobiono, kiedy i co ty tam robiłeś. Tylko nie wspominaj nawet o innych ludziach ze zdjęć, nie chcę rozmawiać o tych nędznikach. Mów mi tylko o sobie, o moim synu, dzielnym Tiagu Cruzie.

I seans tortury trwał, metodycznie prowadzony przez pułkownika, który nigdy nie podnosił głosu. Nie usiłował już uzyskać dokładnych informacji, chciał uległości, łaknął uznania swych racji przez ucznia i jego błagań, chciał jego duszy.

Tiago opowiadał mi o tym wszystkim zgaszonym głosem, powoli, ze wzrokiem spuszczonego za ciemnymi szklami okularów. Za każdym razem gdy go słuchałem, uderzało mnie podobieństwo jego dyskursu do pewnych tekstów eklezjastycznych; nawet jego długie pauzy i urywana narracja przywodziły mi na myśl eliptyczność i pozorne rozczłonkowanie, jakie wydaje się mieć łacina dla ucha przyzwyczajonego do licznych partykuł i połączeń międzywyrazowych charakterystycznych dla francuskiego. Co więcej, z powodu prozodii zarazem typowej dla obcokrajowca i wyrażającej upokorzenie, akcentu i niedopowiedzeń, które Tiago usiłował zapełnić gestami lub mimiką, jego słowa upodabniały się całkowicie do wypowiedzianych przez nawiedzonego. Jego chorowity wygląd przedwcześnie postarzałego człowieka - cera nadmiernie blada z braku dziennego światła, wiecznie nieogolone policzki - podkreślała jeszcze zgarbiona sylwetka i powolność ruchów. Tylko oczy wyrażały niezwykłą, prawie zbrodniczą pasję, gdy przywoływał pewne szczegóły związane ze zdarzeniami, które zdawały się dawno już przebrzmiały.

Zatopiony w marzeniach i zanurzony w koncentracyjnym świetle wyłaniającym się z opowieści Tiaga, nie czułem upływu czasu. Bezużyteczność długich lat studiów, które właśnie wówczas zakończyłem, była oczywista, ale nie czułem ani żalu, ani urazy. Zdarzało mi się nawet śmiać na wspomnienie długich ustępów niektórych tekstów, które nie chciały pograć się w niepamięci. Kiedy indziej przekładałem na łacinę fragmenty słów Tiaga i - częściej jeszcze - jego oprawcy. Postać tego ostatniego, pułkownika Figueiredo, dziwnie mnie fascynowała z powodu

odraży, jaką we mnie wywoływała, ale także z powodu powściągliwości, z jaką Tiago nie przestawał jej opisywać od początku naszych rozmów. Kilkakrotnie usiłował go nawet usprawiedliwiać, wprowadzając w sposób zawołany, z akcentem chrześcijańskiej skłonności do wybaczenia, pod pretekstem że pułkownik wykonywał tylko swoje obowiązki albo mówiąc, że jest fanatykiem, ale mimo wszystko patriotą i nacionalistą. Pozornie bez śladu nienawiści, pomimo oczywistego ukierunkowania, jakie od pewnego czasu nadawałem moim pytaniom, moim intencjom co do dalszego ciągu jego historii.

W miarę jak Tiagowi udawało się coraz bardziej uporządkować wspomnienia tych strasznych chwil, wydawał się bardziej odprężony, a nawet bardziej skłonny do zwierzeń. Poza tym uświadamiam sobie teraz, w swej samotności miał tylko mnie, żeby nadać znaczenie owemu doświadczeniu absolutnego upokorzenia. Ślady tortur zblizniają się szybko na ciele, ale długo jeszcze palą i upodlają duszę, zamykając przed nią drzwi do przyszłości. Tiago musiał więc oczyścić tę otchłań nicości, przypisując jej bardziej codzienny aspekt doświadczenia inicjacyjnego będącego zapowiedzią jakiegoś moralnego sensu. W każdym razie potrzebował unifikującego kłamstwa, najlepiej na płaszczyźnie mitycznej, żeby jego męczeństwo stało się czymś innym niż przerażającym upodleniem, a nie mógł go szukać w swoim własnym kraju, gdyż wojskowi rządzili w nim twardą ręką za milczącym przyzwoleniem ludności. Nie mógł również zwrócić się ku swoim byłym towarzyszom, ponieważ jego oprawca zdołał wydobyć z niego wszystkie informacje, których sobie życzył, nie licząc zmyśleń, majaków, cennych wspomnień z dzieciństwa, miłosnych marzeń młodego mężczyzny i wszystkiego innego, czego istota ludzka może użyć w próbie zachowania godności. Tiago żył w izolacji od rodaków, nie dostawał listów i zadowalał się zasiłkami pomocy społecznej pozwalającymi mu przeżyć w tym obcym kraju. Pomimo swego wieku - podobnie jak ja nie przekroczył trzydziestego drugiego roku życia - był skończony, bierny i żarliwie szukał religijnego pocieszenia. Męczeństwo, nawet religijne i samotne, warte jest mimo wszystko więcej niż śmieszny wypadek spowodowany ślepym przeznaczeniem.

W naszych graniczących z jeremiadami rozmowach, niezauważalnie i wbrew moim intencjom, zaczynały się więc coraz częściej pojawiać moralizatorskie wyrażenia o wartości cierpienia jako otwarciu na autentyczną wiarę. Jakże mogłem się temu przeciwstawiać, skoro Tiago zgodził się podzielić ze mną swymi wspomnieniami właśnie ze względu na mój prawie duchowny status? Nie mogłem wyznać mu moich przekonań, albowiem dotyczyły tylko mnie i

na razie pozostawały zwykłym problemem metafizycznym, natomiast dla niego istnienie zaświatów mogących usprawiedliwić jego męczeństwo było kwestią, by tak rzec, życia i śmierci. Usiłowałem zaproponować ewentualność innego, ludzkiego rozwiązania - poprzez zemstę - ale uczyniłem to nieśmiało, prawie bojaźliwie, gdyż wówczas jeszcze nie byłem na nie gotowy. Znadto pogrążeni w niepewności, nie wychodziliśmy raczej poza rozważania o śmierci już to pod postacią powolnego samobójstwa, już to jako istnienia na uboczu w biernej roli ofiary czy wreszcie poprzez przebaczenie. W każdym razie śmierci za życia.

Byłem najzupełniej świadomy mojego oszustwa. Sądzę, że Tiago też zmagał się ze swą złą wiarą, gdyż jego zrazu urywana opowieść powoli przybierała postać spójnej, pełnej nawrotów prozy o charakterze dyskursu teologicznego. Każdy z nas na swój sposób zabrnął w ślepią uliczkę: on nie mogąc pokonać obawy przed życiem, ja nie potrafiąc pogodzić banalności języka z powagą faktów. Tiago miał do wyboru albo przyznać, że jest pospolitą ofiarą (i wówczas jego życie okazywało się całkowicie chaotyczne), albo na nowo podjąć działalność polityczną lub wreszcie wrócić do kraju, aby zemścić się jako jednostka. Co do mnie, miałem dosyć paplaniny o problemach egzystencjalnych, chociaż musiałem w duchu przyznać, że niczego innego nie potrafiłem robić. Zresztą ani jego, ani moje myśli nie były wtedy wyraźne - posuwaliśmy się do przodu po omacku.

Pod koniec tamtego roku pewne wydarzenie roznieciło na nowo rozpacz Tiaga. W trosce o nadanie pozorów praworządności dyktaturze rząd jego kraju ogłosił powszechną amnestię mającą zagoić wszelkie rany i doprowadzić do narodowego pojednania. Było to jedno z tych tragikomicznych posunięć typowych dla Ameryki Łacińskiej, ponieważ dekret o amnestii obejmował zarówno więźniów politycznych, wygnańców, torturowanych, zgwałcone kobiety, tysiące zabitych i zaginionych, jak i wojskowych u władzy, policjantów, denuncjatorów, katów i morderców. Za przyzwoleniem sił demokratycznych, a nawet komunistów, rząd głosił, że amnestia była czymś więcej niż tylko wyciągniętą ręką, że była „braterskim uściskiem równych ku najwyższej chwale matki ojczyzny”. Wygnańców zaproszono więc do powrotu do kraju, przywracając im wszystkie prawa obywatelskie. Poza tym dekret wyraźnie zakazywał podejmowania jakichkolwiek kroków prawnych i pozaprawnych przeciwko komukolwiek, choćby po to, aby odzyskać utraconą pracę czy zawłaszczone przez wojsko mienie, prowadzenia śledztw zmierzających do odnalezienia masowych grobów czy do poznania losów zaginionych. Nie było również mowy o tym, by ofiara mogła domagać się ścigania swojego kata z powodu

doznanych z jego strony cierpień, ale z drugiej strony torturowani i ich rodziny mieli być chronieni przed ewentualnymi procesami o odszkodowanie ze strony oficerów sił zbrojnych lub policjantów z powodu traumy czy przemęczenia spowodowanych koniecznością torturowania lub dokonywania egzekucji na obywatelach. Amnestia była powszechna i absolutna: zachęcano wszystkich do zapomnienia o przeszłości, gdyż stanowiła ona przeszkodę na drodze do przyszłości kraju i demokracji.

Oczywiście ten szlachetny dekret spotkał się z entuzjastyczną aprobatą polityków i wojskowych całego kontynentu. Waszyngton cieszył się, że jego odwieczny sojusznik powraca w szeregi miłujących wolność narodów, Międzynarodowy Fundusz Walutowy natychmiast przyznał kredyty, które okazały się niezbędne z powodu bankructwa, do jakiego rządząca junta wojskowa doprowadziła finanse publiczne. Rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec wystosowały depeche gratulacyjne, w których wyczuwało się ulgę polityków od dawna popierających krwawą dyktaturę.

Dla Tiaga jako jednostki ta groteskowa nowina oznaczała, że może wrócić do ojczyzny, a zarazem że jego przeszłe, obecne i przyszłe cierpienie nie istnieje jako fakt społeczny. To co mu się przydarzyło, stawało się odtąd, by tak rzec, bez znaczenia, nie sposób było też od tej pory przypisać temu jakiegokolwiek sensu, czy to czysto ludzkiego czy transcendentnego: jego przeżycia spadały do rangi wzmianki prasowej, wypadku, zwykłego pecha, który zasługiwał jedynie na zapomnienie.

Amnestia ta została przyjęta z radością przez wielu rodaków Tiaga znajdujących się na wygnaniu, tych, którym los pozwalał jeszcze na odczuwanie radości. On sam natomiast pogrążony był w stanie głębokiego zamętu i strapienia. Czasem do tego stopnia tracił panowanie nad sobą, że ataki płaczu nie pozwalały zrozumieć znaczenia jego słów. Status niewinnej ofiary okazywał się godny kpin wobec powszechnej radości, a on nie miał już wystarczająco dużo energii niezbędnej do tego, żeby się dostosować. Co więcej, zemsta traciła rację bytu, ponieważ jego oprawca stał się obywatelem o przeszłości równie nieskazitelnej jak przeszłość Tiaga, a pozbawiona uzasadnienia zemsta była gestem nagannym, który zagroziłby nadziei i dobrobytowi całego narodu.

Potworność losu tego nieszczęśnika pogrążyła mnie w zaprawionej goryczą rozterce. Dopóki hipoteza zemsty była dopuszczalna - zemsty, którą pojmowałem na sposób biblijny jako prawo talionu - mogłem mieć choć nadzieję, że temu, co mu się przydarzyło, da się przypisać

ludzki sens. W każdym razie - wmawiałem sobie, być może po to, aby się usprawiedliwić - nigdy nie będzie w stanie podjąć walki politycznej, zatem korzystniej byłoby, żeby podtrzymywał przynajmniej fantazje, za pomocą których zdołałby przemóc swoje upodlenie. Jeśli chodzi o wybaczenie, sam Tiago pojął ironię dekretu.

- Widzisz, Iwanie, pozbawili mnie nawet mojego przebaczenia - zwierzał mi się ze smutkiem. - Na co się bowiem zda, jeśli cała ludzkość już wszystko wybaczyła? Skoro nie mogę nadstawić drugiego policzka, pozostaje mi pospolita uraza, marność zranionego insekta... Kto dzisiaj pragnąłby czepiać się takiego wraka jak ja, któż uczyniłby mi zaszczyt, by mnie obrazić?

Zbyt zajęty sprzecznymi uczuciami, na próżno usiłowałem uporządkować bezład nagromadzonych przez siebie notatek i przemyśleń piętrzących się wszędzie w moim mieszkaniu. Nie zdawałem sobie sprawy, że ja również ześlizguję się w niebezpieczne rewiry. Samotność, w której poszukiwałem schronienia, stawała się coraz bardziej drogą bez powrotu, a zarazem coraz bardziej mnie wciągała. Alkohol pomagał ukoić marzenia na jawie, ale chociaż przynosił dobrodziejstwo snu pozwalającego mi zapanować nad wzmagającym się rozedrganiem, nie był w stanie zapobiec osaczającym mnie co noc koszmarom. Dziwne obsesje zadomawiały się bez zaproszenia, rodząc się ze zwykłego nadmiaru tego, co dotąd uważałem w swej naturze za zalety. Podstępna skłonność do rozdrażnienia, która była mi przedtem obca, przerywała raptownie pewne refleksje, narzucała mi pośpieszne sądy dotyczące najczęściej osób, o których zawsze myślałem z sympatią i wyrozumiałością. Ponure myśli pociągały mnie w sposób prawie zmysłowy. Byłem coraz bardziej bierny, chociaż żyłem coraz szybciej; stawałem się niezrównoważony i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Wtedy właśnie w moim życiu pojawił się on. Nie, nie był to niestety diabeł.

W jedną z owych obrzydliwych i wilgotnych nocy pod koniec listopada, kiedy ulice zalega poszarzały śnieg i lód, Iwan Sierow siedział przy stole w głębi baru „Pod Łajbą”, gdzie przed powrotem do domu zwykł wypijać parę piw. Był to lokal pozbawiony jakiegokolwiek wdzięku, bez muzyki, usytuowany na jednej z banalnych bocznych ulic, a więc bardzo rzadko odwiedzany. Nieliczni klienci szukali tam samotności, ciszy oraz bladego światła, które każdemu zapewniało osobistą przestrzeń. Dowiedział się właśnie, że kelnerka Sonia nie pracuje tego wieczora i że jest prawdopodobnie chora, bo już od kilku dni nie pojawiła się w pracy. Dyżurna kelnerka i chłopak za kontuarem nie potrafili mu nic więcej powiedzieć i poradzili, by raczej zapytał właścicielkę w ciągu dnia. Iwan zmartwił się; spodziewał się bowiem, że zastanie Sonię i tak jak w ubiegłym tygodniu zaprosi ją do siebie po zamknięciu lokalu. Kochali się wówczas nie zadając sobie zbędnych pytań, a Iwan, zazwyczaj nieśmiały wobec kobiet, czuł się swobodnie w towarzystwie dziewczyny zachowującej się zarazem naturalnie i z lekkim dystansem. Miał wyraźne wrażenie, że oddając mu się, kocha się raczej sama z sobą, jak gdyby jego przy niej nie było, jakby jego obecność niewiele się liczyła. Iwan ze swojej strony był odprężony i obydwójce zażyli wiele rozkoszy. Sonia była ładna, ciepła i dobrze wiedziała, czego chce. Zamknąwszy oczy poddawała się pieszczotom, melodyjnie wzdychając. Wszystko to wprowadziło Iwana w stan wielkiego podniecenia. Rano wyszła, odmówiwszy nawet wypicia kawy. Pomimo wspólnie spędzonej nocy nie stała mu się ani odrobinę bliższa - wciąż znał tylko jej imię i adres baru, w którym od niedawna pracowała jako kelnerka.

Teraz z markotną miną wspomniiał ich harce, ale nie zdecydował się zostawić dla Soni

wiadomości. Przychodząc znów do baru liczył, że sprawy potoczą się tak jak za pierwszym razem, bez krępujących wstępów i uwodzenia. Domena stosunków intymnych długo pozostawała dla niego nieznana, stąd gdy pożałował jakiejś kobiety, czuł się trochę nieswojo, ponieważ najczęściej pragnął jedynie miłości fizycznej, aby zaraz potem wrócić do swej samotności bez zobowiązań, by nie musieć kłamać ani grać w żadną grę. Pomimo skrupułów moralnych czasem korzystał z usług prostytutek przechadzających się po nabrzeżu i całkowicie mu to odpowiadało. Z Sonią jednak czuł się tak dobrze, że rozważał możliwość - a dlaczegoż by nie - regularnych spotkań.

Może lepiej się stało, że jej nie ma - pomyślał uświadamiając sobie nagle, jak bardzo jest zmęczony. Czuł, że głowa mu ciąży, a w okolicach karku rodzi się ból, któremu towarzyszy ogromne znużenie, do tego sala zdawała się kołysać, toteż przycisnął plecy do oparcia krzesła, żeby nie stracić równowagi. Coś jakby gęsta mgła wypełniła każdy zakątek baru, a Iwanowi przeszył plecy niemiły dreszcz.

Odłożył książkę, przetarł oczy i już miał dopić piwo i wyjść, gdy trzaskając drzwiami do baru wkroczył jakiś nieznajomy i skierował się prosto do jego stolika. Był to wysoki, najwyżej czterdziestoletni mężczyzna o bardzo krótko przystryżonych włosach, kościsty, o wyglądzie osiłka. Jego ubranie było czyste, dobrej jakości, ale sprawiał wrażenie niezręczności i braku elegancji, jakby miał je na sobie po raz pierwszy.

Iwan skrupowany odwrócił wzrok, żeby mężczyzna mógł zorientować się, że zaszła pomyłka, lecz ten entuzjastycznie zagadnął go:

- Co za miła niespodzianka! Toż to mój przyjaciel Sierow ukryty w tym ciemnym kącie. Iwan Sierow...

Stał nad nim uśmiechnięty, z wyciągniętą ręką, popatrując nań z widocznym zadowoleniem. Iwan coraz bardziej zmieszany nie rozpoznał nieznajomego, ale uniósł się nieco, żeby uścisnąć mu dłoń. Uścisk nieznajomego był szczery, mocny i odrobinę gwałtowny.

- Iwan Sierow we własnej osobie - podjął nieznajomy. - Mój drogi Iwanie, nie będzie ci przeszkadzało, że się do ciebie przysiadę? Doprawdy nie wiem, co sprawiło, że wszedłem do tego baru. I oto po tylu latach spotykam cię w takiej spelunce. Jak leci, stary? Ciągle jesteś pastorem?

Nieznajomy zadawał pytania bardzo pewny siebie, nie troszcząc się, czy otrzyma na nie odpowiedź, i rozglądał się przy tym badawczo po barze.

- Przyznaję, że to właściwe miejsce dla ciebie, Iwanie. Trudno byłoby znaleźć coś bardziej ponurego. To co, zamówimy jeszcze po piwku? I szkocką? W końcu mamy tyle wspólnych wspomnień, nieprawdaż?

Potem spoglądając mu prosto w twarz, nieznajomy powiedział rozbawiony:

- Cóż to, szelmo, nie poznajesz mnie? Ależ, Iwanie, to ja!

- Wybacz pan, jestem w szoku - wykrztusił w końcu Iwan. - Nie, naprawdę nie przypominam sobie pana. Jak pańska godność?

- Spójrz na mnie, Iwanie, nie rób takiej miny. Nie mogłeś do tego stopnia stracić głowy. Toż to ja... Włosy mam lekko przeredzone, a na dodatek zgoliłem brodę... ale mimo wszystko, Iwanie, To ja, Lucjan...

- Lucjan? - powtórzył Iwan, desperacko usiłując sobie przypomnieć, czy znał kiedyś jakiegoś Lucjana. Był coraz bardziej zmieszany.

- Dam ci wskazówkę, skoro pamięć ci szwankuje, ale najpierw piwo. Ze szkocką. - Znow pokręcił głową z niedowierzaniem. - Iwan Sierow... Jak zawsze pogrążony w teologicznych rozważaniach - dodał, dając znak kelnerce. - I jeszcze dwie szkoockie! Bez lodu, jeśli łaska. Podwójne! Tak, tak, Iwan, na początek ja stawiam. Kiedy odzyskasz pamięć, przyjdzie czas, żebyś i ty postawił, przepraszając za swoją niegrzeczność. Iwan Sierow, syn Aleksandra i Karoliny, czyż nie tak? Jeśli się nie mylę, trzydziestodwuletni, ten sam, którego biały piesek Roma zginął pod kołami samochodu, kiedy mały Iwan, Wania, jak na ciebie wołali, miał mniej więcej dwanaście lat. Dobrze mówię?

Iwan uśmiechnął się zaskoczony i trochę mniej nieswój. Najwyraźniej nie było to nieporozumienie, choć w dalszym ciągu nie potrafił zidentyfikować siedzącego przed nim mężczyzny. Ze wstydu nie ośmielał się na niego spojrzeć.

- Dobre to piwo - ciągnął nieznajomy, jednym haustem opróżniwszy szklanę. - Orzeźwiająca... Ciągle nic, Iwanie? Wytęż pamięć! Daję ci inne wskazówki, ale to zaczyna być prawie ubliżające z twojej strony. No dalej, bo czuję się niemal obrażony. Niebawem to ja będę zmieszany. Może nigdy się dla ciebie nie liczyłem... Dobrze, jeszcze ci podpowiem. Duży Iwan, ten, który w wypracowaniu licealnym skopiował fragment książki swojego ojca tylko po to, żeby zobaczyć, czy biedny profesor rozpozna go czy nie. Pamiętasz tę czwórkę, którą ci dał, bo nie spodobał mu się styl? Albo ten szalony śmiech, który ogarnął cię w zakrystii w dniu pogrzebu ojca? Albo jak chowałeś papierosy za tą źle umocowaną deską w przedpokoju, żeby rodzice ich

nie znaleźli? Papierosy kupowane z twoim kolegą Cyrylem, rudzielcem, który marzył, żeby zostać marynarzem? Ależ, Iwanie! Nie rób takiej nastroszonej miny. Wypij lepiej piwo, to ci odświeży pamięć. Zamawiam następne i szkocką.

- Nie, dziękuję, dla mnie nie - zaprotestował Iwan.

- Ależ oczywiście, że tak! Musimy to uczcić! Mamy sobie wiele do powiedzenia. Gdy tylko wrócą ci wspomnienia, zapragniesz się napić... być może po to, żeby o mnie znowu zapomnieć - dorzucił poważnym tonem, któremu przeczyła rozbawiona twarz.

- Poddaję się, Lucjanie. Nie pamiętam, bym pana kiedykolwiek spotkał. Chyba że tak bardzo się pan zmienił... A to co mi pan opowiada, wprawia mnie w zakłopotanie. Tym bardziej że chodzi o zdarzenia odległe i jak dotąd sądziłem, znane wyłącznie mnie...

- Czyżbyś do tego stopnia zapomniał o swoim kumplu Lucjanie? Czy to możliwe?

Iwan czuł się coraz bardziej nieswojo w towarzystwie tego nieznajomego, który narzucał mu się z bezceremonialnością wykraczającą poza wszelkie konwenanse i który jak się zdawało, chciał trzymać go na swej łasce, nie rozwiewając nieporozumienia. Po jego plecach znowu przebiegł dreszcz, a mięśnie pleców i nóg zdradzały dziwne napięcie.

- Nie wiem - odparł rozdrażniony. - Poza tym, Lucjanie, nie mam wiele czasu, zaraz stąd wychodzę, więc może lepiej zakończmy tę grę.

- Nie po to spotkałem się z tobą, żeby cię tak szybko utracić, Iwanie - odrzekł nieznajomy bardzo poważnie. - I proszę, mów mi po imieniu. Przyznasz, że to, co o tobie wiem, to wszystko prawda, czyż nie? Jeżeli ci na tym zależy, mogę dorzucić kilka bardzo niedyskretnych szczegółów, takich jak twoje rozczarowanie sprzed chwili czy noc spędzona z tą kelnerką albo jak dałeś się rozdziewiczyć pani Fénélon, sekretarce z dziekanatu... W zanadrzu mam również powody, dla których rzuciłeś niedawno sutannę, czy wreszcie twoje samotne fantazje - zakończył z porozumiewawczym uśmiechem.

Iwan duszkiem wypił swoją szkocką i łączywie sięgnął po piwo, które podsunął mu Lucjan. Odstawił szklanke, zamknął oczy i mocno ścisnął dłońmi skronie. Chciał wyjść, lecz czuł się sparaliżowany, przykuty do krzesła, złapany w pułapkę. Lucjan przyglądał mu się rozbawiony. Zamówił kolejne piwa i szkocką.

- No widzisz, Iwanie, tak lepiej. Spokojnie! Przyszedłem, mój stary, specjalnie żeby się z tobą spotkać, więc przestań się trapić i napij się. Twój ból głowy przejdzie, to nie naciśnienie. Za chwilę będziesz się onanizował myśląc o Soni, to przyniesie taki sam skutek, jakbyś się z nią

przespał. W końcu jesteś tylko zwykłym stworzeniem bożym, jak to często powtarzałeś w swoich modlitwach, cytując w skrytości ducha Lutra: *simul iustus et peccator*. To dobre, nie? Zarazem sprawiedliwy poprzez łaskę i w istocie swej grzesznik poprzez grzech pierworodny. Jak widzisz, ja też to pamiętam. Jeśli wolisz, możemy pogwarzyć sobie po łacinie; to pozwoli ci poczuć się lepszym i poznać moją wartość. No, snobie!

Iwan potrząsnął głową i wyciągnął ramiona, żeby się przeciągnąć. Musiał się obudzić, opuścić to miejsce, musiał pobiec mroźnymi ulicami, żeby zebrać myśli, żeby uciec przed tym osaczającym go i zbyt gadatliwym jegomościem. Kim tak naprawdę był nieznajomy? I dlaczego narzucał się w sposób tak niestosowny?

- Kim naprawdę jestem? - spytał nieznajomy. - Dlaczego narzucasz mi się z taką przyjemnością? Ależ, Iwanie, to ty sam mnie wezwałeś... Fakt, nie śpieszyłem się z przybyciem. Mała strata, gdyż twoje życie dopiero teraz zaczyna być interesujące, chociaż widząc cię tak oszołomionym, obawiam się, że mogłem popełnić błąd. No, człowieku, obudź się!

- Jest pan przyjacielem Soni, Tiaga? - spytał nagle Iwan usiłując zrozumieć, dlaczego ogarnia go ten dziwny strach rozprzestrzeniający się po trzewiach, istna trwoga.

- Ależ nie, i wiesz o tym dobrze - zachnął się Lucjan. - Twój biedny Tiago w ogóle mnie nie interesuje, a poza tym on nie ma przyjaciół. Ty również. Nawet ty nim gardzisz. Kelner nie lubię. Nie jestem też wojskowym, policjantem ani nikim z uniwersytetu, jeżeli to cię uspokoi. Jestem twoim kumplem Lucjanem.

- A nazwisko?

- Po prostu Lucjan, nic więcej. Niewdzięczniku, nie rozpoznajesz mnie... Po co miałbym ci wyznawać swoje nazwisko, skoro tak bardzo nie ufasz słowom?

W tym momencie Iwanowi przemknęła przez umysł tak szalona myśl, że uśmiechnął się z jej absurdalności. Lucjan spojrzał na niego rozbawiony i rzekł:

- Ciepło, ciepło, mój mały. Klasycy, taak. No, poszukaj jeszcze trochę. Lucjan, *lux, lucis*, oznacza umysł jasny, świetlisty... Nie masz zatem wyboru. Jeśli będzie trzeba, zatrzymam cię siłą, wierz mi, jestem do tego zdolny. Nie przeciwstawi mi się jakiś mały teolog, który utracił wiarę. Co jeszcze przychodzi ci do głowy?

Przewyciężając złe samopoczucie i siląc się na uśmiech, któremu chciał nadać ironiczne zabarwienie, Iwan zaryzykował:

- Lucjanie, jest pan duchem, który mnie nawiedził.

- Duchem! Iwanie, stary, zejdz z obłoków! Nie widzisz, że jestem jak najbardziej żywy? Nie, w towarzystwie nieboszczyków nie czuję się dobrze, trupy nie są zabawne. Wolę zabawę w kotka i myszkę, i to żywe. Czy to ci coś nasuwa?

- Mefistofeles! - wykrzyknął rozbawiony Iwan. - Jeśli się nie mylę, to słowa z prologu „Fausta”. Lucjanie, przecież nie będzie się pan ze mną bawił w diabła!

- Oczywiście, że nie. Powiedziałem to po prostu, żeby popisać się swoją erudycją, ale też żeby dać ci wskazówkę. W końcu z nas dwóch to ty jesteś duchem, który mówi: nie, który chce zła, a równocześnie czyni dobro... Nie, nie jestem diabłem... niestety - westchnął Lucjan. - Diabeł nie istnieje. Ta wspaniała postać jest hipotezą zbyt łatwą, zbyt ludzką, jak każda z waszych prób zanegowania tego, co jest, poprzez jego przeciwieństwo, zamiast zwyczajnie pogodzić się z tym, co nie do pogodzenia. Moim zdaniem szkoda, że nie istnieje. Byłby świetnym współpracownikiem, godnym mnie przeciwnikiem. Ileż to razy wzdychałem, z nostalgią czytając to, co ojcowie Kościoła napisali o księciu ciemności! Cóż za płodna wyobraźnia, jaka zmysłowość! Moja nostalgia graniczy chwilami z erotycznym dreszczem... Tak, naprawdę szkoda. To najbardziej oryginalny koncept spośród tych, które stworzyli ludzie, i najbardziej do nich podobny. Lecz szukaj dalej, o, masz coś stworzonego na swój obraz i podobieństwo. Teraz prawie parzy.

- Łaski! - wykrzyknął Iwan. - Muszę już iść. Porzućmy te bzdury.

- Bzdury?! Biedaczysko stracił pięć lat na splódenie całkowicie szalonej rozprawy, a mnie oskarża o bzdury. M n i e ! Przypomnij sobie tytuł swej dysertacji, mój drogi: „Odrzucenie gnostycznych założeń przez Ireneusza z Lyonu a problem apokatastazy w dziewięciu anatemach rzuconych przez sobór w Konstantynopolu (553 po Chrystusie) przeciwko Orygenesowi: geneza zła i russeliańskie paradoksy w pismach patrystycznych i scholastycznych”. To dopiero bzdury! Trzeba to powiedzieć, Iwanie! Za to odpowiedzialny jesteś ty. A ten twój teatrzyk z Tiagiem tylko po to, żeby napisać kolejną książkę o złu. Zresztą gdyby się nad tym zastanowić i żeby zacytować twoją własną tezę, powinienem mimo wszystko być trochę demoniczny. Sam mówiłeś, nie pamiętam, na której stronie, że kumpel tego Ireneusza z Lyonu, niejaki Tertulian, napisał w „De spectaculis” i jeszcze w „De culte feminarum”, że wszystkie sztuki są natury demonicznej, nie tylko nekromancja i astrologia, ale również teatr, publiczne łaźnie, tawerny i burdele, podobnie jak kobiecy makijaż i kokieteria. Przypominasz sobie? Napisałeś przecież w swojej rozprawie, że wszystkie te rzeczy, które przywołałem, są *Diaboli ecclesiae*. Jeśli dobrze

zrozumiałem to, co napisałeś, twój Orygenes dodaje, że grzesznicy, żydzi, heretycy i niewierni stanowią mistyczne ciało demona. Zatem ja, kochając życie, i ty, kochając dziwki, z definicji stoimy raczej po stronie Złego. Żarty na bok, Iwanie, pozwolisz, że zadam ci podchwytliwe pytanie: twój Orygenes został potępiony jako heretyk, czyż nie tak? Czy on również lubił dziwki? Nie masz pojęcia? A więc dowiedz się, mój drogi intelektualisto, tego, czego nie wiedziałeś: że stosownie do rad udzielanych przez Tertuliana i Euzebiusza na temat eunuchów, biedaczysko kazał się wykastrować. Tak, tak, drogi Iwanie. Wykastrować! Ciach! Co oznacza, że bez wątpienia za bardzo lubił dziwki i nie mógł się kontrolować.

W pewnym sensie uspokojony wiedzą swego rozmówcy i sądząc, że prawdopodobnie ma do czynienia z jakimś imbecylem z wydziału teologicznego, Iwan zareplikował:

- Orygenes napisał też: *Per singulos homines bibi sunt angeli* - na każdego człowieka przypada dwóch aniołów. Pan, Lucjanie, jest zapewne moim złym duchem. Musi mi pan przedstawić także mojego anioła stróża. Czy przypadkiem nie przyprowadził go pan z sobą?

- No nareszcie, mój mały! - odparł nieznajomy, najwidoczniej ukontentowany. - Wolę cię oglądać zadowolonym i w nastroju do żartów.

- Czytał pan moją rozprawę?

- Oczywiście, że nie, Iwanie. Z wyjątkiem ciebie nikt jej nie przeczytał i nigdy nie przeczyta. Recenzenci przejrzeni ją wrywkowo, głównie po to, żeby ocenić jakość języka, formy, prawidłowość zapisu cytatów. Również po to, by się upewnić, że nie zawiera żadnych treści szaleńczych, jakichś mesjanistycznych akcentów. Jak się zapewne domyślasz, twój promotor i członkowie komisji doktorskiej bali się ciebie, uważali cię za trochę nawiedzonego. Rzecz jasna gdybyś zechciał, mogłeś liczyć na posadę profesora. Mógłbyś uczyć patrystyki i scholastyki do końca swoich dni. Teraz gdy sam zrezygnowałeś, będą mogli zatrudnić kogoś bardziej nowoczesnego do nauczania katechezy czy innych banałów. Młodzi nie interesują się już dialektyką dobra i zła. Ponadto, takie rozważania siłą rzeczy prowadzą do sceptycyzmu, jeśli nie prosto do zakonu. Cóż chcesz, coraz mniej jest obdarzonych erudycją profesorów teologii, a religia przyciąga jedynie niezrównoważonych umysłowo osobników poszukujących azylu. Dlatego, mój mały, nie ludź się, że twoja rozprawa znajdzie jakichś czytelników! Może o tym nie wiesz, ale naprawdę im ulżyło, gdy dowiedzieli się o twojej nieoczekiwanej rezygnacji. Obawiali się twego integryzmu.

- A skąd p a n o tym wie?

- No wiesz... Dobro, zło, to mnie interesuje, ale ty powinieneś porzucić tę kategorię bezużytecznych pytań. Daleko nie zajdziesz... Asceza... W końcu każesz się wykastrować. Przy okazji, dlaczego nie zapytałeś Soni, no wiesz, tej kelnereczki, o nazwisko, skoro tak interesujesz się moim?

- Zna pan Sonię?

- Nie bardziej niż ty, a właściwie jeszcze mniej, bo w odróżnieniu od ciebie nie poznałem jej w sensie biblijnym. Nawiasem mówiąc, czemu pozwoliłeś jej odejść, nie dając jej nawet całusa na pożegnanie?

- Skąd...?

- Ależ Iwanie, czy to nie jasne, czy trzeba ci to n a r y s o w a ć ? Lepiej się napijmy, bo jeszcze się wystraszysz. Czy to w ogóle możliwe, żeby mieć do tego stopnia dziewiczy umysł?

- Wygląda na to, że mimo wszystko rzucił pan okiem na moją rozprawę. Dlaczego?

- Z próżności, Iwanie, z czystej próżności. Trochę z nudów, ale przede wszystkim z próżności. Lubię wiedzieć, co o mnie wypisujecie.

- O panu?

- Tak, o mnie i o mojej grze. Mówię ci, to nałóg, chociaż nieco monotony. Nigdy nie mam dosyć waszych dzieł, waszych śmiesznych pomysłów.

- Naszych?

- Tak, waszych. Innymi słowy ciekaw jestem tego, co wypisują moje stworzenia.

- Przecież przed chwilą powiedział pan, że nie jest diabłem - zauważył Iwan z uśmiechem.

Był teraz pewny, że rozmawia z szaleńcem, być może z jakimś absolwentem teologii w rodzaju tych, którzy wysiadują w bibliotekach w poszukiwaniu utraconego zdrowia psychicznego.

- No, Iwanie, prawie trafiłeś. Jeśli nie jestem diabłem, a mimo to wszystko wiem, to...

- To co?

- To jestem Bogiem, Iwanie!

- Bogiem? No cóż, wspaniała nowina! Lucjan Bóg...

- Nie, po prostu Lucjan. Dobrze wiesz, że nie mam nazwiska. Po co by mi ono było? I bez tego bez przerwy wzywa się mojego imienia. Wyobraź sobie, jak by to było, gdybym rzeczywiście miał na imię Lucjan! Nie, Lucjanem jestem tylko czasem, kiedy przybieram postać

cielesną, żeby się trochę rozerwać. To imię mi się podoba. Zawsze było mi przykro, że diabła, ten wymysł waszych naiwnych umysłów, nazywa się Lucyferem. To piękne imię. Toteż kiedy wcielam się w ludzką postać, lubię jak się do mnie mówi Lucjan, Lucien albo Luciano, Lucchino... To takie świetliste!

- Bóg... Dobry Boże! - wymamrotał Iwan przeciągając się, odprężony już do tego stopnia, że przyszła mu ochota na ziewanie. - Zatem ojciec małego Jezuska.

- We własnej osobie - potwierdził nieznajomy z łaskawym uśmiechem. - Co do epitetu „dobry” uchylam się od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Nie jestem przeciwieństwem diabła ani rzecz jasna swoich biednych stworzeń. Jestem po prostu Bogiem. I bynajmniej nie Bogiem Ojcem, albowiem nigdy nie popełniłem tego głupstwa, żeby zapłodnić jakąkolwiek kobietę i pozostawić ją po tym dziewicą! Jeśli w przypływie nudy zdarzało mi się z niektórymi kopulować, to mogę cię zapewnić, że rucham je jak trzeba - zakończył wybuchając obscenicznym śmiechem.

Wulgarność tej ostatniej uwagi utwierdziła Iwana w przekonaniu, że ma do czynienia z maniakiem, i zeszywniał w odruchu obronnym. Tamten, jakby umiał czytać w jego myślach, ciągnął wyrozumiale:

- Nie obawiaj się, Iwanie. Nie ma nic złego w prawidłowej kopulacji. Kobieta oddająca się mężczyźnie oczekuje, że posiadzie ją mężczyzna, a nie nieśmiały teolog. Wiem coś o tym. Nieraz zdarzyło mi się przybrać postać kobiety i mogę cię zapewnić, że obwisły kutas obraża kobietę bardziej niż niezręczność czy zbyt ni pośpiech. No, to teraz już wiesz, że jestem Bogiem, ale mów mi raczej Lucjan, zgoda? Na pewien czas zostaniemy przyjaciółmi, pokażesz mi swoje życie. Jeśli ci to zbyt nie przeszkadza, zamieszkać u ciebie, tak będzie bardziej intymnie... Zatem dlaczego nie miałbym się nazywać Lucjan Sierow? Będę twoim kuzynem bawiącym u ciebie przejazdem. Co ty na to?

- Ja? - ocknął się Iwan zarazem rozbawiony i wystraszony. - To miło ze strony wielkiego mocarza jak pan, Lucjanie, że raczy po ludzku rozmawiać z takim demonem jak ja. Nie wiem, co powiedzieć. Czy zaszczyci mnie pan nową apokalipsą? A może nie jestem godzien?

- Bierze się za demona i to go rozśmiesza! - odparł Lucjan z oznakami wesołości w oczach. - Jak na ucznia robisz szybkie postępy, Iwanie. Mam względem ciebie pewne plany, ale nie specjalnie profetycznego. Przyszedłem tu raczej z ciekawości, po to, żeby się rozerwać, i na razie nie narzekam. Zaczynasz mi się podobać, mój mały.

- No dobrze, Lucjanie. Robi się późno. Muszę już iść - odparł Iwan podnosząc się z

krzesła.

Lucjan nie ruszył się z miejsca, lecz pozostał wygodnie rozparty na swoim siedzisku z miną kogoś zadowolonego z dobrego żartu i zamówił następną kolejkę. Iwan włożył płaszcz, schował książkę do teczki i pożegnał rozmówcę gestem dłoni.

- Już wychodzisz? - spytał Lucjan, nie próbując go zatrzymać. - Idź! Zimne powietrze dobrze ci zrobi. Ja zostanę jeszcze trochę. To piwo jest bardzo dobre. Za chwilę do ciebie dołączę...

Iwan spojrzał za siebie i uderzył go wyraz powagi na twarzy nieznajomego. Poczul dreszcz, ale złożył to na karb zimnego nocnego wiatru.

Przerażony prawie biegiem oddaliłem się od baru, nie przestając oglądać się za siebie, wstrząśnięty tym, co przed chwilą przeżyłem. Wielka portowa ulica była prawie pusta, pogrążona w czymś na kształt mżawki. Musiałem uciec, zatrzeć ślady, zgubić się w tłumie, gdyż ten szaleniec był bez wątpienia niebezpieczny. Nie poprzestanie na samych słowach. To paranoik, który wybrał mnie spośród wszystkich, żeby zrealizować to, co dyktowało mu jego szaleństwo. Czulem, że moje ciało drży i nogi mam jak z waty, ale przyspieszyłem kroku nie zważając, że mogę się poślizgnąć i zrobić sobie krzywdę. Twarz mi płonęła pomimo wiejącego od wody lodowatego wiatru. Sądziłem, że teraz z kolei ja pogrążam się w malignie, że ogarnia mnie gorączka...

Doszedłem w tym stanie do centrum, nie pomyślawszy nawet o zapięciu płaszcza. Dopiero uspokojony widokiem tłumu przechodniów spacerujących po oświetlonych ulicach zdałem sobie sprawę, że jestem mokry od potu i że zapomniałem kapelusza. Trudno, nigdy więcej nie wrócę do baru. Niestety trzeba było zapomnieć również o Soni, która najwyraźniej pozostawała w zмовie z tym podejrzanym osobnikiem. Może grzebała w moich rzeczach, gdy spałem, albo dorobiła klucz do mego mieszkania. Jak inaczej mógłby tyle wiedzieć na mój temat? Czy bywał na wydziale, czy śledził mnie już od dawna, czekając tylko na odpowiedni moment, żeby mnie osaczyć? Czego w gruncie rzeczy chciał?

Wszystkie te pytania kłębiły mi się w głowie, gdy kroczyłem pomiędzy przechodniami, starając się uspokoić. Choć to dziwne, cały wypity w ciągu wieczora alkohol nie miał najmniejszego wpływu na tok myśli, które szturmowały mój umysł. Czy było tak wyłącznie z powodu biegu od portu, obfitego potu czy strachu? Jak to sprawdzić? W każdym razie bez

najmniejszej wątpliwości byłem trzeźwy. Z pewnością wzburzony do granic wytrzymałości, wstrząśnięty i wystraszony, ale trzeźwy jak nigdy dotąd. A może dosypał czegoś do mojej szklanki?

Gdy tak spacerowałem, nieustannie oddalając się od mojego mieszkania, udało mi się zapanować nad nerwowością i nieco uporządkować myśli. Z całą pewnością przeżyłem właśnie epizod depersonalizacji, coś w rodzaju ostrej, bardzo krótkotrwałej psychozy. To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Chyba że w grę wchodziło oszołomienie narkotykiem lub zatrucie pokarmowe. Mimo wszystko byłem jednak przekonany o prawdziwości tego, co przeżyłem. Oczywistość tego faktu była bezsprzeczna: nieznajomy był czymś w rodzaju mojego sobowtóra, kimś takim jak Goladkin. Pomimo całej śmieszności tej hipotezy uważałem to za jedyne dające się zaakceptować wytłumaczenie, jedyne, które uwzględniało fakty. Mój zdrowy rozsądek, na pewien czas wyłączony z gry z powodu strachu bądź doznanych halucynacji, powracał w miarę, jak przypominałem sobie poszczególne etapy rozmowy. Tak, jedyne wyjaśnienie to Goladkin, sobowtór z powieści Dostojewskiego. Czy mój sobowtór, mroczna strona mego ja, zła i niemoralna, która upomniała się o swoje, konfrontując mnie z poczuciem porażki, była atakiem depresji czy przejściowym stanem niepoczytalności? Co ważne, wielu informacji zaserwowanych mi przez nieznajomego nie znał nikt poza mną; te dawne wspomnienia istniały wyłącznie w moim umyśle. Wszystkie te historie z Bogiem i diabłami zrodziły się bez wątpienia w mojej duszy do przesytu karmionej patrystyką, a być może także z powodu intensywności, z jaką oddziaływała na mnie opowieść biednego Tiaga. Czyż ów Lucjan nie wyrażał się w sposób przypominający pułkownika Figueiredo takiego, jakim go sobie wyobrażałem?

Ulżyło mi trochę mimo niepokoju wywołanego nagłym i niespodziewanym napadem szaleństwa. Czyżbym był do tego stopnia przepracowany? Czy coś podobnego miało mnie spotkać w przyszłości? Przynajmniej na razie wyjaśnienia, jakie znalazłem, uspokoiły mnie swoją racjonalnością wspomozoną dobroczynnym skutkiem długiego spaceru. Poza tym czułem głód, co nie przydarzało mi się często, ponieważ w czasie ostatniego roku prawie zakonnego życia porzuciłem swe wcześniejsze dobre przyzwyczajenia żywieniowe. To dobry znak - pomyślałem sobie: szaleniec z pewnością nie myśli o jedzeniu i nie nachodzi go nagła ochota na pizzę... Myśl o pizzy nie nawiedziła mnie spontanicznie, co uznałbym zapewne za nawrót szaleństwa. Przyciągnęła mnie świetlna reklama przytulnej restauracyjki o oknach przyozdobionych zasłonami w czerwonej kratę. Wydało mi się to rozkosznym zaproszeniem

życia, więzami łączącymi mnie na swój sposób z rzeczywistością, i poczułem, że ślinka napływa mi do ust na myśl o tym, że mógłbym zasiąść do stołu. Obecność innych gości, przytulna i banalna atmosfera włoskiej pizzerii mogła stanowić skuteczną zaporę dla koszmarnych halucynacji.

Lucjan nie pojawił się, toteż wychodząc z pizzą i ćwiartką wina w brzuchu, czułem się o wiele bardziej wyciszony. Zaczął padać drobny śnieg, co zachęciło mnie do powrotu na piechotę. Tak - uświadamiałem sobie, dziarsko stawiając kroki - czas najwyższy, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza do mojego życia, może nawet należałoby udać się w jakąś podróż, pojechać w jakieś ciepłe miejsce, nad morze. To by mi dobrze zrobiło. Moje rozmowy z Tiagiem nie wyjdą nigdy z etycznego impasu, w którym zamknąłem je od samego początku. Zanim dojdę do minimalnie choćby interesującego tekstu, muszę wszystko przemyśleć...

Przypominam sobie, że było już po północy, gdy dotarłem do mojego mieszkania. Wszystko wydawało się takie spokojne...

Iwan zapalił światło w swoim mieszkaniu i zastygł jak sparaliżowany. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, czuł się przykuty do podłogi. Przy biurku jakby nigdy nic siedział uśmiechnięty i odprężony Lucjan z litrową butelką szkockiej i dwiema szklankami.

- Późno wracasz, Iwanie - powiedział zamiast powitania. - Czekałem tu na ciebie po ciemku i o suchym pysku, podczas gdy ty degustowałeś pizzę, nie poświęciwszy koledze jednej myśli, niczym prawdziwy dzikus. Tym gorzej dla ciebie; zamówiłem sobie chińszczyznę. Była bardzo dobra.

Iwan powiódł wzrokiem za spojrzeniem nieznanego i istotnie zobaczył na kontuarze w kuchni kartonowe pudełka, brudne talerze i wrzącą w czajniku wodę.

- Robię herbatę - dodał Lucjan. - Mamy przed sobą całą noc. Przyniosłem też whisky. Cutty Sark to twoja ulubiona, czyż nie? Nie chciałem naruszać twoich zapasów alkoholu.

Iwan zamknął oczy i ścisnął dłońmi skronie, żeby się obudzić i przerwać ten koszmar, lecz widok Lucjana siedzącego bez marynarki i z rozluźnionym krawatem i uśmiechającego się kordialnie był tak realny, że kiedy po pierwszym szoku postanowił otworzyć oczy, nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Właśnie tak, Iwanie, odpręż się - odezwał się Lucjan. - Usiądź i nic się nie bój. Mogę ci obiecać dwie rzeczy: po pierwsze nie zrobię ci nic złego, a po drugie udowodnię ci, że naprawdę

jestem twoim Bogiem. Daj mi słowo, że jeżeli dowód cię przekona, ze swej strony będziesz się zachowywał w sposób cywilizowany. Odpowiada ci ten układ?

W tym momencie czajnik zaczął gwizdać, co dało Iwanowi kilka chwil na zastanowienie. Mimo wszystko to, co się działo, było nazbyt absurdalne, prawie komiczne.

- Proszę poczekać - odparł. - Zajmę się herbatą. - I rozbawiony dodał: - To pozwoli uniknąć dalszych zniszczeń. Jak widzę, Pan Bóg nie jest przyzwyczajony po sobie zmywać...

- Pfff! - prychnął nieznajomy. - Zmywanie! To jakaś obsesja niektórych moich stworzeń! W porządku, Iwanie, zrozumiałem. Nie niepokój się. W przyszłości zawsze będę zostawiał twoją starokawalerską kuchnię niepokalaną jak Maryja Dziewica. Pociesz się, że poza tym jestem mało kłopotliwym gościem. Nawiasem mówiąc, jestem zadowolony z twojego przyjęcia. Jak na sceptyka jesteś bardzo miły...

- Jak pan tu wszedł? - spytał Iwan z kuchni.

- Co za pytanie? Nie pamiętasz, że byliśmy umówieni? Po prostu wszedłem, bynajmniej nie jak złodziej, lecz stosując własne sprawdzone sposoby. Ale, ale... Skoro już o tym mowa, bądź łaskaw dać mi zapasowy klucz, jeżeli nie chcesz, żebym straszył sąsiadów, wpadając do ciebie. Prości ludzie najbardziej boją się małych cudów. No, siadaj wreszcie, napijmy się za nasze spotkanie; muszę raz na zawsze rozwiać wszystkie wątpliwości, jakie żywisz na mój temat.

Iwan nalał już wody do imbryka, ale ponieważ nie czuł się na siłach usiąść twarzą w twarz ze swym gościem, dalej czaił się w kuchni, nie wiedząc, jak zareagować.

- Nie chowaj się, Iwanie - rzekł Lucjan tak łagodnie, jakby zwracał się do nadąsanego dziecka. - Siądź ze mną. Jestem przyzwyczajony do zdziwienia, to całkiem naturalna reakcja. Chwali ci się, że we mnie niczym nie rzuciłeś, w przeciwieństwie do niejakiego Lutra, ani nie wymachujesz mi przed nosem czosnkiem, jak zrobiłaby większość ludzi biorąc mnie za wampira. Wyobraź sobie, że często odpędza się mnie znakiem krzyża! No, nie bój się, już ci mówiłem, że nie ma ani diabła, ani żadnych duchów. - Westchnął. - Przyzwyczailem się też, że ludzie uważają mnie za szaleńca... Na szczęście sprawy wyjaśniają się potem same. Właściwie chyba wolę twoją nieufność; mam przynajmniej pewność, że nie zechcesz wyrzucić świata do góry nogami zakładając sektę albo ogłaszając koniec świata. Bo prawda jest taka, że z nas dwóch to ty wylądowałbyś w wariatkowie. Współczesna epoka jest bardziej nastawiona na trywialność niż na metafizykę. No chodź, zaspokoję twoje pragnienie namacalnego dowodu.

Iwan zbliżył się zarazem nieśmiały i zmieszany, zdejmując płaszcz i szalik, ale ciągle

milcząc i nie przestając wpatrywać się uważnie w obcego. Ten wydawał się odprężony, był uśmiechnięty i miły, ale to nie do końca uspokajało Iwana. Wyjątkowo trudno było mu zaakceptować w swoim mieszkaniu fizyczną obecność mężczyzny, nawiasem mówiąc silniejszego od niego, który z taką bezceremonialnością naruszał jego prywatność.

- Przywykniesz, Iwanie - odezwał się Lucjan, znów odgadując jego myśli. - Zresztą to nie potrwa długo. Poza tym uświadom sobie, że nie masz przede mną tajemnic nawet wówczas, gdy się tobą specjalnie nie interesuję. Ludzie nie zmienili się od tysiącleci, widziałem więc niejedno. Wierz mi, to szalenie monotonne. Lepiej odpręż się i wypowiedz jakieś życzenie. Jakikolwiek, byle nie było zbyt skomplikowane. Nie mam zamiaru postawić całego świata na głowie tylko po to, żeby ci udowodnić, kim jestem. Nawet taki sceptyk jak ty nie musi żądać księżycy na tacy, by we mnie uwierzyć. Może chcesz jakiś mały przedmiot, coś zbyt osobliwego, żeby przez przypadek pojawiło się tu na stole. No, zrób sobie przyjemność - zachęcał. - Lucjan funduje... Masz, napij się - dodał nalewając szkockiej.

- Życzenie? Tutaj, na stole?

- Tak, ofiaruję ci mały prezent. Pomyśl o czymś.

Iwan wahał się przez chwilę, po czym uśmiechnął się łobuzersko i poprosił o samowar.

- Ale taki dymiący, z węglem drzewnym i małym imbrykiem na wierzchu, z czarną, gotową już do picia herbatą.

- Taki jaki Pietruszka przynosił rano Goladkinowi? - upewnił się rozbawiony Lucjan. - Wiesz, Iwanie, często brano mnie za diabła, za czarownika albo ducha, nawet za męża rogacza przebranego za policjanta. Ale za sobowtóra chyba nigdy. Miałeś tupet, żeby pomyśleć o Goladkinie. Zarozumialec z ciebie!

- Skąd pan może wiedzieć, co sobie pomyślałem?

- Mój biedny sceptyku! Wybacz mi. Nie śledzę ciebie ani twych myśli z niedyskrecji albo z braku szacunku. Uwierz, byłem bardzo zatroskany widząc, w jak wielkim stanie wzburzenia wyszedłeś z baru, zatroszczyłem się więc o ciebie. To wszystko... Zgoda, będziesz miał ten twój samowar, chociaż co do węgla drzewnego, jeśli dobrze pojąłem, chodzi tylko o to, żeby rzecz bardziej skomplikować. Ale węgiel w dzisiejszych czasach jest taki niepraktyczny! Daję ci samowar elektryczny. Oto on!...

Cud natychmiast się spełnił. Na stole pojawił się wspaniały dymiący, niklowany samowar z dwiema szklankami do herbaty o starodawnej fakturze. Iwanowi na chwilę zaparło dech w

piersiach. Zaraz jednak, i to jeszcze nim dotknął samowaru, nie wiedzieć czemu wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Czyż nie jest piękny? - spytał Lucjan z oczami skrzącymi się wesołością. - I jaki użyteczny! Będziesz się nim posługiwał na długo po tym, jak odejdę, panie Goladkin. No i znów mnie zadziwiłeś... Ludzie proszą o rzeczy tak niebywale, że czasem żałuję, iż obiecałem spełnić ich życzenie. Niektórzy mają autentycznego bzika, zapewniam cię, Iwanie. Pewna wielce cnotliwa dama zażyczyła sobie raz centaura, nalegając, by był owłosiony i hojnie wyposażony. To tylko jeden z przykładów... Nie mogę przecież ni stąd, ni zowąd stwarzać jednorożców i dziewic nimfomanek czy ożywiać zmarłych, to chyba oczywiste.

- Dla mnie bardziej liczy się dowód, chociaż jestem wielce zadowolony z prezentu. Jest wspaniały... Wspaniały dowód.

- Przyznaję, że była to prośba scholastyka z rodzaju tych, które wyraziłby Tomasz z Akwinu. Zarazem logiczna i realistyczna, bez zbędnych fiorytur. Dużo lepsza od tej, która pierwsza przemknęła ci przez myśl.

- Pierwsza? - spytał niepewnie Iwan.

- Wybacz, przygotowując się przed chwilą do cudu, byłem tak skoncentrowany, że niewykluczone, iż niechcący popełniłem małą niedyskrecję... Ale jak słusznie uznałeś, w wypadku tego przedmiotu mogłaby to być zwykła magiczna sztuczka, czyż nie?

- W wypadku jakiego przedmiotu?

- Tego, o którym pomyślałeś tuż przed samowarem. Przyznaj, że to kompromitujące dla doktora teologii... Nie wstydz się, nic nie szkodzi. Oto twoja zabawka, skoro tak bardzo ci na niej zależy. Ale ostrzegam cię: nie próbuj robić głupstw, bo się do tego nie nadajesz. Byłoby to uchybieniem gościnności i zmusiłbyś mnie, żeby ci go odebrać, a kto daje i odbiera... - puścił oko do Iwana, który z wyrazem zażenowania i pożądania obserwował dłonie gościa, gdy ten prokurował szeroki nóż sprężynowy. Lucjan wielkodusznie udał, że tego nie widzi, i podjął:

- To po prostu scyzoryk. Zawsze chciałeś taki mieć, ale nie odważyłeś się go sobie kupić. Ciekawe dlaczego, skoro sprawiłoby ci to przyjemność... Taka niewielka rzecz... Przecież nikt inny nie musi wiedzieć. To po prostu fantazja jak inne. Dobrze wiesz, co to przedmioty symboliczne: szczegółowo omawiasz je w swoim doktoracie. Miejsca osobistej liturgii, jak je sam nazywałeś. No bierz, tylko uważaj, jest bardzo dobrze naostrzony, a ty nie masz wprawy! Pobaw się, a ja tymczasem naleję ci herbaty z twojego pięknego samowara. Jeżeli nie masz nic

przeciwko temu, ja wolałbym *orange pekoe*, którą zaparzyłeś.

Lucjan wstał, żeby pójść do kuchni po imbryk, podczas gdy rozanielony Iwan z błogim uśmiechem na twarzy bawił się otwierając i zamykając nóż.

- Nasze zdrowie! - Lucjan wznosił toast wracając z kuchni. - Uwielbiam przepijać alkohol herbatą. Nie masz przypadkiem korniszonów?

- Nie, ale co to dla pana? - zauważył ironicznie Iwan. - Parę małych ogórków...

- Wystarczy dowodów, mój mały. Nie jestem świętym Mikołajem. Korniszony kupimy jutro, kiedy pójdziemy na zakupy, razem jak na współlokatorów przystało. I płacę za swoją połowę. Nie oczekuj więcej cudów. No, może z wyjątkiem alkoholu, nienawidzę gadać o suchym pysku. A skądciś mam wrażenie, że zanim przestaniesz się czuć nieswojo, będziemy mieli dużo do obgadania. Już teraz przewiduję twoje pytania, drogi przyjacielu. Jednakże nie zapomnij, że przybyłem, aby się rozerwać. Potrzebuję rozrywki, bądź więc wyrafinowany. Nie chciałbym być zmuszony do skrócenia mojej wizyty, jak mi się to często zdarzało, gdy odwiedzałem teoretyków udających sceptycyzm. I bardzo proszę bez omdleń; wybrałem cię zarówno z racji twego młodego wieku, jak i mnóstwa żywionych przez ciebie wątpliwości. Liczę na przyjemną partyjkę. Nie zawieź mnie!

Przez dłuższą chwilę nic nie mówili, każdy z nich pogrążony w swoich myślach sączył whisky i herbatę.

W końcu Iwan przetrwał to, co usłyszał, a na jego twarzy pojawił się grymas zdradzający wyraźną konsternację. Zapalił i podsunął paczkę Lucjanowi, który odmówił, argumentując, że nie chce zagłuszać smaku szkockiej. Iwan tymczasem zaciągał się nerwowo; gdy skończył palić pierwszego papierosa, sięgnął po następnego. Dopiero wówczas odważył się zapytać:

- Czy pan mówi poważnie, że ma zamiar zamieszkać tutaj, to znaczy ze mną?

- Tak, a bo co? Chciałbyś, żebym poszedł nocować do hotelu jak zwyczajny podróżny? Przypomnij sobie Lota. Szczęśliwiec podjął wysłanników Pana z narażeniem swojego życia... albo z narażeniem swojego anusa. Ty przynajmniej niczego nie ryzykujesz. Zajrzyj do pokoju: moja waliza już tam jest.

- Czuję się skrępowany - odparł poruszony do żywego Iwan. - To wszystko. Nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju bliskości pomiędzy ludźmi. Zresztą nie, nie zgadzam się. Kategorycznie odmawiam. Będzie pan musiał sobie pójść. Dziękuję za podarunki, ale nie, nie mogę grać w tę grę z nieznanym w swoim własnym domu. Być może w jakimś neutralnym

miejscu, lecz nie tutaj. Proszę zwrócić mi moją intymność, moją samotność.

- Wiesz co, Iwanie, możesz mi mówić na ty - odparł serdecznie Lucjan. - Po co cały ten przesadny szacunek?

- To nie szacunek, tylko dystans. Krępuje mnie pana bezceremonialność, sposób, w jaki wszystko uważa pan z góry za załatwione, to pańskie narzucanie się. Pańska pycha... Nie możemy być równi, jeżeli pan czyta w moich myślach, jeśli przypisuje pan sobie wszystkie prawa.

- Ależ Iwanie, opanuj się! Już śpieszę cię uspokoić co do intymności. Przykład Lota był źle dobrany, przyznaję i przepraszam za niego. Nie mówiłem o tego rodzaju zażyłości. Nie zależy mi, żebyś uporał się ze swoimi fantazjami, wręcz przeciwnie, uważam, że są urocze... Nie musisz się też rumienić! Jestem z tobą tak szczery, gdyż chcę, byś przestał się mnie obawiać! Taki zatwardziały kawaler jak ty, przystojny i trochę nieśmiały wobec kobiet... Mój drogi, nie jesteś pierwszym, który pomyślał o seksie z mężczyzną. Nie ma w tym nic niezwykłego. Wiedz jednak, że o mojej decyzji, by cię odwiedzić, przesądziła noc spędzona przez ciebie z tą kelnereczką. Sam zadecydujesz o swojej orientacji seksualnej, a co do twoich fantazji, to nigdy nie zmieniły tego, jak się sprawy mają w rzeczywistości. Przyszedłem do ciebie, bo jestem pewien, że ze swojej strony nie wyjdiesz z inicjatywą intymnego kontaktu. Gra, jaką pragnę z tobą prowadzić, jest całkiem innej natury, czysto intelektualnej, w pewnym sensie artystycznej. Zaufaj mi. Wprawdzie w przeszłości, kiedy to było szczytem mody, interesowałem się cierpieniami mnichów. Przyznaję, że powracam do tego od czasu do czasu. Zdarza mi się również uwieść jakieś stworzenie wyłącznie po to, żeby zobaczyć, jaki będzie ciąg dalszy. Lecz to wszystko jest mniej absorbujące niż rozrywki umysłowe. Zsodomizować jakiegoś księcia Kościoła lub mistyka, czy dać im się zsodomizować, to banalne i nudne. Interesujący może być jedynie sposób, w jaki tłumaczą sobie później to doświadczenie albo co z nim później robią. I odwrotnie, weź przypadek Teresy z Avili.

- To pan? - spytał zdziwiony Iwan.

- Ależ skąd! To Chrystus; była w nim do szaleństwa zakochana, jak początkująca dziwka w swoim żigolaku.

- Ale przecież powiedział pan...

- Jak najbardziej, Iwanie. Przywołuję ten przypadek, bo jest pouczający, jako że wykracza poza zwykły seks. Chrystus nie istnieje. Teresa z Avili od początku do końca wszystko sobie

wyobraziła, i to bez żadnej Bożej pomocy. Oto co jest w tym naprawdę wspaniałe! To prawda, kusilo mnie, żeby ją nawiedzić, ponieważ interesowała mnie jej historia, jej wizje podniecały moje męskie ego, lecz powstrzymałem się, żeby nie popsuć piękna wytworów bujnej wyobraźni. Prawdziwy pocałunek unicestwiłby nie tylko fantazje, lecz także przyjemność. Przyjemność, do której biedaczka miała w pełni prawo, jako prawowita stwórczyni. Przy niej łamiący śluby czystości mnich czy lubieżny biskup to przypadki pospolite. Aczkolwiek późniejsze racjonalizacje tychże grzeszników mogą zawierać istne perełki, w czasie samej kopulacji żadnej perły się nie ułowi. Zdarzało mi się także działać z czystej młodzieńczej ciekawości... Na dłuższą metę zmysłowość jest jednak męcząca. Chciałbym, żebyś wiedział, że te rzeczy nie pociągają mnie już tak jak dawniej.

- Czy mnisi, o których pan mówi, wiedzieli, że pieprzą się ze swoim stwórcą? - spytał Iwan.

- Oczywiście, że nie! Ci hipokryci nie byliby wówczas zdolni do erekcji, może nawet próbowaliby mnie udusić. Eremici bywają fanatyczni w obronie swojej wiary. Rzecz jasna to tylko arcyludzkie małostkowości, ale stworzenia czepiają się ich ze wszystkich sił. Jak mogłyby postępować inaczej? Skądinąd przyznaję, że czasem pognębię jakiegoś zarozumialca czy z lekka poturbuję innego aroganta bądź też upokorzę pyszałka, ale nigdy z powodów moralnych. Zrozumiesz to lepiej, kiedy odsłonię przed tobą naturę gry. Czynię to raczej, żeby przesunąć jakiś pionek, by zaakcentować interesującą sytuację, by dodać trochę pieprzyka mojej grze.

- No właśnie! - przerwał mu Iwan. - Nalega pan, żebym pana tykał, ale ze swej strony nie przestaje pan objawiać swojej siły, swojej pychy. W tych warunkach nie sposób stwarzać złudzenia braterstwa. W pana obecności czuję się źle, jak złapany w pułapkę. Wolałbym, żeby pan sobie poszedł. Jeśli pan zostanie, to tylko siłą, wbrew mej woli, chociaż nie jestem przekonany, że ta historia z Bogiem jest prawdziwa...

- Przeciwnie, to sedno tej kwestii - odparł Lucjan wzdychając. - Bywa, że komplikuje sprawy na początku. Dwa czy trzy cuda olśniewają tylko przez chwilę, potem trzeba was przekonywać. W większości wypadków nie mówię więc, kim jestem, żeby nie popsuć gry. Pozostaję incognito; zabawiam się i znikam bez śladu. Przed tobą jednak muszę się odkryć, bo tego wymagają reguły tej akurat partii. Inaczej wziąłbyś mnie za szaleńca, tak jak jeszcze przed chwilą w barze. Co musiałbym wówczas zrobić, żeby z tobą porozmawiać? Czy chciałbyś, żebym objawił się jako starzec z białą brodą siedzący na chmurze i ukrywający kutasa w fałdach

płaszcz? Wolałbyś ten idiotyczny wizerunek? Widzisz? Skoro nalegasz, mogę odejść i pozostawić cię samego pogrążonego w zwątpieniu, wahającego się, czy to, co się wydarzyło, należy zinterpretować jako własne szaleństwo czy jako spotkanie z kimś niespełna rozumu. Jednakże nie zamierzam zawracać z raz obranej drogi. Moje odejście w tej chwili oznaczałoby zniszczenie tego pięknego egzemplarza stworzenia, jakim jest młody Iwan Sierow obdarzony niezbędnymi cechami pozwalającymi mu dokonać rzeczy interesujących.

- Dlaczego „zniszczenie”?

- Czyż nie widzisz, że spędziłbyś resztę swoich dni targany wątpliwościami, spoglądając na samowar i bawiąc się nożem? W końcu popełniłbyś samobójstwo, choćby w nadziei, że mnie odnajdziesz. A ja mam żelazną zasadę: nigdy radykalnie nie zmieniać swojej pięknej gry. Zdarza mi się przyspieszać bieg rzeczy, służyć za katalizator, ale cały czas w poszanowaniu reguł.

- Ale żeby u mnie zamieszkać?... Nie!

- Co za głupota! Tak się cieszyłem na tę nową partyjkę, że zapomniałem pomyśleć o tym szczególnie. Twój sceptycyzm był tak pociągający i uczony, że zignorowałem twą mizantropię. Dlaczego nie mielibyśmy pójść na kompromis, zawrzeć paktu? W waszych bajaniach podpisuje się pakt z diabłem, więc dlaczego nie z Bogiem?

- Jak to: pakt? Jaką mogę mieć gwarancję, skoro jest pan wszechmocny?

- A dobroć się nie liczy? - odparł drwiąco Lucjan.

- Albo jedno, albo drugie. Może tak jest w tym pańskim niebie, ale nie na ziemi. Doskonale pan o tym wie.

- Oczywiście masz rację, nie bez kozery wybrałem scholastyka. Odrzucimy sofizmaty; to zresztą moja dewiza, kiedy się wcielam. Oto pakt: przychodzę do ciebie wyłącznie w nocy, żeby podyskutować. W czasie dnia zajmuję się innymi partiami. Zawsze rozgrywam ich jednocześnie bardzo wiele, co mi odpowiada, ponieważ lubię różnorodność. Będę się pojawiał u ciebie z rzadka, gdy akurat będziesz miał ochotę posłuchać, co mam do powiedzenia. Poza tym będziesz mógł wedle woli dysponować swoim czasem i swoją intymnością. Moja waliza nie zajmie dużo miejsca, a ja postaram się być możliwie jak najbardziej dyskretny w odniesieniu do twojego życia prywatnego. Zgoda? Słowo pana wszelkiego słowa.

- Jest w tym paradoks - zauważył natychmiast Iwan. - Słowo pana wszelkiego słowa... Żeby dać słowo, trzeba być poddanym słowu, a nie kontrolować je.

- To paradoks russeliański, trafna uwaga - potwierdził z przyjemnością Lucjan - kwestia

pomieszania klasy z metaklasą, języka i metajęzyka, wiesz o tym doskonale. Zresztą za pozwoleniem, to kolejny cytat z twojej rozprawy, rzucony w nadziei że się trochę rozkrochmalisz i znowu nabierzesz zamiłowania do dialektyki. Masz rację, nie mogę dać gwarancji nie generując paradoksu, ponieważ niestety jesteś tylko pionkiem w mojej grze. Ale ponieważ ja sam chciałbym właśnie zagrać rolę pionka, czy nie mógłbyś pójść na ustępstwo i przez chwilę zapomnieć o sprzecznościach logicznych?

- A czy mógłbym przez chwilę zagrać rolę mistrza gry?

- Niestety nie, mój drogi Iwanie. Jestem jedynym rozgrywającym. Niemniej będę cię informował o przebiegu gry, czego tak bardzo pragniesz. Potem porównasz rolę mistrza gry i pionka. Czyż to nie ta kwestia tak bardzo cię nęka?

- Być może, być może - powiedział Iwan z namysłem, zamykając oczy przy zapalaniu kolejnego papierosa. - A jaką mam gwarancję, że nie jest pan złym duchem, który przyszedł jedynie po to, żeby mnie pogrążyć? Albo że nie jest pan zwykłym sztukmistrzem, oszustem czy psychopatą pragnącym mnie upodlić? Rodzajem oprawcy...

- Wiesz dobrze, że i w takim wypadku nie ma żadnej gwarancji. Nawet zwykły oszust nie jest w tej samej klasie, co jego ofiara. Asymetryczność pozycji nie pozwala na wzajemność. Mój absolutny zbiór zawiera twój, który jest tylko przypadkową funkcją wykoncypowanej przeze mnie gry, i nieskończenie go przerasta. Moją pozycję możesz sobie wyobrazić tylko w sposób alegoryczny. Musisz mi uwierzyć na słowo, chyba że zechcesz traktować mnie jak interesującą fikcję, tak jakbyś miał do czynienia na przykład z powieścią. Albo z ciekawą hipotezą. Trzeba podjąć ryzyko, gdy samemu nie potrafi się pisać książek.

- Dlaczego ja? - spytał Iwan. - Odpowiedź odnośnie do gwarancji satysfakcjonuje mnie i uspokaja. Przynajmniej w tej dziedzinie nie kłamie pan. To już początek zaufania. Ale dlaczego ja...?

- Ponieważ jesteś czarującym chłopcem. Bardzo trudno znaleźć pomiędzy dzisiejszymi teologami ludzi inteligentnych; wiesz o tym. Pośród nieskończonych sposobów grania w grę świata są gry logiczne, abstrakcyjne, metafizyczne, jak wy je nazywacie. Mogę grać we wszystkich epokach; jeśli chcę, mogę dyskutować z prawdziwymi scholastykami, z autentycznymi gnostykami z pierwszego wieku albo z Augustynem we własnej osobie. Nie ukrywam, że to wyrafinowana przyjemność. Natomiast znaleźć inteligentnego młodego człowieka interesującego się tymi banialukami pod koniec dwudziestego wieku... Przyznaj sam,

to wielka rzadkość. A na dodatek twój sceptycyzm... To graniczy z niczym nieumotywowaną perwersją, bo nic wszak nie każe ci kroczyć tą absurdalną drogą. Ot, co! Byłem ciekawy i już! Postanowiłem zatem zafundować sobie *disputatio* z młodym Iwanem Sierowem, nie wzięwszy pod uwagę jego wrodzonej wstydlivosti, jego strony ludzkiej, arcyłudzkiej... Byłem egoistą, to niezbywalna część mojej zasadniczej natury. Ale obiecałem, że w zamian pozwolę ci zobaczyć, jak naprawdę wyglądają reguły gry.

- Czy ryzykuje pan w jakikolwiek sposób, ukazując mi te reguły? - spytał Iwan już przekonany do myśli o współpracy.

- Nie, nic nie ryzykuję. Gra nie zależy już ode mnie; ku mojej uciechu toczy się sama i nie muszę już w nią ingerować. Ale zapewniam cię, że jest bardzo piękna, i nie jest to wyłącznie moje zdanie. Bez fałszywego wstydu, sam Einstein pogratulował mi jej, gdy wprowadziłem go w szczegóły.

- Einstein?

- Tak, kochany Albert. Połączyła nas wielka przyjaźń. Jestem z tego dumny. Albert to wspaniały człowiek. A to jego poczucie humoru!

- Podpowiedział mu pan jego teorie?

- Nigdy w życiu! Powtarzam ci, Iwanie. Nie jestem świętym Mikołajem. Byłoby oznaką braku szacunku dla stworzenia oddawać mu drobne przysługi, by tak rzec, naprowadzać je na właściwą drogę. Oznaczałoby zaburzenie gry. Nie, złożyłem mu wizytę właśnie dlatego, że wszystko odkrył sam, i to w jakim stylu! Zresztą nie tylko Albert, ale i wielu innych przed nim, każdy zgodnie z teoretycznymi możliwościami swojej epoki. Ale Albert był istotą czarującą i umiał docenić piękno. Gdy tylko mu się objawiłem, nie okazał zdumienia i zadawszy trzy czy cztery doskonale przemyślane pytania, od razu poznał, że go nie oszukuję, nie musiał prosić o żaden cud, jak ty czy wielu innych. Czułem się tak, jakby od dawna mnie wyczekiwał. Z miejsca zabraliśmy się do pracy: każdy rozkoszował się odkryciami drugiego, pobłażliwie uśmiechając się, gdy dowiadywał się o pomyłkach partnera. Albert był człowiekiem szczerym, bez jakichkolwiek śladów ascetyzmu; to jedno z tych stworzeń, które przynoszą zaszczyt pięknu gry.

- Niewolnik godny swego miana?

- Iwanie! - westchnął Lucjan. - Nie próbuj robić z siebie bałwana, którym nie jesteś. Mówię ci o Albercie, Koperniku czy Bertrandzie Russellu. Opuść trochę gardę i daj się owładnąć uczuciom. Wiem, że odczuwasz podziw i wdzięczność wobec tych wielkich umysłów. Nie

zgrywaj się na twarziela, bo w ten sposób ranisz sam siebie. W królestwie reguł gry nie ma niewolników. W grze stworzenia są pionkami, to jasne, lecz gdy starają się wzniesć ponad paradoks bycia jednocześnie wewnątrz i na zewnątrz gry, bycia symultanicznie pionkami i teoretykami, czasem ocierają się o wzniosłość. Niewolnikami jest reszta stada: ci, którzy zadowolają się władzą przyznaną pionkom zgodnie z regułami gry. Jak miemam, nie mówię ci nic nowego, bowiem myśl ta implicytnie tkwiła w konkluzjach twojego doktoratu, tyle że ją trochę zamaskowałeś, żeby nie wystraszyć recenzentów. O ile wiem, ani Albert, ani Bertrand niczego nie ukrywali.

- Czy zachował ich pan w niebie dla swojej rozrywki? - spytał gorzko Iwan.

- Brawo, mój drogi! Oto pytanie, które zawiera w sobie wszystkie inne. A ty zadajesz je jakby nigdy nic, mimochodem i znienacka. Moje gratulacje! Nie chciałbym jednak za dużo zdradzić, zanim nie zyskam pewności, że jestem tu mile widziany. Musisz się zgodzić na moją obecność, inaczej wszystko zrozumiesz opacznie. Trzeba uchwycić całość, bowiem bez tego szczegóły mogą się wydać śmieszne. Ostrzegam cię, że odkąd różni kapłoni i bigotki próbują wykastrować moją grę bredząc o aniołkach i innych lepkich landrynkowatościach, stałem się wielce nieufny wobec fragmentarycznych wizji. Albo pozostaniesz w całkowitej ignorancji, albo udostępnię ci wszystko, co twój mózdzek jest w stanie wchłonąć. Wybieraj!

- A jaka będzie moja rola?... To znaczy, czego oczekuje pan w zamian?

- Ja? Niczego. No, w każdym razie niewiele. Dobrej zabawy, w której mógłbyś się rozsmakować, nie zaczynając jej od razu osądzać. Oczekuję, że pozostaniesz sceptykiem, którym mienisz się być, i że podejmiesz mnie, chcąc zaspokoić pragnienie wysłuchania mojej opowieści. Potem odejdę tak, jak przyszedłem, bo między nami mówiąc, twoje pospolite życie nie jest specjalnie ekscytujące... Żadnego cyrografu spisanego krwią, żadnej hipoteki na duszę ani wiecznej adoracji. Bóg, ten wielki gracz i mistrz gry, to nie pospolity handlarz dywanami. Żydzi prawie to zrozumieli, chociaż wyobrazili mnie sobie pod postacią Jahwe, tego ultranacjonalistycznego dyktatora i neurotyka. To ich problem, ja nie mam z tym nic wspólnego. Chrześcijanie natomiast wydumali sobie, że raj jest równocześnie okienkiem do załatwiania skarg i zażaleń i pudełkiem z podarunkiem niespodzianką. Gdyby byli w stanie pojąć śmieszność tej wizji a la święty Mikołaj, wszystkie watykańskie pijawki w jednej chwili utraciłyby swoją aureolę i wszyscy ujrzeliby je takimi, jakimi naprawdę zawsze były i są, a zatem: pazernych bankierów. Ale cóż chcesz, wasze życie jest właśnie takie: stworzenia są nazbyt przyzwyczajone

do zrzucania odpowiedzialności za swoją ludzką kondycję na mity. Gdybyś wiedział, jak bardzo mam to gdzieś... To jak będzie, Iwanie: wóz czy przewóz? Zdecyduj, a ja tymczasem pójdę się odlać. Tyle tego piwa i na dodatek herbata...

- Pan sika? - spytał zdziwiony Iwan.

- Oczywiście, że sikam. Myślisz, że wszystko przetwarzam w wodę święconą? Kiedy się wcielam, lubię przy okazji doznawać wszystkich waszych wrażeń. Inaczej po co grać w tę grę? Nawet ból czy niedostatek mają swój urok, podobnie jak strach. Czyż wy, stworzenia, nie chodzicie do wesołych miasteczek, żeby się wozić na diabelskim młynie? Tak samo jest ze mną. Dla kogoś bezcielesnego jak ja wasze ciało to niewyczerpane źródło osobliwych doświadczeń. Dalej, decyduj, a ja idę do toalety, bo inaczej zaraz zmoczę spodnie.

Iwan siedział jak przykuty, uważnie nasłuchując, co dzieje się w łazience. Nieznajomy sikał obficie i długo. Pod koniec odgłosy sikania przerwały na chwilę gromkie, zdrowe pierdnięcia. Iwan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Dolał sobie herbacianej esencji z imbryka i wrzątku z samowaru. Żeby tylko spuścił wodę - pomyślał, zapalając papierosa.

Zaraz potem rozległ się szum spuszczonej wody i Lucjan powrócił do salonu z wyraźną ulgą na twarzy.

- Uff - sapnął siadając. - Wysikać się, kiedy ma się pełny pęcherz, to doświadczenie bliskie błogostanu. Oto zdanie, które mógłby wygłosić Luter, nieprawdaż, Iwanie? Znasz jego wskazówki higieniczne? Marcin Luter stał się bardzo rozważny po tym, jak porzucił celibat. Na przykład: „Dwa razy na tydzień nie zaszkodzi ani Bogu, ani chrześcijaninowi”. Nieźle wydumane, co? Sądzę, że dla młodzieńca takiego jak ty czy dla zdrowej dziewczyny, jak ta twoja kelnereczka, dwa razy to stanowczo za mało. Zalecałbym wam pieprzyć się co najmniej cztery albo pięć razy na tydzień. Nie da się zaprzeczyć, ta cysterska mniszka Katarzyna von Bora dokonała cudów dla mentalnego zdrowia biednego Marcina. Zawsze wiedziałem, że zakonnice mogą być doskonałymi małżonkami. To ich marzenie, Iwanie, marzenie płonące za welonem wstydu, nie licząc pokory i pragnienia służenia Panu. Mój mały, powinienes wziąć przykład z tej lekcji i częściej przebywać w kobiecym towarzystwie. To łagodzi obyczaje. Twoja łazienka jest ascetyczna; nie ma w niej nawet sugestywnych czasopism. Mam taką teorię, że naturę lokatora można poznać oglądając jego łazienkę. Kobiety, jakiegokolwiek by były, ustawiają w nich mnóstwo przedmiotów przeznaczonych do pielęgnacji ciała i w ten sposób sprawiają, że miejsca te stają się tajemnicze i pełne uroku, nie uważasz? No więc co postanowiłeś?

- Znał pan Lutra?

- Uznaję, mój drogi, że twoje pytanie jest milczącą zgodą na moją Boską obecność w tym mieszkaniu. Nie zadaje się pytań szaleństwu ani tym bardziej biednemu szaleńcowi. Zatem czy można z tego wywnioskować, że godzisz się udzielić gościny swojemu stwórcy? Tak... Tak? No, podejmijże do cholery to ryzyko. Rozchmurz się i korzystaj z życia, mój mały!

- Zgoda, zgoda, przystaję na to. Będzie pan przychodził, kiedy mi to będzie odpowiadać, i nie będzie pan próbował nachodzić mnie gdzie indziej. Ale pod jednym warunkiem: odejdzie pan, jeśli tak postanowię.

- Co to, to nie! - wykrzyknął Lucjan. - Nie ma mowy, Iwanku. Jestem za bardzo zajęty. Zarezerwowałem dla ciebie najwyżej kilka dni, dłużej nie mogę z tobą zabawić. Jeśli chciałbyś, żebym odszedł wcześniej, jeśli twoje czułe serduszko nie będzie już mogło znieść tego, co mam ci do objawienia, wówczas zgoda. Odejdę. Ale niebezpieczeństwo, na jakie się narażam, składając tego rodzaju źle sformułowane obietnice, polega na tym, że być może musiałbym pozostać na twoich usługach dłużej, niż chcę. Wolę być ostrożny, zwłaszcza gdy chłopiec taki jak ty wypowiada tak nieprecyzyjną propozycję.

- Zgoda - rzekł uśmiechając się Iwan. - Nawet wolę, żeby teraz z kolei pan nie ufał mi do końca. W ten sposób każdy z nas zachowuje całkowitą wolność.

- Nie narażam się na żadne niebezpieczeństwo, Iwanie - odparł Lucjan. - Zależy mi jednak, żebyś wiedział, że nie jestem dobrym Bogiem. Nie zapominaj o tym. Jestem tym, co nazywasz Bogiem, ale nie do końca. Twoja koncepcja boskości jest zbyt ciasna, obrzydliwie ludzka. Zatem ustalmy: żadnej adoracji ani próśb. Chciałbym, żebyśmy się rozstali w dobrych stosunkach, jak koledzy, i żeby każdy poszedł w swoją stronę. Uwierz mi, mam powody, by być nieufnym. W ciągu wieczności przeżyłem mnóstwo złych doświadczeń. Oto dlaczego wspomniałem przed chwilą o Lutrze. Kiedy po raz pierwszy złożyłem mu wizytę, był zachwycony, bardzo podekscytowany i sprawiał wrażenie prawdziwego chłopca z jajami, piwosza gotowego wyrzucić wszystko do góry nogami, niemal gotowego oddać się rozpuście. Potem, kiedy ujawniłem swoją grę, natychmiast zmienił się w mistyka skrzyżowanego z przebiegłym politykiem. Oskarżył mnie, że jestem diabłem, i zbombardował kałamarzem i kapciami. Okazał się niereformowalny!

- Dlaczego?

- Był zawiedziony, nadąsany, zły na moją grę. Chciał wszystko przerobić na swoje

kopyto, wymyślić wszystko na nowo, żebym się upodobił do Jehowy, tej nędznej imitacji Boga, żebym wszystkich pokarał, cały świat wysadził w powietrze, a wybranych skazał na niezdrowy ascetyzm. Miał wielką ochotę na cierpienie, ot co! Nie było w nim żadnej umiejętności działania zespołowego czy zmysłu ludycznego! Typowa kutwa! Żeby naprawić swój błąd, musiałem wsadzić mu do łóżka siostrę Katarzynę i skazać go na szczęście małżeńskie. Rezultatem jest, jak sam dobrze wiesz, to coś trudnego do określenia, co nosi nazwę jego dzieł wszystkich w czterdziestu pięciu tomach. Najpierw myśli faszystowskie podszyte ascezą i mizantropią, a całość podlana sosem zdrowej chłopskiej mądrości rodem z tawerny, której frywolność ociera się często o kwestie eschatologiczne. Prawdziwy groch z kapustą. Toteż stałem się nieufny...

- A jak z kobietami? - spytał rozbawiony Iwan. - Jak one reagują?

- To zależy od kontekstu, od gry, którą aktualnie prowadzę, od szczegółów rozgrywanej partii, od wielu czynników. Z reguły są mniej łatwowierne, bardziej przyziemne, ponieważ są mniej fanatyczne od mężczyzn. Ich prośby są również bardziej konkretne, interesowne: pieniądze i biżuteria, chcą poznać przyszłość, żądają cudów, niemożliwych orgazmów, wszystkiego, co pospolite. Dąsają się, mdleją, grożą, że wszystko rozpowiedzą publicznie, wymagają rzeczy, których nie mogę zrobić...

- Których pan n i e m o ż e ?

- No dobrze, których nie chcę. Już ci mówiłem, nie jestem gotowy wywrócić wszystko do góry nogami, byleby tylko przypodobać się jakiemuś stworzeniu. Moja gra to wytwór umysłu, to cudowna fikcja, natomiast wy, ludzie, trwacie przy swoich wyobrażeniach nieba i piekła. Są też takie panie, co szaleńczo zakochują się we mnie lub w mojej mocy i stają się zazdrosne, a potem albo odnajdują we mnie mnóstwo przywar, jak Luter, albo oskarżają mnie, że zmarnowałem im życie. To prawdziwa męka! Czasem myślałem sobie, że bardziej niż mnie potrzebują diabła. Albo bogini. Żeby się wyżyć, ile wlezie!

- A dlaczego nie?

- No bo Bóg nie ma płci! Jestem graczem aseksualnym, ale przede wszystkim graczem. Moje reakcje mogą czasem przypominać złość, frustrację, chęć podwojenia stawki, z tym że są to cechy czysto spekulatywne, bo w tej grze nie ma nic do wygrania. Przyjemność przychodzi z porywu chwili, z oczekiwania na przebieg i wynik gry, na to, co przyjdzie później, i z kontynuacji gry. Nie mogę więc zadowolić ludzi pragnących zysków, a historia ludzkości doprowadziła niestety do wytworzenia się u wielu ludzi - zwłaszcza kobiet - żądzy zysków

materialnych, ale również żądy chwały i władzy. Z powodu swojej niskiej pozycji społecznej kobiety są często mniej skłonne do hazardu, gdy w grę wchodzi prawdziwe wyzwanie. Są zdolne do fantazji, lecz niezbyt lubią długoterminowe ryzyko egzystencjalne. Zresztą nie, co ja mówię, są też takie, które zaprzeczają temu twierdzeniu i gdy mam szczęście na taką trafić, z przyjemnością objawiam się jej w postaci męskiej. Bywa i tak, i tak. Najprzyjemniej jest, gdy wcielam się w kobietę uwielbiającą ryzyko, żeby wstrząsnąć mężczyznami. Rezultaty bywają zupełnie nieoczekiwane! Wiesz, Iwanie, między nami mówiąc, wasze rozróżnienie na kobiety i mężczyzn jest tym, co uważam za najplodniejszą regułę mojej gry. To najgenialniejszy wynalazek, ten podział na płci, tym bardziej że nie ogranicza się do dwóch tożsamości seksualnych; powiedziałbym, że jest ich co najmniej pięć, nie licząc całej gamy niezliczonych pośrednich perwersji. Gdy moja gra zaczyna robić się nudna, ta mała, zda się nic nieznacząca różnica na nowo nakręca zabawę, i to za każdym razem w sposób śmieszny lub rozczulający, a często również gwałtowny i skandaliczny. Fakt, że z mojego punktu widzenia, który ogarnia wszystko, gdy spojrzeć na grę w całej jej rozciągłości, te historie miłosne i łóżkowe powtarzają się do znudzenia, ale ponieważ każde pokolenie wydaje się zapominać wszystkich nauk płynących z tego aspektu życia, bez końca zaczyna się to na nowo. Rad jestem, że dostarczyłem wam tej małej przyjemności podszytej załączkiem niezgody, jakim jest płciowość. To wyzwala w was tyle energii... Dziwne, nieprawdaż, do jakiego stopnia tak niewielki wynalazek może okazać się ważny? Na początku nie przywiązywałem do niego znaczenia. U innych zwierząt nie wywołało to równie interesujących skutków. Zdziwiający! Pozornie to tylko nieistotny fragment ciała, który staje się albo prąciem, albo pochwą, ale w rzeczywistości są to dwa radykalnie przeciwstawne światy, wzajemnie dla siebie niedostępne, przyciągające się i odpychające, żeby potem pożądać się jeszcze bardziej. Dwa odrębne sposoby myślenia, życia, pragnienia, a przecież żaden z nich nie może obejść się bez drugiego. Toteż kiedy pomnożysz to przez pięć... Arcyspytne posunięcie z mojej strony. Jeśli chodzi o potencjał ludyczności, tylko śmierć może przebić regułę miłości.

- Śmierć?

- Tak, Iwanie, śmierć. To najpiękniejsze, co stworzyłem. Ale nie przyspieszajmy. Robi się późno, czuję się trochę zmęczony. Sen również stanowi źródło przyjemności, a mnie zależy, żeby dobrze rozegrać partię, którą z tobą rozpocząłem. Więc mogę skorzystać z kanapy w salonie? Zachowuj się tak, jakby mnie tu nie było. Widziałem już niejedno i nigdy nie wydaję sądów.

Zatem do następnego wieczora. Nie czekaj na mnie w ciągu dnia, zgoda?

- Co ma pan zamiar robić w ciągu dnia?

- Niezbadane są plany Boskie, mój mały przyjacielu. Uwielbiam partie symultaniczne.

- Ależ, jeśli będzie pan mieszkał u mnie... - zaniepokoił się Iwan.

- Nie przejmuj się! Obiecuję, że nie zrobię nic, co mogłoby cię skompromitować. Po prostu zostawię tu swoją walizkę jak w przechowalni. No, siusiu, paciorek i spać, doktoru teologii pieprzący się z kelnerczkami... Słuchaj, ta twoja Sonia nie znalazłaby dla mnie jakiejś koleżanki? Albo co byś powiedział, gdybyśmy tak zaprosili twoją sąsiadkę z górnego piętra, tę o obfitych kształtach, która wprawia cię w zakłopotanie, ilekroć na ciebie spojrzy? Izabella, jeśli się nie mylę. A gdybyśmy tak któregoś wieczoru urządzili sobie małą imprezkę, żeby się odprężyć i na chwilę zapomnieć o metafizyce? Pomyśl o tym! Dobrej nocy, Iwanie. Pan Bóg będzie czuwał nad twoim snem.

Spałem jak kamień i obudziłem się dopiero około dziesiątej rano. Słońce przenikało przez szczeliny w storach i rozweselało mój pokój, przesycając go przyjemnym wrażeniem spokoju. Nagle opadły mnie wspomnienia dnia poprzedniego i jednym susem znalazłem się w salonie. Nikogo. Mieszkanie było puste, nieznajomy zniknął, ale samowar tronował na środku stołu jak oskarżenie. Gdy go dotknąłem, letniość wody utwierdziła mnie w przekonaniu, że to nie był sen. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz, kuchnia posprzątana, a w koszu na śmieci spoczywały obok siebie opakowanie po chińskim daniu pochodzącym z pobliskiej restauracji i pusta butelka po Cutty Sark. Pod poduszką spoczywał nóż sprężynowy, który przezornie położyłem tam, kładąc się spać. W kącie stała zwykła kartonowa walizka, coś mi niejasno przypominająca, ciężka i zamknięta na klucz. Hm - pomyślałem - mój gość pozostawiał na mnie pułapki...

Moje wspomnienia przypominały zwykły sen. Nie czułem strachu, byłem raczej zakłopotany, wahając się pomiędzy absurdalnością sytuacji a jej aspektami komicznymi. Nie mogłem także wyjść z podziwu nad łatwością, z jaką przystałem na obecność tego człowieka w moim mieszkaniu, nawet na cud materializujących się podarunków. Zastosował jakąś sztuczkę, żeby odwrócić moją uwagę, dając mi przy tym przyjemność dyskusowania ze sobą. Jednakże wątpliwości mimo wszystko pozostały. Przecież mogłem bez niczyjej pomocy pogрузić się w majakach po tym, jak własnym sumptem sprokurowałem samowar i scyzoryk, bez wątpienia także ja sam zamówiłem do domu chińszczyznę, a wcześniej jeszcze znalazłem gdzieś walizkę. Koniec końców nieznajomy nie powiedział mi niczego, czego bym nie wiedział, ba, większość tego, co powiedział, błąkała mi się po głowie pod postacią fantazji. Niemniej tej hipotezie

przeżyło, że nie czuję się jak obłąkaniec budzący się po napadzie szaleństwa, strwożony i oszołomiony, zlany potem koszmaru. Nie, sceny dnia poprzedniego jawiły mi się jako wspomnienia odległe wprawdzie, lecz dosyć wyraźne i całkiem przyjemne. Postaci Lucjana nie odbierałem jako antypatycznej pomimo przejawów grubiaństwa i aroganckiej bezceremonialności, być może dlatego że jego poglądy zbieżne były z moimi. Czy zatem był moim idealnym alter ego? Dopełnieniem, którego pragnąłem, żeby sobie zrekompensować naturalną nieśmiałość? Niczego nie mogłem wykluczyć. Zwłaszcza że nie dało się zaprzeczyć realności jego cielesnej obecności. Nie mogłem temu przeciwstawić żadnego logicznego argumentu. Lucjan jak najbardziej złożył mi wizytę. Ale w jakim celu, skoro rzeczywiście dysponował wszechmocą? Ta ostatnia kwestia irytowała mnie szczególnie, gdyż w sposób nieodwołalny zakładała istnienie ducha wyższego rzędu - cóż za różnica Boga czy diabła - obdarzonego konkretnym istnieniem wykraczającym poza język, mity i mentalne możliwości istoty ludzkiej. W przeszłości rzecz jasna wierzyłem w Boga, ale nawet wówczas nie wierzyłem w niego w taki właśnie sposób. Lucjan wydawał mi się być amalgamatem Boga z katechizmu i Giovanniego Casanovy takiego, jakim on sam opisuje się w swych pamiętnikach, a wszystko to podlane współczesnym sosem na poły nihilistycznym, na poły godnym impresaria popularnej piosenkarki. Jego erudycja mogła być czystym złudzeniem, jako że zachowywał przewagę, cały czas sterując biegiem konwersacji. Ta gadanina stanowiła w większym stopniu retoryczną sztuczkę niż dowód na wyższość intelektualną. Jakże mi to odgadnąć, skoro okazał się skądinąd tak zniewalający? Czyżbym zatem sam siebie oczarował? Bardzo dobrze pamiętałem o swoim narastającym w trakcie pisania doktoratu poczuciu wszechmocy, o swojej własnej arogancji wobec kolegów z uniwersytetu, o pogardzie dla przeciętności umysłowej profesorów. Bez wątpienia miałem skłonność do przerostów miłości własnej. Przypominałem sobie także łatwość, z jaką w chwilach odprężenia pogrążałem się w fantastycznych marzeniach. Były to wprawdzie niewinne zabawy mające na celu nabranie pewności siebie i zebranie sił do kontynuowania pracy, był to wreszcie sposób na pozbycie się drobnych zadr na mojej duszy. Jednakże nigdy nie przenosiłem wyobrażeń na rzeczywistość, więc owe umysłowe rozrywki nie tylko nie niosły zagrożenia, ale wręcz przynosiły mi ulgę. Czyż ironiczna pobłażliwość, jaką wówczas odczuwałem wobec samego siebie, nie była wystarczającym dowodem mego zdrowia psychicznego?

Jak zatem zrozumieć to, co przydarzyło mi się poprzedniego dnia?

O dziwo, wszystkie te myśli znikły same z siebie, jakby nie zawierały wystarczająco afektywnego ładunku, aby zawłaszczyć mój umysł. Prawie jakby mnie nie dotyczyły. Po śniadaniu powziąłem niezwykłą i śmieszłą decyzję, która w owej chwili wydawała mi się niesłychanie mądra: po prostu zawiesić wszelki osąd i nie myśleć o całej sprawie aż do powrotu Lucjana. Co też uczyniłem bez najmniejszego wysiłku wbrew swej niespokojnej naturze. Zastanawiam się dzisiaj, czy czar, który popchnął mnie wówczas do postępowania w ten właśnie sposób, nie był tego samego rodzaju jak ten, którym On opętuje wszystkie swoje stworzenia, aby radowały się jego wielkopańską rozrywką.

Następnie opuściłem mieszkanie w optymistycznym nastroju, aby dowiedzieć się czegoś o Soni. Ta dziewczyna - byłem o tym przekonany - to idealne lekarstwo, pewność kontaktu z rzeczywistością, którego potrzebowałem, by przezwyciężyć moje zagubienie. Czuję się znów odważniejszy, ogarniał mnie rodzaj beztróski i pod wpływem pięknej słonecznej pogody gotów byłem entuzjastycznie ją powitać. Prawda, że wiele o niej myślałem już przedtem i że zanim jeszcze spotkałem Lucjana, wyrzucałem sobie, iż nie zadałem sobie trudu, by ją lepiej poznać. Zapewne to rozczarowanie poprzedniego dnia sprawiło, że rozmyślałem o niej, obawiając się, że już nigdy się z nią nie zobaczę.

Właścicielka baru „Pod Łajbą” zajęta była nakrywaniem stołów do obiadu i nie mogła mi poświęcić wiele uwagi. W każdym razie sądziła, że Sonia niedługo wróci, być może nawet jeszcze dzisiaj, ale twierdziła, że nie ma pojęcia, jak się z nią skontaktować. Powiedziała, że jeśli sobie tego życzę, mogę jej zostawić wiadomość albo powrócić wieczorem. Ja jednak wołałem na nią poczekać, licząc, że niespodzianka, jaką jej zrobię, pozwoli mi lepiej ocenić, co dziewczyna do mnie czuje.

Wychodząc z baru, zabrałem kapelusz niewinnie zwisający z uchwytu wieszaka.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Tiago oczekiwał mnie w swoim mieszkaniu, gotów na podyktowanie mi dalszego ciągu swoich zwierzeń. On również wydawał się w lepszym nastroju, był ogolony, uczesany i gdy wszedłem, przeglądał stos gazet, które właśnie otrzymał ze swojego kraju.

Na ogół najświeższe wiadomości o dyktaturze wprawiały go w nastrój ponury albo wręcz agresywny, ale fakt, że otrzymał z poczty tak wielką paczkę, sprawił, że cieszył się jak dziecko. Ktoś w jego ojczyźnie jeszcze o nim pamiętał, to było najważniejsze, nawet jeśli przesyłka pochodziła od związku wyznaniowego, z którym był niegdyś związany. Tiago żył w tak wielkim

odosobnieniu, że zwykła paczka stanowiła dla niego prawdziwy ewenement.

Nasze spotkania odbywały się zawsze u niego, ale tego dnia nalegałem, żebyśmy wyszli napić się piwa albo nawet coś zjeść, bowiem przygnębiający nastrój jego zapuszczonego mieszkania za bardzo kontrastował z pięknem dnia. Z mojej strony nie było to całkiem bezinteresowne: spodziewałem się, że Sonia wróci do baru po południu, a ja dzięki obecności Tiaga nie będę sprawiał wrażenia, że niecierpliwie jej wyczekuję. Nawiązać z nią kontakt byłoby w ten sposób łatwiej, bardziej naturalnie. Poza tym Tiago niewiele wychodził i w towarzystwie innych ludzi był bardziej dyskretny, mniej wylewny. Tego dnia nie miałem ochoty się koncentrować; czułem się bardzo lekki i radosny.

Ten stan umysłu zdawał się odpowiadać mojemu kompanowi. Niebawem zaczął mi opowiadać banały o ludziach, którzy przysłali gazety. Rzadko zdarzało się, by przywoływał w naszych rozmowach jakiś epizod ze swojego życia niezwiązany z przeżyciami więziennymi: poruszenie wywołane nowiną o amnestii zaczynało prawdopodobnie opadać.

Tiago zgodził się nawet zjeść omlet i większą część popołudnia spędziliśmy gawędząc. Sonia nie pojawiła się, ale skoro już tam byłem, równie dobrze mogłem wysłuchiwać religijnych wynurzeń mojego rozmówcy. Kiedy rozmowy toczyły się u niego, miałem zwyczaj kontrolować mistyczne uniesienia Tiaga precyzyjnymi pytaniami zmierzającymi do zmiany jego toku myślenia. Tego dnia po raz pierwszy uświadomiłem sobie ogrom wysiłku, jakiego dokonał od czasu zwolnienia z więzienia, żeby nadać moralny sens swojemu upokorzeniu. Nie był komunistą, lecz członkiem lewicowej organizacji katolickiej współpracującej z robotniczymi związkami zawodowymi. Wedle tego co sam mówił, jego wiara była raczej pretekstem do zaangażowania się w działalność polityczną, do pracy z towarzyszami. Potem, po doświadczeniu tortur, fizycznie złamany i moralnie upodlony, skonstruował sobie system bardzo osobistych relacji z Bogiem, z którego wykluczył zarówno wspólnotowe działanie, jak i praktyczną przynależność do Kościoła. Był sam wobec swego przeznaczenia, zatem samotny wobec Boga bardziej osobistego, bardziej Kierkegaardowskiego niż katolickiego, ale z którym - jak wierzył - utrzymywał uprzywilejowane stosunki.

Gdy zapadła wczesna noc, mój radosny nastrój stopniał. Byłem zawiedziony, że Sonia nie przyszła. Jednym uchem wysłuchując swojego towarzysza, rozmyślałem, że prawdopodobnie już jej nie zobaczę, że być może znalazła sobie innego przyjaciela, mniej naburmuszonego i miłszego niż ja. Zapewne to te melancholijne myśli wywołały we mnie chęć wstrząśnięcia nabożnymi

pewnikami Tiaga. Zrobiłem to nie otwarcie, lecz poprzez pytania o odpowiedzialność moralną tego Boga, na którym tak bardzo mu zależało. Nie było to trudne, bowiem on sam ściśle odgraniczał doświadczenie cierpienia doznanego podczas tortur od osoby boskiej, do której zwracał się nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Przypomniałem mu więc zrećnie to, co mówił mi o samotności w cierpieniu, o rozpacz i o pyszałkowatości swojego oprawcy.

Jak każdy człowiek, który zbudował system, żeby się w nim schronić - w końcu i ja sam coś niecoś o tym wiedziałem - pomimo swej naturalnej skłonności do rezerwy Tiago nie potrafił podać tego systemu w wątpliwość i nie przestawał bronić jego wewnętrznej spójności bez względu na semantyczne niekoherencje. Przekonany jestem, że z mojej strony nie była to wyłącznie przewrotna gra, lecz kolejna próba przywrócenia tego człowieka do życia, zachęta do stawienia czoła sytuacji, w jakiej się znalazł. To dlatego nie zawahałem się mu powiedzieć, że jego ucieczka w mistycyzm wydaje mi się ucieczką w śmierć, a zarazem akceptacją niesprawiedliwości świata. Pytania te adresowałem także w pewnym sensie do siebie i jeżeli tego dnia przesadziłem, stało się tak, bo nie mogłem zapomnieć o Lucjanie. Gdy już poznałem poglądy Tiaga, łatwo mi było je zbić, tym bardziej że podzielał większość moich obiekcji, kiedy sprawa dotyczyła ucisku i niesprawiedliwości społecznej.

Kontynuowaliśmy dyskusję u niego aż do późnej nocy. Przypominam sobie dobrze niektóre z jego słów, ponieważ były odbiciem tego, co ja sam mówiłem w odpowiedzi na zadane przezeń pytania dotyczące religii. Dzisiaj mogę zrozumieć jego sposób myślenia i powód, dla którego utkał swój system z pojęć na pierwszy rzut oka niezbornych. Wtedy na gorąco pomyślałem po prostu, że wszystko zrozumiał na opak i że nie mając wprawy w dyskusjach filozoficznych ugrzązł w błędach z powodu ignorancji. Oto dlaczego postanowiłem pomóc mu zrozumieć.

- Pamiętasz, Iwanie, co na początku naszych spotkań powiedziałeś mi o drodze negatywnej? - spytał. - Popatrz, przyniosłem swoje notatki. Mówiłeś o teologii apofatycznej, o pogardzie dla rozumu w Kościele prawosławnym, zastępowanym tam bezgraniczną, czysto afektywną wiarą. Zacytowałeś mi wówczas tego szwajcarskiego myśliciela Zwingliego, że człowiek równie mało wie o naturze Boga, co karaluch o naturze człowieka. Przypominasz sobie? Zgodna, to był tylko jeden z wielu przykładów, jakie zaproponowałeś, by zobrazować człowieczą rozpacz. Ale ja dużo na ten temat rozmyślałem i wyciągnąłem z tego korzyści. Dziękuję ci. Bardziej niż wszystko inne, ta wizja pozwoliła mi lepiej żyć, pozwoliła mi żyć dalej.

Bóg nie odpowiada, ale istnieje. Istnieje jako świadek naszej intencji, naszych uczuć. Ta obecność świadka jest bardzo pocieszająca: jeśli wytrwamy, On musi w końcu zaspokoić nasze pragnienie. Jeśli wziąć pod uwagę intensywność pragnienia mistyków, musieli być ludźmi całkowicie zaspokojonymi.

Nie ma co ukrywać, byłem zbulwersowany. Podkreślam, że Tiago to człowiek dobry i bezbronny. Pomimo swej urazy chciał przede wszystkim przebaczyć, dać bliźniemu szansę rozpoczęcia życia na nowo. Jego złość na amnestię brała się stąd, że unicestwiała ona samą substancję przewiny, a przez to również przebaczenia. I oto usiłował uzyskać to samo wybaczenie pod postacią uznania w milczącej wyrozumiałości nieobecnego Boga. To przede wszystkim zapamiętał z naszych długich rozmów. Jak zatem pomóc mu się z tego wydobyć?

- Wyznaję ci, że nie udaje mi się jeszcze całkowicie wyzbyć swojego ja, żeby stać się wyłącznie świadectwem, ale pracuję nad tym - ciągnął. - Mówię sobie, że dobrze byłoby, gdybym mógł poświęcić się temu ze wszystkich sił. Co o tym sądzisz? - zapytał z uśmiechem.

- Nie sądzę, Tiago, by chodziło o drogę dostępną człowiekowi, ani zresztą o drogę szlachetną - odparłem wreszcie, zdecydowany zminimalizować skutki swojej hipokryzji. - Należałoby najpierw uzyskać pewność, że Bóg istnieje, że nie jest wyłącznie iluzją stworzoną w odpowiedzi na naszą nieszczęsną dolę. Życie wydaje mi się ważniejsze niż indywidualna wiara. Wszak to w życiu rozwiązuje się konflikty, opatruje rany, reaguje na zniewagi, jakie nam wyrządzono. Ty sam działałeś tak właśnie, angażując się w walkę społeczną.

- A kiedy ma się związane ręce i amputowane życie, jak ja? - zapytał wyraźnie poruszony.

W ciągu długiej ciszy, która nastąpiła, omiotłem wzrokiem nagie ściany jego kawalerki, nie pasujące do siebie meble, które ofiarowała mu Armia Zbawienia, i raz jeszcze stwierdziłem istnienie dziwnego kontrastu pomiędzy tym zaniedbanym wnętrzem mieszkania i powierzchownością Tiaga a niebywałą czystością panującą w tym pomieszczeniu. Sądzę, że regularnie szorował drewnianą podłogę, zapewne klęcząc koło wiadra z wodą. Jego podniszczona łazienka i maleńka kuchnia również były nieskazitelne i bezustannie pachniały środkami czystości. Jak bardzo musiał cierpieć, kucając na śliskim betonie nad cuchnącą latryną i jedząc z lepkich od brudu menażek! Aseptyczność tego mieszkania była z pewnością walką, którą wytaczał odrażającym wspomnieniom. Niestosowne wydawało mi się, że troszczy się tylko o przestrzeń, nie zaś o swoją osobę lub o życie, ale i tak uważałem to za wzruszające.

- Sądzę, że okłamujesz sam siebie, Tiago - udało mi się wreszcie wykrztusić. - Wybacz

mi szczerosc i spróbuj to przemyśleć. Twoja uporczywa wiara w dobrego Boga graniczy z obsesją. Ten Bóg, który ci pomógł, gdy cierpiałeś, jest tylko owocem twojej szalonej wyobraźni. Taki Bóg nie istnieje, jest tylko życie takie, jakie jest. Twoje cierpienie nigdzie nie wywołało echa. Dużo już o tym dyskutowaliśmy, wiesz o tym dobrze. Nie mogę za tobą podążać tą drogą, ponieważ nie wierzę w takiego Boga jak ty.

- Nie wierzysz? - zapytał bez zdziwienia, zabrzmiało to jak stwierdzenie.

- Nie, Tiago, i szczerze ci to wyznaję. Ale mam swoje własne powody, żeby nie wierzyć. Wierzę w codzienne życie, chociaż czasem wydaję się zagubiony w abstrakcyjnym świecie. Teoretyzowanie to tylko mój sposób na rozerwanie się; jak można podejrzewać, to wpływ studiów teologicznych. Jednakże kiedy cię słucham, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że poddajesz się zbyt pośpiesznie.

- Naprawdę, Iwanie? Przecież...

- Popatrz: ktoś, kto nie ma już najmniejszej nadziei, popełnia samobójstwo, a nie próbuje skontaktować się z Bogiem. Ty wytrwałeś. To dowód na siłę witalną. Dlaczego więc jej nie użyć?

- Moja uraza jest zbyt głęboka, Iwanie. Na próżno usiłowałbym się zemścić - wyznał wzdychając.

- A na przykład czy gazety, które dostałeś, nie sprawiły ci przyjemności? Mówiłeś mi o ludziach, którzy ci je wysłali... Niektórzy spośród nich ciągle walczą i przyjęliby cię jak przyjaciela, czyż nie?

- Nie wiem... - odparł zamyślony. - Nie sądzę. Łatwo ci o tym mówić. Myślę, że tego, co tam przeżyłem, nie da się przekazać słowami innym ludziom. Widzisz, świat taki, jakim mi się jawi, jest brzydki. Mój oprawca zniszczył we mnie zdolność do zachwytu, pozostawiając mi głuchą wściekłość, poczucie niemocy i to ciało, które do niczego już się nie nada.

- Zemsta, Tiago, jest również uczuciem szlachetnym - podjąłem podstępnie. - Stanowi część ziemskiej walki człowieka choćby po to, żeby zapobiec innym zbrodniom. Osobista przyjemność, jaką możemy z niej uzyskać, nie niweczy jej wartości społecznej. Poza tym nic nie zmusza cię do osobistej zemsty dokonanej na konkretnej jednostce, chociaż nie ma w tym nic niemoralnego. Możesz dać świadectwo przed twoimi bliźnimi, nie ograniczając się do roli świadka wobec hipotetycznego Boga. Bezustannie zajmujesz się obrazem pułkownika Figueiredo, a zaniedbujesz wizerunek Tiaga Cruza. Jakim prawem?

- Jakim prawem?... Właśnie, Iwanie, jakim prawem? Czy pielęgnuję go aż tak bardzo? To widać? Ja nie zdaję sobie z tego nawet sprawy. Wynika to prawdopodobnie z chęci zachowania go żywego w mojej pamięci, tak jak on troszczył się o mnie po każdym seansie tortur, żebym nie umarł. To zbliża, wiesz?

W tamtej chwili nie mogłem docenić uniwersalnego charakteru tej prawdy, ale pamiętam, że silne wrażenie wywarł na mnie jego tajemniczy uśmiech i okrutny błysk, który jak mi się wydaje, zauważyłem w jego oku.

- Istotnie pielęgnuję jego obraz - wyrzekł po chwili ciszy. - Poleruję go jak skarb, zależy mi na nim. Pragnął mojej śmierci, a ja mu oto wybaczam; codziennie, w każdej odchodzącej w przeszłość minucie wyrażam mu w myśli całą pogardę, którą czuję dla tego, co zrobił, jakim był. Jestem jego sumieniem, Iwanie. Muszą istnieć także inni ludzie jak ja noszący świadectwo swojego nieszczęścia. Bóg nie może pozostać niewrażliwy na tę wściekłość.

- Tiago, posłuchaj mnie. Chciałbyś, żeby Bóg go ukarał? Dlaczego zatem nie dopomożesz Boskiemu gniewowi i nie ukarzesz Figueireda sam albo dlaczego oskarżając go publicznie, nie doprowadzisz do tego, że wszyscy nim wzgardzą? Przyniosłoby ci to ulgę i na powrót poczułbyś się dobrze między ludźmi.

- Mylisz się co do mnie - odparł spokojnie Tiago. - Nie chcę go karać. Chcę, żeby się pokajał, żeby uznał swoje przewiny, żeby się zmienił, żeby stał się dobry. Tylko Bóg ma taką władzę, dlatego więc noszę swoje świadectwo po swojemu, milcząco.

- Mój drogi, jak możesz być pewny, że Bóg istnieje? A jeśli, założmy, Bóg nie istnieje, wówczas zbrodnia tego człowieka pozostanie bezkarna, a on nie będzie jej nawet świadom. Po nim inni jemu podobni także będą działali bezkarnie, bo ty, Tiago Cruz, pozostawiasz rozstrzygnięcie swoich problemów metafizycznym hipotezom, zamiast wywiązać się ze swej człowieczej powinności. I bardzo proszę, nie patrz na mnie takim wzrokiem, kiedy mówię ci o zemście. Zemsta jest odruchem ludzkim, pozwala nam odzyskać naszą ludzką zdeptaną godność, nawet jeśli gest jest spóźniony. We właściwej chwili nie miałeś żadnej możliwości obrony. Ale liczy się intencja, decyzja, by wreszcie zmyć hańbę upokorzenia.

Kiedy tak perorowałem, na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiego smutku graniczącego z odrazą. Wyjaśnił mi coś zdumiewającego:

- Wiem, Iwanie, że nie wierzysz w Boga. Wiedziałem o tym od początku naszej przyjaźni. Ja również nie wierzę. To znaczy, od dawna usiłuję w Niego uwierzyć, żeby odnaleźć

sens istnienia, ale On nie odpowiada. Być może wbrew tobie, ale to właśnie wiary u ciebie szukałem. Albo sposobu na dotarcie do niej. Bardzo lubiłem twoje wypowiedzi na temat religii, gdyż pozwalały mi sformułować moje własne myśli. Wiesz, dawniej mówiłem, że wierzę, ale robiłem to z przyzwyczajenia, moja wiara była zwykłym złudzeniem. Myślałem, że twoja wiedza zdoła mnie przekonać. Cóż, okazało się, że nie potrzebujesz wierzyć aż tak bardzo jak ja... Nie jestem jeszcze gotów do opuszczenia ramion jak ty, do wiary wyłącznie w ludzi. Postawiłoby mnie to w pozycji zbyt niewygodnej, rozumiesz, co mam na myśli? W tych gazetach rzeczywiście mówią o demokracji, o podjęciu walki społecznej, ale ja nie czuję się gotowy na tego rodzaju walkę. Być może utraciłem także zdolność kochania ludzi, nie czuję już w sobie chęci do zmieniania świata. Co do osobistej zemsty, tak, rozmyślałem nad nią bezustannie i nadal rozmyślam. Tyle tylko, że musiałbym go odnaleźć i wykrzesać z siebie siłę, żeby nienawidzić go jako jednostkę. Obawiam się niestety, że utraciłem również upodobanie do nienawiści. Wszystko wydaje mi się absurdalne. Czuję się więc jak w kleszczach. Ale nie myśl, Iwanie, że mi w niczym nie pomogłeś. Twój szacunek i uwaga były dla mnie bardzo cenne, a to, czego nauczyłeś mnie o religii, pozwoliło mi na przemyślenie pewnych spraw.

- Bardzo chciałbym wierzyć w Boga, Tiago, żeby w dalszym ciągu móc ci pomagać w znalezieniu swojej drogi... Spójrz na to tak: najważniejsze, że żyjesz, no i istnieją inne drogi. Wystarczy ich poszukać.

- Tak... To możliwe. Jesteś niezwykle dobry, że mi o tym mówisz. - Westchnął. - Czuję się zmęczony...

I zaraz potem zamknął się w jednej z tych długich chwil milczenia, które znałem tak dobrze, z nieobecny spojrzeniem jakby zwróconym w głąb siebie. Nasze rozmowy często kończyły się w ten sposób: jak gdyby Tiago odrywał się od rzeczywistości. Kontakt z nim urywał się wówczas, gdyż jego wypowiedzi stawały się nieskładne, a nawet zdarzało mu się przysnąć.

Zimno na zewnątrz pomogło mi otrząsnąć się z ogarniającej mnie melancholii. Pomyślałem sobie, że Tiago dochodzi do siebie po długim kryzysie i że dlatego cierpi. Bez wątpienia cierpienie to było konieczne, żeby powrócił do życia. Teraz nie miałem już prawa być w odniesieniu do niego hipokrytą, należało oczyścić jego umysł z religijnego szlamu, może nawet pomóc mu odzyskać zdolność odczuwania gniewu. Zresztą to całkowicie współgrało z planem książki, jaką miałem zamiar napisać na podstawie naszych spotkań. Nie był to wszakże jedyny powód, bym dalej kroczył wyznaczoną drogą, nawet jeśli zbieżność moich słów z

projektem książki mogła chwilami wyglądać na konflikt interesów, na rodzaj egoizmu. Ciągle jeszcze przekonany jestem, że walka to dla istoty ludzkiej wyłączna droga niezależnie od wszelkiego Boskiego objawienia i bez względu na formę, jaką by przybrało. Skupiając się wszakże na ideach, zapomniałem o człowieku, nie wziąłem pod uwagę jego osobowości, i tego nie przestanę sobie nigdy wyrzucać. Żadna abstrakcyjna idea, choćby uznać ją za najbardziej doskonałą, nigdy nie dorówna motywacji konkretnego człowieka.

W owej chwili byłem tylko teologiem, który zrzucił sutannę, zakochał się w nieznanej dziewczynie, a przede wszystkim nie wiedział jeszcze o tym wszystkim, co miał mu ujawnić Bóg. Moja pycha została mile polecthana, gdy spostrzegłem, że stwierdzenia Lucjana zgadzają się z moimi własnymi przemyśleniami. Czułem się wówczas tak dumny, że nędzna postać Tiaga Cruza wydawała mi się nic nieznacząca, jak niedoświadczonemu graczowi w szachy niegodny uwagi wydaje się zwykły pionek.

Przypadek sprawił, że szybko zapomniałem o dramacie mojego przyjaciela. Rzucając szybkie spojrzenie przez okno „Łajby” zauważyłem Sonię, która oparta o kontuar rozmawiała z kelnerką. Sprawiała wrażenie zadowolonej, więc postanowiłem do niej podejść.

Poprzednio wszystko stało się tak szybko, że ucieszyłem się teraz, gdy mi powiedziała, że też o mnie myślała. Zniechęcił ją okazywany przeze mnie dystans, moje wypełnione książkami mieszkanie i moje zbyt abstrakcyjne wypowiedzi. Sonia miała tylko dwadzieścia trzy lata i sądziła, że uważam ją za płochą i pospolitą. W rzeczywistości właśnie zakończyła swoją pierwszą sesję egzaminacyjną na uniwersytecie - ostatnie tygodnie poświęciła na przygotowanie się do egzaminów i zdawanie ich. Niemniej kilka razy przeszła pod moimi oknami w nadziei, że mnie napotka. Cóż ze mnie był za idiota, jakież dzikus!

Sonia była wesoła i jej młodzieńcza paplanina wypełniała mnie nowym wrażeniem, tak świeżym, że pod jego wpływem czułem się odmłodzony. Przypominam sobie, że noc niebawem utraciła swój melancholijny nastrój otwierając się na nas dwoje jak promenada. Obludzone chodniki, których z reguły nie cierpię, zamieniły się w pretekst do śmiechu i ślizgania się, tak że zacząłem się zastanawiać, gdzie schowałem łyżwy z czasów gimnazjalnych. Dlaczego nie mielibyśmy wybrać się razem na lodowisko, gdy zrobi się jeszcze zimniej?

Być zakochanym, bardziej jeszcze niż kochać jakąś konkretną osobę, to żyć owładniętym uczuciem, że kocha się świat i że świat nas kocha: przedmiot naszej miłości jest tylko wyzwalaczem tej afektywnej próżności. Mimo to jest to odczucie upojne, zwłaszcza dla takiego

samotnika jak ja, a jej ładna twarz stawała się nieodparcie piękna, gdy czuła się szczęśliwa i bezpieczna.

Tej nocy przeżyłem jedyne w swoim rodzaju doświadczenie: kochałem się z kobietą, którą kochałem. Wówczas oczywiście nie wiedziałem, że mam ją pokochać, że mam się zakochać w niej bez pamięci, że w jej ramionach mam doznać spełnienia. Byliśmy jeszcze w tym stanie zakłopotania, w jakim znajdują się zakochani, którzy właśnie się poznali i wciąż nie całkiem dowierając swemu szczęściu, zaczynają się nawzajem odkrywać. Jest to moment intensywnego doznawania wrażeń zmysłowych. Odwrotnie niż w czasie naszej pierwszej nocy, gdy każde z nas udawało brak zaangażowania, nasza druga noc wypełniona była prawie uroczystym napięciem. Sonia wiedziała, że nie rozbieram młodej nieznajomej kobiety, ale ją, po to, żeby posiadać ją, a nie żadną inną. Wiedząc, że jest nie ciałem, lecz osobą, oddawała się z rodzajem zawstydzenia, drżąc z oczekiwania. Żadne zahamowanie nie psuło mi przyjemności odkrywania jej, rozkosznego brania w posiadanie każdego fragmentu jej ciała. Zachęcona takim podejściem ofiarowywała się memu pragnieniu, ubiegając je swymi darami i czyniąc ze mnie więźnia własnej wirtuozerii.

Aż do rana nienasyceni przeplataliśmy czule pieszczoty gwałtownymi. Gdy się obudziliśmy, było już po południu. Nie byliśmy w stanie się rozłączyć. Obiad zjedliśmy razem w małej restauracji, poszliśmy na przechadzkę po ośnieżonym parku, po którym hasały wiewiórki, a z zapadnięciem zmroku wróciliśmy do niej, by spędzić następną miłosną noc.

Sonia mieszkała ze starszą od siebie koleżanką z uniwersytetu, która na szczęście wyjechała na zagraniczny staż. Jak mnie zapewniała, była to osoba bardzo sympatyczna i stateczna. Z pewnością będę miał okazję poznać ją w styczniu.

Nazajutrz zwierzywszy się sobie nawzajem ze swoich planów, bardzo czule rozstaliśmy się, obiecując sobie, że wkrótce zobaczymy się ponownie.

Uważała za dziwne, że mój doktorat był z teologii, i przyznaję, że po raz pierwszy ja również poczułem się prawie śmieszny, usiłując wyjaśnić jej przedmiot swej dawnej pasji. Zwierzyłem się jej mimo wszystko z moich marzeń o pisarstwie, powiedziałem o książce, którą przygotowywałem, i o snutych przeze mnie planach podróźniczych. Sonia studiowała pedagogikę. Nie była jeszcze zdecydowana na wybór specjalizacji, liczyła na to, że decyzję podejmie na dalszym etapie studiów. Mówiła, że tymczasem traktuje studia jak rozrywkę, prowadząc wolne życie w dużym mieście z dala od rodziców i dusznej małomiasteczkowej

atmosfery. Była dziewczyną prostą, zdrową i pełną życia; w moje życie wniosła tyle świeżego powietrza, ile trzeba było, żebym przebudził się na rzeczywistość.

To ciekawe, że najbardziej abstrakcyjne problemy stają się całkowicie namacalne, gdy tylko otwieramy się na konkrety egzystencji. Obecność Soni w moim życiu od początku naznaczona była kontrastem między jej prawie niewinną żywotnością a moim strachem, że mogę ją utracić. Zło, pojęcie dotąd czysto abstrakcyjne, którym zonglowałem w sposób nieodpowiedzialny, przybrało konkretną formę bardzo mało filozoficznej troski. Myślałem o niej swoim ciałem, co z kolei prowadziło mnie do odkrycia, że ja również istnieję w sposób cielesny, o czym od bardzo dawna nie myślałem. Zacząłem więc od czynienia niewielkich planów, zwykłych przewidywań, co będziemy robili na naszych kolejnych randkach, gdzie zaopatrywać się w smakołyki i wino; pytałem ją, jaka muzyka czy książki sprawiłyby jej przyjemność. Przyszło mi na myśl, żeby kupić kwiaty, i zdałem sobie sprawę, że nie mam wazonu. To z pewnością drobiazgi, ale były to dopiero początki mojego otwierania się.

Nie wiem, jak to się dokonało, być może za sprawą mojego nowego stanu umysłu, lecz tego samego dnia, gdy rozstałem się z Sonią, naszło mnie obrzydliwe wspomnienie, którego okrucieństwo dotarło do mnie wtedy po raz pierwszy. Gdy Tiago opowiedział mi ten niewątpliwie bulwersujący epizod swojego pobytu w więzieniu, uznałem go za jeden z wielu elementów perwersyjności jego oprawców i przypominam sobie, że odczułem pewien niesmak wobec nadmiernej emocjonalności opowiadającego. Naturalnie chodziło o czyn ohydny, ale w moich oczach intelektualisty epizodu tego nie dało się porównać z torturami i upokorzeniami, których miał później doświadczyć na własnej skórze. Dla niego jednak był to ból intensywnością i okropnością przewyższający cierpienia fizyczne. To co wcześniej jawiło mi się jako absolut, od pojawienia się w moim życiu Soni okazywało się tylko kwestią punktu widzenia.

Był już po kilku formalnych przesłuchaniach, podczas których krzyczano na niego i bito go po twarzy, ale nic więcej. Pułkownik Figueiredo pojawił się dopiero tydzień po jego aresztowaniu. Pewnego dnia Tiaga doprowadzono do sali zaopatrzonej w lustro bez podlewku, które pozwalało widzieć wszystko, co działo się w sąsiednim pomieszczeniu. W ciemności, przywiązany do swego krzesła, poznał wówczas swojego kata. Gdy czytam zapiski dotyczące tego epizodu, zaczynam nareszcie rozumieć, co musiał odczuwać tamtego dnia.

Pułkownik Figueiredo był oficerem piechoty morskiej. Silnie zbudowany i spokojny, miał

około pięćdziesiątki i wygląd pocziwego ojca rodziny. Nie podnosił głosu, ale widać było, że nawykł do rozkazywania. Najpierw wyjaśnił mi, że bardzo długo pobędę w więzieniu, i polecił, żebym się tym nie przejmował, bo pozostali na wolności znajomi z pewnością uważają mnie za zabitego. By tak rzec, byłem martwy. Tak czy inaczej moje przeżycie czy czas uwięzienia będą zależały od mojego zachowania, a nie od okoliczności zewnętrznych. W odpowiednim czasie zobaczy się, co ze mną zrobić, a on poinformuje mnie o tym, gdy uzna za stosowne. Następnie polecił mi uważnie obserwować, co stanie się w sąsiedniej sali za lustrem i uprzedził mnie, że przegroda jest dźwiękoszczelna. Na nic zda się więc krzyczeć; ci z drugiej strony lustra i tak mnie nie usłyszą. Ich głosy docierały natomiast do naszego pomieszczenia poprzez system mikrofonów i głośników. Tamci nie mogli mnie też zobaczyć; nie podejrzewali nawet, że żyję i ich obserwuję. Jak w kinie - dorzucił bardzo poważnie.

Wprowadzili zatem do sąsiedniej sali więźnia, którego znałem z widzenia. Jak sądziłem, był członkiem Partii Komunistycznej. Pokazali mu kilka zdjęć; natychmiast zidentyfikował osoby, które na nich widniały, i zaraz dodawał precyzyjne szczegóły dotyczące ich pracy dla związku zawodowego pracowników kolei. Zidentyfikował również mnie i określił jako anarchistę. Nie trwało to dłużej niż kwadrans. Donosiciel powiedział wszystko nie przymuszany w jakikolwiek sposób.

Drugi więzień, którego nie znałem, przyznał się do członkostwa w podziemnej organizacji i zachował się jak jego poprzednik. Gdy pokazano mu moje zdjęcie, powiedział, że mnie nie zna, lecz gdy wymieniono mu moje nazwisko, odparł, że wedle tego co słyszał, miałem być członkiem paramilitarnego oddziału szturmowego. Przyznał następnie, że prawdopodobnie byłem zamieszany w atak na koszary wojskowe. Według jego słów przeszedłem odpowiednie szkolenie do przeprowadzania tego typu akcji. Podobno w środowiskach lewicowych miałem opinię posłusznego wykonawcy, ale człowieka ideologicznie niestalego. Oznaczało to, że jestem niebezpiecznym terrorystą. I tym razem przesłuchanie nie trwało więcej niż kwadrans, a więzień złożył zeznania bez jakiegokolwiek przymusu.

W trzecim więźniu rozpoznałem towarzysza z mojej grupy typograficznej. Był wyraźnie pobity na ciele i złamany na duchu. Mówił o mnie w czasie przeszłym i nie wydawał się zaskoczony wzmianką, że zginąłem w zasadzce. Bez wątplenia dlatego, że uważał mnie za nieżyjącego, nie zawahał się zrzucić na mnie odpowiedzialności za rozmaite akcje podziemia, niektóre całkowicie bezsensowne.

- Sam widzisz, Tiago, już nie istniejesz - powiedział pułkownik Figueiredo, który siedział obok mnie i w czasie trwania tego spektaklu zachował milczenie. - Można by ciągnąć tę zabawę całymi dniami i ciągle słyszelibyśmy tę samą śpiewkę. Domyślałeś się, że tak będzie. Przecież wpadliśmy na twój trop po tym, jak zadenuncjował cię jeden z twoich towarzyszy. Spokój i porządek panują na obszarze całego kraju. My, siły zbrojne, zagwarantujemy ten stan rzeczy przez całe lata i potem nikt już nie będzie pamiętał o którymkolwiek z was. Po prostu przestaniecie istnieć. A teraz patrz uważnie, Tiago, to, co zobaczysz, nie zostało zaaranżowane, żeby cię zranić czy upokorzyć. Takie jest życie, kiedy nie przestaje się toczyć po śmierci. Im szybciej się o tym przekonasz, tym lepiej.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu do pokoju za lustrem weszła moja narzeczona w towarzystwie mężczyzny po cywilnemu. Ostatni raz widziałem ją zaledwie dwa tygodnie wcześniej, ale tej osoby, którą zobaczyłem, nie znałem. Była dobrze ubrana i starannie uczesana. Miała przy sobie torebkę, z pewnością więc jej nie uwięziono. Na początku przesłuchania onieśmielona, a nawet wystraszona odpowiadała na zadawane jej pytania z wahaniem, za każdym razem zapewniając o swojej niewinności. Tak czy inaczej nie należała do żadnej politycznej organizacji: po prostu studiowała farmację.

Znała człowieka, który zadawał jej pytania, i zwracała się do niego jak do adwokata, prosząc, by ją bronił przed oskarżeniami zawartymi w leżącej przed nim teczce. Zaprzeczała, jakoby łączyły nas jakiegokolwiek stosunki, wyjaśniając, że byłem prostym robotnikiem i że widywała mnie jedynie przelotnie na jakichś zebraniach studenckich.

Na początku jej zachowanie bardzo mnie uspokoiło i czułem dumę, patrząc na sprytną grę prowadzoną przez ukochaną kobietę, ale szybko wrażenie to rozwiła się, ustępując miejsca pełnej obrzydzenia zgrozie.

Od tego miejsca bardzo trudno streścić opowieść Tiaga, ponieważ pogrążył się w ostrym kryzysie emocjonalnym, w którym mieszały się złość, rozpacz, zazdrość i głęboki wstręt. Uniemożliwiało to jakąkolwiek formę spójnej narracji. Wykorzystując strzępy zdań, które zapamiętałem, i późniejsze zwierzenia Tiaga, zdołałem odtworzyć scenę, jaką ujrzał poprzez lustro. Młoda kobieta przystała na fizyczną bliskość przesłuchującego ją mężczyzny. Najpierw skrępowana, w miarę jak ten poczynął sobie coraz śmielej, stawała się coraz bardziej roznamiętniona. Potem ona przejęła inicjatywę pieszczot w sposób, który Tiago określił jako

kolejno gorliwy, namiętny i rozpustny. Przywiązany do swojego krzesła w drugiej sali stał się zatem świadkiem ich uścisków, nie mogąc oderwać oczu od tego świetlistego okna odsłaniającego mu ukochaną pod postacią samicy w rui, rozkochanej w samcu, który brał ją na stole do przesłuchań, i niewolniczo mu poddanej. Według Tiaga i tym razem nie było śladu przemocy; było to zbyt realistyczne, aby mówić o wyreżyserowanym przedstawieniu. Jak się wydaje, mężczyzna nie zamierzał posunąć się aż tak daleko i gdy było już po wszystkim, wydawał się nawet nieco zakłopotany zachowaniem wprost klejącej się do niego młodej kobiety. Ubrali się i narzeczona Tiaga poprosiła adwokata, żeby obiecał jej, że później spotykać się będą raczej u niej.

Właściwe przesłuchanie Tiaga rozpocznie się nazajutrz po tej scenie. Zbyt wzburzony tym, co zobaczył, nie mógł zapamiętać słów, które wypowiadał do niego w tamtej chwili pułkownik Figueiredo. Przypominał sobie jedynie, że w głosie oficera pobrzmiwał ton pocieszenia, że pułkownik mówił mu, żeby się nie martwić, bo często rzeczy mają się tak właśnie, i że prawdziwie wartościowi ludzie zawsze są zdradzani przez słabych. Tiago nigdy nie podał mi żadnych szczegółów na temat swojej narzeczonej, ani też nie wspominał, jakie były jej dalsze losy. Nie sądzę, żeby ją nadal nienawidził, ale przypuszczam, że zaprzestał prób porównania kobiety, którą kochał, z tą, którą zobaczył za lustrem. Przy rozmaitych okazjach dawał mi do zrozumienia, że ciągle kocha tamtą młodą kobietę, lecz miłością czysto nostalgiczną, jakby nie wydarzyło się nic od czasu ich ostatniego intymnego spotkania, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Często zastanawiałem się, w jaki sposób ludzki umysł jest w stanie oddzielić nie tylko uczucia i myśli, lecz również zdarzenia jak najbardziej realne, a w dodatku tak bardzo niespójne. Dotąd nie znalazłem odpowiedzi na to pytanie, a teraz sam zdolny jestem godzić podobne sprzeczności.

*

Kiedy wyszedłem od Soni, wiedziałem, że jestem zakochany, ale wspomnienie tej opowiedzianej przez Tiaga sceny obsesyjnie mnie prześladowało niczym potencjalne niebezpieczeństwo, które w każdej chwili mogło zagrozić mojemu szczęściu. Opanowało mnie więc coś w rodzaju wahania, prawie żalu za moim dotychczasowym samotnym i o ileż bardziej swobodnym życiem. Sonia ukazała mi się nagle jako ciężar, odpowiedzialność, której bałem się

podjąć z obawy przed niepowodzeniem czy utratą. W przeciwieństwie do sterylnej i pewnej świata idei i teorii ta nowa bujność miłości była wszechogarniająca, niepokojąca i niewymierna.

Na szczęście tego wieczoru Lucjan powrócił, żeby podzielić się swoją wiedzą, i udało mu się mnie uspokoić.

Na dźwięk pukania do drzwi pogrążony w marzeniach Iwan poderwał się, ale zanim wstał, żeby otworzyć, uśmiechnięty Lucjan był już pośrodku salonu, zadowolony z efektu zaskoczenia. W rękach trzymał dużą butelkę szkockiej i słoik z korniszonami.

- Czołem, zakochany teologu - odezwał się radośnie. - Mówiłem ci, Iwanie, że lepiej byłoby dać mi klucze. Jeśli twoi sąsiedzi spostrzegą moje piruety, ryzykujesz proces o czary. Jak leci?

- Dziękuję, dobrze. Oczekiwałem pana - odparł Iwan udając obojętność.

- Oczekiwałeś mnie? Coś takiego! Czyżbyśmy teraz oczekiwali na swoje halucynacje? Hm, hm, robimy postępy, zwalczamy sceptycyzm, powracamy do wiary...

- Dajmy spokój ironii! - uśmiechnął się Iwan. - Po prostu postanowiłem pana wysłuchać, a także zadać panu kilka pytań. Jak panu powiedziałem, zawieszam osąd.

- Dobrze, Iwanie. Wiedz jednak, że jestem panem swoich odpowiedzi. Nie przychodzę, żeby zostać osądzony, lecz żeby cię czegoś nauczyć. Nie zaprzepaść swojej szansy jak tyłu innych teologów w przeszłości. Dobrze, parzymy herbatę i zaczynamy. Nie włączyłeś swojego samowaru?

- Jeszcze nie. Będę pić taką samą herbatę jak pan, to nas do siebie zbliży. Pana prezenty ciągle jeszcze mnie onieśmielają.

- Jak chcesz, niedowiarku... Tutaj ty jesteś szefem. Ja jestem tylko gościem.

Gdy herbata była już gotowa, szkocka nalana do szklanek, a korniszony leżały na talerzu, Iwan usiadł przy stole gotowy do robienia notatek, Lucjan zaś wygodnie rozparł się w fotelu.

- Pamięta pan? Miał mi pan opowiedzieć o śmierci i o raju.

- Oczywiście - odparł Lucjan. - Niemniej, jeżeli ci to nie przeszkadza, chciałbym rozpocząć od problemu zła. Po pierwsze dlatego, że ten problem jest, jak się wydaje, jakąś obsesją wszystkich stworzeń, pretekstem, żeby mi bezustannie robić wymówki. Poza tym dlatego, że jest to problem, który zajmuje cię w tej chwili z powodu owego absurdalnego strachu o utratę nowego szczęścia. Ale przede wszystkim, żeby można było porozmawiać trochę o konkluzjach twego doktoratu. W końcu zainteresowałem się tobą z powodu tego, co w nim napisałeś. Twoja reakcja na to, co powiem o problemie zła, pokaże mi, ile jesteś w stanie przyswoić. Pamiętaj, że w żaden sposób nie chcę burzyć reguł gry, a szkoda byłoby napełniać ci czaszkę po to, żebyś później założył jakąś sektę albo zaczął wieszczyc dyrdymały. Zgoda?

- Zgoda, proszę pana. Błogosławione niechaj będzie imię Pańskie - odparł Iwan.

- Poczekaj, dojdziemy i do tego waszego Pana. Ale najpierw: zło. Masz w całej rozciągłości rację, zresztą nie tylko ty, także Augustyn, który w gruncie rzeczy powtarzał słowa Platona. Zło jako takie nie istnieje. Tyle że Augustyn podobnie jak Platon wierzył w dobro. W rzeczywistości i dobro, i zło to dwa nonsensy. To dwie hipostazy, nie w sensie teologicznym - mam na myśli tę sławetną historię z Trójcą Świętą - ale z punktu widzenia językowego, co tak zręcznie przemyciłeś w swojej konkluzji. To przymiotniki, epitety używane na oznaczenie ludzkich czynów arbitralnie przekształcone w rzeczowniki. Zauważ, że nie mam nic przeciwko waszemu podziałowi ludzkich czynów na „dobre” i „złe”. Ta praktyczna moralność jest niezbędna dla funkcjonowania życia społecznego naczelnym, którymi jesteście. Ale stąd daleka droga do utożsamiania mnie ze źródłem dobra i zła. Zgoda, stworzyłem świat i jestem bardzo dumny z jego złożoności. Zwracam ci uwagę na pochwały, jakich z tego tytułu nie szczędziły mi w swych dziełach wielkie umysły wszech czasów. Augustyn w prawie każdym swoim utworze nazywa mnie poetą doskonałym; mówi, że napisałem księgę świata z najwyższą troską dobierając nie tylko historię, ale i każde słowo, każdą sylabę, każdą literę. Doskonale wiem, że cię to drażni; zawsze nas irytuje, gdy na pochwały zasługuje kto inny. Mnie te panegiryki sprawiają wielką przyjemność. Tyle tylko że stwarzając świat, nie stworzyłem wyłącznie waszej ludzkiej paplaniny. Każdy gatunek radzi sobie, jak potrafi. Dlaczego więc przedstawiciele waszego odczuwają potrzebę, żeby na mnie zrzucić winę za swoje własne podłości? Czy naprawdę uważasz, Iwanie, że wszechświat powinien zatrzymać swój bieg, gdy jeden z was popełnia czyn moralnie wątpliwy? Oczywiście, że nie. Co do mojej odpowiedzialności za okrucieństwo,

odpowiadam odrzucając ci piłeczkę: a co z waszą? Jest między wami cała masa łobuzów, ale większość pragnie żyć w spokoju. Dlaczego zatem nie bronicie się lepiej? Obetnijcież im do cholery jaja! Złych będzie mniej albo na przyszłość będą bardziej uważać. Oto jak powinny wyglądać sprawy! W miarę jak cywilizacja wypiera kultury pierwotne, na świecie jest coraz mniej okrucieństwa. Widzisz, Iwanie, sytuacja się poprawia, ale odpowiedzialność za wszystko spada na was, nie na mnie.

- Dostyc to mgliste, Lucjanie - zaproponował Iwan nie podnosząc wzroku znak kartki, na której sporządzał swoje notatki. - W perspektywie tak rozległej wydaje się, że ma pan rację. Jednakże w praktyce widać, że złe postępy przynoszą swym sprawcom więcej pożytku niż dobre. Zakładam, że nie muszę dawać panu przykładów. Pana zła wiara nie może aż tak bardzo mijać się z prawdą.

- Zgoda, to był tylko wstęp, deklaracja zasad, żeby zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność. Przejdźmy do szczegółów. Zresztą doskonale znam interesujące cię sformułowanie: pochodzi od twojego imiennika Iwana Karamazowa. Czy to bardziej ci odpowiada? Ale ostrzegam cię, nie jest zbyt poważne; jest romantyczne, literackie i całkowicie różni się z prawdziwym pytaniem. Rzekłbym, że formułka Iwana Karamazowa jest wręcz populistyczna.

- Aż tak pana drażni?

- Oczywiście, że mnie drażni! Tym bardziej że żywię głęboki szacunek dla tego pocziwego Fiodora Michajłowicza Dostojewskiego. To był wielki wizjoner, człowiek o ogromnej wrażliwości. Szkoda, że nikt go nie posłuchał. Wasz wiek byłby mniej ponury, czy też mniej ekscytujący, w zależności od punktu widzenia obserwatora. Kiedy formułował swoje wizje, obawiałem się wręcz, żeby ludzie nie uświadomili sobie swojej głupoty.

- Obawiał się pan?

- Jeszcze jak! Moja gra zostałaaby wówczas pozbawiona tego złożonego wieku pełnego tajemnic i nagle wybuchających wojen. Nie zapominaj, że spoglądam na świat z punktu widzenia prowadzącego grę, a nie jej uczestników. Lubię, kiedy gra staje się ostra, a nie kiedy się uspokaja. Mój drogi Iwanie, wieczność jest bardzo nudna. Z drugiej strony otwarte pozostaje pytanie: gdyby ludzie na czas uświadomili sobie niebezpieczeństwa wynikające z populistycznej władzy, jaki byłby ten wiek, co osiągnęliby dzisiejsi ludzie. Czy wasza technologia rozwinęłaby się tak bardzo jak obecna, a wasz zmysł osobistej wolności byłby tak samo wyczulony? Nie mam

pojęcia. Mnożenie zdań warunkowych, tych wszystkich „jeżeli”, do niczego nie prowadzi. Żydzi wprawdzie sami stworzyli system ściągający na nich wszelkie rodzaje nieszczęść, ale wypracowali też bardzo realistyczną i prozaiczną mądrość mającą swoje źródło w tych właśnie nieszczęśliwych doświadczeniach. Mają bardzo śmieszne powiedzenie odnoszące się do zdań warunkowych: „Gdyby moja babka miała jaja, byłaby moim dziadkiem”. Jak widzisz, nie ma sensu żałować tego co niemożliwe, bo gdyby niemożliwe stało się rzeczywistym, stałoby się zwykłym możliwym, które nas doświadcza. Ale powróćmy do zdania Iwana Karamazowa. Żeby dobrze zrozumieć stan jego ducha w chwili, gdy je wypowiada, przypomnij sobie, że był zakochany w czymś w rodzaju małej histerycznej zarazy o skłonnościach masochistycznych. To ma swoją wagę.

Zauważywszy w tej chwili reakcję swojego rozmówcy, Lucjan natychmiast się poprawił z grymasem bezsilności:

- Ależ, Iwanie, przepraszam... Nie bierz tego do siebie! Nie sędzę, żeby twoja Sonia była podobna do Katarzyny Iwanownej, rozumiesz? Co za drażliwość!... Dobrze, powróćmy do argumentu Iwana Karamazowa: Bóg pozwala na nikczemności; nikczemności te unieszczęśliwiają mnie i upokarzają. Nie mogę zatem przystać na takiego Boga pod pozorem, że wspólne dobro czy racje wyższe miałyby być więcej warte niż moja skromna osoba. Do tej pory w porządku? Stąd wysnuwa wniosek, w którym parafrazuje Schillera: „Nie wykluczam Boga, ale - z całym szacunkiem - wypisuję się z tego układu”. W istocie prawdziwa konkluzja Iwana, której nie zdradza swojemu braciškowi, brzmi: „Bóg nie istnieje”, stąd jego słynne: „więc wszystko jest dozwolone”, stwierdzenie jego zdaniem narzucające się z powyższego rozumowania. Tak to wygląda! Naturalnie kiedy rzecz przedstawić, pozbawiając ją owego klimatu namiętności, którą drogi Fiodor Michajłowicz wprowadzał do wszystkich swoich książek, owego rodzaju maniakalnego napięcia tak ulubionego przez rosyjskich arystokratów, formułka sprawia ci mniej przyjemności. I już zaczynasz zdawać sobie sprawę, że to nie moja wina, czyż nie? Mój stary, urok metafizyki wypływa przede wszystkim z ponurej atmosfery, którą wokół siebie roztacza. Rozumowanie Iwana, czy zwie się Karamazow czy Sierow, kontestuje nie mnie, ale tego żalostnego ludzkiego bożka, czy jest nim Bóg, Jahwe, Śiwa czy jakikolwiek inny wytwór waszych ptasich mózdzków. Oczywiście jeśli pragnęlibyście, żeby ten wasz Bóg był dobry, a on okazuje się ostatnim skurwielem, to sami obetnijcie mu jaja i przestańcie rzucać oskarżenia pod moim adresem. Albo wybierzcie diabła! W tym aspekcie raz

jeszcze osobliwy jest przypadek żydów, osobliwy, ponieważ stanowi szczyt perwersji, zważywszy, że mając bóstwo takie jak Jahwe, w ogóle nie potrzebują diabła. Ale nigdy nie skarżą się na swojego niebiańskiego dyktatora. Skądinąd pouczające jest przeanalizowanie, dlaczego tenże Jahwe nigdy nie jest kontestowany, chociaż sam siebie opisuje jako pełnego zła, pamiętliwego, cholerycznego i zazdrosnego pyszałka, nie mówiąc już o tym, że to w istocie prawdziwy potwór: wystarczy pomyśleć o jego całkowitym braku umiaru czy o jego niezrównoważonych reakcjach. Chwila złego humoru i trzask-prask! postanawia wszystko unicestwić i zaczynać od początku. To szczyt niezrównoważenia. Nie licząc drobnych preferencji dla beniaminków z powodu typowej dla podstarzałych lubieżnych ojców obawy, że starszy syn mógłby zagarnąć dla siebie nastoletnie córki, które osładzają tatusiowi stare lata. Masakry, które wywołuje, to wyraz nieskończonego sadyzmu, a śmieszność reguł czystości, jakie narzuca swoim poddanym, trudno porównać do czegokolwiek. Czy widziałeś kiedyś te nieszczęsne dzieciaki z ortodoksyjnych rodzin żydowskich? Litość bierze, gdy się patrzy na te bladawce o spłoszonym wzroku i z czaszką naszprycowaną groteskowo anachronicznymi prawdami Talmudu, które żyją w bezustannym strachu i czołobitności. A jednak nie tylko nie buntują się, ale na dodatek kochają swojego Jahwe jak prawdziwe baranki. Jak to możliwe? Najzwyczajniej w świecie za przyczyną nacjonalizmu, który daje im pewność, że przynależą do narodu wybranego. W zamierzonych czasach rabini wymyśli ten mit, żeby łatwiej im było rządzić współplemieńcami. Zatem im bardziej ich Bóg jest zły, tym większą czują ulgę, że zostali wybrani. Gotowi są wszystko znieść, aby tylko złość niebiańskiego psychopaty nie zwróciła się przeciwko nim. Tymczasem milion reguł, jakich należy przestrzegać, i wspomnienie napadów złego humoru Jahwe tak bardzo zaprzęta ich uwagę, że nie potrafią uświadomić sobie, że są nabijani w butelkę. Czując się więc istotami tak bardzo wywyższonymi, zamykają się we własnym gronie, a im bardziej duszą się we własnym sosie, tym silniejszy strach odczuwają i tym bardziej umacniają swoje poczucie wyższości. Czy chciałbyś mieć poczucie wyższości za taką cenę? No właśnie... Psychopata w rodzaju Jahwe jest nieprzewidywalny; on sam zresztą po wielokroć nie dotrzymywał danego słowa. W rzeczywistości jeśli na zimno zbadasz ich soteriologię, zobaczysz, że ich bóstwo to w istocie diabeł, zło, któremu przyklejono etykietkę nacjonalizmu. Jego wyznawcy są zatem ulubieńcami demona. Oto najtajniejsza istota wszelkiego bóstwa wojowniczego, nacjonalistycznego i plemiennego, a w gruncie rzeczy wszelkiego nacjonalizmu. Jeśli zeskrobiesz wierzchnią warstwę nacjonalizmów profanicznych, staniesz

twarzą w twarz z tą samą pychą narodu wybranego, z tym że wierzący grają wtedy w grę przejrzystą, czystą i w sumie skazaną na wygraną.

- Na wygraną?

- Tak, oczywiście, ponieważ są pewni, że dostaną nagrodę. Ich życie nie jest naznaczone trwogą w tej mierze, w jakiej poddają się skrajnym wymaganiom swojego bóstwa. Po śmierci to zupełnie inna sprawa, ale jako że nigdy się stamtąd nie powraca, nikt nie kontestuje tych świetlanych założeń. Strwożeni żydzi grają w podwójną grę, podwójną przynależność, jak artyści i intelektualiści: ci dwulicowcy chcą być zarazem członkami narodu wybranego i wolnomyślicielami, co odbywa się z wielką dla nich szkodą. Jedynym lekarstwem, jakie znaleźli, żeby złagodzić swoją trwogę, jest psychoanaliza, ta talmudyczna kazuistyka dla ambiwalentnych inteligentów. Zlaicyzowana, ancestralna pała Jahwe staje się wówczas kutasem ojca. Nie uważasz, że to bardzo dobrze wykoncypowane przez tego poczciwego Zygmunta F.?

- Zgadza się, ale o tym wszystkim już wiedziałem - odparł Iwan.

- Mój drogi, pozwól mi dokończyć wywód. Nie śpiesz się zbytnio. Jedyne piękno tej dialektyki leży w formie, bo treść jest dosyć wątpliwa. Jak o tym doskonale wiesz, problemy chrześcijaństwa biorą się z kilku źle sformułowanych zdań w „Dziejach Apostolskich” i w listach Pawła. Potem podlane hermeneutycznym i poetyckim sosem Jana z Patmos te bzdury nabrały pozorów głębi. Ci ludzie chcieli ocalić i kozę, i kapustę: i wszechmoc Jahwe, i uległą dobroć Chrystusa. Inni, ci od patrystyki i scholastyki, już tylko żonglowali gorącym kartoflem sprzeczności niemożliwej do obrony doktryny. Dobry Jahwe to absurd i na nic nie zda się podzielenie go na trzy plasterki jak kielbasę: rdzeń tej postaci pozostaje koszerne, to znaczy czysty, ale nie dobry. Jezus Chrystus może sobie udawać miłaska, a Duch Święty trzepotać swoimi lubieżnymi skrzydełkami, w końcu to nikt inny tylko Bóg Ojciec zgwałcił młodzieńką żonę tego żalostnego Józefa. Zdajesz sobie sprawę? Była ledwie po pierwszej menstruacji, co w tamtej epoce oznaczało, że pomiędzy dziewiątym a jedenastym rokiem życia. Chlip, chlup i boski kutas wnika w małą. Jahwe nie może nad sobą zapanować: robi dzieciaka osłupiałej dziewczynce po to tylko, żeby go później ukrzyżować. Nie lepiej byłoby upiec swojego bezwstydnego ptaka, jeżeli tak bardzo zależało mu na holokauście? I to ma być moralna historia!

- Pocieszny pan jest, Lucjanie - przerwał Iwan. - To oczywiste, że te mityczne facecje są śmiechu warte, ale nie można zapominać o kontekście historycznym, o naiwnej mitologii epoki. Niech pan powróci raczej do problemu zła.

- Jakiś ty poważny, Iwanie! Mój drogi, powinieneś nauczyć się wartości śmiechu, żeby cieszyć się sprawami ziemskimi. Ale niech będzie, jak chcesz! Argument jest przejrzysty: wy, stworzenia, nazywacie „złem” to, co was nie urządza, ot co! Weźmy dziewczynkę, o której mówi Iwan Karamazow. Gdyby miała napakowanych przyjaciół, jej krewni nie znęcaliby się nad nią. To samo odnosi się do Turków zabijających dziecko na oczach matki: jeżeli zwyciężysz ich siłą na polu walki, a później ucywilizujesz, problem zła znika. Problem polega na tym, żeby móc się obronić. Wiedzą o tym zwierzęta. Wiewiórka nie oskarża mnie, gdy schwyta ją lis - wie, że po prostu miała pecha, była już za stara, jej godzina wybiła. Roślinożercy nie sądzą, że mięsożercy są demoniczni, nie przychodzi im też na myśl, żeby ich wielbić lub piętnować. Po prostu uczą się bronić, biegać, skakać albo mają więcej potomstwa, żeby choć w ten sposób przetrwać. Ty na przykład lubisz kotlety z jagnięciny, czyż nie? Żeby cieszyć się ich smakiem, wykluczasz jagnięta ze zbioru kategorii, wobec których obowiązuje moralność. A przecież muzułmanie robią to samo w odniesieniu do chrześcijan, żydzi w Izraelu wykluczają Palestyńczyków... Najważniejsza jest władza. To władza ustala moralność człowieka; moralność jest zawsze moralnością zwycięzcy. Uznaj tę prawdę, która cię przytłacza, a nie będziesz miał więcej problemów moralnych. Jeżeli chcesz, żeby twoją moralność akceptowano wszędzie, zamiast się uskarżać, ucywilizuj tych, których masz za dzikusów, uzbrój się przeciwko gnębiicielom, wychowuj ludzi i karz bez wahania. Ofiara bardziej się w twoich oczach liczy niż agresor? Przestań znajdować usprawiedliwienia dla agresora i postaraj się wzmocnić możliwości ofiary.

- Nie wiedziałem, że Bóg jest darwinistą - przerwał mu Iwan z uśmiechem.

- To nie ja jestem darwinistą, tylko Darwin miał bystry umysł. Potrafił zrozumieć tę piękną subtelność mojej gry, jaką jest kontrast między indywidualną moralnością a prawem przeżycia gatunku. To jeden z moich najpiękniejszych wynalazków. Wyjaśnię ci to później. Tymczasem powróćmy do problemu zła. Twoja ironia wskazuje na to, że wahasz się, czy uczciwie zbadać tę kwestię. Za bardzo zależy ci na cierpieniu ofiary i chciałbyś w dalszym ciągu użalać się, nie podejmując potrzebnych środków zaradczych. Uwierz mi, metafizyka to perwersja dla leniwych. Sprawa jest prosta i Darwin, logicznie rozumujący Anglik, rozumiał ją bez trudu. Każdy gatunek kontroluje swoją niszę ekologiczną; u ludzi podobnie usiłuje postępować każde z waszych licznych plemion. Rozwiązanie? Porzućcie trybalizm! Miał on rację bytu tylko dawno temu, gdy żyło się w buszu. Jeżeli chcecie moralności ludzkiej, to znaczy moralności białych ludzi Zachodu z półkuli północnej, trybalizm i nacjonalizm są anachronizmami. Wy, stworzenia,

jesteście bardzo niekonsekwentni: zbroicie na przykład muzułmanów, bo nienawidzicie Sowietów; potem kiedy talibowie zdobywają władzę, skarżycie się, że pozwalam im popełniać okropieństwa, że toleruję ich barbarzyństwo. Ja nie wybrałem muzułmanów! Wyobraź sobie zresztą, że nie wybrałem żadnego z was! Sami wytwarzacie gówno, ale nie jesteście w stanie znieść jego woni. Tak, Iwanie, w przeciwieństwie do tego co sądzisz, ciągle rozpatrujemy problem zła; logicznym przeciwstawieniem wszelkiej moralności jest ogół konsekwencji wolnych czynów. To oznacza odpowiedzialność. Weźmy twój wybór Soni: wydaje ci się cudowny, ponieważ w tej chwili cię satysfakcjonuje. Jednakże wybór ten zakłada rezygnację ze wszystkich innych kobiet, z całej ich słodyczy i sztuczek, z ich ciał, których nie poznasz. Zakłada również rezygnację z twojego prawa do samotności, do leniwej i otwartej wolności, rezygnację z braku trosk. Czyż nie to trapiło cię dzisiejszego popołudnia? Oto cena moralności. Lecz stworzenia pragną móc zarazem i wybierać, i zachować wolność wyboru. Sygnalizuję ci, że ta absurdalna pretensja jest tylko jednym z aspektów, inną postacią paradoksu Russella. Ciekawie byłoby sformalizować ją i porównać nie do moralności chrześcijańskiej, lecz na przykład do leninowskiej utopii. Zdziwiłbyś się, jakie paradoksy moralne można tu odnaleźć i pogrzyłbyś się w całkowitym kryzysie egzystencjalnym. Wprawiłem cię w zakłopotanie? Nie wiedziałeś o tym, bo wolałeś romantyczne pytanie Iwana Karamazowa od tego, które sformułowała inna postać Dostojewskiego w „Biesach”. Nie przypominasz sobie? Nie bez powodu: byłeś zbyt zajęty osobistymi aspektami moralności, jedynymi, jakie interesują intelektualistę. Bez wątpienia Szygaliow jest - oczywiście obok Wielkiego Inkwizytora - tym, co Dostojewski wymyślił jednocześnie najbardziej śmiesznego i najbardziej wzniosłego. Gdy usiłuje wyjaśnić swój system społeczny, dochodzi do mistrzowskiego wniosku, że wychodząc od absolutnej wolności, dochodzi się do absolutnego despotyzmu. Znakomite! Poprzez Szygaliowa Dostojewski przepowiada wszystkie społeczne katastrofy XX wieku od imperium sowieckiego, nazizmu i Pol Pota po to cuchnące bajoro o smaku sztucznej wiśni, jakim jest demokracja północnoamerykańska. Nie powiem ci więcej! Przeczytaj raz jeszcze „Biesy”, a odnajdziesz w nich elementy dyskusji o moralności ukazane w sposób, który wspaniale uzupełnia pytania Iwana Karamazowa. Zresztą między nami książka o Aloszy, którą zamierzał napisać, miała być raczej kontynuacją tego, co naszkicował w „Biesach”. Obawiałem się tej książki. Jestem zachwycony, że ten wielki twórca umarł, zanim przystąpił do jej pisania. Opowiedziałby w niej punkt po punkcie trajektorię Stalina, państwowy terroryzm i ubezwłasnowolnienie wyalienowanych mas.

Wyobrażasz sobie! I to w chwili gdy przyszedł towarzysz Josif Wissarionowicz Dżugaszwili zwany Stalinem kwilił jeszcze niewinnie w kołysce...

- Nie! - wykrzyknął Iwan.

- Jak to: nie? Tak jak Alosza Karamazow, Stalin był opętany przez żądę władzy niedoszłym mnichem. Możesz mi wierzyć, Iwanie, to nie dowcip. Dostojewski przewidział wszystko w najdrobniejszych szczegółach, a nicią przewodnią jego rozumowania jest właśnie system Szygaliowa. Jeszcze teraz nie mogę uwierzyć, że potrafił przewidzieć wszystko z taką dokładnością. Gdy spotkałem się z nim, żeby mu zadać to pytanie, zamiast na nie odpowiedzieć, chciał mnie szelma sprowokować, i to z jaką werwą! Domyślił się niektórych reguł mojej gry, po prostu obserwując swoją epokę, i chciał uprzedzić współczesnych, żeby się mieli na baczności. Brakowało mu tylko stuprocentowej pewności co do mojego istnienia. Wiesz, co zrobił, gdy jej nabrał? Zamiast napisać o Aloszy-Stalinie, wolał spłodzić „Braci Karamazow” tylko po to, żeby mi zrobić na złość.

Iwan wybuchnął śmiechem. Lucjan po chwili zaskoczenia zawtórował mu szczerym rechotem.

- Pan jest szalony, Lucjanie. Co za osobliwa wyobraźnia? Dostojewski? Zrobić panu na złość?

- Daję słowo, Iwanie. Nie znałeś go. Na Fiodora Michajłowicza nie było mocnych. To człowiek skrajności, a zarazem pierwszorzędny moralista. Przeczytaj całość jego pism polemicznych, które nazywa się jego pisarskimi dziennikami. To człowiek z głową męża stanu, niezłomny slawofil, a przy tym głęboko świadom społecznych problemów, które zagrażały Europie, ale w życiu prywatnym to impetyk reagujący w sposób prawie paroksytyczny. Najbardziej imponowała mi u niego zdolność przewidywania reakcji prostych ludzi postawionych w obliczu władzy. Jestem przekonany, że Stalin uważnie go przestudiował. Więc kiedy mnie już rozpoznał i gdy streściłem mu w ogólnych zarysach zasady mojej gry, najpierw zaczął ze mnie drwić nazywając mnie imieniem jednej ze swych postaci, błazna z ze swych wczesnych książek. Następnie dostrzegając pogardę, z jaką odbieram wasze zakłopotanie będące reakcją na moją obecność, obiecał mi, że oczerni mnie w swojej kolejnej powieści. Cały Dostojewski! Tak porywczy, że natychmiast porzucił myśl o napisaniu wielkiej powieści społecznej i nie mieszkając zaczął tworzyć tę karykaturę mnie, jaką jest stary Karamazow.

- Wyjaśnił to panu czy sam pan wpadł na tę interpretację?

- Słowo daję, Iwanie! Stworzył trzech braci, żeby się naśmiewać z Trójcy Świętej, a ten pretensjonalny kundel Smierdiakow uosabia ludzkość. Dobrze mu tak! Ta wątpliwej jakości estetycznej farsa nie pozwoliła mu napisać książki życia i wydarzenia tego wieku nastąpiły przez nikogo niezapowiedziane.

- Nie sądziłem, że jesteś tak drażliwy, Panie - wyrzekł Iwan z nutką niepokoju w głosie. - Czy zemściłeś się na nim, Panie, to znaczy mam na myśli, czy przyspieszyłeś jego koniec?

- Nie, w żadnym wypadku! Nie zakłócam gry odwołując się do sztucznych środków, zwłaszcza w odniesieniu do przypadków takich jak ten, gdy w grę wchodzi wydarzenia wielkiej wagi. Przeciwnie, podnieca mnie, gdy gra staje się ryzykowna! Poza tym lubiłem Dostojewskiego. Rzadko zdarza się, żeby w jednej osobie znaleźć zarazem tyle humoru i tyle odwagi... Nie, nie zabiłem go. Przyznaję, że nachodzi mnie czasem ochota, by wpłynąć na bieg rzeczy, zwłaszcza gdy idzie o sprawy niezwiązane z innymi, szczególnie w dziedzinie osobistej. Ale nigdy nie oszukuję. Cel, jaki mi przyświeca, jest zatem godny szacunku: uratować jakieś zagrożone arcydzieło czy przeszkodzić wielkiemu artyście, by w przypiływie szaleństwa wszystkiego nie zniszczył. Na przykład uwielbiam Nietzschego. Nie człowieka - dzieło, to chyba oczywiste. Jego „Tako rzecze Zaratustra” to poemat tak otwarty i tak bogaty w znaczenia, że tak samo jak wy rozkoszuję się jego lekturą. Dzieło tego młodego profesora filologii było gotowe w jego głowie od samego początku i cieszyłem się nim, obawiając się równocześnie, aby starzejąc się, nie popełnił głupstw zaśmiecając wszystko metafizyczną próżnością. Przyznaję, że w odpowiednim momencie musnąłem palcem szale wagi...

- Zaraził pan Nietzschego?

- Nie ja, sam się pogrążył. Był nieśmiały jak ty, Iwanie. Pewnego razu w Bazylei, gdzie wykładał, naszła go ochota choć raz w życiu spróbować seksu z prostytutką. W burdelu, do którego się udał, usytuowanego w bocznej uliczce przy dworcu centralnym, na klientów oczekiwały dwie dziewczyny. Było to wieczorem dnia powszedniego; nasz drogi Fryderyk nie ośmieliłby się przyjść w dzień targowy i czekać w kolejce w towarzystwie *bourgeois*. Zatem jedna z dziewczyn była chuda, chorowita, z rodzaju takich, jakie spontanicznie wybrałby ze względu na swoje własne ponuractwo. Druga była krzepką Alzatką o bujnych kształtach, kipiącą życiem jak młeczarka. Co więcej, mgliście przypominała mu jego siostrę Elżbietę. Nigdy nie wybrałby dorodnej pięknej chłopki, gdyby w tej właśnie chwili gwałtowny atak kaszlu nie wstrząsnął chudą i gdyby w tym samym momencie nie dostrzegł w oczach grubaski szczególnie

satanicznego błysku. Friedrich wybrał zatem zdrowszą, a właściwie to ona zaciągnęła go do pokoju, gdy tymczasem chuda zmagala się w dalszym ciągu z atakiem uporczywego kaszlu. Nie była jednak gruźliczką, po prostu w tej właśnie chwili jakiś włos podrażnił jej gardło. Natomiast gruba Alzatka była od niedawna zarażona kiłą i obdarzała nią każdego klienta.

- Nie ma pan wstydu? - wykrzyknął Iwan.

- Wstydu? Ja? Nie, mój drogi, w moim słowniku nie ma takiego pojęcia. Tak czy siak oddałem mu wspaniałą przysługę. Po pierwsze tak dobrze mu poszło pieprzenie się z radosną Alzatką, że natychmiast rubasznie poprosił o bis posiłkując się cytatami z Goethego. Chuda dałaby mu tylko zaspokojenie rudymenarne, melancholijne... Potem pisał już dokładnie to, co trzeba. Z pewnością znasz tę jego piękną myśl, że trzeba mieć chaos w sobie, by móc porodzić gwiazdę tańczącą. Otóż zatrzymał się dokładnie w momencie, gdy chaos miał ustąpić miejsca pewności. Gołym okiem można dostrzec, że megalomańskie elukubracje na modłę Schopenhauera powstałe pod koniec jego świadomego życia nie wyszły spod jego pióra. To w większym stopniu dzieło krętków bladych, co w niczym nie bruka czystości jego pierwotnej myśli. Ależ, Iwanie, nie patrz na mnie w ten sposób! Jestem tego pewien. Czuwałem nad nim i doskonale znam rodzaj motywacji, jakiej ulegał ten zakompleksiony młodzieniec. Wyobrażasz sobie spustoszenia, jakich by narobił, gdyby z czysto megalomańskiego samochwalstwa zaczął tworzyć systemy moralne? Dzisiaj jego pisma interpretowano by zupełnie inaczej. Tymczasem z powodu niewinnego włosa łonowego kalwińskiego seminarzysty, który przykleił się do podniebienia dziwki, niczego nie psując, udało się uratować dzieło, z którego Fryderyk ma pełne prawo czuć się dumny. Ani późniejsze knowania jego siostry Elżbiety, ani nazistowskie konfabulacje nie były w stanie przyćmić blasku tego klejnotu ludzkiej myśli, jakim jest „Tako rzecze Zaratustra”... Jak widzisz, moje wyroki są niezgłębione, ale zawsze chwalebne.

- W porządku, Lucjanie. Jest pan jak najbardziej uprawniony do mówienia o megalomańskim samochwalstwie: zna się pan na nim jak nikt inny. Wypijmy za pamięć Nietzschego i Dostojewskiego. Oto pański kieliszek. *Prost!*

- *Prost*, Iwanie! No właśnie, napijmy się jeszcze, bo zgaduję, że masz coś na wątrobie. Alkohol pomaga się odprężyć. Ja także, wierz mi, czuję się wzruszony, gdy myślę o tych wielkich umysłach. To one są duszą mojej gry. Przyjemność sprawia mi, że mogę im oddać cześć, pijąc za ich pamięć.

- Cóż za pocieszenie, te pańskie hołdy...

- Nie bądź zgorzkniały! Ci ludzie nie szukali pocieszenia w jakimkolwiek anielskim raju. Dla nich wieczne życie w otoczeniu ludzi przeciętnych byłoby prawdziwą torturą. Przeczytaj raz jeszcze „Wspomnienia z domu umarłych”; ta książka da ci przedsmak wieczności spędzonej pośród intelektualnego plebsu.

- Przy okazji, Lucjanie, czy w pana słowniku znajduje się pojęcie wolności? - przerwał mu Iwan nie podnosząc wzroku znad swoich papierów.

- Oczywiście, to pojęcie niezbędne, gdyż jest konsekwencją konceptu śmierci. Istoty ludzkie wiedzą, że umierają, więc są wolne. Powrócę do tej kwestii w sposób bardziej szczegółowy, gdy wyłożę ci zasady mojej gry, albowiem żeby docenić wszystkie aspekty wolności, musisz poznać inne elementy. Pojmuję jednak ducha twojego pytania. Jeśli o to ci chodzi, nie sprowadziłem tej dorodnej, chorej na kiłę Alzatki po to jedynie, aby zarazić naszego drogiego Fryderyka. Była tam, stanowiła część sytuacji, a on postanowił podjąć ryzyko. Czy uważasz, że mężczyźni, którzy chodzili na dziwki, to byli idioci? To byli na swój sposób gracze, a seksualna ruletka zawsze była w cenie. Zobacysz, że seks ma również bardzo bliskie związki ze śmiercią. Moja interwencja w interesującą nas sytuację polegała wyłącznie na tym, żeby zaakcentować chorowity wygląd jednej z dziewczyn i zmysłowość drugiej. Postawił i stracił. Ja z mojej strony ryzykowałem, że z powodu nabzdyczenia twórcy pogorszy się jakość jego poetyckiego dzieła, gdy stanie się zdrowym wprawdzie starcem, lecz również zgorzkniałym mizoginem, trawionym zawiścią wobec sławy Hegla i diabli wiedzą z jakiego jeszcze powodu. Przypomnij sobie, że jestem odpowiedzialny za piękno gry nie tylko w odniesieniu do wszechświata, przyrody czy społeczeństwa, lecz również w dziedzinie dzieł ludzkiego umysłu. W tamtej chwili zaryzykowałem i wygrałem. Jak widzisz, nie oszukiwałem. Zdarzyło mi się także przegrać i nigdy nikomu nie udzielałem wskazówek. Dziwisz się być może, ponieważ nie jesteś graczem w życiu, a wyłącznie w sferze idei. Nie masz racji. Gra nie toczy się w zamkniętej przestrzeni, spoza której można ją obserwować, trzeba przeto zaakceptować ryzyko, skądkolwiek by pochodziło. Wszystkie wielkie umysły to gracze z natury. Wspomniałem ci o afroncie, jaki spotkał mnie ze strony Dostojewskiego, żeby dać ci przykład zamiłowania do ryzyka, prawdziwej namiętności gracza. Nie ma żadnego znaczenia, iż nikt nie wie, że usiłował mnie ośmieszyć, odmalowując mnie jako histriona pod postacią Karamazowa ojca. Ja o tym wiem i to mi wystarcza. A on wiedział, że ja wiem. Zrobił to tylko po to, żeby mi dopiec. Przy okazji stworzył jedną z najpiękniejszych powieści wszech czasów, ale to tylko okoliczność obciążająca,

bo za każdym razem kiedy ją czytam, przypominam sobie, że Fiodor Karamazow został pomyślany jako drwina pod moim adresem. Dociera do ciebie cała perfidia jego zachowania? Dostojewski wiedział, że jest chory, a porzucił swój własny projekt dla przyjemności pobicia mnie w mojej własnej grze. Szkoda, że jego powieść o graczu jest taka krótka; mógłby w niej, szelma, odmalować moją własną osobowość. Nie znam poczucia wstydu ani upokorzenia, ale nie mogę się powstrzymać przed odrobiną zazdrości wobec gracza tej klasy. Tak to wygląda, Iwanie. Masz już teraz sporo materiału, żeby rozmyślać nad pojęciem wolności. A propos przeczytaj też, co o wolności w sytuacji pisze francuski pisarz Sartre w „Bycie i nicości”. Nie napisano o tej kwestii niczego bardziej przejrzystego. Tak przejrzystego, że sam pisarz został porażony tym odkryciem, zatrwożony samotnością swej własnej arystokratycznej świadomości do tego stopnia, iż następnie niczym Jonasz usiłował znaleźć schronienie w wielorybim brzuchu żalosego populizmu. Dopiero dużo później był znów w stanie pisać poważne rzeczy, ale nic z tego nie dorównywało jego wczesnym dziełom. On również, jak Dostojewski, obiecał stworzyć system moralny. Wiedziałaś o tym? Zatem gdybym wiedząc to, co wiem, zainteresował się jego osobą, oddałbym mu przysługę wkładając ziarenko piasku w tryby jego maszyny, czyż nie? Przynajmniej nie byłby dzisiaj pośmiewiskiem durni, którzy pamiętają tylko jego populistyczne wygłupy...

- Nie oszczędził pan jednak tego biednego Jeana-Paula?

- Och wiesz, Iwanie, losy niektórych ludzi są tak śmieszne, że nie mogę się powstrzymać i pozwalam im się dopełnić. To inna forma wzniosłości, wzniosłości w grotesce. A nasz Jean-Paul miał taki talent w dobieraniu sobie dziwek, że aż zatyka ze zdumienia wobec fenomenu istoty ludzkiej. Nie przestajecie mnie zadziwiać, literalnie wprawiacie mnie w zachwyt. Nie zapomnij jednak przeczytać, co napisał, wybacząc mu jednocześnie jego życie prywatne i znajomości.

- Zanotuję to sobie, Lucjanie, i przeczytam, jeśli tylko mi pan na to zezwoli. Zaczynam się bać pana małych życzliwych przysług.

- Niczego się nie obawiaj, Iwanie. O ile wiem, nie wymyśliłeś jeszcze niczego, co warte byłoby zachowania za cenę Boskiej interwencji. Trochę więcej skromności, młody człowieku. *Primo fingere, deinde timere*, albowiem nie zajmuję się osobiście tymi, co nie mogą wnieść niczego do piękna gry.

- Ach, to dlatego, że szanowny pan oczekuje, że osobiście ozdobię jego ulubioną

zabawkę? - odwarknął Iwan, uroczyście skłaniając głowę.

- Proszę cię, powstrzymaj się od tego typu uwag, Iwanie! Twoje poczucie zagrożenia jest bardzo duże i nie przestajesz się bronić, uciekając się do tej ironicznej pogardliwej parady. To drażniące! Trochę dobrych manier! Jestem twoim gościem i przyszedłem tu na poważną rozmowę. O nic cię nie proszę, mój poczciwy chłopcze, bo nie masz jeszcze nic, co mógłbyś ofiarować. Dysponujesz tylko możliwościami, potencjalnościami, jak by powiedział Arystoteles. Niczym w jakikolwiek sposób konkretnym. Zresztą nawet gdyby tak było, pojęcie potencjalnej przyczyny zawiera nierozwiązywalne sprzeczności. Bądź jednak przynajmniej na tyle przyzwoity, by przyznać, że moja obecność w tym miejscu bardzo cię mimo wszystko ekscytuje. W gruncie rzeczy wiążesz z tym pewne plany. Ach, iluż ludzi zgubiła już pycha! Zatem jeśli moje słowa tak bardzo cię interesują, przestań mi przerywać i pozwól powiedzieć, co mam ci do powiedzenia. Tak czy inaczej w każdej chwili mogę cię unicestwić. Jeśli zajmuję się tobą, to znaczy, że nie chcę ci wyrządzić żadnej krzywdy. To oczywiste! Napijmy się zatem herbaty i przegryźmy korniszonami, bo z powodu twoich impertynencji nie opróżniliśmy jeszcze butelki szkockiej. *Prost!*

- Proszę mi wybaczyć, Lucjanie - podjął zmieszany Iwan po długim milczeniu. - Ma pan rację, że się pan gniewa, a ja wstydzę się swego zachowania. Bez wątplenia wie pan, że jestem zakłopotany; jestem też zaciekawiony i podekscytowany, ale w głębi ducha jestem przede wszystkim przerażony. Próbuje za panem nadażyć, a nie jestem w stanie się uspokoić, rozluźnić. Pana obecność jest czymś tak niezwykłym, że bezustannie zastanawiam się, czy przypadkiem nie mam przywidzeń.

- Wiem, rozumiem. Daj mi trochę czasu, zawieś swój osąd i rozerwij się. Pierwsze spotkania ze mną często mają taki przebieg. Wy ludzie wyobraziliście sobie bóstwo tak perwersyjne, demona tak sadystycznego, że trudno wam zaakceptować oczywistość. Przypomnij sobie, co mówił Augustyn, parafrazując Cycerona: ludzie stworzyli Boga na swoje podobieństwo. Jest w tym, raz jeszcze, problem moralny: nie jesteście w stanie wyobrazić sobie władzy absolutnej jak moja, która nie wywoływałaby jednocześnie poczucia zagrożenia. Ale to ludzie nie potrafią się kontrolować, kiedy sprawują władzę, to oni niewolą i źle traktują swoich bliźnich. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Zatem odpręż się. Pozostawiam sobie moją moc na sprawy szlachetne, na grę; nie trwonię jej na drobne świństwa, jak to czynią ludzie.

- Widzi pan, Lucjanie, problem polega na tym, że czuję się złapany w pułapkę. Tak

właśnie, jakbym był zakleszczony w ruselliańskim paradoksie. Pan należy do klasy absolutnej, wyższej od mojej i mnie zawierającej. Może pan mnie myśleć, ja natomiast zawsze trwał będę w niewiedzy co do wszystkiego, co pana dotyczy, nie mówiąc już o mocy. Czuję się czymś gorszym niż mysz w pazurach kota, niczym zwykły pionek na szachownicy. Jakże w tej sytuacji mam nie być zakłopotany? Pionek nie zna reguł gry ani intencji gracza. Jest tylko jego narzędziem. Stworzył pan pionki świadome swej sytuacji, swego beznadziejnego położenia, więc proszę się nie dziwić zamętowi, jaki odczuwają.

- Brawo, Iwanie! Znakomicie to wyraziłeś. Winszuję sobie, że cię wybrałem. Obawiałem się, że twoja dysertacja doktorska jest tylko mającą ogłuszyć recenzentów amfiladą cytatów, do których głębokiego sensu nie dotarłeś. Rad jestem stwierdzić, że potrafisz się posługiwać tymi różnorodnymi logikami w sytuacjach nowych, że rzeczywiście myślisz. Proszę cię zatem, abyś zaczekał do chwili, gdy wyrobisz sobie pogląd na całość. Nie jestem żadnym ofiar; rytualne zabójstwa i całopalenia są wymysłem człowieka. To co uczynisz po moim odejściu, zależy tylko od ciebie. Ucząc cię, gram rolę szachisty uświadamiającego wybraną figurę, aby uczynić bardziej interesującą partię, w której ona uczestniczy. Nie szukam także uczniów. Wolę partnerów do gry, umysły gotowe do podjęcia ryzyka w imię piękna i złożoności całości. Uczę cię wyłącznie po to, aby obserwować, co zrobisz z tą nową wiedzą. Jeśli uświadomiona figura okazuje się niezbyt pojętna, posępna lub bojaźliwa, niechże i tak będzie. W każdej chwili rozgrywam nieskończoną liczbę partii, wszędzie pojawiają się oryginalne ustawienia. Jeśli nie staniesz na wysokości zadania, trudno. Ciągłe muszę udoskonalać swoją grę. Co do tego, że jesteś pionkiem, masz całkowitą rację, a ja nic na to nie mogę poradzić. Tak to już jest... Jesteś śmiertelny, jesteś ograniczony, jesteś w klasie i w sytuacji niższej niż ja. Gra jest metaświatem zawierającym twój świat i wiele innych, a jednak posługując się swoim mózgiem niższej kategorii możesz uświadomić sobie, że jesteś pionkiem - trzcina, powiedziałby Pascal - ale pionkiem myślącym. To twoja przewaga nad innymi zwierzętami, ale musisz za to zapłacić: ceną jest albo trwoga i rozpacz, albo uczestnictwo w czymś większym niż ty. Możesz wybrać bycie szczęśliwym w granicach wyznaczonych twoją kondycją. Oto istota gry dla ludzi. Jeśli zdecydujesz się wyrzucić mi to, że nie stworzyłem cię równym sobie, to zupełnie odrębna kwestia. Odpowiem wówczas, że stworzenie z definicji należy do klasy podporządkowanej klasie swojego stwórcy. Weź na przykład książkę: postaci nie wybrały swojego losu; są naroślami swego autora. Na przykład książka o doświadczeniu tego Tiaga Cruza jest twojego autorstwa, więc Tiago staje się twoją

postacią. Gdybyś ty nie uporządkował całości, nie byłoby ani książki, ani postaci; życie tego nieszczęśnika nie uzyskałoby zatem istnienia w znaczeniu transcendentnej rzeczywistości ludzkiej. Tym samym fakt, że uporządkowanie jest efektem twojej intencji, nie jest w żadnym wypadku niemoralne. Gdyby pozostawić tego osobnika samemu sobie, wegetowałby pogrążony w zamięcie. Przyczyniasz się do tego, że bierze swój los w swoje ręce; udoskonalas pionka, którym jest, i jego życie będzie nawet mogło nabrać pewnego znaczenia, choćby tylko na poziomie seksualnego spełnienia. Nie będzie ci miał za złe, że potraktowałeś go jak pionka. Zatem jakim prawem ty mi to zarzucasz?

- Oczywiście - przyznał Iwan po dłuższym zastanowieniu. - Ma pan rację. Ale i tak boję się, ponieważ zanim pan się pojawił, nie żyłem w takim pomieszeniu. Tiago potrzebował mojej pomocy; nie pojmuję, w czym pana pomoc miałyby mi być niezbędna.

- *Vanitas vanitatis*, Iwanie. Żadna pomoc nie jest niezbędna. Można by najzwyczajniej w świecie zadowolić się tym, że wobec życia przyjmuje się postawę bezinteresownego estety, toteż kiedy twierdzisz, że Tiago potrzebował twojej pomocy, równie dobrze mógłbym oskarżyć cię o to, że sam chcesz grać rolę Boga. Nie, mój stary. Pomagasz mu, ponieważ potrafisz to zrobić, bo nie jesteś w równie trudnej jak on sytuacji, bo posiadasz wizję całości, która zawiera jego wizję. I usiłujesz dzielić się z nim tą uprzywilejowaną pozycją dla jego dobra i dla przyjemności twojego ego. Jedyne co odróżnia twoją pomoc od mojej, to że potem Tiago będzie mógł stać się równy tobie: człowiekiem trochę bardziej wolnym niż wcześniej, natomiast ty po rozstaniu ze mną bynajmniej nie nabierzesz cech boskich. Nie masz na to żadnych szans. Skądinąd, ponieważ zyskasz większą świadomość gry, twoje własne życie stanie się być może bogatsze, bardziej świadome, bardziej twoje. Bardziej oddalisz się od poziomu pospolitych naczelnych, a zbliżysz do nadrzędnej względem niego sfery śmiertelnych graczy. Wolę ci od razu powiedzieć, że nieśmiertelność nie jest stanem godnym pozazdrosczenia. Poczekaj, aż lepiej poznasz reguły gry, a wówczas sam zdecydujesz, czy twoja z punktu widzenia logiki podrzędna pozycja jest również egzystencjalnie niższa od mojej, zgoda?

- Zgoda, Lucjanie. Pomimo wszystko mam wrażenie, że tkwię w obłądnie.

- Straszny z ciebie sceptyk! Nic na to nie poradzę. To minie. Faktem jest, że w mojej obecności stworzenia często nie mogą się wyzbyć tego wrażenia. Traktuj mnie raczej jako książkę, którą byś właśnie czytał. Wyobrażeniowe doświadczenie lektury może się okazać równie intensywne, nie wywołując przy tym negatywnych aspektów obłądu. W każdej chwili

zachowujesz możliwość zamknięcia książki i zapomnienia o mojej osobie. To nasz pakt. Napijmy się jeszcze. Nasze zdrowie!

- Najlepszego!

Każdy z nich wyciągnął po korniszonie i zjedli je, oblizując palce, popijając whisky i zimną herbatą.

Przez cały wieczór Iwan nie przestawał palić papierosa za papierosem, tak że powietrze w pokoju stało się gęste, co sprawiało, że światło wydawało się z lekka przytłumione. Lucjan dał się poczęstować jednym papierosem, który pozostawił zapalony w popielniczce zaciągnąwszy się zaledwie dwa czy trzy razy.

- Za dużo palisz, Iwanie - zauważył nagle ojcowskim tonem. - Nawet nie smakujesz tytoniu, palisz odruchowo, automatycznie.

- To pomaga mi rozmyślać - odparł z lekka zdziwiony Iwan, który poczuł się nieswojo wobec zbyt osobistego tonu tego komentarza. - Potrzebuje mnie pan w dobrej formie fizycznej, mam nie mieć złych przyzwyczajzeń... czy to ostrzeżenie?

- Nic z tych rzeczy. Tak mi się wymknęło. Pal, proszę! Zapomnij o tym! Wybacz, powiedziałem to bez namysłu. Jestem jak autor, który otacza troską lubiane przez siebie postaci, usiłuje je chronić. To zbyt wrośnięte w moją podwójną naturę patriarchy hermafrodyty. Mój drogi, jestem jak Śiwa - zarazem *yoni* i *lingam*, mam trochę skłonności do matkowania. Ale też ponieważ uważam za głupie robić coś bez przyjemności, zwłaszcza gdy chodzi o coś równie zmysłowego jak tytoń. Moja uwaga odnosi się skądinąd do wszystkiego: do studiów, seksu czy wojny. Nawet do nienawiści. Nie zapominaj, że masz tylko jedno życie; zapewniam cię, że nie ma powtórek. Zatem pal, ale smakuj papierosy bez pośpiechu. Zawarte jest w tym pewne ryzyko, więc doświadcz go w całej intensywności. Poza tym to prawda, że zależy mi na tobie. Gdzie w epoce telewizyjnej mógłbym znaleźć młody umysł taki jak twój: narwańca, a przy tym pielęgnującego łacinę? Przyznaję, że u podłoża kompulsywnego nikotynizmu leży być może skłonność do autodestrukcji. Zauważ, że samo w sobie nie jest to czymś złym; taki sposób obcowania ze śmiercią wydaje mi się bardziej zdrowy i bardziej hedonistyczny niż ten, który praktykował staruszek Montaigne, ograniczając się jedynie do czystej refleksji. Przyznaję, że palenie stało się dzisiaj prawie wyzwaniem, oznaką arystokracji, ale pomyśl też o zróżnicowaniu podejmowanego przez siebie ryzyka, o wzbogaceniu swego życia przez inne wyzwania. To cię uspokoi, a każdy kolejny papieros stanie się rodzajem małej celebracji. Oto co ja nazywam

eleganckim życiem.

- Uroczu z pana strony, że mi pan o tym przypomina, Lucjanie. Istotnie żyję zbyt skoncentrowany na swoich własnych obsesjach i nie przywiązuję wagi do drobiazgów. Gdy byłem wczoraj z Sonią, przyszło mi na myśl, żeby odszukać swoje łyżwy i pójść z nią na lodowisko. To idiotyczne, ale ten kaprys mnie uszczęśliwił. Podobnie jak wcześniej nóż sprężynowy. Wiem, że ze strachu przed życiem straciłem zbyt dużo czasu z klasykami, poszukując stałych wartości. Uśmiecha się pan?

- Nie śmieję się z ciebie; uśmiecham się z zadowoleniem, to wszystko. Być może o tym nie wiesz, ale pomimo całego swojego pozornego ponuractwa i naburmuszenia jesteś uroczym młodym mężczyzną. Na wydziale teologicznym kilka osób naprawdę dobrze ci życzyło. Raziły je niektóre twoje reakcje, obawiały się twoich wybryków, ale cię ceniły. Tak samo będzie w innych środowiskach, w których się będziesz obracał. Masz wygląd zbuntowanego anioła... Przypominasz mi trochę inną postać literacką, niejakiego Arkadija. Niezwykle czarujący. Pewnego dnia odkryjesz go przypadkiem, jeśli kiedykolwiek zainteresujesz się powieściami.

Iwan poczuł się wzruszony, słysząc te uwagi, toteż nie był w stanie ukryć wdzięczności, jaką odczuwał wobec rozmówcy. Jak to miał w zwyczaju, nie bez trudu się opanował i ze ściśniętym gardłem próbował podjąć dyskusję, żeby zamaskować swoje uczucia:

- Zgoda. Dziękuję. Powróćmy jednak do naszej rozmowy, do problematyki zła.

- Bardzo proszę - odparł Lucjan. - Być może coś jeszcze zostało do rozważenia. Słucham cię.

- Otóż wszystko to, co pan powiedział, jest słuszne i nie mogę temu przeciwstawić żadnego argumentu. Sednem sprawy nie jest jednak poziom kosmologiczny, lecz poziom osobniczy. *Primo*, obecność zła w świecie martwi mnie nie jako socjologa, lecz jako jednostkę; cierpienie mojego bliźniego rani mnie i niepokoi. *Secundo*, skoro ofiary są nie tylko liczniejsze, ale i w mniejszym stopniu odkupione niż agresorzy, oznacza to, że agresorzy wydają się zajmować w pana świecie miejsce uprzywilejowane. *Tertio*, jeśli wziąć pod uwagę Boskie środki, jakimi pan dysponuje, ten świat jawi mi się jako bardzo niedoskonały z moralnego punktu widzenia. Wszystko to pozwala mi zadać panu pytanie o powody, jakie za tym stoją.

- Ależ, Iwanie, już w swojej rozprawie doktorskiej pokazałeś, że stać cię na więcej niż przed chwilą. Przypomnij sobie, w jaki sposób rozkładasz na czynniki pierwsze teksty świętego Anzelma, aby wykazać absurdalność teorii, wedle której Bóg chce odplacić diabłu pięknym za

nadobne wyprowadzając go w pole Chrystusem w przebraniu. Mój drogi, pytania, które teraz zadałeś, są nieprecyzyjne. To kwestie wywołujące szereg innych, pomijając fakt, że stanowią błędne koło i że na niektóre udzielono już odpowiedzi. Zgodzisz się ze mną? Mam nadzieję, że whisky nie ma tu nic do rzeczy...

- Tak, przyznaję - westchnął Iwan. - Ta pozornie uporządkowana forma zdradza mój zamęt. To dlatego, że odkąd pan wszystko pomieszał, nie jestem w stanie uporządkować swoich obiekcji. Zbił mnie pan z tropu, gdy wykazał pan treściowe ubóstwo argumentów Iwana Karamazowa. Teraz uświadamiam sobie, że nie odczytywałem ich z punktu widzenia logiki, lecz z pozycji romantycznego moralisty. Potem podążyłem za pana rozumowaniem zapominając o zachowaniu krytycznego dystansu i zmuszony byłem uznać pana argumenty, ale nie mogę się oprzeć nieodpartemu przeświadczeniu, że pan oszukuje. Nie bez znaczenia jest w tym wszystkim także whisky, a ponadto zaczynam czuć się znudzony. To głupie, ale udało się panu udowodnić, że moje pytanie o zło jest nonsensowne, podobnie jak to głosił Carnap w odniesieniu do metafizyki. A przecież zło istnieje, odczuwam to w sposób afektywny, tyle że nie potrafię tego wysłować, ponieważ czuję się śmieszny.

- Otóż to, mój drogi przyjacielu. Dopóki nie przyznasz się do obawy przed śmiesznością, nie dojrzysz do przemiany. Przyznaję, że logika ma swój wdzięk. Trzeba skądinąd oddać sprawiedliwość naszym potrzebom, nawet jeśli są nieracjonalne, infantylne czy absurdalne. Obawa przed śmiesznością odpowiedzialna jest za wiele bzdur w dziedzinie myśli ludzkiej. Sądzę, że wiem, co cię gnębi, i spróbuję rozwiązać twój niepokój. Powiesz mi, czy mi się to udało. Zaledwie naszkicuję zarys odpowiedzi, gdyż robi się późno, a żebyś pojął, w czym rzecz, muszę przedstawić ci grę w całej jej złożoności. Rdzeniem twojego pytania zdaje się następująca kwestia: dlaczego Bóg stworzył niedoskonały świat, w którym tyle miejsca zajmuje cierpienie? Jego logicznym następnikiem jest: ja, Iwan Sierow, wrażliwy intelektualista, nie cierpię, niemniej cierpienie moich bliźnich mnie niepokoi, wszakże nie ze względu na nich, lecz na mnie. Inaczej mówiąc: skąd mogę być pewny, że żyjąc w tym niedoskonałym świecie, gdzie króluje cierpienie, sam nie stanę się ofiarą? Czy dobrze rozumiem? Zauważ, że nie neguję twojej solidarności z ofiarami, wiążąc ją z rzutowanym na siebie strachem przed cierpieniem w podobny jak one sposób. Jeśli chcesz, możesz zachować swoje współczucie. Twierdzą jedynie, że gdybyś był absolutnie pewny, że nigdy nie zostaniesz ofiarą, twoja solidarność byłaby mniejsza, bardziej abstrakcyjna, gdyż ofiary znajdowałyby się wówczas w kategorii innej niż twoja, prawie jakby

należały do kategorii zwierząt. Bez wątpienia zgodzisz się ze mną, że wczuwanie się w sytuację ofiary jest zasadniczym składnikiem współczucia, czyż nie? Dobrze, to podstawa do tego, by współczucie było ucieleśnione, a nie anielskie. Bez tego rozróżnienia pozostajemy w najgłębszym pomieszaniu, albowiem w tym wypadku należałoby odwołać się do rodzaju trochę mistycznej solidarności ludzkiej będącej inną zamaskowaną hipostazą. Nie chcesz dostrzegać cierpienia, ponieważ jego widok sprawia, że odczuwasz cierpienie; to, którego nie dostrzegasz, nie wywołuje już w tobie aż tak dużego cierpienia. Zgadzasz się? Widok masakry uraża wrażliwość twojego żywego ciała jako ciała, które również można zmasakrować. Zresztą gdy tylko ofiary są martwe, nieruchome, cierpisz już bardziej abstrakcyjnie, raczej jak moralista niż jak istota żywa.

- Zgoda, przyznaję, że tak jest, nawet jeśli towarzyszy temu poczucie wstydu wobec moich bliźnich.

- Pozostaje nam zatem problem niedoskonałego świata. Kiedy indziej wrócimy do kwestii twojego wstydu. Pozorna niedoskonałość świata jest tylko złudzeniem; jeżeli potraktować cały świat jako miarę doskonałości, niedoskonały jest raczej twój mózg. W żadnym wypadku nie oznacza to, że z twoim mózgiem jest coś nie w porządku albo że jestem złym duchem. Terminu „doskonałość” używam bez żadnej moralnej konotacji. Powiedzmy raczej, że gra i całe stworzenie są zbyt złożone, aby ogarnął je ludzki mózg. Ludzie są zbyt egocentryczni i arbitralnie uważają się za najdoskonalsze ze stworzeń. To jeden z waszych dawnych nawyków, nawyk bardzo wygodny; możecie go wyrugować na poziomie racjonalnym, ale nie przestaje funkcjonować w rejestrze emocjonalnym. Niezwykle trudno jest wam zatem rozpatrywać wasz mózg jako część natury, jako jeden z wielu innych produktów biologicznych. Za przyczyną doboru naturalnego jest on bez wątpienia odpowiednim narzędziem orientacji i poznania pozwalającym wam zaadaptować się w waszej niszy ekologicznej. To wszystko. Nic nie uprawnia was do ekstrapolacji, że również dzięki niemu jesteście w stanie wszystko poznać, zatem ludzkie hipotezy dotyczące ogółu tego, co istnieje, prowadzą do nieuniknionych sprzeczności. Gdybyś zechciał zastosować do tego problemu formułę Russella, byłbyś zmuszony uznać, że wasz mózg należy do klasy niższej wchodzącej w skład metaklasy, jaką jest całość wszechświata. Co więcej, mózg ten nie tylko nie może ogarnąć całości tego, co istnieje, lecz nie może także ogarnąć samego siebie, poznać się. Nie powinno przeto dziwić, że człowiek spędza życie na doszukiwaniu się niedoskonałości w mojej grze. Wyobraź sobie przez moment: gdyby

mucha była w stanie rozumować na sposób ludzki, ona też mogłaby się do wszystkiego przyczepić, czyż nie? Otóż w obecnej chwili myślicie mózgiem, który odziedziczyliście po ewolucji biologicznej. Więcej skromności! Przecież każde stworzenie mierzy świat używając swoich własnych parametrów: dla krokodyla rzeczywistość jest przyziemna, ptak widzi świat z perspektywy w trzystu sześćdziesięciu stopniach powietrznej, a dla wiewiórki istota świata jest drzewiasta. Istnieje tylko jeden wyjątek: istota ludzka zdolna jest formułować ogólne stwierdzenia i teorie, co pozwala jej w niewielkim zakresie wykraczać poza automatyczne odruchy i konkretny ogląd tego, co istnieje tu i teraz. Ta podwójna natura człowieka, *simul iustus et peccator*, gotowa jest spłatać mu brzydkiego figła, zwłaszcza gdy nie zachowuje on krytycyzmu wobec swej złudnej wielkości. Człowiek prosty dostosowuje się do tego i żyje swoim życiem, podobnie jak większość kobiet, ponieważ pożądamy jedynie tego, co posiadają sąsiadki. Intelktualiści natomiast przejawiają osobliwą skłonność do babrania się w lepkiem bajorze paradoksalnych zagadnień. Wybacz mi, Iwanie, ale tak właśnie jest.

- Być może - odparł Iwan ziewając. - Albo pan mnie zwodzi, albo jestem kompletnie pijany.

- Robi się późno, mój stary - podsumował Lucjan i się przeciągnął. - Powrócimy do tego kiedy indziej. Wizja piękna gry uleczy twoje upokorzenie.

- Jeszcze jedno pytanie - odezwał się Iwan, wskazując na pustą butelkę. - Zawsze pan tyle pije? Czyżby Bóg był pijakiem?

- Gdy się wcielam, dbam o każdy szczegół ciała, które posłuży mi za wehikuł, w tym również o wątrobę - odrzekł wstając. - To zależy od tego, dla jakiego powodu się wcielam. Doświadczyłem wielu okoliczności, w jakich znajdują się ludzie, nawet najbardziej skrajnych, i nie przestają mnie zadziwiać wasze możliwości, toteż próbuję też zakosztować tego, co sprawia wam przyjemność. Nic nie jest tak straszne jak wieczność. Idź spać. Ja posprzątam.

- Wróci pan?

- Oczywiście, mój drogi, chyba że nie zechcesz mnie przyjąć.

Lucjan rozpląnął się bez rozbłysku światła czy zapachu siarki, zabierając ze sobą butelkę i pusty słoik po korniszonach.

Sporą część nocy prześniłem pogrążony w dziwacznych koszmarach. Męczyły mnie przytłaczające majaki, w których po kilkakroć znajdowałem się zamknięty w zniszczonych salach lekcyjnych, bądź wypełnionych kurzem i pajęczynami, bądź tak wilgotnych, że ściany, upstrzone strużkami wody, pokryły algi i zwarte grona grzybów. Nie mogłem ani usiąść, ani uciec, podczas gdy zakapturzeni, odziani w togi profesorowie z pogardą przeglądali moje zeszyty szkolne. Czasami były to żywe osoby i zdawało mi się, że je rozpoznaję, czasami tylko marionetki o dziwacznych przegubach. Ich spójne skądinąd ruchy miały w sobie coś mechanicznego i ostatecznego. Dlaczego „spójnego” czy „ostatecznego”? Nie mam pojęcia, ale takimi właśnie postaci te jawiły mi się w następujących po sobie odśłonach mego snu, które to niechciane odśłony najgłębszą niestosownością naznaczały kolejne stacje mojej męki. Zdarzało się, że zachrypłym głosem zadawały mi pytania, których nie byłem w stanie zrozumieć; pogardliwym wydęciem warg zbywały moje błagania, żeby powtórzyć pytanie albo żeby mówić głośniejszym głosem. W miarę jak oblewałem egzamin za egzaminem, odsyłano mnie do coraz niższych klas, zabierano mi książki i notatki. Znajdowałem się już to w gromadzie idiotów, już to na całym stosie chorych, pozlepianych razem niemowlaków, wrzeszczących i wzajemnie się drapiących. W kącie jacyś mnisi kopulowali z bezwstydnymi dziewczkami, oklaskiwani przez przebrane za klaunów dzieci. Powierzano mi jakieś drobne prace w czymś na kształt zrujnowanej szkoły, którą miano przekształcić w wesołe miasteczko. Tam również zewsząd sączyła się woda, ponieważ rury były przerdzewiałe, a ja na próżno usiłowałem uratować stare książki rozkładające mi się pod palcami jak lepkie zgniłe liście, które znajduje się w czasie wiosennych odwilży. Były to bardzo

stare księgi, ogromne i ciężkie; ich iluminacje rozpuszczały się i pozostawiały na moich palcach wielobarwne plamy zupełnie jak wtedy, gdy uczyłem się pisać, nie potrafiąc jeszcze dobrze władać piórem. Im bardziej usiłowałem wytrzeć palce o spodnie, tym bardziej plamy się rozprzestrzeniały, wywołując drwiny zwiedzających lunapark. Pokazywali mnie sobie palcem, próbowali szczypać mnie w uszy, przebrane za klaunów dzieci pokazywały mi język i rzucały we mnie fistaszkami. Brodaci profesorowie objaśniali wszem wobec cudowne zalety podobnej do zegara zadziwiającej maszyny skonstruowanej z różnorodnych części pochodzących z rowerów i zabawek muzycznych. Chciałem uciec, ale brudne korytarze doprowadzały zawsze do innych zalanych bibliotek lub sal lekcyjnych wypełnionych lalkami i rozczłonkowanymi manekinami. Na domiar wszystkiego nie mogłem się obudzić, bo żadna z tych rzeczy nie miała w sobie nic naprawdę strasznego; był to raczej nudny obowiązek, na który godziłem się wbrew sobie, w sposób mechaniczny. Zdarzyło mi się nawet zauważyć w oddali samego siebie w mazi starych manuskryptów, pochylonego w poszukiwaniu klucza francuskiego, którym mógłbym poprzykręcać wijące się jak w labiryncie kłębowisko rur do ogrzewania na parę. Próbowałem do siebie zawołać, ale głos miałem zachrypnięty, zgaszony. Tymczasem mój sobowtór, nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa, zagłębił się aż po pas w mazi, z której wydobywały się bańki mydlane.

Tego typu majaki męczyły mnie aż do rana. Przypominam sobie, że po przebudzeniu nie odczuwałem trwogi, która zazwyczaj ogarnia mnie, gdy wynurzam się z koszmaru. Byłem wręcz spokojny, odprężony, jak gdybym podążał od myśli do myśli dla przyjemności oglądania, jak zderzają się ze sobą. Poza tym o dziwo, czułem się również całkowicie wypoczęty, nie odczuwając żadnych skutków całego wypitego w przeddzień alkoholu.

Dobłą godzinę spędziłem rozmarzony w łóżku, nie bardzo wiedząc, co dalej począć, ciągle jeszcze ogłuszony słowami Lucjana. Nie wątpiąc już w jego fizyczne istnienie, nabierałem coraz większej pewności, że zasłyszane odeń rewelacje i argumenty kiedyś przemknęły mi przez umysł. Czy było możliwe, że bawił się samym tylko zmuszaniem mnie, bym stawiał czoło moim własnym elukubracjom? W istocie rozpamiętując słowa mojego gościa, nie znajdowałem w jego dyskursie niczego oryginalnego ani transcendentnego z wyjątkiem tego, że przedstawiony został w bardzo zręcznej formie oraz że Lucjan ma prawie teatralny dar szybkiej repliki. Myśl była absurdalna, ale ogólne wrażenie odnosiłem takie, że mam oto do czynienia z profesorem, który nigdy się nie myli, ponieważ z góry zna argumenty swojego ucznia. Albo bezustannie czytał w

moich myślach, żeby nadać swoim rozważaniom kierunek zgodny z moimi zainteresowaniami i słabostkami, albo najzwyczajniej w świecie rozmawiałem z samym sobą. Wedle tej ostatniej hipotezy mój sobowtór z pewnością posiadał dar przechwytywania moich własnych zahamowań, mojej własnej złej wiary, aby bezustannie rzucać mi wyzwanie i uciszać moje wahania. To wydało mi się wówczas najlepszym opisem tego, co zdarzyło się poprzedniego dnia: rodzaj przyzwolenia, jakie dawałem samemu sobie, żeby w końcu świadomie rozmyślać nad tym, co wcześniej istniało we mnie w sposób zawoalowany, stłumiony i opatrzony negatywną konotacją moralną.

Wątek pionka w grze czy niedoskonałego stworzenia, które służąc Boskim planom realizuje i uświadamia sobie Stworzenie, był mi nieobcy. Przewija się on przez całą myśl chrześcijańską od pierwszych herezji o charakterze panteistycznym i patrystykę aż po Renesans. Przyszła mi wówczas do głowy „Apologia Raimonda Sebon” Michela de Montaigne i zdecydowałem się wreszcie wstać i zajrzeć do tego tekstu w poszukiwaniu innych wskazówek. Pomyśl, że mogę tam znaleźć coś o zażywaniu tytoniu, wydał mi się absurdalny, jednakże i tak postanowiłem spróbować.

Świat jako księga Boga nie różni się aż tak bardzo od świata jako Bożej gry. I oto w „Apologii” odnalazłem nie tylko ducha, lecz również elementy dyskursu Lucjana, w tym cytaty z Augustyna i Cicerona. Ciekawy szczegół, zaznaczyłem je ołówkiem w moim egzemplarzu Drugiej Księgi „Prób” Montaigne’a. Następnie w dziele „O Państwie Bożym” znalazłem ten sam cytat Augustyna podkreślony ołówkiem i opatrzony moimi osobistymi uwagami, w których wzmiankowałem o możliwym podobieństwie do aporii Russella. Szybki rzut oka na inne dzieła w mojej bibliotece dał mi pewność, że albo Lucjan posiada zdolność rozbudzania mojej pamięci i syntetyzowania jej rozproszonych składników, albo miał kiedyś dostęp do moich książek. Hipoteza, że ja sam w naturalny sposób mogłem dojść do tej samej koncepcji rzeczy co Bóg, była bardzo pochlebna dla mojej pychy, lecz skromnie postanowiłem jej jeszcze nie formułować, żeby nie rozwiewać na razie wątpliwości. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że sam Lucjan jest bardzo kuszący; pociągał mnie nie tylko w dziedzinie idei, lecz również jako osoba. Przypominałem sobie estetyczną przyjemność, jaką odczuwałem obserwując go, i do jakiego stopnia doceniałem fakt, że się mną zainteresował. Wszystko to w irracjonalny sposób budziło moją czujność, tym bardziej że równoległe do zimnej refleksji odgadywałem w sobie pragnienie, by przypodobać mu się błyskotliwymi i pełnymi dowcipu uwagami. Kim do licha był, żeby mnie do tego stopnia

oczarować?

Znałem rozmaite ustępy pism kontemplacyjnych, gdyż na początku moich studiów jak wielu innych uległem pokusie natychmiastowości bezpośredniego mistycznego i zmysłowego zespolenia z Bogiem. Ta typowa dla wieku młodzieńczego droga na skróty jest skądinąd bardzo wygodnym zabiegiem pozwalającym zatuszować ubóstwo wiary i sceptycyzm, które osaczają szlachetne natury poszukujące schronienia w teologii. Nie poświęciłem tym ćwiczeniom wiele energii i szybko je porzuciłem, lecz fascynująca obecność Lucjana przypomniała mi treść niektórych z tych tekstów. Akcentowano w nich właśnie nieodparty charakter Boskiej obecności, rodzaj zarazem wszechogarniającej i zatrważającej zmysłowości, która oślepiła świadka i dosłownie przenosi go w ramiona Chrystusa. Chodzi rzecz jasna o pisma nawiedzonych mnichów, ascetów często zdeorientowanych majakami spowodowanymi niedożywieniem i cielesnymi umartwieniami, a zawierających bogactwo odniesień do przyjemności zmysłowych. Na powierzchni tych tekstów wydobywa się seksualna, najczęściej sodomicka alegoria i ów zapaszek niedozwolonego bez najmniejszej wątpliwości przydaje dodatkowej konotacji wszelkim możliwym interpretacjom. Mistyczne zespolenie to bezpośrednia więź pomiędzy dwiema klasami bytów, stworzycielem i stworzonym, a rozwiązanie paradoksu klas dokonuje się właśnie poprzez erotyczne ekstazy, następujące po sobie penetracje i ukorzenia, w których ból oślepiającej światłości porównywany jest bądź do orgazmu, bądź do cierpienia agonii. Miłość i śmierć stają się tym samym dwoma momentami przejścia, wektorami prowadzącymi z jednego miejsca w inne, ale za każdym razem implikują zatrącenie jaźni w spójni z inną istotą.

Nie mogłem ukrywać przed sobą tego niebezpieczeństwa, albowiem obecność Lucjana poza intelektualną przyjemnością, jakiej mi dostarczała, nie była pozbawiona elementów erotycznych. Czyż on sam nie zasygnalizował tej składowej w czasie naszego pierwszego spotkania? Czy uczynił to, aby mnie uspokoić, czy po to, aby rozbudzić moje zmysły?

Grzebiąc w swoich zapiskach, wpadłem następnie na inny rodzaj tekstów, które dotknęły samego rdzenia mojej nieufności. Od początku najbardziej niewiarygodna i najśmieszniejsza w całej tej historii była jego pretensja do bycia Bogiem. Cała literatura teologiczna zawierała jeden tylko przykład tego absurdałnego roszczenia: osobę Chrystusa. Diabeł natomiast wszechobecny był w prawie wszystkim, co istota ludzka napisała znaczącego. Lucjan mógł się wyśmiewać z tej hipotezy, ona jedna była w jakiś sposób spójna ze wszystkim, co znałem. Nie ulegając wierze w upostaciowanego diabła, dopuszczałem wszakże hipotezę zła jako zasadniczą dla zrozumienia

słabości ludzkiej natury. Ponowna lektura moich notatek z chrześcijańskiej demonologii wydała mi się zatem zadziwiająco mało dziecinna.

Czyż w swoim „Żywocie świętego Antoniego” Atanazy z Aleksandrii nie zdefiniował egzystencji eremity jako bezustannej walki z diabłem? A czymże byłem ja sam, jeśli nie rodzajem niewierzącego pustelnika? W tym samym dziele uderzył mnie szczególnie opis oczu demona, parafraza z „Księgi Hioba”, gdyż doskonale stosował się do niebieskich oczu Lucjana: „oczy demona są jak gwiazda poranna”. Poza tym czyż nie mówi on również, że aby nas zwodzić, diabeł przybierać mógł różnorodne kształty, jak anioła, przystojnego mężczyzny czy nawet Boga? Czyż nie zaczynał od tego, że głosił „małe prawdy, zanim wypowie wielkie kłamstwo”? Ale była też mowa o uwodzeniu. W swej „Historia monachorum” Flawiusz Rufin kładzie nacisk na bezustanny cielesny urok, który roztacza duch zła. Pakomiusz postrzegał go pod postacią uroczej i lubieżnej Murzyneczki. Czyż Teresa z Avili nie wyznała, że diabeł często bił ją i przerażał swymi nieskromnymi kształtami? Bonawentura opowiada, jak święty Franciszek nawiedzany był przez diabła i nakłaniany przezeń do marzeń o łakomstwie i grzechu cielesnym. W swej autobiografii „De vita sua” Guibert z Nogentu wyjawia, że gdy ojciec wyruszył na wojnę, matkę co noc nawiedzał inkub. Ewagriusz z Pontu w swym wspaniałym dziele „O praktyce ascetycznej albo Pouczenia dla mnichów” przytacza setki przypadków uwiedzenia przez diabła, nie licząc prawdziwych gwałtów, puszczenia wiatrów, zaśnięcia w czasie modlitwy, przyzwalających efebów, wyuzdanych dziewic i wspaniale obdarzonych mężczyzn, po uderzenia pięścią, uszczypnięcia w ucho, kichanie w czasie mszy podczas podniesienia czy pijaństwo, a wszystko to wyłącznie w celu odwrócenia uwagi anachoretów od obrazu Boga.

Prawdą jest, że te opisy diabła to wytwory folkloru naznaczone piętnem historycznej epoki, w jakiej zostały spisane, i że podążając za radami Erazma czy Pseudo-Dionizego Aeropagity, powinniśmy rozpatrywać osobę Szatana w ujęciu bardziej metaforycznym. Jednakże mimo iż te pradawne historie mogą się nam wydawać śmieszne, wszystkie one akcentują wyjątkowość związku pożądania i karencji istniejącego pomiędzy księciem zła a ascetą. A związek ten jest wszechobecny w każdym uwiedzeniu, czy jest ono dziełem diabła, Boga czy osoby ludzkiej. Niezależnie od tego, jaka jest natura mojego gościa, groziło mi niebezpieczeństwo, że ulegnę jego wdziękowi.

Refleksje te przywiodły mi na myśl wspomnienia i słowa Tiaga. W jego opowieści również chodziło o uwiedzenie, nawet jeśli w grę wchodziła przemoc zmierzająca do

unicestwienia ofiary. Uporządkowałem już większość jego wyznań, zagłębiłem się więc w lekturę w poszukiwaniu jakiegoś śladu. Nie był on w sposób dosłowny tym, co przekazał mi Tiago; jego relacja o tym, co go spotkało, była zbyt urywana, wspomnienia napływały postrzępione, a zdarzenia następowały w nakładających się na siebie fragmentach, których nie był w stanie uporządkować ani chronologicznie, ani logicznie. Sam musiałem stworzyć tę opowieść, starając się osnuć ją wokół najbardziej prawdopodobnego wątku przewodniego.

Nazajutrz rano zabrano mnie z celi dwóch żołnierzy, którzy doprowadzili mnie do pułkownika Figueiredo. Od co najmniej trzydziestu sześciu godzin nie dostałem nic do jedzenia, lecz nie odczuwałem głodu; głowę miałem lekką, jakbym był wstawiony, i tylko od czasu do czasu doskwierały mi skurcze brzucha. Miejscem przesłuchań była koszarowa łazienka, z której usunięto klozety i umywalki, pozostawiając długi boks na prysznic z poźółkłymi kafelkami. Uzbrojeni wartownicy stali przy wejściu do pomieszczenia, którego ciężkie obite drzwi wydawały charakterystyczny odgłos, gdy zamykano je na klamkę. Światło wewnątrz było jaskrawe, oślepiające, więc z wyjątkiem pułkownika żołnierze nosili ciemne okulary. Nie potrafią określić stopni innych uczestników przesłuchania, ponieważ ubrani byli w mundury polowe bez żadnych dystynkcji.

Posadzono mnie w czymś w rodzaju fryzjerskiego fotela pokrytego plastikowym pokrowcem, a ustawionego w samym środku kabiny prysznicowej, nie przywiązując mnie ani nie kładąc się rozebrać. Podczas gdy pułkownik, siedząc okrakiem na krześle, zadawał mi pytania, inni trzymali się na uboczu i palili ze znudzonymi minami. Przypominam sobie, że plastik i podłoga były mokre. Przypuszczam, że tuż przed moim przybyciem torturowali kogoś innego. Bałem się, zaciskałem zęby i starałem się nie patrzeć w stronę stołu, na którym leżały groźnie wyglądające narzędzia. W głębi boksu stał stół chirurgiczny z rzemiennymi pasami do przywiązywania pacjentów, na który sączyła się cienka strużka wody z niedomkniętego prysznic.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu pułkownik poczęstował mnie na wstępie papierosem, którego specjalnie dla mnie zapalił. Jak w przeddzień, w sali z jednostronnym lustrem, jego głos był spokojny, a ton prawie życzliwy.

- Pal, pal, Tiago - powiedział mi. - Mamy czas. Trzeba wypocząć, żeby się zastanowić. Odwalamy tu parszywą robotę. Niezbędną, ale męczącą. To przedsięwzięcie długoterminowe, nie musimy się śpieszyć.

Mówił spoglądając mi w oczy albo uważnie oglądając moje ciało, jakby usiłował wy badać, z której strony zacząć. Sam też zapalił papierosa eleganckim gestem, który pozwalał dostrzec godło kraju na pokrytej emalią srebrnej zapalniczce, i powiedział mi, że wie o mnie już wszystko, czego warto było się dowiedzieć. Według niego niewiele pytań pozostało bez odpowiedzi, więc on naturalnie postanowił przetestować moją dobrą wolę. Dlatego nie zamierza tracić czasu na formułowanie pytań, lecz oddaje mi głos, żebym sam wyznał wszystko z własnej inicjatywy.

Gdy wyraziłem swoje zakłopotanie, odparł, że słucha mnie pilnie i że mogę powiedzieć cokolwiek, co uważam za interesujące i co przyczyni się do wygranej rewolucji wojskowej. On oceni wartość moich informacji i postąpi w zależności od ich wagi.

Na wstępie oznajmiłem, że nie rozumiem, czemu mnie aresztowano, zwłaszcza że organizacja związkowa, do której należałem, jest legalna. Dodałem, że wszystko co inni więźniowie zeznali poprzedniego dnia na mój temat, to konfabulacje, na które sobie pozwolili dlatego, że uważają mnie za zmarłego.

- Czy sądzisz, Tiago, że oskarżając cię, chcą ukryć coś, czego sami są winni?

- Nie wiem. Być może bali się i...

- Bali się? Czego? Że zostali odkryci? Znasz ich? Więc to oni są terrorystami? Czy to masz na myśli? Dalej, powiedz to! Chcieli twojej zguby. Albo wybronisz ich, albo siebie.

- Nie, nic nie wiem o ich działalności. Pojęcia nie miałem, że w ogóle są jacyś terroryści.

- Słusznie, Tiago. Istotnie już ich nie ma albo prawie nie ma. Ty w każdym razie jesteś wyłączony z walki. Ale powiedz mi, co chciałeś osiągnąć całą tą działalnością? Dostać stanowisko w Komitecie Centralnym, zaimponować swojej narzeczonej? ... Doskonale wiesz, że to marzenia ściętej głowy. Nigdy by nie zechcieli takiego nędznego typu jak ty, to oczywiste. Powiadasz: rozchodziło się o wyzwolenie proletariatu? Ależ nie ma nikogo, kto by cię uciskał, przynajmniej nie ciebie osobiście. Mogłeś studiować wieczorowo; zostałbyś profesorem, a ta aptekareczka byłaby twoja. Dlaczego więc zamiast żyć spokojnie, podjudzałeś i walczyłeś? Wyjaśnij mi to!

Nie wiedziałem, co rzec. To co usłyszałem, przypominało reprimendę udzieloną źle wychowanemu uczniakowi, a głos pułkownika przybierał tony zgoła ojcowskie. Przesłuchanie jednak trwało w ten dziwny sposób dobrą godzinę. Odpowiadałem mglście, usiłując odgadnąć cel i przedmiot ciekawości Figueireda. Bezskutecznie. Kilka razy odczytywał nawet fragmenty

akt, kładąc akcent na jakieś szczegóły mojego życia, moich codziennych zajęć, moich przyjaźni, jakby chcąc mi dowieść, że nie szukają niczego konkretnego.

- Potrzebuję twojej współpracy, Tiago, twojej skruchy. Jeśli chcesz, postawimy ci precyzyjne pytania, ale szkoda byłoby, gdyby do tego doszło, gdyż ideałem jest, żeby twoja spowiedź wyszła od ciebie spontanicznie. Jeśli ją z ciebie wyrwiemy, będzie miała mniejszą wartość.

Odnosiłem wrażenie, że nie wiedzą, od czego zacząć, i że po omacku szukają punktów zaczepienia. Być może - myślałem wówczas - nie wiedzą aż tak wiele o mojej podziemnej działalności, o całej organizacji, i spodziewają się, że nieopatrznie się skompromitują. Uświadomiwszy sobie ich słabość, sam poczułem się silniejszy i obiecałem sobie, że słówkiem nie pisnę i poczekam na pytania, żeby się zorientować, o co im chodzi.

Ale żadne pytanie nie padło. Pułkownik wstał wreszcie z krzesła, przeciągnął się i powiedział rozszalony:

- Mamy tyle czasu, ile trzeba, Tiago. Moi ludzie poświęcą sobie teraz trochę na tobie. Nic specjalnie złośliwego, zobaczysz. Nie zapominaj, że nie mają ci zadawać żadnych pytań. Nie musisz cokolwiek mówić. Potrenują tylko, żeby nie wyjść z wprawy. Moja metoda przesłuchań sprawia czasem, że podwładni mi trochę gnuśniej. To do jutra - zakończył.

Skinął na pozostających dotąd na uboczu żołnierzy i skierował się ku drzwiom. Zaalarmowany, chciałem go zatrzymać.

- Za późno, mój stary - odparł. - Powiesz mi jutro.

Usłyszałem metaliczne kłapanięcie ciężkich drzwi i znalazłem się sam na sam z oprawcami. Było ich czterech: młodych, atletycznie zbudowanych, milczących. Ciemne okulary, które nosili, podkreślały złowieszczy wygląd ich prymitywnych gęb.

Próbowałem się bronić, ale rzucili się na mnie z taką brutalnością, ich ciosy były tak precyzyjne, że w kilka chwil całkowicie mnie obezwładnili. Straszliwy ból w klatce piersiowej, przeszywające klucie w czaszce, opuchnięte usta i zalana krwią twarz, wszystko zlewało się w jedno mgliste odczucie, gdy zrywali ze mnie więzienny pasiak. Przykuty do krzesła kajdankami, które wgniatały mi się w przeguby i kostki przy każdym wstrząsie, pogrążony w przerażeniu, krzychałem z zamkniętymi oczami. Ból był tak intensywny, przemieszczał się tak niespodziewanie z jednej części ciała do drugiej, a jego zróżnicowanie było tak niesłychane, że nie potrafiłem uchwycić dokładnej natury zadawanych mi cierpień.

Różnorodność bólu - oto jedyne doświadczenie, jakie mój umysł zachował z tych pierwszych tortur. Przerazenie pojawiało się za każdym razem, był to stan stały, lecz fizyczne cierpienie w całym swym bogactwie jawiło mi się jako najstraszliwsze z przeżyć. Istoty ludzkie znają całą gamę zapachów i smaków, wprawiające je w zachwyty cudowne bogactwo kolorów i brzmień. Ja w głębi otchłani odkryłem wówczas obfitość innego rodzaju doznań zmysłowych, których istnienia zwykły śmiertelnik zaledwie się domyśla: spektrum bólu. Podobnie jak wibracja dźwiękowa czy świetlna wywołują za każdym razem inny efekt w zależności od częstotliwości drgań - zieleń, czerwień, nuty i tony - tak samo fizyczne cierpienie posiada - w zależności od części ciała, na którą oddziałuje, i swojej intensywności - nieskończone bogactwo odczuć, każde z nich zaś posiada właściwy sobie smak i na swój sposób przeszywa nasze ciało. Poza tym ci brutalnie wydawali się mistrzami w sztuce gry na cierpieniach cielesnych, komponowania ich w piekielne akordy. Nie sposób powiedzieć, czym jest ta sztuka, czym jest doświadczenie bólu torturowanego, gdyż każda formuła estetyczna zakłada przyjemność i zaspokojenie zmysłów. Na szczęście istota ludzka nie zajęła się jeszcze formą twórczości, w której artystą jest oprawca. Oficerowie sił zbrojnych mojego kraju, którzy nie wyróżnili się nigdy w jakiegokolwiek bitwie, odnaleźli w sobie tę wirtuozerię, dzięki której okazali się godni swoich nikczemnych poprzedników.

Człowiek ma tę szczególną właściwość, że przestaje percypować niektóre nawet intensywne bodźce, jeżeli bezustannie się powtarzają. Brutale owi z naukową precyzją zapobiegali temu stąpieniu wrażliwości i utracie przytomności ofiary. Prawie wolało się pewne formy bólu od innych, które wprawiały w wibracje tak silne, że groziły zerwaniem strun organizmu. Ich sztuka polegała właśnie na różnicowaniu zadawanych cierpień, aby otrzymać w efekcie taką melodię, która nigdy nie pozwoli ofierze omdleć ani przewidzieć, skąd nadejdzie kolejny cios. Przerwy między poszczególnymi atakami zdawały się odgrywać rolę interwałów w harmonii tej muzyki otchłani. Długie pauzy w czasie seansu, niespodziewane zimne prysznic, nacierania, nasycony amoniakiem tampon wydobywający mnie na powierzchnię i inne przejawy uwagi tego, który wydawał się lekarzem, naznaczały antrakty pomiędzy poszczególnymi częściami ich okrutnej sonaty.

Obudziłem się w celi z wrażeniem, że całe moje ciało zostało zmiażdżone, rzucone na pożarcie sępom. W pierwszych chwilach po przebudzeniu nie byłem w stanie zorientować się, gdzie jestem ani co się stało. Szybkie obrazy straszliwych cierpień przeszywały mi umysł niczym

zbyt intensywne wyladowania elektryczne nie pozwalające otworzyć oczu. Powoli jednak zaczęło do mnie docierać, co się stało, i chociaż nie odzyskałem jeszcze pełnej świadomości, ogarnięty poczuciem całkowitego porzucenia zacząłem płakać. Czulem się tak dotkliwie samotny, że wydawało mi się, jakby reszta świata na zawsze znikła w jakiejś czeluści. Na próżno usiłowałem powstrzymać szloch, który wstrząsając moim ciałem ścisnął mi pierś, sprawiając, że odżywał zaledwie uśpiony ból. Nie czulem ust, gdyż szczęka wydawała mi się znieczulona, napuchnięta do tego stopnia, że miałem trudności z oddychaniem. Nos miałem zatkany skrzepami krwi, ogromnych rozmiarów język zwielokrotniał dziwną gorycz o wyziewach amoniaku. Z odbytu, wywołując straszliwe parcie na pęcherz, promieniowało lodowate zimno przeszywające wnętrzości jak tnące ostrze. Na próżno próbowałem się odprężyć, nie ruszać, nie byłem w stanie wysikać się, żeby ulżyć parciu, które - jak mi się wydawało - lada chwila spowoduje pęknięcie pęcherza. Na powrót pogrążałem się w ciemności, tracąc świadomość swego ciała i zachowując jednocześnie poczucie absolutnego smutku. Inne ocknięcia, utraty przytomności, za każdym razem odkrycie nowego bólu, nowe wspomnienia i zawsze ta sama otchłań.

Nie wiem, ile czasu upłynęło od początku przesłuchania. Niejasno przypominam sobie obecność żołnierzy wokół mnie, kogoś, kto podtrzymywał mi głowę, pomagając napić się letniej zupy lub słodzonej wody, i innego, który okrywał mnie kocem, wytarłszy mi najpierw twarz. Cela była cały czas oświetlona i czasem, prawdopodobnie nocą, żołnierze ze straży zatrzymywali się, żeby mnie pilnować; ani przez moment nie byłem sam.

Kiedy mogłem już wstać, całkiem powróciła mi świadomość, a ból stał się znośny, przynieśli mi posiłek, zaprowadzili pod prysznic i dali czysty uniform więzienny. Jeśli nie liczyć rozbitych warg i siniaków na prawie całym ciele, nie odniosłem chyba poważniejszych obrażeń. Mogłem już sikać, ale nie mogłem oddawać stolca. W zadziwiający sposób, jakby nic się nie wydarzyło, powrócił mi apetyt i przestałem płakać.

Biorąc pod uwagę długość mojego zarostu, od seansu tortur mogły upłynąć dwa, najwyżej trzy dni. Było to jedyne, co do czego miałem pewność, bo ogolili mi głowę i brodę dokładnie w przeddzień przesłuchania. Niemniej odnosiłem dziwne wrażenie, że cierpienie należy do bardzo odległej przeszłości i że na tym się skończy. Błąd - chodziło raczej o to, że pułkownik Figueiredo nienawidził brudu i smrodu ciał więźniów. Sam mi później wyjaśnił, że każdy seans powinien być jedyne w swoim rodzaju, że więzień powinien się stawiać, jakby po raz pierwszy odpowiadał na pytania, i że wszyscy, w tym również oprawcy, powinni próbować całkowicie zapomnieć o tym, co

miało miejsce w czasie poprzednich przesłuchań.

- W ten sposób zaczyna się zawsze z dobrej strony, z zaufaniem, serdecznością i pragnieniem współpracy - zauważył. - W innym razie jedna i druga strona traci twarz i nie da się już posuwać do przodu.

Przyszli więc po mnie i wszystko zaczęło się od nowa. To samo jeszcze raz i znowu, i tak miesiącami. Przeplatali nadzieję rozpaczą, rekonwalescencję cierpieniem, zgrozę i upodlenie, najbardziej nawet totalną absurdalność - niezwykle precyzyjnymi i szczegółowymi pytaniami. Naprzemienność ta obejmowała również drobne przysługi i przejawy serdeczności zmieniające się nagle w nienawistne krzyki, którym towarzyszyły ataki bestialskiej przemocy. Nigdy nie byłem w stanie czegokolwiek przewidzieć, nigdy nie widziałem światła dnia i nawet mój regularnie golony zarost nie mógł mi już służyć za miarę czasu.

Przyznałem się do wszystkiego, co chcieli ode mnie usłyszeć, wydałem towarzyszy i szczegółowo podałem to, co mogłoby im się przydać. Jednakże pułkownik zachowywał się tak, jakby nic z tego nie miało najmniejszego znaczenia, jakby miał te informacje w najgłębszej pogardzie. Prawdą jest, że od chwili mojego aresztowania cały nasz system zabezpieczeń został zapewne zmieniony i to, co miałem im do powiedzenia, było już prawdopodobnie nieaktualne. Poza tym ponieważ trybunały wojskowe działały za zamkniętymi drzwiami, nie potrzebowali dowodów, żeby osądzić mnie i skazać, jak im się żywnie podobało. Tu powstaje kolejne pytanie: czy naprawdę chcą mnie skazać zgodnie z regulami prawa wojskowego, czy wrzucą mnie do wspólnego grobu, zabitego strzałem w tył głowy? Nie znałem odpowiedzi. Równocześnie gdy tylko kończył się seans tortur, kilka szczegółów pozwalało mi absurdalnie żywić nadzieję na spokojniejsze jutro. Bywało, że pułkownik odwiedzał mnie w celi, żeby ze mną pogadać w cztery oczy. W tych chwilach zdarzało się, że opowiadał mi o swej rodzinie, zwierzał mi się ze swego pesymizmu co do przyszłości kraju i ze swego rozgoryczenia wobec niedoskonałości świata. Wyjawiał mi wówczas, że bynajmniej nie nienawidzi Amerykanów, wręcz odwrotnie, z dumą wspominał staż w Waszyngtonie i w Panama City, podobnie jak współpracę z amerykańskimi doradcami. Zwierzał mi się, że podziela moje nacjonalistyczne i postępowe przekonania, lecz zarazem ma świadomość, że Stany Zjednoczone nigdy nie pozwolą, żeby nasz kraj stał się potęgą gospodarczą, że jesteśmy zdegenerowani przez zmieszanie się z ludnością tubylczą i na zawsze skazani na bycie kolonią. Wyznawał, że żałuje, iż południowoamerykańskim siłom zbrojnym przypadły w udziale zadania podrzędne, i marzył o chwalebnych i śmiercionośnych kampaniach

podobnych do tych, które toczyły się w Wietnamie, Kambodży czy w Angoli.

- Oświecona dyktatura, Tiago, oto czego nam trzeba, nowej formy ustroju, w którym lud szanowałby przywódców jak ojców. Moglibyśmy wówczas zachęcić ludzi do pracy, stworzyć prawdziwą potęgę, sprawić, aby wszędzie bano się nas i szanowano. Zapomnij o tych zatruwających ci umysł socjalistycznych wizjach, o tym idiotycznym pragnieniu oddania władzy ciemnym masom. Nie, nam potrzebna jest arystokracja chrześcijańska i militarna, jak niegdyś w Sparcie. Oto czego potrzebowalibyśmy tutaj, żeby stawić czoło tej kulturze skundlonej przez rasy niższe. Niestety nie skolonizowali nas Anglicy czy nordycy. Zatem powinniśmy sami wynaleźć nowy ustrój, żeby odkupić naszą przeciętność. Nie wystarczy mieć wielki czy nawet bogaty kraj, Tiago; trzeba mieć również rasę. Rasę i dogmat.

Nazajutrz można było pomyśleć, że pułkownik całkiem zapomniał o tych wywodach, zachowując się z właściwym mu chłodem i okrucieństwem. Nie miałem żadnego punktu odniesienia. Nie byłem już w stanie zapamiętać szczegółów zeznań i chyba powtarzałem te same historie, całkowicie utraciwszy zdolność myślenia. Jak sobie jednak przypominam, odniosłem wrażenie, że zainteresowałem ich opowieściami o moim dzieciństwie, mojej rodzinie i pierwszych miłościach. Czasem wydaje mi się, że zmyślałem też od podstaw jakieś historie, żeby ich rozerwać, jak na przykład konfabulacje na temat dzieciństwa towarzyszy ze związku zawodowego czy plany na przyszłość, gdy będę już wolny i bardzo bogaty... Niczego nie jestem już pewien. Być może wszystkie te niezborne informacje to tylko wytwory mojego umysłu rozstrojonego torturami, które jawią mi się rzeczywiste dzisiaj. Gubię się też w domysłach co do powodów, dla których przesłuchania te ciągnęły się aż tak długo. Wszystkie wyjaśnienia, jakie przychodzą mi na myśl, są absurdalne, a innych nie znajduję. Sądzę, że pułkownik Figueiredo przyzwyczaił się do mnie albo że postanowił doprowadzić mnie do szaleństwa.

Nie mam pojęcia, czy sposób, w jaki zostałem potraktowany, stał się także udziałem innych więźniów. Nigdy nie miałem okazji się z nimi zetknąć; jeśli czasem mijaliśmy się z jakimś na korytarzu, obecność eskorty zmuszała nas do zachowania milczenia i spuszczenia wzroku. Z mojej celi słyszałem czasem wypowiedziane w szaleństwie słowa, ale nigdy nie krzyki. Sala przesłuchań usytuowana była w oddalonym skrzydle koszar, dokąd nas doprowadzano z zachowaniem daleko posuniętej dyskrecji; nie wiem nawet, czy zwykli żołnierze, którzy nas pilnowali, wiedzieli o naszym męczeństwie. Wydaje się, że w większości byli to zwykli poborowi interesujący się tylko odbyciem przepisowego czasu służby wojskowej. Niekiedy gdy nic się nie

działo, a sądzę, że było to nocami, jakiś litościwy żołnierz podawał mi bez słowa zapalonego papierosa, lecz nie odpowiadał na żadne z moich pytań.

Byłem coraz bardziej osłabiony fizycznie, ale nigdy nie na tyle, by nie reagować. W każdej chwili moim ciałem wstrząsał szloch połączony z dreszczami, skurcze jelit, po których następowały biegunki, trzymały mnie potem całymi dniami w latrynie, jądra miałem martwe. Zdarzało mi się sikać krwią i lekarz musiał założyć mi cewnik, żebym mógł opróżnić pęcherz. Gdy wymioty nie ustawały i nie mogłem utrzymać w żołądku nawet zupy, przenieśli mnie do infirmerii. Potem już mnie nigdy nie torturowano.

Była już noc, gdy skończyłem czytać tekst o cierpieniach Tiaga. W czasie lektury zatrzymywałem się często, żeby pozwolić pamięci na przypomnienie sobie dźwięku jego słów, fragmentów urywanej wypowiedzi, klimatu wielkiego smutku, w który spowite było wszystko, co miał do powiedzenia. Nie można było oddać tego w codziennym języku, który zaledwie sugerował uczucia; pod wpływem autentycznego poruszenia słowo ustępuje zawsze miejsca milczeniu albo łzom. Ja również z szacunku dla Tiaga postanowiłem nie podkreślać straszliwych szczegółów tortur, których stał się ofiarą, nawet jeśli powracały one w jego opowieści jak niekończący się koszmar. Wielu z jego refleksji i odruchów buntu nie mogłem przeto umieścić w tekście, ponieważ odnosiły się często do inwencji w okrucieństwie, jaką przejawiali oprawcy, pragnąc spowodować ból fizyczny, któremu towarzyszyłby wstyd i upodlenie. Ich intencją bez wątpienia było nie zneutralizowanie przeciwnika politycznego, lecz unicestwienie go. Aby tego dokonać, destrukcji powinien towarzyszyć najbardziej absolutny strach, trwoga, która doprowadzi ofiarę do definitywnej utraty wiary we wszystkich bliźnich, we wszystkie wartości, we wszystko, co mogło zawierać choćby odrobinę piękna.

A jednak Tiago pozostał przy życiu. Skąd zatem czerpał tę siłę, jeśli nie z samego życia? Jego Bóg go opuścił, lecz on nie przestał go poszukiwać, aby zaświadczyć o swojej miłości życia. Jeśli wierzyć słowom Lucjana, była to groteska. Nie mogłem zaprzeczyć, że Lucjan ma rację zachęcając mnie do patrzenia na życie jak na walkę. W istocie stan Tiaga bardzo się poprawił, odkąd go poznałem, a stało się to właśnie za sprawą realistycznego uporządkowania emocjonalnego bezładu całości jego wspomnień, zaś kierunkiem, jakiego nie przestawałem nadawać naszym rozmowom, był powrót do życia, chociażby miało to być życie pojmowane jako gra.

Obiektywnie Lucjan nie miał w sobie nic demonicznego, nie licząc faktu, że usiłował odwrócić mnie od Boga, żeby doprowadzić mnie do życia. Skoro sam wybrałem tę drogę, zanim jeszcze go poznałem, zdawał się wymagać ode mnie jedynie refleksji. Kością niezgody między nami pozostawał problem zła. Nawet jeśli zdołał mnie przekonać, tak jak to uczynił poprzedniego dnia, doświadczenie Tiaga jako niepowtarzalnej istoty ludzkiej na zawsze pozostanie częścią mej świadomości, oddzielając świat Lucjana od mojego. Różnica polegała na tym, że Lucjan był mistrzem gry, natomiast udziałem pionków było całe cierpienie i całe ryzyko. Dał mi wszelako do zrozumienia, że w końcu wyjaśni mi również i ten sporny punkt i że definitywnie mnie przekona. Czy przekonałby również Tiaga? zastanawiałem się spoglądając na to, co napisałem.

Tak jak się umówiliśmy, Sonia czekała na mnie w pewnej restauracji i na widok jej ładnej twarzyczki rozchmurzyłem się i całkowicie dałem się owładnąć nadziei nowego życia.

6

- Tak, istnieją źli ludzie - powiedziała mi poprzedniej nocy Sonia, gdy gawędziliśmy w łóżku. - Każdy robi coś złego, ale to nie znaczy, że człowiek jest z natury zły na wskroś. Bywa taki z różnych powodów, ze strachu, z egoizmu, z obawy przed tym, co pomyślą inni, z czystej głupoty. Jednakże w głębi ducha ludzie chcą postępować dobrze. Chociaż sędzę, że są też ludzie źli, to znaczy bardziej źli niż dobrzy, i to przez całe życie. Co należałoby z nimi zrobić, z tymi naprawdę złymi? - zastanowiła się i zaraz sama sobie udzieliła odpowiedzi: - Nie wiem. Pewnie najlepiej ich unikać, tak mi się wydaje. Albo wyłapać i przymusowo leczyć, żeby już więcej tak nie robili. Tak, leczyć ich, bo złość musi być uleczalna, nie uważasz?

Zaczęliśmy rozmawiać w sposób niezobowiązujący. Sonia była niewinna, pełna życia, a ja chciałem się dowiedzieć, jak to robi, że jest aż tak beztrocka w tak niebezpiecznym świecie. Leżąc u mojego boku po akcie miłosnym pozwalała się pieścić bez żadnego skrępowania, odczuwając całkowitą harmonię ze swoim ciałem, z ciałem zdrowej młodej kobiety. Zło w sensie ogólnym zdawało się jej nie dotyczyć, gdyż dla niej sprowadzało się do jednostkowej złośliwości; był to rodzaj przywary, którą należało skorygować, zaledwie coś w rodzaju złego przyzwyczajenia.

Ponieważ uparłem się, żeby sprawę drążyć dalej, zakłopotana Sonia oznajmiła mi, że przykro jej się o tych sprawach rozmawia. „Te rzeczy nie są piękne i nie warto się nad nimi rozwodzić” - rzekła. Potem z nutką niepokoju w głosie zapytała mnie, dlaczego podobne myśli tak bardzo zaprzatają mi umysł i czy przypadkiem nie mam względem niej złych zamiarów. Schowała się pod kołdrą i wyznała mi, że w czasie naszego pierwszego spotkania trochę się mnie

bała.

- Wszystkie te książki, wszystkie te papiery - powiedziała. - Brutalny sposób, w jaki mnie wzięłeś. Nic nie mówiłeś... Miałam wrażenie, że mną gardzisz, że możesz mi zrobić coś złego. Daj spokój, Iwanie. Czuję się nieswojo, gdy mówisz o takich nieprzyjemnych rzeczach, zwłaszcza w łóżku. Czy nie uważasz, że to dobrze, że jestem tu z tobą? Ja czuję się tak dobrze, tak bezpiecznie, gdy widzę, jak się uśmiechasz. Tylko wtedy gdy marszczysz brwi i mówisz o złych rzeczach, zastanawiam się, czy naprawdę chcesz, żebym tu została z tobą po tym, jak się kochaliśmy.

Próbowałem ją więc uspokoić, mówiąc jej o mojej samotności, o moim braku nawyku, żeby czuć się w ten nowy sposób szczęśliwym. Miałem wtedy wrażenie, że okradam ją z czegoś, że brukam jej niewinność moimi przygnębiającymi zainteresowaniami. Ona jednak słuchała, najpierw wpatrzona we mnie uważnie, potem wtulona w moje ciało i obejmująca mnie ramionami. Opowiedziałem jej o Tiagu i o książce, którą miałem zamiar napisać, o tym, jak od czasu studiów myśli te powoli dojrzewały, żeby wywrzeć wpływ na moje życie. Że gdy ją spotkałem, właśnie zacząłem się zmieniać, otwierać i próbowałem wymyślić sobie inny sposób na życie. Ale że potrzebuję trochę czasu, bo wszystko to jest dla mnie nowe, a oprócz tego trudno mi się jeszcze zdecydować, czy porzucić komfort abstrakcyjnych pewników.

Sądzę, iż zrozumiała, że ja również bałem się od momentu naszego pierwszego spotkania. Swoim ładniutkim buziakiem, po dziecinnemu wydymając wargi, jakby się dąsała, zapytała mnie wówczas:

- Czy mimo wszystko lubisz mnie jeszcze troszeczkę?

Znów z wielką czułością zaczęliśmy się kochać. Każde chciało zaspokoić drugie, jakby nasze ciała były czymś niesłychanie cennym. Co do nas samych i życia każdego z nas, musieliśmy nauczyć się ponosić ryzyko. Jakie to szczęście, że jest taka zdrowa, tak bliska rzeczy prostych - pomyślałem zasypiając.

Tej nocy nie nękały mnie żadne koszmary. Gdy się obudziłem, Sonia nie znikła jak w bajce, lecz spokojnie spała u mojego boku. Jej ciepła skóra miała miły i kojący zapach. Poczulem wówczas pewność, że życie musi być rozleglejsze, niż sobie dotąd wyobrażałem.

Poranek spędziliśmy razem na poprawianiu ostatniej pracy, którą musiała złożyć, żeby zakończyć sesję. Chodziło o niezgrabny, wzruszająco naiwny tekst o sposobach, w jakie niemowlęta wyobrażają sobie świat. Sonia była dumna, że go napisała, i pozwoliła mi go

poprawić tylko pod względem językowym, tłumacząc, że jako opiekunka do dziecka mimo wszystko lepiej niż ja zna się na niemowlętach. Nie sposób było z nią dyskutować; swoje argumenty wspomagała tak uroczymi dziecinnymi wyrażeniami i minkami, że zdałem sobie sprawę, że moje gry językowe są tylko bladym odbiciem rzeczywistości. Z jej słów emanowała również wielka mądrość.

- Iwanie kochany - powiedziała - to nie wykład o niemowlakach! To musi być przede wszystkim urocza, miłusia praca bez zbytecznego gadulstwa. Profesor chce wiedzieć, czy kocha się niemowlęta czy nie, więc jeśli wszystko skomplikujesz, co sobie o mnie pomyśli?

Po południu poszedłem spotkać się z Tiagiem. Lektura gazet z ojczyzny bynajmniej go nie zbulwersowała. Co prawda nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyrazić sprzeciwu wobec łatwości, z jaką jego współobywatele zdawali się zapominać o zbrodniach dyktatury. Za każdym razem gdy natrafiał na nazwisko jakiegoś oprawcy, którego zrehabilitowano albo wybrano na posła czy senatora, dawał wyraz pogardliwej wściekłości, ale wydawało się to mniej intensywne. Sądzę zresztą, że przebiegał wzrokiem wszystkie informacje w poszukiwaniu jednego nazwiska, swojego pułkownika. Ponieważ nie znajdował go, wyładowywał się na innych, w tym na osobistościach z rubryki towarzyskiej. Skądinąd z wielką ciekawością studiował wszelkie wzmianki prasowe dotyczące codziennego życia, jakby przestał żywić awersję do społeczeństwa.

Wkrótce zaczął mi z przyjemnością opowiadać o zwyczajach swojego kraju, które przypomniał sobie w czasie niedawnej lektury gazet: o rzeczach najprostszych, o zabawnych wyrażeniach czy wreszcie o piramidalnym chaosie ruchu drogowego w wielkich miastach.

Słuchałem tego, co mówił, z roztargnieniem, zainteresowany raczej stanem jego ducha. Był żywszy niż zazwyczaj, prawie radosny. Ta nowa energia zaczęła się pojawiać już kilka dni wcześniej zarówno w formie jego wypowiedzi, jak i w pragnieniu opowiadania, ale po raz pierwszy widziałem go rozprawiającego również o codziennych banalnych sprawach bez związku z cierpieniem. Miło było zobaczyć go w tym stanie, gdyż ja również byłem w radosnym nastroju.

Nie dał się prosić, gdy zaproponowałem mu, żebyśmy wyskoczyli na piwo „Pod Łajbę”, zanim podejmiemy naszą codzienną dyskusję. Wydawało mi się nawet, że chciałby nieco odwlec chwilę, gdy zgodnie z naszym przyzwyczajeniem podejmiemy tematy bardziej osobiste. Sądziłem, że on również powraca do życia, i gotów byłem nie nalegać, gdyby pragnął pozostać na powierzchni rzeczy.

Przeciwnie, już po pierwszym piwie gotów był powrócić do siebie. Jakaś myśl zaprzętała mu umysł i być może nie wiedział, jak o niej otwarcie powiedzieć. Nie wiem, czy to o tym właśnie chciał rozmawiać, ale zanim zdałem sobie sprawę, rozmowa zesłała na szaleństwo. Ze strony Tiaga było to coś nowego, gdyż zawsze był bardzo powściągliwy w relacjonowaniu mi niektórych swoich reakcji. Na samym początku naszych spotkań, gdy zaczął mi się zwierzać, próbowałem go uspokajać, sugerując mu możliwość zaistnienia chwilowych stanów nierównowagi psychicznej spowodowanych torturami, głodem i całkowitym odosobnieniem, lecz on uciął moje wywody i przypominam sobie nawet, że wydawał się urażony, że wspominam o tej hipotezie.

Z własnej woli powracał więc do roztrząsania tych samych kwestii, ale w sposób pokrętny, klucząc, jakby wstydliwie pragnął ukryć, że mimo wszystko go interesują. Opowiedziałem mu wówczas, co wiedziałem o dysocjacyjnych skutkach skrajnej izolacji zmysłowej połączonej z niedożywieniem i cierpieniem fizycznym. Te rzeczy zostały opisane i potwierdziłem mu, że ludzie, którzy je przeżyli, mówili o doświadczaniu wszelkiego rodzaju halucynacji, nastroju depresji lub dziwacznych wrażeniach odczuwania ciała w przestrzeni. Nie miałem jednak szczegółowych informacji o tych zjawiskach i pamiętam, że zasugerowałem mu, by poszukał rady u psychiatry, jeśli chce się dowiedzieć o tym czegoś więcej.

- A ty, Iwanie, czy zwierzyłbyś się komuś ze spraw tak intymnych? - zapytał poruszony.

- Nie wiem - odparłem. - Być może nie. Jednakże bez wątpienia trzeba się samemu znaleźć w takiej sytuacji, żeby móc to ocenić. Jeśli to cię gnębi, dlaczego nie? Zapewne treść twoich majaków nie ma znaczenia, skoro były wynikiem osłabienia organizmu. Sądzę, że jednostka przestaje być odpowiedzialna za to, co myśli, jeśli znajdzie się poniżej pewnego progu zachowań ludzkich. W takich okolicznościach doznania psychiczne nie zależą od nas i nie należy się w nich dopatrywać jakiegokolwiek sensu. Wówczas były to niewątpliwie reakcje twojego rozregulowanego mózgu. Powinieneś się raczej starać o tym zapomnieć... Czy miewasz jeszcze takie wizje?

- Nie, nigdy - odparł zamyślony. - Ale... Czasem przypominam coś sobie i nie potrafię tego zrozumieć, to wszystko. Być może za bardzo uwierzyłem w te fantazje, do tego stopnia, że... Do tego stopnia, że prawie zapomniałem o torturach. To była samotność tak przerażająca. Wiesz, co myślę? Pozostawili mnie samego w tej celi, żebym tam zdechł. Na pewno tego chcieli... Zastanawiam się i nie daje mi to spokoju, dlaczego nie wykończyli mnie jednym

strzałem albo ciosem pałką. Czy to możliwe, że po prostu o mnie zapomnieli? Dziwaczne, nie uważasz? - zakończył wykrzywiając usta w sztucznym uśmiechu.

- Będziesz musiał zapomnieć, Tiago. Żyjesz i tylko to się liczy. Twoje ciało było silne, utrzymało cię przy życiu wbrew ich woli. Jednakże to wszystko należy już do przeszłości. Pomyśl raczej, że masz szansę powrócić do siebie choćby po to, żeby znów zobaczyć ulice, przechodniów, krajobraz.

- Tak, Iwanie, oczywiście. Twoje słowa koją ból. Moje dziwaczne myśli sprawiają, że zapewne cierpię bez powodu. To z pewnością echa załamania nerwowego, któremu mimo woli usiłuję nadać sens, jakiego nie ma.

- To skutki tortur. Musisz je przezwyciężyć albo będzie tak, jakby ci ludzie ciągle jeszcze mieli nad tobą władzę, władzę absolutną. Odtąd ty sam decydujesz. Pozbaw ich tej mocy oddziaływania na odległość.

- Dzięki, Iwanie. Rozmowa z tobą zawsze dobrze na mnie wpływa. Czuję się lepiej, bo mam wrażenie, że jesteś równie ludzki jak ja.

Nie przypominam sobie dokładnie słów, jakie wymieniliśmy między sobą tego popołudnia, lecz pewien jestem, że ich emocjonalny ładunek był potężny i że bardzo pragnąłem Tiaga przekonać. Wydawał mi się taki kruchy, taki porzucony, że udało mi się przezwyciężyć wstyd i podjąć próbę przemówienia mu do rozsądku nawet ryzykując, że wywołam u niego lekki wstrząs. Intencje miałem dobre, a postępy z dnia na dzień były coraz bardziej obiecujące. Przekonany byłem, że Tiago powróci do życia i nawet nie odzyskawszy pełnej sprawności fizycznej, będzie jeszcze umiał spożytkować to, że nie wykończyli go jak zwierzęcia. Moja naiwność równała się tylko mojej nieznajomości ludzi.

Po powrocie do domu, zanim jeszcze spisałem swoje notatki z ostatniej rozmowy, pograżyłem się w lekturze tej części opowieści Tiaga, w której zrelacjonował mi swój pobyt w karczerze.

*

Nie wiem, ile dni spędziłem w towarzystwie innych chorych w wielkiej sali infirmerii. Często pozostawałem półprzytomny, prawdopodobnie pod wpływem środków uspokajających. Na początku moje sny były nieostre; przybierały formę bądź reminiscencji scen tortur pozbawionych

wrażeń cielesnych, bądź obrazów przesuwających się po moim umyśle jak kolekcja fotografii. Po prostu oglądałem je, nie usiłując ich zidentyfikować; nie wywoływały też we mnie żadnych szczególnych wrażeń. Czasem budziłem się, gdy pielęgniarze myli mnie lub zmieniali pościel albo gdy próbowali napoić mnie odrobiną zupy. Doskonale przypominam sobie natomiast bezustannie włączone oświetlenie, ładnie odbijające się kolorami tęczy w zawieszonym nade mną naczyniu z kroplówką.

Z czasem mogłem wstawać na posiłki i żeby wyjść do toalety. Jacyś lekarze o beznamiętnych twarzach robili obchód, ograniczając się do odczytania z karty choroby zapisków pielęgniarzy i pośpiesznego osłuchania mnie w milczeniu. Nie wiem, jakie zapisywali mi lekarstwa. Liczyło się tylko jedno: spać. Na szczęście zostawiali mnie w spokoju; w przeciwieństwie do innych nie byłem przykuty kajdankami do łóżka. W każdym razie czułem się tak słaby i obolały, że na myśl nie przyszło mi nawet, żeby próbować ucieczki.

Któregoś wieczoru bez zapowiedzi przenieśli mnie do karceru. Podczas przenosin, gdy schodziliśmy po niekończących się wąskich schodach, spytałem któregoś z eskortujących mnie żołnierzy, czy prowadzą mnie na egzekucję. Nie odezwał się słowem, ale zamiast odpowiedzi zapalił papierosa i podał mi go, zanim zamknął za mną celę.

W środku było bardzo ciemno. Jedyne światło wpadało z korytarza przez małe zakratowane okienko w drzwiach, służące za judasza. W dalszym ciągu stałem, czekając nie wiadomo na co i zachłannie paląc papierosa, który jak sądziłem, był moim ostatnim. Skutki tytoniu na moim wycieńczonym ciele nie kazały na siebie czekać; przyjemne uczucie oszołomienia i rozluźnienia wszystkich mięśni zmusiło mnie do osunięcia się na beton. Pozostałem tak otępiąły przez jakiś czas, do chwili gdy moje oczy zaczęły trochę lepiej rozróżniać zarysy pomieszczenia.

Była to prostokątna cela o wymiarach mniej więcej trzy metry na półtora, bez siennika ani ubikacji. Stało tam tylko wiadro z przeznaczeniem na ekskrementy. Za łóżko służył lekki od brudu koc. To wszystko. Ściany i podłoga, które miałem okazję dokładnie obmacać w czasie mojego tam pobytu, były bardzo gładkie. Nie miałem ani butów, ani paska. Nie musieli mnie pilnować, gdyż nie miałem żadnej możliwości popełnienia samobójstwa, chyba że waląc głową w beton.

Raz na dzień strażnicy przynosili mi wodę i pożywienie; mogłem wówczas opróżnić zawartość wiadra do ubikacji - przechadzka długości około czterdziestu sześciu kroków tam i z powrotem. Potem znowu milczenie i samotność aż do następnego dnia. Nie sądzę, by w tej części koszar znajdowali się inni więźniowie. W nieregularnych odstępach czasu ktoś przychodził ogolić

mi zarost i włosy maszynką, po czym mogłem umyć się mydłem pod kranem umieszczonym w tym samym miejscu co ubikacja.

Pożywienie składało się z miseczki ryżu z fasolą, w których odnajdywałem czasem jakieś twardsze cząstki, kawałki jarzyn czy może ryb - nie potrafiłem tego do końca rozpoznać. Pojemnik na wodę był dosyć duży, więc nie cierpiałem z powodu pragnienia, chociaż jedzenie było często mocno przesolone.

W pierwszym okresie byłem zbyt otępiały, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, i głównie spałem czekając, aż po mnie przyjdą. W miarę jak zabliźniały się moje rany, gdy pomimo bólu byłem już w stanie oddać mocz i stolec, zaczynałem postrzegać rutynę, jaką mi narzucono. Czas płynął, wciąż żyłem, wydawało się, że przestali się mną interesować - ponownie zacząłem odczuwać rodzaj nieokreślonej nadziei. Na razie była to nadzieja rannego zwierza, nie mająca w sobie jeszcze nic z ludzkich odczuć. Marzyłem, że nie zabiorą mnie już na tortury, że mnie nie wykończą, a w najbardziej euforycznych momentach, że zostanę skazany i odesłany do prawdziwego więzienia. Wstydzilem się co prawda swojego zachowania w czasie tortur, ale nie byłem w stanie wyobrazić sobie kogokolwiek, kto zachowałby się inaczej w obliczu okrucieństwa oprawców. Zastanawiałem się też, jak zareagowałbym, gdybym spotkał dawnych towarzyszy. Ból, który w dalszym ciągu odczuwałem, stanowił w tamtym okresie rodzaj wymówki i przypominam sobie, że z pewnym niepokojem myślałem, iż mogę wyzdrowieć do tego stopnia, że znikną ślady doznanych tortur. Jakże mógłbym wówczas stanąć przed innymi, jak uwierzyliby mi, że zeznania wymuszono wbrew mojej woli? I tak uczucie głębokiego upokorzenia pozwalało mi znieść bez większych trudności ów stan całkowitej samotności.

Licząc kuleczki zaszuszonego ryżu, którymi odmierzałem dni pobytu w izolatce, zorientowałem się, iż upłynął mniej więcej miesiąc. Nie miałem pojęcia, od jak dawna jestem uwięziony, gdyż nawet w przybliżeniu nie byłem w stanie określić, ile dni mnie torturowano. Sądziłem, że trwało to również najwyżej miesiąc, bo w przeciwnym wypadku moje ciało nie wytrzymałoby permanentnego niedożywienia. Jednakże niczego nie byłem pewien, zwłaszcza że unikałem rozpamiętywania tego, co zdarzyło się wcześniej. Prawdziwy czas rozpoczął się w tej ciemnej celi; reszta należała do pierwotnego chaosu, do czegoś nie dającego się pomyśleć, czego wolałem nawet nie uważać za rzeczywiste. Mógł więc być koniec września albo początek października. Dobroczynne ciepło czyniące znośnym moje betonowe posłanie mogło również oznaczać, że zbliża się listopad. Przypominam sobie, że na początku mojego uwięzienia

cierpiałem z powodu zimnych i wilgotnych nocy, i to w obecnej sytuacji przynosiło mi pocieszenie.

Całymi godzinami usiłowałem nie zasnąć, starając się sobie przypomnieć przeczytane niegdyś książki i znane mi historie lub wymyślając zakończenia niewinnych scen, które przychodziły mi na myśl. Zaczynał mnie przytłaczać panujący w celi mrok, który z początku wydał mi się uspokajający. Wszakże na nic nie zdawało się pozostawanie z nosem przyklejonym do judasza, gdyż na korytarzu również było ciemno i nikt tamtędy nie przechodził. Musiałem zadowolić się widokiem gładkiej i jednolitej ściany naprzeciwko moich drzwi. To wówczas umysł zaczął platać mi figle.

Zdarzało mi się tracić poczucie czasu do tego stopnia, że nie wiedziałem już, czy właśnie jadłem czy czekałem, aż przyniosą mi posiłek. Zaczynałem też podejrzewać, że godzina posiłku i wyjścia do ubikacji nie jest stała, że zdarza im się któregoś dnia nie przyjść albo wrócić po upływie kilkunastu zaledwie minut. Kiedy indziej cela wydawała się większa lub mniejsza i potykałem się o wiadro, chociaż postawiłem je we właściwym miejscu, z dala od pojemnika na wodę. Zdawało mi się, że widzę rozbłyśki światła, miałem wrażenie, że przez ściany śledzą mnie jakieś oczy albo że w czasie snu po mojej twarzy przechadzają się karaluchy. W czarnej przestrzeni z wolna, lecz stale przemieszczał się też mały kwadracik judasza, co wywoływało odczuwalne wrażenie, że cela obraca się wokół osi.

Wszystko nabrało przyśpieszenia z chwilą, gdy poprosiłem o coś do czytania. Eskortujący mnie do ubikacji żołnierz wydawał się zdziwiony, że mogę jeszcze mieć takie zachcianki, i uśmiechnął się tylko. Kilka dni później z żołnierzami, którzy przynieśli mi pożywienie, przyszedł kapelan wojskowy. Wręczył mi prawie nową Biblię oprawną w czarne płótno. Byłem radośnie podniecony.

- Nie męcz sobie oczu - powiedział zamykając drzwi celi. - Oby słowo Boże oświetliło twoją drogę. Masz prawo do regulaminowej pół godziny lektury dziennie.

Rozplómienny chęcią zagłębienia się w księżde, nie poczekałem, aż zapalą światło. Przyklejony do drzwi, z Biblią trzymaną w wyciągniętych rękach, frenetycznie zacząłem przeglądać ją w wątlým świetle przenikającym przez judasza. Była to wydrukowana bardzo małą czcionką protestancka Biblia będąca obietnicą świata marzeń i przyjemności. Jak każdy prawy katolik nigdy w życiu nie czytałem Starego Testamentu; co najwyżej słyszałem wcześniej o kilku scenach czy psalmach. To było tak wspaniałe, że nie byłem w stanie czegokolwiek przeczytać;

ograniczałem się do łapczywego i bezładnego kartkowania książki, tu zatrzymując się na wzmiankę znanego imienia, ówdzie natrafiwszy na interesujące zdanie lub też przerzucając strony w poszukiwaniu tytułów. Moją uwagę przykuł zwłaszcza indeks, podobnie jak jadłospis nieopisanej uczyty, której poszczególne potrawy obiecywałem sobie degustować powoli, żeby trwała jak najdłużej.

Nagle do mojej celi ciężkim krokiem zbliżył się wartownik. Spojrzałem w zadowoloną twarz młodego, dobrze odżywionego, lecz ograniczonego mężczyzny i osłupiały nie od razu pojąłem znaczenia jego słów:

- Pół godziny się skończyło. Teraz lulu!

I zamknął zewnętrzną klapkę judasza, pogrążając mnie w całkowitych ciemnościach.

Moje rozczarowanie było tak głębokie, że zaniósłem się szlochom. Nareszcie zrozumiałem ponury żart kapelana. Czy to możliwe, żeby człowiek wykazał się aż takim okrucieństwem? Na pewno zapalą jakiegokolwiek światełko, nie pozostawią mnie przecież w grobowych ciemnościach. Oczekiwałem na próżno.

Mijały godziny, a wraz z nimi szok mojego rozczarowania. Wszystko co dane mi było przeczytać w świetle judasza, było mi pewnym pocieszeniem przez obietnicę przyszłych minut lektury. Obiecywałem sobie, że nazajutrz będę bardziej zdyscyplinowany, żeby lepiej wykorzystać regulaminowe trzydzieści cennych minut, i doszedłem do wniosku, że jedynym sposobem, żeby się nie zgubić, będzie czytanie książki od początku, nie ulegając już pokusie ponownego jej przeglądania. Pozwoliłoby mi to na zaznaczanie stron i za każdym razem, bez straty czasu, na podjęcie lektury w miejscu, gdzie ją poprzednio przerwałem.

Całkowita ciemność posiadała jednak przedziwną moc, której wówczas jeszcze nie znałem. Dokąd mały zakratowany kwadracik światła był widoczny, bez wysiłku mogłem w moim dryfowaniu zachować jakiś punkt odniesienia. Gdy moje myśli zaczynały się gmatwać, wystarczyło, że na niego spojrzałem, że skierowałem ku niemu kroki, a natychmiast z powrotem udawało mi się znaleźć orientację w przestrzeni. Poza tym w osobliwy sposób wyznaczał też granicę pomiędzy dwoma światami, moim i ich. Pomimo mojej sytuacji uwięzionego to rozróżnienie zapewniało mi część tożsamości i istnienia. Była to co prawda tożsamość melancholijna i upodlona, ale mogłem się nią posługiwać do obrony przed niedorzecznymi wstrząsami mojej duszy. Judasz stanowił granicę przestrzeni rzeczywistej. Skutkiem jego zniknięcia z mojego pola percepcyjnego był definitywny zanik punktów orientacji w świecie;

odtąd pozostawałem sam na sam ze swoją rozkielznaną wyobraźnią, której nie rozpoznawałem już jako własnej z powodu jej absolutnej rozciągłości.

Gdy tylko groziło mi, że niebawem pochłonie mnie paniczny strach, jak rozbitek w bezksiężycową noc uczepiałem się Biblii i ostrożnie czołgałem się po betonie, rozczapierzonymi palcami macając przed sobą podłogę, żeby zidentyfikować roztopiającą się przestrzeń. Na początku oszołomiony przewróciłem pojemnik z wodą i miskę z jedzeniem, co zmusiło mnie do jednoczesnej eksploracji podłogi i do prób oczyszczenia jej, żeby przywrócić ład. Moje zasuszone kuleczki ryżu rozpieczęły się wówczas, musiałem więc od nowa rozpocząć odliczanie czasu.

Pierwszą dobę ciemności spędziłem w najodleglejszym zakątku celi, drżąc ze strachu, że z powrotem stracę orientację. Z mojego kąta, zachowując określoną pozycję, mogłem dojrzeć szparkę jasności pomiędzy drzwiami a ościeżnicą. Za cenę unieruchomienia pomagało mi to zachować mentalny schemat celi.

Gdy żołnierz otworzył drzwi, byłem za bardzo odrętwiały, żeby się ruszyć. Mogłem tylko osłonić oczy przed tą przeszywającą jasnością. Zaczął wówczas krzyczeć, grożąc, że natychmiast z powrotem mnie zamknie. Z trudem, owinąwszy głowę kocem, udało mi się wziąć wiadro i podążyć za nim do ubikacji. Wracając, byłem już w stanie patrzeć spod zmrużonych powiek, ale osłaniając spuszczoną głowę. Dostałem naczynie z wodą i miskę z ryżem. Dali mi wystarczająco dużo czasu, żeby zgodnie z moim przyzwyczajeniem postawił wszystko na swoim miejscu w celi. Po zamknięciu drzwi otworzyli judasza na pół godziny lektury.

Musiałem najpierw odnaleźć Biblię, potem przyzwyczaić się do zalewającej kartki jasności. Nie mogłem już czytać stojąc ukośnie względem judasza, gdyż światło padało mi wówczas bezpośrednio również na oczy i oślepiało. Gdy ustawiłem się tyłem do drzwi, oświetlona była tylko książka, więc gdy trzymałem ją ukośnie, łatwiej mogłem znieść refleksy papieru.

Te drobne niedogodności nie wydawały mi się istotne, ponieważ nie mogłem doczekać się owej magicznej chwili. Z trudem odszyfrowywałem litery, ale od poprzedniego dnia miałem w pamięci mentalny obraz początku Księgi Rodzaju, więc bez trudu udało mi się go odnaleźć:

„Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pustkowiem i chaosem; ciemność była nad otchłanią, a Duch Boży unosił się nad powierzchnią wód. I rzekł Bóg: Niech stanie się światłość. I stała się światłość. I widział Bóg, że światłość była dobra. Oddzielił tedy Bóg światłość od ciemności. I nazwał Bóg światłość dniem, a ciemność nocą. I nastął wieczór, i

nastał poranek - dzień pierwszy.”

Łzy przesłoniły mi oczy, piersią wstrząsnęło łkanie, a moje wycieńczone jestestwo doznało głębokiego wstrząsu. Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem już tylko bladą poświatę, tęczową i wielobarwną, nie mogąc dostrzec żadnego konkretnego przedmiotu.

Po chwili doszedłem do siebie i nie przestając ocierać bezustannie napływających mi do oczu łez, powróciłem do lektury, nie będąc wprawdzie w stanie dobrze zrozumieć, lecz nastawiony na przeczytanie jak największej liczby zdań. Czytałem wolno, wypowiadając na głos każde słowo, żeby wyryło się w mojej pamięci. Było to kojące jak modlitwa; udało mi się doczytać do połowy drugiego rozdziału, kiedy: „Ukształtował Pan Bóg człowieka z prochu ziemi i tchnął w nozdrza jego dech życia. Wtedy stał się człowiek istotą żywą”. Judasz zamknął się wówczas, chociaż nie usłyszałem kroków strażnika. Musiał stać tam przez cały czas ukryty obok drzwi, być może po to, żeby poinformować swoich przełożonych o mojej reakcji.

Za tym drugim razem ciemność nie zaskoczyła mnie aż tak bardzo jak przedtem. Już od pewnego momentu oczekiwałem na nią i miałem wrażenie, że żołnierz dał mi więcej czasu niż poprzednio. Nie byłem nawet zbytnio zawiedziony, gdyż zastanawiałem się, czy zdołam wszystko zapamiętać, i obawiałem się, że uronię część z tego, co przeczytałem.

Realizując dosłownie swój plan, zanim zacząłem jeść, postanowiłem wyrecytować to, co właśnie przeczytałem. Nie mogłem przypomnieć sobie wszystkiego; z każdą nową recytacją musiałem mentalnie posklejać nie pasujące do siebie fragmenty, aż uzyskałem jednorodną sekwencję zawierającą zasadniczą treść tekstu. Bez wątpienia bardzo pomagało mi w tym doświadczenie zecera. Ćwiczenie to zajęło dużą część dnia i pozwoliło mi następnie zjeść z apetytem. Byłem pewien, że ta umysłowa aktywność mogła uchronić mnie przed groźącym mi z powodu samotności oblędem, więc postanowiłem nie śpieszyć się z czytaniem, aby dać sobie wystarczająco dużo czasu na zapamiętanie każdego zdania. Dobrym pomysłem pozwalającym na utrwalenie go i na wyćwiczenie pamięci wydało mi się również pośpieszne przebieganie oczami tekstu już przeczytanego, zanim przejdę do kolejnej strony. Ta technika pozwoliłaby mi na odtwarzanie z pamięci wedle mojej woli długich fragmentów, gdy pogrążano mnie na powrót w ciemnościach.

Dotrzymałem danego sobie słowa. Po prawie roku pobytu w celi nauczyłem się na pamięć całej Księgi Rodzaju aż do rozdziału czterdziestego, chociaż nigdy nie pojąłem, w jaki sposób

Józefowi udało się zinterpretować sny faraona. Teraz nie interesuje mnie to i przeraża; odkąd mnie uwolniono, moim jedynym celem jest wymazanie z umysłu całej tej opowieści, albowiem w istocie nie ja dotrzymałem danej sobie obietnicy, lecz to ona wbrew mojej woli trzyma się mnie nadal.

Stało się to w sposób następujący. Z początku byłem wielce rad z moich postanowień, czułem się bardzo dumny i ożywiony tym, że mogę recytować długie fragmenty. Niemniej nie przestawałem obawiać się niedoskonałości pamięci, gdyż w miarę jak zagłębiałem się w tekst, ulatywały mi niektóre sekwencje. Z grubsza przypominałem sobie fabułę, ale zdania miały tendencję do nakładania się na siebie; gdy tylko próbowałem je odtworzyć, przemieszczały się, wymieniały przymiotnikami, a czasowniki wyprawiały dzikie harce, jakby chciały sobie ze mnie zakpić. Jedynym sposobem, żeby wszystko mi się nie pomieszało, było recytowanie wszystkiego, co przeczytałem, tak jak się robi z modlitwami; automatyzm sprawia, że wszystko się wówczas spontanicznie utrwała. Bezustannie mruzczałem więc pod nosem, nie zważając na treść, gdyż za każdym razem gdy zaczynałem zastanawiać się nad sensem opowieści, traciłem wątek: wszystko mieszało się i zmuszony byłem wracać do początku, co działo się z uszczerbkiem dla następnych fragmentów. Co więcej, zmuszony byłem po kilkakroć czytać każdy nowy pasaż, ponieważ w praktyce powtarzany był mniej często niż te, które już znałem.

Pomimo wszystko zagłębiałem się w tekst; już pod koniec pierwszego tygodnia stałem się czymś w rodzaju wyspecjalizowanego w powtarzaniu robota. Skutek był bardzo uspokajający, do tego stopnia że żyłem w czymś na kształt onirycznego stanu pomiędzy snem a jawą, z całkowicie rozluźnionymi mięśniami. Zyskał na tym mój apetyt, podobnie jak funkcjonowanie moich wnętrzności, lecz umysł rozregulował się kompletnie. Nie potrafiłem już rozróżnić pomiędzy snem a stanem czuwania, światem wyobrażonym a realnym. Podczas gdy coś recytowało we mnie samo, ja na skutek osobliwego funkcjonowania umysłu traciłem wszelką wolę i osaczały mnie wizje, zrazu dziwaczne, a potem coraz bardziej natrętne, zupełnie jak w obłądzeniu. Nie odczuwałem trwogi czy bólu, lecz nie byłem w stanie kontrolować umysłu ani zaprzestać recytowania.

W ciągu całego roku nie zrealizowałem swojego planu do końca. Czasami opanowywało mnie niejasne poczucie absurdalności tego przepływającego przez mój umysł pozbawionego sensu automatycznego strumienia słów. Usiłowałem walczyć z halucynacjami, próbując wyobrazić sobie historie zawarte w dalszej części książki, te, których nigdy nie poznam; zatem na

próżno kartkowałem w ciemności Biblię ludząc się, że jakimś cudem mój umysł okaże się zdolny pochwycić z niej jakieś strzępy. Jak niewidomi robią z pismem Braille'a, pocierałem także papier opuszkami palców w nadziei, że coś odczytają. Oprócz tego przepatrywałem automatyczną narrację w mojej głowie w poszukiwaniu nowych epizodów, które mogły przeniknąć do niej z przeczytanych stronic. Wszelako gdy je znajdowałem, chodziło na ogół o rzeczy nadmiernie osobliwe, masakry, sceny tortur, zrównane z ziemią miasta czy niezmierzone podłości, które z całą pewnością nie mogły pochodzić z Biblii. To w dalszym ciągu mój umysł platał mi figle i błąkał się po nieprzeniknionych ciemnościach. Zdarzało mi się również, że zrozpaczony tym wszystkim, co księga zawierała dla mnie niedostępnego, sprzeniewierzałem się mojemu planowi i chaotycznie trwonilem moje minuty. Przerzucąłem wówczas na chybił trafił kartki w poszukiwaniu jakiegoś urozmaicenia, nie zatrzymując się na niczym konkretnym. Przypominam sobie, że wpadłem na opowieść o niejakim Jozue, który oszczędził dom dziwki Rahab, na porwanie czterystu dziewczic i dwustu tancerek przez niedobitków z plemienia Beniamina, na złośliwości Absaloma, syna Dawidowego, na rozmaite fragmenty z życia Jezusa i na cztery bestie Daniela. Wszakże najbardziej ze wszystkiego lubilem psalmy. Z powodu swej prostoty te niewielkie poematy zdolne były ovladnąć moim umysłem i na chwilę przerwać obsesyjną recytację. Nie zawsze rozumiałem ich sens i po prostu zadawałem się emanującym z nich wrażeniem jedności. Te pośpiesznie zbierane to tu, to tam okruchy na kilka chwil mogły mnie rozerwać, ale miały i tę paskudną właściwość, że podstępnie zaszczepiały się na recytowanym tekście i w istotny sposób zniekształcały całość. Chrystus pojawiał się nagle u boku Adama, Ewa i dziwka Rahab szły z wizytą do Absaloma i jego ojca, nie licząc dziwacznych wariacji opowieści o Locie i Sodomie. Ale nie Psalmy - te wyraźnie zachowywały swoją niezależność dzięki zadziwiającemu efektowi doskonałości, zupełnie jak kryształy. To wzajemne nakładanie się na siebie splecionych opowieści napawało mnie niekiedy wściekłością i trwogą, pogrążało w kryzysach tak głębokich, że dosłownie przygniatały mnie wówczas ściany celi, aż do krwi raniąc mi głowę i stawy. Przypominam sobie na przykład początek jednej z ewangelii, który zawłaszczył sobie miejsce przynależne pierwszemu wersetowi Księgi Rodzaju; całymi tygodniami, a nawet jeszcze i dzisiaj, gdy wracam do tego myślę, zamiast zaczynać od stworzenia nieba i ziemi, zmuszony jestem wypowiedzieć: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo”. Nie wiem, jak wiele czasu spędziłem, niestrudzenie powtarzając to idiotyczne zdanie, całkowicie niezdolny przejść do nieba i ziemi, gdyż za żadną cenę nie chciałem, aby zdominowało

moją wolę.

Jednakże za każdym razem gdy na nowo rozpoczynałem recytowanie, postanawiając, że tym razem ruszę z dobrej nogi, to samo zdanie znowu wślizgiwało się do opowieści. Zacząłem się na koniec zastanawiać, czy naprawdę w mojej Biblii nie było błędu typograficznego; coś mi mówiło, że mimo wszystko moje zdanie było lepszym początkiem Księgi Rodzaju. Wszystkie te pomyłki zmuszały mnie naturalnie do ponownej lektury fragmentów, które już znałem na pamięć, by upewnić się, że nie popełniłem błędu. W tej sytuacji postępy były niewielkie, nie mówiąc już o wysiłku pamięci i o rozpacz, gdyż musiałem cierpliwie czekać do następnego dnia, żeby móc sprawdzić szczegóły, które wydawały się niewłaściwie umiejscowione. Nic nie pomagało walenie w drzwi ani błaganie strażnika - nigdy nie odpowiadał.

Nie mogę opowiedzieć wszystkiego, co przeżyłem w ciągu tych długich miesięcy spędzonych w samotności, gdyż starannie unikam myślenia o niektórych rzeczach, żeby t o nie zaczęło się na nowo. Jedyнным sposobem odzyskania spokoju jest nie myśleć o niczym, zająć się codziennymi obowiązkami, jak zmywanie naczyń, naprawianie starych książek czy latanie ubrań. Gdy udaje mi się niczego nie recytować, koszmary przestają mnie dręczyć i wreszcie kontrolują tę potworną nienawiść, to obsesyjne, obezwładniające mnie sadystyczne pragnienie zemsty. Sądzę, że jeśli wytrwam w pragnieniu odczuwanym z taką samą intensywnością, z takim samym natężeniem woli, moje wybaczenie osiągnie w końcu skutek podobny do elektrowstrząsów stosowanych przez oprawców z mojego kraju.

Po tej nowej lekturze opowieści Tiaga zdałem sobie sprawę, że wiele rzeczy pozostało niejasnych z powodu jego skrajnej wstydlivosti w przekazywaniu mi swoich stanów psychicznych czy wizji, które miewał w czasie pobytu w więzieniu. Zastanawiające, że o ile szczegółowo rozwodził się nad torturami fizycznymi, o tyle starannie pomijał to, czego doświadczył w czasie zamknięcia w karczerze, pomimo wszelkich możliwości zwierzeń, jakich mu dostarczałem. Łatwo było mi więc zrozumieć uczucia, które żywił względem katów, i to one pozwalały mi uporządkować jego opowieść. To co wypływało z niego samego, z jego obłądu, było hermetycznie zamknięte w czymś na kształt odmowy, co tak tajemniczym czyniło ostatnie zdanie tekstu. Jednakże zależało mi na tym, żeby zapisać je literalnie nie tylko z powodu jego mglistego charakteru, lecz również dlatego, że zdawało się podążać dokładnie w zbawczym kierunku wyzwolenia z potrzeby zemsty. Sądziłem wówczas, że ukojenie mogłaby mu przynieść

wyłącznie, najprawdopodobniej wyrażona w publicznym oświadczeniu, społeczna krytyka jego oprawców, realna konfrontacja mieszających się w jego umyśle nienawiści i wybaczenia.

Nie mogłem też ukryć przed samym sobą, że te wspomnienia obłądu, które upierał się zachować dla siebie, pociągały mnie także z bardzo egoistycznego powodu, albowiem obsesyjnie prześladowała mnie postać Lucjana; pomimo wysiłków nie byłem w stanie ani uznać jej za rzeczywistą, ani za wytwór halucynacji. Cechy wiążące go ze światem rzeczywistym równoważyły to, co w jego postaci było absurdalnego. Po raz pierwszy w moim uporządkowanym życiu musiałem się zadowolić przeżywaniem doświadczenia, nie będąc w stanie go zdefiniować. Gdybyż Lucjan był wytworem obłądu, uratowałbym rzeczywistość, a gdyby był realny, mógłbym uciec w szaleństwo i świat wyobraźni. Lecz przynależąc w sposób tak zawikłany do obydwóch światów, nie pozostawiał mi żadnego wyjścia. Dlatego bałem się. Był to ten sam rodzaj strachu, jaki odczuwałem konfrontując moje uczucia do Soni z kruchością jej realnej egzystencji, zarazem pełnej życia i zniszczalnej. Miłość jest pułapką - przyznałem z niewysłowioną czułością, myśląc o niej: stawia nas twarzą w twarz z pięknem po to jedynie, aby uświadomić nam, że nie jest wieczne. Jeżeli piękno istnieje, czyż nie powinno posiadać również atrybutu trwania? Lucjan przypomniał mi wszak, że Bóg istnieje, chociaż bynajmniej nie musi być dobry. Czy miał rację? A może usiłowałem utożsamić go z diabłem, by zachować niewzruszoną możliwość istnienia idealnej miłości?

Zadzwoił do drzwi i zaraz potem pojawił się na środku salonu. Tym razem Iwan oczekiwał go i tylko trochę zdziwił się tym teatralnym wejściem.

- Powtarzam się! - wykrzyknął Lucjan stawiając na stole butelkę i słoik z korniszonami. - Mam nadzieję, że zanim zniknę, jaśnie pana nie znużą moje sztuczki.

- Nie, Lucjanie, oczekiwałem pana. Usychałem z tęsknoty za mym stwórcą. Przygotowałem nawet pana ulubioną herbatę.

- Dobrze, mój drogi, twój stwórca jest zachwycony widząc, że jego poddany Iwan ma jeszcze konkretne oczekiwania, zamiast żyć pogrążony w splinie. Bardzo dobrze. Oby tylko był również pełen wątpliwości, bo dzisiejszego wieczora jestem w profesorskim nastroju. Zawsze z wielką przyjemnością rozprawiam o mojej grze.

- *Vanitas, vanitatis...* - westchnął Iwan uśmiechając się.

- Można tak powiedzieć, przyjacielu. Żywię jedynie nadzieję, że nauki, jakich ci udzielię, nie pójdą na marne. Zobaczmy, jak twoja duszyczka wykorzystuje moje lekcje.

- No właśnie, Lucjanie. Czekałem na pana, trwożnie pragnąc zadać pewne pytania.

- Znowu dobro i zło? Nie, Iwanie, nie nadużywaj dziś wieczorem mojej cierpliwości. Najpierw gra. Jestem w formie i nie mogę czekać. Zobaczysz, znajdziesz odpowiedź na wiele swoich pytań, gdy tylko wizja całości oświełi szczegóły. Jeśli chcesz, obiecuję ci, że innym razem spróbujemy zrozumieć to, co szczegółowe, wychodząc od ogółu. W każdym razie przewidziałem tę finalną dyskusję z tobą, gdyż będzie to piękne doświadczenie dialektyczne. Dopóki będziesz trwał w najgłębszej ignorancji, dopóty będziesz zdolny zadawać wyłącznie

idiotyczne pytania. Wiesz, że to prawda. Pytania nie wypływają z ignorancji, lecz z niepełnej wiedzy. Ignorancja może wytworzyć tylko głupotę, ludzie mali zdolni są tylko do małostkowości. Zapomnij o swoich chrześcijańskich pojęciach równości i o przesądach dotyczących wartości każdej duszy, zgoda? Jeśli tego nie uczynisz, niczego nie zrozumiesz. A teraz skosztujmy herbaty, korniszonów, szkockiej i papierosów: wszystkiego co potrzebne, żeby docenić wytwory umysłu. Jesteś gotów?

- Zgoda, Lucjanie. Ale jest mi pan winien tę drugą dyskusję.

- Obiecuję, chociaż nikomu nie jestem nic winien. Nigdy nie odmawiam dysputy na temat mojego dzieła. Więc odpręż się i wysłuchaj słowa Bożego. Słowo Boże jest urocze, to Słowo Pańskie. Nie sposób temu zaprzeczyć: gdy chodzi o mnie, wy stworzenia wykazujecie wiele finezji. Cenię to; stanowi to dla mnie dowód na to, że nie jesteście wszyscy idiotami. A więc na początku było nie Słowo, ale wyłącznie ja sam. Możesz sobie wyobrazić, że nie gadałem sam do siebie, w tym bowiem wypadku byłbym bóstwem mamroczącym, a nie kreatywnym. Zresztą ludzie dosyć dobrze zrozumieli podstawową zasadę stworzenia, tyle tylko że kompletnie mylą się co do szczegółów. Hegel na przykład był o krok od opisania procesu, ale nie, musiał uczynić ze mnie byt abstrakcyjny, który potrzebuje świata, żeby się sobie samemu wyobrazić. Ja - abstrakcyjnym bytem odwołującym się do niebytu, żeby doprowadzić do pełni, którą jest niemiecki imperializm! Czegóż to nie trzeba znosić... Augustyn myli się również, kiedy twierdzi, że przed stworzeniem świata niczego nie robiłem. Nic oznacza gnuśność, a co innego można robić, gdy się jest pogrążonym w gnuśności, jak się masturbować? Wystarczyło trochę pomyśleć! Zatem sam i pogrążony w lenistwie masturbowałem się. Nie śmieć się, Iwanie, mówię poważnie. Próbuję przetłumaczyć te rzeczy, żeby twój człowieczy mózg był w stanie je zrozumieć. W istocie na to wychodzi. Mój przedwieczny umysł zabawiał się ze swoimi własnymi fantazjami w absolutnym onanizmie, żeby zabić nudę. Marzyłem. Tworzyłem wyimaginowane światy dla zaspokojenia moich samotnych przyjemności, rzeczywistości równie doskonałe jak ja sam, we wszystkich rodzajach wymiarów. Wystaw sobie wspaniałe formy, kolory i matematyczne światy, różnorodne widowiska o olśniewającej złożoności, a przy tym zawierające wszystko, co istnieje i kiedykolwiek istniało. To da ci zaledwie przybliżone pojęcie o moich młodzieńczych pieszczotach. Zawsze to robiłem i nie zadawałem sobie pytań, żyłem bowiem w rodzaju odwiecznego i absolutnego półsnu. Celem był, jeśli tak się mogę wyrazić, zachwyt nad samym sobą; zbyt dużo czasu zabrałoby mi wyjaśnianie niektórych złożonych aspektów mojej natury,

których nie byłbyś w stanie pojąć. By rzecz uprościć: pułapką jest to, że doskonałość jest najbardziej nudną z zalet. Nie wiedziałem o tym; byłem tak spowity w doskonałość w jej nieskończonych przejawach, że nie byłem w stanie zajmować się czymkolwiek innym. Czymś innym, o czego istnieniu nie wiedziałem, gdyż byłem samą doskonałością. Aby pomóc ci to zrozumieć: byłem jak kobieta, która spędzałaby całe życie przed lustrem kontemplując swoją piękność, na dodatek nigdy nie pozwalając się zdeflorować. W podobnym razie trzeba co najmniej gwałtu, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Gwałtu albo jakiegokolwiek obsceniczności, wprowadzenia czarującej rysy, która uczyniłaby z tej lustrzanej niewiasty kobietę przeznaczoną dla przyjemności. W moim wypadku skazą była sama nuda w łonie doskonałości. Pomyśl tylko: prowadziłem moją grę od nieskończoności, zawsze w poszukiwaniu nowych doskonałości, ale byłem już wystarczająco zblazowany. Znam inne bóstwa, które muszą wieczyście pozostawać w tym stanie otępienia, nie wybudzając się na niedoskonałość, i nawet się na to nie uskarżają.

- Inni bogowie? - przerwał zdumiony Iwan.

- Tak, istnieje ich nieskończona liczba, a każdy pogrążony w swoich własnych fantazjach, bo jesteśmy wszak czystymi duchami. Lecz dobrze ci radzę, zapomnij o tym! Już jeden bóg rodzi wystarczająco dużo komplikacji, więc pogubisz się, jeśli podążysz tym tropem. Powiedz sobie, że absolutne duchy są jak same siebie myślące narcystyczne bańki mydlane czy - jeśli wolisz - wieczyści masturbatorzy. Inni dla tego świata się nie liczą, nie ma sensu się nimi zajmować. Nasze granice są zbyt szczelne, do tego stopnia, że tak samo ja nie potrafię im przekazać mojego wynalazku, jak oni nie mogą zakomunikować mi swoich. To bardzo samotna egzystencja... Zatem jest się i się marzy. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo wieczność jest nudna. To trwa i trwa, aż wreszcie zaczyna się powtarzać. Obraz kalejdoskopu pozwoli ci to sobie wyobrazić. Obraca się, obraca i na koniec obrazy zaczynają się powtarzać. Otóż nie robi się nic innego. To co wydawało mi się nie całkiem doskonałe, było oddalane i ustępowało miejsca coraz bogatszej doskonałości, która nie przestawała się doskonalić. Pewnego dnia, całkiem przypadkowo, ale w łonie moich pragnień, zostałem potencjalnie zgwałcony czymś bardzo absurdalnym. Z czystej nudy odwróciłem wówczas bieg kolejnych doskonałości i zatrzymując najmniej doskonałą z ich łańcucha, odkryłem niedoskonałość. Nie sposób wyjaśnić ci to inaczej niż mówiąc, że odkryłem urok błędu, zupełnie jak niewinny chłopak w zachwycie odkrywa grzech nieczystości. Albo jak świętoszka, w której budzi się zmysłowość, co prowadzi ją do odkrycia rozpusty. Szczęście! Objawienie! Moje marzenia zyskały od razu nowy wymiar,

którego nigdy dotąd nie osiągnęły. Wszystko psułem i wybuchiałem śmiechem; gdy powracało do doskonałości, w groteskowy sposób zmieniałem bieg rzeczy; gdy moje wytwory piękniały, dokonywałem innych zmian. To było bardzo podniecające. Pierwszy raz od eonów, rozbudziłem się na dobre i doznawałem prawdziwej przyjemności z tego, że jestem mną. Zamiast kontemplować się, zabawiałem się z samym sobą; odkryłem, że potrafię dostarczyć sobie rozrywki w tej mierze, w jakiej deprawacja otwierała przede mną niespodziewane horyzonty. Zatem posługując się błędem i niedoskonałością dowiedziałem się, jaki jest sens gry. Poza podstawowymi zasadami nic doskonałego, a jedynie same wariacje, żeby zabawić mnie coraz bardziej niecodziennymi widowiskami. Spektakle doskonałe były bezbarwne, nie zawierały niczego niespodziewanego. Doskonałość ma za cel wyłącznie siebie samą; jest zatem zbyt przewidywalna. Doskonała kobieta, na przykład jedna z tych luksusowych modelek, ale z doskonałymi piersiami, idealną wagą, najzupełniej harmonijnie zbudowana, zawsze gładka, uśmiechnięta, pozbawiona jakiegokolwiek wątpliwości, w łóżku skuteczna jak maszyna, w jakiegokolwiek mierze pozbawiona wahania, trwogi czy melancholii, nie przejawiająca nigdy najmniejszego żalu czy fantazji, prawdziwa nadmuchiwana lalka, ale z ciała i kości, zawsze naga, z błyszczącymi oczami i bezustannie przyznająca ci we wszystkim rację, nawet gdy najdzie cię ochota na kłótnię. Czy chciałbyś mieć w domu takie monstrum? Czy stanąłby ci w jej obecności? Być może niekiedy, mój drogi, bo nie jesteś zbyt doświadczony, ale długo byś jej nie pożądał. W końcu byś ją zmasakrował. Pożądanie, Iwanie, prawdziwa rozkosz, jest wynikiem rozziwów pomiędzy bytem a jego ideałem, między rzeczywistością a marzeniem, między posiadaniem a nostalgią. Czy nie wolałbyś niedoskonałej kobiety, która ogromnie pragnie stać się w twoich oczach doskonałą i której się to nie udaje, czy też takiej, co nie życzy sobie stać się dla ciebie doskonałą? No, nareszcie zrozumiałeś: rysa, niedoskonałość, upadek, śmierć, miłość, niemożliwe - oto różnorodne formy tego, co usiłuję ci wyjaśnić. Moje odkrycie otwierało tym samym nieskończone możliwości, które wykorzystałem podczas kolejnych wieczności, zanim na nowo nie pogrążyłem się w nudzie. Musisz zrozumieć: mogłem stwarzać światy wyobrażone bardzo żywe, fabuły wspaniałe lub odrażające, gorszące lub wzniosłe, pełne miłości i śmierci, przesycone niedoskonałościami tkwiącymi w zarodku pod innym niedoskonałościami, a także inne niespodzianki, które ujawniając się zniemacka budziły moją zgrozę lub zachwyciły swą niewinnością. Wszystko. Tyle że to pozostawało spektaklem. Ja zaś pozostawałem na zewnątrz jako zwykły obserwator moich własnych fantazji. Bez wątplenia było to lepsze niż przedtem,

bardziej podniecające, tak jak są prawdziwe perwersyjne fantazje. Jednakże mimo wszystko był to tylko onanizm. Kiedy się masturbujesz... Wybacz mi, Iwanie, nie rób takiej miny; nie mówię o tobie osobiście, to tylko przykład, figura retorycznego stylu. Zatem gdy jakiś śmiertelny masturbuje się, doznaje przyjemności, która pod pewnym względem podobna jest doskonałości. Jest jedynym uczestnikiem swojej własnej fantazji i nie może zdarzyć się nic niespodziewanego, co mogłoby mu popsuć mentalny scenariusz. To rzecz jasna doskonałe, ale wiadome od początku, ponieważ jest emanacją jego własnego mózgu. Mimo że do woli zmieniał będzie swoje fantazje, jego marzenia nieodwołalnie pozostaną jego własnymi. Oto co mnie gnębiło. Doszedłem do tego, że zazdrościłem postaciom z moich wyobrażonych światów. Zapewniam cię, że nie miały w sobie nic ludzkiego, na tym etapie bawiłem się jeszcze abstrakcjami. Lecz błąd modyfikował te abstrakcje w taki sposób i nakłaniał je do reagowania tak dziwacznie, że żałowałem nie mogąc znaleźć się na ich miejscu, by samemu reagować w odpowiedzi na tak wiele nieoczekiwanych sytuacji, na taką mnogość nieznanymi możliwości. Wyobraź sobie: ja, bóstwo, zazdrościłem wytworom mojej imaginacji z powodu ich niedoskonałości i upodobania do zmian. Dziwne, nieprawdaż? A jednak to prawda. Ja również chciałem podlegać regułom gry, być o władnięty namiętnościami i bierny, dać sobą rzucać jak piłką i reagować na niedoskonałe możliwości, pełen pragnień i trwogi jak postaci z moich marzeń. Nie być już więcej obserwatorem, lecz uczestnikiem.

- Chwileczkę, Lucjanie - przerwał Iwan. - Jest pewien problem. Nie może się pan w ten sposób zawierać w podporządkowanych sobie światach...

- Oczywiście, mój drogi, ale porzuć logikę i postaw się na moim miejscu. Staram się wszystko uprościć nie w nadziei, że zrozumiesz, ale że choć trochę uzmysłowisz sobie tę jakże złożoną rzeczywistość. Bądź zatem wyrozumiały. Muszę używać twoich obrazów, twojego języka, twojego świata, gdyż bez tego nie byłbyś w stanie zrozumieć, o czym mówię. Ten przekład, który usiłuję sporządzić, jest zapewne niedoskonały i pełen przybliżeń, lecz tylko on pozostaje w zasięgu twojej zdolności pojmowania. To dokładnie ten sam problem, z którym borykają się pisarze obdarzeni zbyt wielką mocą twórczą: wiedzą, że będą musieli przebić się przez sito wydawcy, a później przez możliwości wyobraźni plebsu. Mój drogi, obydwie strony muszą pójść na kompromis. Zatem nie przerywaj mi! Poczekaj na efekt całości i bądź użyteczny; nalej nam obu, zgoda? Otóż to, niedoskonałość. Nie potrafisz ogarnąć piękna tego pojęcia, jego płodności, bo sam jesteś niedoskonały, za bardzo do niego nawykłeś, jesteś - rzekłbym - skażony

niedoskonałością. Ale dla bóstwa było to coś więcej niż objawienie; to był cud. Czulem się mały, zazdrosny, sam prawie niedoskonały. Byłem szczęśliwy. Tak, szczęśliwy, a nie rozleniwiony jak przedtem. Miałem to samo odczucie, co wy wobec skończoności tego co piękne. Mam szczęście, że znalazłem w grze przyjemność - mówiłem sobie myśląc o innych bóstwach. Zabawiałem się w ten sposób przez następne eony tworząc nie niebyt, o którym mówi Hegel, ale - od razu - tak nieskończone i bujne wersje „Fenomenologii ducha”, że miliardy bibliotek nie zdołałyby ich pomieścić. Hegel był sprytny, ale zabrakło biedakowi wyobraźni. Nie mnie... Kontemplacja wszystkich tych spektakli następujących po sobie z najwyższą szybkością, wypełnionych tyłoma nieszczęściami spowodowanymi różnorodnymi formami niedoskonałości i zepsucia, stawiała mnie wobec nierozwiązywalnej, nieuniknionej sprzeczności. Wiedziałem o tym od samego początku, ale starannie unikałem roztrząsania tego problemu, bowiem zbyt zaprzętała mnie gra, a przede wszystkim dlatego, że mam swoją pychę. Naturalnie nie jest to pycha wielka, ale dumny jestem z tej małostkowości, która przybliżyła mnie do moich stworzeń. Bez wątplenia odgadujesz to, Iwanie, i milczysz, ponieważ jesteś rozczulony. Dziękuję ci. Jest tak, jak myślisz. Przyglądanie się niedoskonałościom, ich badanie i obcowanie z nimi zmuszało mnie do zastanowienia się również nad moją własną jedyną niedoskonałością. Przyznaję, że byłem szczęśliwy z powodu tej rysy, gdyż lubiłem błędy, które dostarczały mi tak niesamowitej rozrywki. Wszelako była to skaza na mojej doskonałości, a nigdy nie jest łatwo uznać się za mniej doskonałego, niż się myślało, że się jest, nawet komuś takiemu jak ja, kto przed nikim nie musi się tłumaczyć. Być może dlatego wszystkie bóstwa trwają w letargu, żeby nie przyznać się do udręk wieczności. Tak, Iwanie, śmierć... To co wydaje się napawać was tak wielką trwogą, śmierć, koniec, wyzwolenie, to coś, co jest dla mnie niedostępne i na zawsze pozostanie mi nieznane. Doskonałość wyklucza śmierć, a w konsekwencji ryzyko, przyjemność, wszystko co sprawia, że wasze życie jest tak ekscytujące. Ja nie żyję! Żyje jedynie istota śmiertelna. Ja skazany jestem na trwanie bez jakiegokolwiek szansy na odpoczynek. To takie smutne... Ktoś taki czuje się okrutnie wykluczony z wszystkiego, jak bogate dzieci zamknięte w swoim zamku i spoglądające na małych łobuziaków, które bawią się i biją na ulicy, wgryzają się w życie niczym się nie przejmując. Śmierć, Iwanie, to także to, co przydaje piękna doskonałości; jak można by docenić chwilę obecną, gdyby nie wady, gdyby nie fakt, że naszym przeznaczeniem jest szeznać i zgnić? Przyjemność to rodzaj chwilowej wibracji pomiędzy pragnieniem a niemożnością zachowania w nienaruszonym stanie jej przedmiotu, to frenezja chwili sprawiająca, że wieczność

staje się wstrętna. Wieczność to jakby przyjść najedzonym na biesiadę, na której nic się nie tknie. Głodny może przynajmniej pomarzyć o kanapce... Powiedz, rozumiesz mnie?

- Tak, Lucjanie, i jestem poruszony. Bardzo proszę, niech pan kontynuuje, nie wiem, jak zareagować, mogę pana tylko słuchać. Myślę także o mojej własnej samotności.

- Ach, mój drogi! Twoja samotność jest jedną z konsekwencji śmierci, co dowodzi, że nigdy nie będziesz w stanie pojąć absolutnej głębi rozpaczyny ani samotności totalnej. Twoja ludzka samotność istnieje względem ogółu twoich bliźnich, to jakby rodzaj strachu, że musi się opuścić ucztę, zanim zaspokoi się głód. To dobra samotność, sprawia, że możesz zakosztować chwili obecnej. Co prawda wiele stworzeń żyje pogrążonych w czymś w rodzaju wyalienowanej senności podobnej nieco do wieczności, którą nazywają „samotnością”, ale to błąd. Wasza samotność, gdy jest autentyczna, świadoma i odważna, związana jest z przemijalnością i popycha was do podejmowania wyzwań, do wykraczania poza siebie. Samotność, o której mówię, jest rozmarzona, otępiająca i lepka jak narkotyki. Poczytaj trochę o orientalnych koncepcjach religijnych, a niejasno przeczujesz, czym może być obrzydliwość mojej nirwany. Gdyby ci biedni buddyści wiedzieli, jak bardzo zazdroścę im ich wiecznego cyklu niedoskonałych reinkarnacji... Ale powróćmy raczej do śmierci. Uświadomienie sobie tej cudownej możliwości najzwyczajszego anulowania nie tylko chwili obecnej, lecz również samej wieczności, pomogło mi się zmienić; kto wie, może nawet stać się lepszym. Nawiedziła mnie myśl o przedtem i o potem, więc stworzyłem czas. Tak, wiem, dziwisz się, ale to dlatego, że żyjesz w czasie i że nie możesz wyobrazić sobie wieczności innej niż temporalna, przebiegającej wzdłuż pewnej osi i w pewnym kierunku. To nie tak. Wszystko co powiedziałem ci przed chwilą o wieczności, wszystkie formy mojej wyobraźni rozwijały się równolegle we wszystkich możliwych kierunkach, otwierały się sferycznie wychodząc z centrum, którym jestem, czy też - jeśli wolisz - w formie bańki mydlanej. Ale także ku środkowi i w innych jeszcze kierunkach, których nie znasz. Byłoby to coś na kształt bańki, wewnątrz której przebiegałyby nieskończenie różnorodne wibrujące fale, lecz ich harmonie niedostępne są twojemu mózgowi ograniczonemu do geometrii czasoprzestrzennych.

- Coś jakby żelatyna potrząsana przez dziecko - wyrwało się Iwanowi.

- Przez dziecko zarazem szalone, perwersyjne i urocze, przez genialnego idiotę! - dorzucił entuzjastycznie Lucjan. - Żelatyna wzniosła, poddana najosobliwszym wstrząsom, jak tysiące szybujących w przestrzeni rozkielzanych kochanków. O, mam! Drugi krąg Dantego; wszystkie

te chmary splątanych i roznamiętnionych ciał kołysanych burzami, ale poruszanych równocześnie we wszystkich kierunkach. Oto marne przybliżenie tego, czym jest wymiar trwania w skali wieczności. To wzniosłe, ale niemniej to spektakl, ponieważ wszystko jest możliwe, ponieważ nic się nigdy nie zatracza, ponieważ wybór jednego kierunku nie zakłada rezygnacji z innych. Nigdy nie ma ryzyka, jest się tam sytym i zblazowanym. To całkowite przeciwieństwo waszego linearnego czasu ukierunkowanego na śmierć, zakładającego bezustanny wybór, możliwość żalu i nostalgii, utraty i rozkładu tego, co jest. Zawiera on także przebaczenie i zemstę, te dwa produkty uboczne śmierci, waszej śmiertelnej egzystencji. Nie mówiąc o miłości, nienawiści, zazdrości i urokach waszej wyobraźni; o całej tej waszej małostkowości czy wreszcie o waszym pospolitym skąpstwie, waszej bezgranicznej szlachetności, czułości, wdzięczności i o waszym okrucieństwie. Inaczej mówiąc, o tym wszystkim, co pozostawało poza moim zasięgiem z powodu tej jedynej i dyskretnej niedoskonałości, która mnie charakteryzuje, czyli nieobecności śmierci.

- Nie może pan popełnić samobójstwa, to znaczy dokonać samozniszczenia; nie wiem, implodować w siebie zamiast eksplodować na światy wyobrażone?

- To miłe, Iwanie, że tak bardzo przejmujesz się moją sytuacją. Nie, to niemożliwe. Bycie duchem implikuje niematerialność czy też, inaczej mówiąc, tylko materia podlega realnej transformacji. Chodzi o status absolutny, wykraczający poza samo pojęcie statusu, nie poddający się żadnej przemijalności. Spróbuj implodować w swoim umyśle jakąś myśl czy wręcz ją unicestwić. To nie sprawia, że ona zniknie, nieprawdaż? Nawet zapomnienie nie sprawi, że zniknie; przytłumi ją lub tylko przekształci. Wyłącznie starość może unicestwić myśl, ale wówczas wchodzimy w dziedzinę śmierci materialnej. Nie, mój drogi, mogę skończyć jedynie w otępieniu boskiej senności... Nalejmy sobie jeszcze whisky, najlepsze będzie dopiero teraz. Mam tylko nadzieję, że to podglądnięcie ułamka uroków wieczności pozwoli ci rozmyślać nad pewnymi korzyściami bycia śmiertelnym i niedoskonałym. Jeśli wątpisz, zwiedź któreś z tych centrów geriatrycznych wypełnionych snującymi się trupami, ludźmi, którzy oszczędzali się w oczekiwaniu na długą starość nie pijąc, nie paląc i nie korzystając z jakichkolwiek uciech życia. Wtedy lepiej zrozumiesz mądrość twojego przyjaciela Lucjana. Herbaty, śmiertelny bycie! I podaj mi korniszony! A oto szkocka, żeby jak najlepiej splukać wielkie rozczarowania.

Pili w milczeniu. Iwan palił zamyślony, a tymczasem Lucjan głośno chrupał korniszony, oblizując je najpierw jak cygara.

- Wówczas powziąłem ekstrawagancki projekt - podjął wreszcie Lucjan. - Nie polegał na tym, żebym się stał błędnym rycerzem, świętym Mikołajem czy Bogiem Ojcem, ale na tym, żeby stworzyć dla mojej wyłącznej przyjemności świat, w którym królowałaby przypadkowość, czas linearny, śmierć, a także stworzenia, które byłbym w stanie pokochać.

- Kto bardzo kocha, nie zna umiaru w karze - wyrwało się Iwanowi w odpowiedzi na teatralną uroczystość swojego rozmówcy.

- Naprawdę masz dar psucia wszystkiego! - zaproponował Lucjan na wpół rozbawiony, na wpół nadąsany. - Nędzny sceptyk cytujący innego nędznego sceptyka. Nie masz racji zaśmiecając sobie umysł tym rodzajem nic nie wartych aforyzmów wysmażonych przez rabinów nieprawnie posługujących się szlachetnym imieniem Salomona. Jeżeli chcesz naprawdę oddać hołd Salomonowi, naucz się raczej Eklezjasty albo „Pieśni nad Pieśniami”. Nie zapominaj, że miał tysiąc żon, z których większość to cudzoziemki wybrane wyłącznie dla jego przyjemności. Albowiem opowiem ci o przyjemności, a nie o karze. Biblia jest zresztą pełna scen zmysłowej rozkoszy, wystarczy tylko oglądać ją okiem znawcy, a nie masochisty. Wam, stworzeniom, nie dostaje często wyobraźni, nawet gdy wasi poeci rozpościerają przed waszymi oczami wspaniałe obrazy.

- Aż tak lubi pan Biblię?

- Lubię to, co istoty ludzkie wytwarzają pięknego, skrajnego, zuchwałego. Lubię ich ryzyko i przebiegłość. Tu muszę zrobić dygresję, podejrzewam bowiem, że możesz mnie nie zrozumieć, gdy odwołuję się do pojęcia przyjemności. Zastanów się przez chwilę. Weź za przykład opowieść o Locie, która tak bardzo zaniepokoiła cię w czasie naszego pierwszego spotkania. Więc chłopcy sodomizowali się między sobą, ale sodomizowali też i pieprzyli dziewczęta, kobiety, a nawet anioły. Nie muszę cytować ci tekstu. Znajdowali w tym przyjemność i wszyscy dobrze się bawili. Dowodem jest to, że ich miasto prosperowało i bezustannie przyciągało nowych gości. Bóg - nie ja, tylko ten szelma Jahwe - jak zazwyczaj okazał się zazdrosny i urażony niewinnymi przyjemnościami śmiertelników. Ten sam numer wykrcił z wieżą Babel i z potopem, za każdym razem obiecując, że robi to po raz ostatni. Obietnice krwawego dyktatora, fundamentalistycznych rabinów, jeśli chcesz znać moje zdanie. Cóż, szukał pretekstu, żeby zburzyć Sodomę. Wysła więc tam przebiegłe aniołki, najrozkoszniejsze istotki na świecie. Sam widzisz, że szuka rozróby. Albo zachęca do grzechu... Mógł przecież do Lota wysłać starców albo wstrętne kobiety, albo duchy. Nie, wolał

młodzieńców. A potem ta historia z targowaniem się, ilu jest w mieście sprawiedliwych, jak na bazarze; to godne handlarza dywanami. To jeszcze nie wszystko, posłuchaj! Te opowieści spisali poeci; rabini i księża tylko je sobie przywłaszczyli, niezręcznie i bez geniuszu poetów; nie udało im się zniszczyć prawdziwych wyznaczników przyjemności. Pozornie, pozostając na poziomie powierzchownego odczytania, nie wychodzi się poza prawość Lota i Boski gniew. Siła poetów polega na tym, że pomimo cenzury religijnej udało im się przemycić dla potomności zawartą w tej opowieści rozkosz. Przypominasz sobie otóż, że Lot ofiarowuje swoje własne córki, żeby tłum zsodomizował je zamiast aniołów, czyż nie tak? Jak dowiedzie dalszy ciąg tej opowieści, dziewczyny nie były wcale od tego. Pomyśl o dreszczach dwóch dziewcz o bujnej wyobraźni, które stary patriarcha trzymał pod kocem, ale które namiętnie wsłuchiwały się w opowiadania służących i zerkwały przez okno. Bez wątpienia Lot już pogodził się z myślą, że staną się dobrymi sodomitkami, stąd jego nieprzyzwoita propozycja. Musiał sobie pomyśleć: te dwie dziwki i tak źle skończą, więc dlaczego nie ofiarować natychmiast ich dup i zyskać tym samym łaski Jahwe? Sądzisz, że to było moralne ze strony patriarchy? Tego samego patriarchy, który skądinąd wychędożyłby obydwie dziewczyny, gdyby nie stała żona, by mu w tym przeszkodzić. Mój drogi, jeśli chcesz umrzeć trochę mniej durny, spoza komentarza rabina musisz umieć odczytać głos poety. Ale to nie wszystko. Najbardziej wzniosła jest sama postać tej biednej żony Lota, która przemieniła się w słup soli. Cóż za dranie z tych rabinów! Ja tej cudownej kobiecie, której fantazje równe były zapewne ponuremu usposobieniu starego patriarchy, postawiłbym raczej posąg z brązu lub marmuru. Wyobraź sobie, że z pewnością nikt jej nigdy nie zsodomizował, bo w przeciwnym wypadku Lot nie zostałby uznany za sprawiedliwego. Chyba że... ale pozostajmy w duchu tej opowieści. Niemniej nawet będąc czysta i sprawiedliwa, ta kobieta potrafiła marzyć. Ach, o czym nie marzyła, i to jak! Marzyła o tym dużo dłużej niż jej córki, być może nawet od swojej bezbarwnej nocy poślubnej. Możesz sobie wyobrazić trwające całe życie bujne fantazje tej biednej matrony otoczonej intensywnymi i zapewne hałaśliwymi przyjemnościami, westchnieniami i jękami, których sodomickość nie miała w sobie nic alegorycznego. Pewnie biedula nie wiedziała nawet dokładnie, co to takiego ta sodomia; ale jakież dreszcze, jakież westchnienia i kwilenie wywoływało samo myślenie o tym, dzięki którym to westchnieniom jędrniała zwiędnięta pała Lota. Biedna białogłowa, ileż musiała się nacierpieć i nadržąć, jakież to idealny świat musiała stworzyć w swoim umyśle inteligentnej kobiety stłamszonej przez swoją męzowską miernotę! W tym czasie stary Lot korzystał z nawilgocenia swojej drogiej małżonki

pod pretekstem, że przyjemność pochodzi od Jahwe. Hipokryta! A przecież w chwili opuszczania Sodomy, wobec ponurej perspektywy zamieszkania ze staruchem w jakimś szałasie i porzucenia stymulującego plotkarstwa służących i widoku młodych ciał, tej biednej istocie żal jest rozkoszy, więc odwraca się po raz ostatni. Prawda jest taka, że wolała śmierć od bezpłciowej chwały zastrzeżonej dla sprawiedliwych. Żona Lota to prawdziwa męczennica rozkoszy i fantazji. Cóż za kobieta, cóż za szalona wyobraźnia! Poeta wszystko to przemycił w tekście, ale ty, Iwanie Sierowie, nie potrafiłbyś tego odczytać, gdybym cię nie poprowadził za rączkę. Żona Lota to w całej rozciągłości symbol wyobraźni seksualnej, którą rabin i ksiądz chcieli unicestwić. Zamiast opiewać tę niezwykłą kobietę, ty cytujesz mi mądrości aforyzmów. Nie, Iwanie, musisz mieć w sobie trochę lubieżności, jeśli chcesz oddać sprawiedliwość poetom Biblii. Pomyśl raczej o córkach Lota, o pijaństwie, które czyni bezwstydnym Noego, o igraszkach Ewy z wężem, o konstruktorach wieży Babel, o wściekłości Jeremiasza i o krągłościach Zuzanny. Jeśli preferujesz przyjemności bardziej męskie, wyobraź sobie walkę Jakuba z aniołem, zupełnie samych, bez żadnych świadków, na pustyni, ich nagie ciała i naprężone mięśnie, albo te wszystkie krwawe masakry, porwania, gwałty, rzezie i holokausty ku rozkoszy Jahwe. Albo jeszcze o kuku, co uciekł z arki Noego, o tych wszystkich, którzy buntują się w imię swojego człowieczeństwa. Zapomnij o pokornych, uległych i liżytyłkach, Iwanie; masz tylko jedno życie, a śmierć jest twoją nagrodą. Wiem, że chcesz ze mną rozmawiać o moralności, o dobru i złu, i że być może wolisz zbyt dużo nie wiedzieć o mojej grze, chyba żeby poddać ją krytyce. Powiem ci coś: to chrześcijańskie przykazanie nakazujące nadstawić agresorowi drugi policzek jest jakąś perwersją na użytek zwyciężonych. Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby drugi policzek nadstawiał zwycięzca?

- Proszę się nie gniewać, Lucjanie. Przykro mi z tego powodu.

- Niech ci nie będzie przykro przede mną, ale wobec swojego odbicia w lustrze. Roztrwonileś już całe lata na książkowe bzdury nie mające żadnej wartości moralnej. Gdybyś przynajmniej potrafił dostrzec, że wszyscy bez wyjątku teolodzy usiłują tylko usprawiedliwić postępowanie Jahwe wymierzone przeciwko stworzeniom, wiedziałbyś dzisiaj więcej o szalberstwie władzy. Ot co! Zaczekaj chwilkę. Muszę się wysikać.

- Ciągłe zagniewany? - spytał Iwan, gdy Lucjan wrócił z toalety.

- Celem gniewu Bożego jest uratowanie swoich stworzeń, a nie zniszczenie ich - odparł Lucjan z uśmiechem. - W każdym razie jest to celem mojego gniewu. Drażni mnie sposób, w jaki

przerywasz mi, żeby mnie sprowokować, gdy ja tymczasem usiłuję cię czegoś nauczyć. Jesteś zbyt nieufny, Iwanie. To co ci mówię, to tylko słowa. Nie możesz wyciągnąć z nich żadnej korzyści materialnej. Zatem potraktuj mnie jak rapsoda, który zabawia cię opowiadaniem eposu, i przestań mi przerywać. Chyba że sformułujesz pytania zdolne wzbogacić moją narrację. Gdy z kolei ty będziesz miał jakieś interesujące opowieści do przekazania innym, pojmiesz irytację narratora, gdy przerywa mu się od niechcienia po to, żeby podkreślić swoją obecność.

- Dobrze, w porządku. Zrozumiałem. Milknę i zamieniam się w słuch.

- Słuchaj jednak ze zrozumieniem; nie daj się uwieść mojej retoryce. Przygotuj się na naszą debatę. O czym to mówiłem? Aha, już wiem, stwarzałem świat. Naszła mnie więc fantazja, żeby mieć do dyspozycji rodzaj teatru, w którym akcja toczyłaby się bez mojej interwencji i w który mógłbym się wkraść dla rozrywki w przebraniu stworzenia podlegającego regułom gry. Pozwoliłoby mi to odpocząć od wieczności. Coś jakby gigantyczne mrowisko, które oglądałbym bez zmęczenia, w którym bez znużenia mógłbym się zanurzać, gdyż nie byłoby przewidywalne. Oto trudność: nieprzewidywalność, nowość. Musiałbym stworzyć tę rzeczywistość tak, aby była w stanie mnie porywać, gdy każdego dnia będę ją odkrywał; aby była wytworem mojego umysłu, zarazem pozostając dla mnie tajemnicza. To stanowi istotę gry: zna się reguły gry, wie się, jak grać, ale nigdy się nią nie nudzi, gdyż reguły w żadnym stopniu nie determinują pionków ani ich poszczególnych ruchów. Czysty przypadek wydawał mi się wszakże kategorią zbyt chaotyczną, a ponadto obficie już wykorzystywałem nieprzewidywalność w moich marzeniach z okresu doskonałości. Jak ci już ukazałem na przykładzie kalejdoskopu, przypadek staje się w końcu nużący. Musiałem więc zastosować jakąś innowację. Mój sposób rozwiązania tego problemu był tym, co najbardziej zaimponowało drogiemu Albertowi. Oto on: w największym uproszczeniu wyszedłem od tego, co proste, zmierzając ku temu, co złożone, w taki sposób, aby - sukcesywnie się rozwijając - to, co złożone, wykorzystywało skrajne możliwości od początku tkwiące w tym, co proste, ale tak skrajne i będące owocem zwielokrotnienia tylu zmiennych, żeby mogły jawić mi się jako oryginalne. Ten stary kabotyn Hegel uchwycił to w swojej „Nauce logiki”. Tyle że ja chciałem uzyskać coś dużo bardziej skomplikowanego. Toteż obdarzyłem to, co w punkcie wyjścia proste, tyloma funkcjami, zmiennymi, potencjalnymi wyjątkami i regułami operacyjnymi, że zanim jeszcze na dobre zacząłem, cieszyłem się już na myśl o szaleństwie twojego świata. Podjęcie decyzji zajęło mi sporą część wieczności, a nawet mało brakowało, a nie wykonałbym inicjalnego prztyczka, gdyż w każdej chwili przychodziły mi do głowy coraz to

inne dziwaczne pomysły na skomplikowanie tego wspaniałego wyjściowego algorytmu.

- A więc to były wyliczenia matematyczne?

- Matematyka waszego umysłu może opisać niewielki ułamek globalnego procesu, stąd niedorozwój waszej wiedzy chemiczno-fizycznej. Jednakże jeśli nazywam punkt wyjścia „algorytmem” albo „równaniem”, czynię to w sposób czysto alegoryczny. Chodziło o program bardzo obszerny, który mógłbyś nazwać logiką istniejącego; to coś bliższego wyobrażeniowej metafizyce, coś, co zawiera potencjalności egzystencji, transformacji i śmierci, wraz z regułami funkcjonowania i łączliwości wszystkiego, co może się zmaterializować. Podkreślam: wszystkiego, nie tylko rodzaju ludzkiego. Zresztą wówczas nie wiedziałem jeszcze, że w ogóle dojdę do rodzaju ludzkiego. Wasze powstanie nie jest skutkiem żadnej konieczności, z całym szacunkiem dla filozofów. Oczywiście rad jestem, że istniejecie, jesteście wszak pełni możliwości, ale równie dobrze mogło stać się inaczej. Zatem wszystko już było gotowe, lecz przyzwyczajony byłem igrać czystymi abstrakcjami, dlatego potrzeba było tak wiele czasu, aby z całości wyłoniły się stworzenia złożone, jak bakterie, grzyby i wy, ssaki. Doszedłem zatem do rodzaju ludzkiego i dotąd uważnie go obserwuję, żeby dowiedzieć się, co się stanie. Uważnie i - nie ukrywam - z pewną obawą, ponieważ dostarczacie mi doskonałej rozrywki, a w dalszym ciągu nie jestem pewien waszej zdolności przetrwania. Upraszczając, zebrałem zasady, tchnąłem w nie pewną ilość odpowiedniej energii i wprawiłem w ruch. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie choć w części te fajerwerki stworzenia? Zaledwie w kilka sekund od początku pośród porywającego widowiska wnikałem po raz pierwszy we wszechświat w roli stworzenia. Byłem galaktyką, antymaterią, wiązką kosmicznej energii antygravitacyjnej, a później asteroidą, kometą, gwiazdą, na koniec wszystkim, w tym również rozprzestrzeniającymi się cząsteczkami gwiazd czy zwykłymi zagubionymi fotonami. Wrażenie, jakiego się doznaje, będąc zarazem materią i energią, jest nie do opisanego, to porażające. Zderzenia i wstrząsy, jakich się przy tym doznaje, mój stary, eksplozje i fuzje, przyprawiające o zawrót głowy prędkości i świetlna intensywność są czymś jedynym w swoim rodzaju, zwłaszcza jeśli jest się w stanie odbierać całkowitą rozpiętość wszystkich spektrów. Nadzwyczajne! Nigdy nie nudzę się w tym lunaparku wszechświata, a kiedy bardziej złożone stworzenia nużą mnie albo rozczarowują, lubię na powrót nawiązywać kontakt z rzeczywistością międzygwiazdną, żeby odświeżyć swoją inwencję. Za każdym razem jest to rodzaj terapii, coś jakby masaż odświeżający mnie po waszych małych kaprysach. Możesz mi wierzyć, że galaktyczna fuzja czy eksplozja gwiazdy tworzy odpowiednią

skalę dla ludzkich spraw. Pomyśl o tym próbując wyobrazić sobie siebie jako gwiazdę albo jeszcze lepiej w roli promienia światła w nieskończonej słonecznej trajektorii, który nigdy nie doleci do spoistej materii. Cóż to za szlachetna podróż! Widzisz, ten przykład podobny jest do mnie oddającego się moim wiecznym poszukiwaniom i tylko w ten sposób da się powiedzieć, że świat stworzony został na mój obraz. Skądinąd stworzony został wedle mojego życzenia, ale nie wiedziałem od razu, czym się w istocie stanie. Moje pragnienie było czysto ludyczne. Oto moja gra, Iwanie - zakończył spuszczać oczy, jakby oczekiwał braw.

- Cóż - zawahał się Iwan. - Bardzo to piękne, Lucjanie.

- Wyglądasz na zawiedzionego - zdziwił się Lucjan.

- Nie, ale spodziewałem się większego objawienia. O tym wszystkim wiadomo od dawna, a w każdym razie przyjmuje się to jako hipotezę. Nazywa się to Big Bangiem... Powiem nawet więcej, Lucjanie: hipoteza udziału Boga nie jest absolutnie niezbędna do przyjęcia hipotezy Wielkiego Wybuchu. Nie bardzo widzę, na czym miałby polegać pana fortel. Wszystko pięknie, gratuluję, ale...

- Ale?

- Obiecał mi pan rewelacje - odparł Iwan trochę nieswój - coś, co pozwoli mi zrozumieć moralność. Tymczasem wiedziałem o tym wszystkim, o czym mi pan opowiedział.

- Naprawdę nic nie zrozumiałeś, mój drogi. Znałeś sposób i na tym się zatrzymałeś. To o czym mówię, to przyczyna. Odnośnie do sposobu kontaktuję się z Albertem, z Kopernikiem i z innymi, którzy potrafią docenić techniczne piękno mojej gry. Tobie wyjawiam przyczynę, a ty nawet nie reagujesz.

- Ma pan rację, nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Iwanie, jak wszyscy filozofowie wyjaśniali przyczynę stworzenia? Zastanów się. Mówię ci o przyjemności ludycznej, o zabawie, o czystej rozrywce. Świat powstał wyłącznie dla rozrywki, dla mojej rozrywki, a nie w żadnym innym celu. Jesteście tylko fikcją, której reguły zostały ustalone przed waszym powstaniem. Czy dociera do ciebie wspaniałość tej gry? Mogę stać się bakterią i posługując się środkami dostępnymi bakterii, którą w owej chwili jestem, mogę zdecydować o ominięciu pewnych wypadków albo wybrać inne możliwości. Zdajesz sobie sprawę, co z tego może wynikać? Albo też w jakimś momencie waszej historii, gdy staje się za mało interesująca, mogę wybrać jedne opcje przeciwko innym i w zależności od tego zdecydować, w kogo się wcielę. Nawet z dala od wielkiej perspektywy społecznej może się

zdarzyć, że wpływam na losy jakiejś rodziny czy jednostki, a potem obserwuję przebieg wypadków, równocześnie uczestnicząc w ich nowym przeznaczeniu. Oto co nazywam rozgrywaniem partii albo posuwaniem figury na szachownicy. Do dyspozycji mam nieskończoną liczbę możliwości.

- Proszę poczekać, Lucjanie, nie bardzo rozumiem. Przecież powiedział mi pan, że nigdy nie wpływa pan na grę. Jak zatem może pan w niej uczestniczyć?

- To proste. W zależności od gry uczestniczę w niej zawsze jako istota ludzka, bakteria czy gwiazda, nigdy nie korzystając z mojej wszechmocy. Nie naruszam reguł gry ani nie modyfikuję sytuacji wybranego stworzenia. Na przykład teraz w twojej obecności wybrałem Lucjana i on jest Bogiem. Moim celem jest dostarczyć ci informacji o grze, żeby nadać właściwą perspektywę twoim moralnym rozważaniom. To wcielenie wywrze na ciebie wpływ, o którym nie mam pojęcia, ale na który czekam z niecierpliwością. Jeżeli postanowisz mnie zignorować, odejdę bez konsekwencji, nie burząc ci życia. Wybrałem cię zaś dlatego, że wierzę w twoje możliwości stania się interesującym elementem mojej łamigłówki. Przy innej okazji mogę przybrać postać pięknego młodzieńca, żeby uwieść jakąś damę nie po to, żeby ją przelecieć - chociaż ciało mojej inkarnacji zawsze potrafi skorzystać z dostępnych mu wrażeń - ale po to, aby zobaczyć, jak ten cielesny akt czy ta niewierność wpłynie na późniejsze życie tego stworzenia i jego otoczenia. Nie biorę jej siłą; przeciwnie - posługuję się wyłącznie jej własnym pożądaniem. To, w czym uczestniczy, jest z jej strony aktem wolnej woli. To proste drobne przykłady, które możesz w nieskończoność mnożyć w zależności od możliwości swojej fantazji. Bawię się i ogromnie wiele dowiaduję o funkcjonowaniu moich stworzeń.

- Chce pan powiedzieć, że my się wcale nie liczymy?

- Bynajmniej, mój drogi. Jest wręcz przeciwnie. Mam wielki szacunek dla swoich stworzeń. To Bóg z waszego katechizmu dla zaspokojenia swojej przyjemności wywraca wszystko do góry nogami. Ja przestrzegam zawsze jak najściślej reguł gry. Opuszczam jakąś partię z poczuciem dumy tylko dzięki swojej strategii, znajomości waszych upodobań i słabości, nigdy nie odwołuję się do cudów, kataklizmów czy innych oszustw. Dla cudów zachowałem moją przedwieczną onanistyczną świadomość; teraz pragnę uczestniczyć w grze na równych prawach z innymi. Poza tym nigdy nie interweniuję bezmyślnie. Nie, Iwanie, wasz świat jak najbardziej istnieje, jesteście realni i całkowicie wolni, a ja ani niczego nie apróbuję, ani nie potępiam. Nie karzę i nie zbawiam. Łaska nie istnieje, albowiem nie ma ani nieba, ani piekła.

Umrzecie naprawdę, zapewniam cię. Po śmierci istnieje tylko pośmiertny rozkład spowodowany działaniem mikroorganizmów i rozpadem tkanki biologicznej na jej składowe elementy chemiczne. Nic więcej, Iwanie. Wasz wkład w grę ogranicza się do życia, do znaczenia, jakie wasze czyny mają dla was samych, do skutków, jakie osiągniecie w czasie waszej egzystencji. Świat jest naprawdę otwarty; to nie teatr marionetek. Zresztą ludzka wolność jest wspaniałym produktem ubocznym pewnego imponderabilium, które wprowadziłem do inicjalnego algorytmu. Jestem z tego bardzo dumny. Jego potencjalności okazują się zadziwiająco płodne: mogą doprowadzić do wzniosłości lub do obłędu, do najbardziej poniżającej służalczości lub do powstania najosobliwszych ustrojów społecznych, a nawet do morderstwa czy samobójstwa. Wolność jest zresztą zasadniczą składową śmierci jako wartości ludzkiej. Ludzie zbyt przewidywalni to z reguły ci, którzy postanawiają ignorować śmierć, i ci za bardzo mnie nie interesują, podobnie jak większość zwierząt. Moje własne próby skonfrontowania ich ze śmiercią nie są zbyt obiecujące: niektórzy z nich trochę się rozwijają, czasem w sposób interesujący, ale w większości okazują się tchórzami szukającymi ucieczki w religijnej iluzji.

- Chwileczkę, muszę to przemyśleć, Lucjanie. Muszę sobie wyobrazić kilka sytuacji, w których byłbym na pana miejscu, bo w przeciwnym wypadku pozostanie to dla mnie zbyt abstrakcyjne.

- Zaczynj od małych, czysto ludzkich małości, które chciałbyś popełnić. Następnie przejdź do bardziej zaawansowanych stadiów gry. Zaczynj na przykład od drobnych zachcianek podglądacza, a zdasz sobie sprawę z ogromu spektaklu, jaki mam do dyspozycji. Pozostaw na razie moje interwencje w inkarnacjach; należą one do wyższego poziomu gry. Gdybyś na przykład mógł uczestniczyć w dniu prostytutki ze wszystkim, co to implikuje śmiesznego i patetycznego...

- To plugawe, Lucjanie - przerwał Iwan.

- Bez wątplenia jest to plugawe, ale już o tym pomyślałeś. Przyznaj, że mam rację. Nie bądź taki spłoszony, ja nigdy nie osądzam. To był tylko przykład, który przyszedł ci już na myśl i pomoże ci zrozumieć.

- Tak, już o tym pomyślałem - odparł Iwan. - Z czystego niezdrowego lenistwa. Ale nie poświęciłbym życia na zaspokajanie tego rodzaju fantazji. Wystarczy, że wypożyczy pan kilka filmów pornograficznych, a zobaczy pan, jakie to nużące.

- Zgadza się. Wyobraź sobie, że mógłbyś śledzić w całej rozciągłości prawdziwe

ludzkie egzystencje, jakbyś był w kinie. Lubisz przecież chodzić do kina i czytać powieści. Tymczasem utwór fabularny jest zamkniętym światem obdarzonym logiką teleologiczną, który daje ci złudzenie, że przeżywasz fragment czyjegoś życia. W istocie to jednak ułuda, ponieważ autor stosuje określone techniki, żeby dostarczyć czytelnikowi iluzji wolności. Wszystko zawczasu zorganizował, każdy element opowieści zmierza do celu według woli pisarza czy reżysera. W mojej grze przeciwnie, części składowe nie są z góry dobrane; wszystko już jest i rozwija się spontanicznie. Mnie pozostaje obserwowanie, żeby zrozumieć i żeby wedle mojego życzenia skadrować jedną lub więcej historii, które w tej rzeczywistości po sobie następują. Wyobraź sobie zresztą przyjemność, jakiej dostarczyło mi obserwowanie życia w starożytnej Grecji czy w Egipcie faraonów. Równocześnie próbowałem zrozumieć, w jaki sposób ludzie doszli do tego etapu i jak będzie się to dalej rozwijać. Mnóż możliwości, a zobaczysz, że nawet gdy ograniczyć się do jednego spektaklu, moja gra warta jest zachodu. To czasami tak absorbujące, że zapominam się inkarnować.

Iwan słuchał zaabsorbowany własnymi myślami, z grymasem uśmiechu na ustach i niewidzącym wzrokiem.

- Twój wyraz twarzy dowodzi, że zaczynasz doceniać rozmiary mojego stworzenia - podjął Lucjan. - To właśnie to, Iwanie; wszystko, wszędzie, od początku i wedle punktu widzenia, który spodoba mi się wybrać. Oczywiście wiele rzeczy się powtarza, wiele jest niepotrzebnych szczegółów, niemało też dłużyzn. To ja decyduję o fragmencie, który mnie zacieka, o wyborze interesującego mnie problemu, o ruchu niektórych pionków przez wzgląd na lokalne taktyki czy całościowe strategie. Ale też zdarza mi się przypatrywać z czystego lenistwa, między innymi w poszukiwaniu plugawych rozrywek, przykładów ludzkiej głupoty czy wreszcie, aby napawać się skutkami śmierci czy przypadku w odniesieniu do jakiejś populacji bakterii, ptaków czy płazów, jakichś nisz ekologicznych, albo dramatami grożącymi myślącym dwunogom. Twój uśmiech zdradza mi twoje myśli, mój drogi. Twoja natura samotnego marzyciela nie może pozostać obojętna na możliwości, jakie niesie moja pozycja.

- To prawda - przyznał Iwan - chociaż czuję się nieco przerażony rozmiarami pana dewiacyjnego wścibstwa. Czy to podglądactwo nie jest na dłuższą metę męczące?

- Gdyby to się bez końca powtarzało, miałbyś rację. Ale mimo wszystko spektakle zmieniają się w istotny sposób, a niektóre iteracje zawierają czasem wyjątkowy urok w zależności od uczestników. Nie licząc niektórych sytuacji skrajnych czy wyjątkowo płodnych

okresów, jak choćby wiek dwudziesty. Właśnie wówczas gdy wydaje się, że zapanuje stagnacja, istoty ludzkie dostarczają mi niespodzianek pełnych emocji i kolorytu; tak było z tymi drogimi purytanami amerykańskimi, którzy zrzucili bomby atomowe na niewinne miasta japońskie. Jakież to wykwintne widowisko obfitujące w ludzkie tragedie, fizyczne i biochemiczne przemiany, cóż to za decydujący cios dla moralności, jakaż hipokryzja... Rzec by można, że zrobili to wyłącznie dlatego, żeby mnie uszczęśliwić, żeby odplacić się za to, że wojna już się skończyła. Stworzenia bezustannie wprowadzają kolejne innowacje. Nie mówiąc o tym, że zawsze mogę powrócić do przeszłości, jak czytelnik, który sprawdza niektóre już przeczytane fragmenty książki dla przyjemności przeżycia ich raz jeszcze, choć zna już ciąg dalszy. Moja czasowość jest otwarta.

- Czemu to służy, jeśli zna pan koniec...

- Och, nie! Nie znam waszej przyszłości. Mógłbym oczywiście pójść dalej, jak to robią niektórzy zbyt niecierpliwi czytelnicy, którzy od razu zerkają na ostatnie strony, gdy książka wydaje im się za długa lub przerażająca. Ale nie robię tego. Byłoby to sprzeczne z moim ludycznym projektem, byłoby jego lekceważeniem. Nie zepsuję go dla tak nikłego efektu.

- A jeśli pewnego dnia wszystko się skończy?

- Zacznę od nowa inną grę, tu i ówdzie zmieniając kilka detali, żeby dodać pikanterii. A tak w ogóle ta, którą teraz prowadzę, nie jest pierwsza. Przed nią wypróbowałem dwa inne prototypy, ale w pierwszym zgrzeszyłem nadmiarem skromności i stało się to prawie równie nudne jak wieczność. Drugi był tak bezbarwny, że zastanawiam się czasem, czy nie legł u podstaw waszej koncepcji raj. W każdym razie zbieżność jest uderzająca.

- A co z tamtym?

- Z pierwszym? Definitywnie i zbyt chaotycznie eksplodował z powodu złego dozowania energii. Było to świetliste, ale puste. Albert i ja uśmialiśmy się bardzo z tych debiutanckich niepowodzeń.

- Mniemam, że w rozmowie z Einsteinem nie podejmował pan tematu etycznego aspektu pana projektu - zauważył Iwan wstając, żeby dorobić herbaty.

- Nie mieliśmy czasu. Rozgwieżdżone niebo nad naszymi głowami było z definicji gwarantem prawa moralnego w naszych sercach. Poza tym między fizykami kwestie przyczyny w oczywisty sposób skromnie ustępują miejsca problematyce sposobów. Albert nie był specjalistą od moralności, toteż całkowicie zaufał mi, uznawszy moje kompetencje w zakresie

fizyki i matematyki. Każdy powinien się zajmować swoją dziedziną.

- Rozumiem - odparł Iwan z kuchni. - Mniemam, że do tego wrócimy. Dręczy mnie inne pytanie, bardziej techniczne, trochę drażliwe. Chodzi o zależność pomiędzy przedtem i potem, o przyczynowość. Jak pan to robi, że bieg zdarzeń w czasie pana beztroskich światowych wyjść nie ulega zakłóceniu?

- Nigdy na nic nie wpływam; zdarzenia toczą się swoim biegiem, a stworzenia reagują w zależności od stopnia wolności sytuacji, w których się znajdują.

- Jeżeli na przykład - podjął Iwan powracając do salonu - wróci pan teraz, żeby zabić Napoleona w kołyszce, to zmieni pan moją terażniejszość.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli. Ale to nie działa w ten sposób. Makbet nie miał racji mówiąc, że moja gra to historia opowiedziana przez wariata. Po pierwsze, jeśli chodzi o inkarnacje, które mogą mieć pewne konsekwencje, ograniczam je zawsze do terażniejszości. Nie przejmuj się: jutro jeszcze nie nadeszło, a my jesteśmy w realnej terażniejszości gry. Przeszłość zachowana jest wyłącznie na mój użytek pod postacią całkowicie odrębnej wieczności na wypadek, gdyby terażniejszość mnie znudziła lub gdybym zdecydował, że pragnę ponownie przyjrzeć się niektórym drobnym sprawom, których żałuję. Jest jak książka, która spisywała się w miarę, jak przebiega ją moje spojrzenie czytelnika. Gdy powracam do przeszłości, żeby zabawić się w niej wcielony w jakieś stworzenie, baczę, aby nie zmienić nic istotnego. Oczywiście to, co się tam dzieje, jest dla mnie mniej interesujące niż terażniejszość. W istocie w przeszłości istnieje nieskończona liczba nieistotnych elementów, które nie wpływają na przyszłość. Nie mogę wyeliminować Napoleona, ponieważ stanowi odtąd część aktualnych reguł, ale miliardy innych stworzeń nie pozostawiły żadnego śladu i nadają się na przedmiot badań.

- Króliki doświadczalne?

- Tak, jeśli zależy ci na tym melodramatycznym tonie. Powiedziałbym raczej: aktorzy, którymi się posługuję w reżyserowanych przeze mnie sztukach. Na przykład jeśli z jakiejś aktualnie rozgrywanej partii dowiaduję się czegoś interesującego o niewpływających na los świata stworzeniach i gdy nie wynika stąd ryzyko dla gry, mam możliwość eksperymentowania tych samych posunięć w innych epokach czy w innych kulturach. I odwrotnie, w domenie istot żywych nic nie stoi na przeszkodzie, abym spróbował niektórych wariacji, które nie zachowały się w toku naturalnej selekcji czy wręcz nigdy nie zaistniały. Jeśli je poprawnie wyizoluję i jeśli zadbam o to, żeby na odchodnym wszystko wyczyścić, moje małe fantazje pozostają bez

konsekwencji. Ot, zwykłe kaprysy podziwu godnej ciekawości, jak powiedziałyby ci wielu uczonych. Najważniejsze to nie powodować szkód ani nie pozostawiać śladów, czego niektórzy z was nie przestrzegają.

- Proszę poczekać, Lucjanie, podaję herbatę i tym razem ja idę za potrzebą. Pana gra zaczyna mnie interesować.

- Trzeba się z nią najpierw oswoić, mój drogi. Wiedziałem, że prędzej czy później ulegniesz jej czarowi.

Kiedy Iwan wrócił z łazienki, podał herbatę i korniszony, czekając, aż Lucjan upora się z fizjologią swej inkarnacji. On sam, choć butelka szkockiej była do połowy opróżniona, nie odczuwał żadnych symptomów upojenia. Jego myśli były jasne i z całą pewnością odczuwał przyjemność z roztrząsania paradoksalnych aspektów tej dwupoziomowej czasowości, o której przed chwilą usłyszał od swego gościa. Ten ostatni wrócił z toalety z rozbawionym wyrazem twarzy i sam postawił problem:

- Widzę, co cię dręczy, Iwanie. Rzecz jasna gwizdziesz sobie na to, co mogę zrobić z przeszłością, i obiekcje, które zgłaszasz, są czysto formalne, żebyś wyszedł na humanitarnego humanistę. Nie przejmujesz się, czy wykorzystuję czy też nie króliki doświadczalne z przeszłości. Zresztą jedno z praw waszej ludzkiej moralności można by sformułować w sposób następujący: emocjonalne oddziaływanie tego, co mnie obchodzi, jest odwrotnie proporcjonalne do odległości zdarzeń czy to w czasie, przestrzeni, czy też w dziedzinie kultury. Czyż tak nie jest, egoisto? Drażni cię moja wielowymiarowa czasowość: jeśli to trwa wiecznie, jak doktor teologii Iwan Sierow może być pewny, że naprawdę jest w teraźniejszości, że nie jest już od lat martwy i że nie jest jednym z tychże królików doświadczalnych bez znaczenia, o których rozmawialiśmy przed chwilą? Istotnie obawa, że jest się pozbawionym substancji, jest głęboko zakorzeniona w moich myślących stworzeniach.

- Tak, ma pan rację. Ale muszę też przyznać, że perspektywa pozostania na wieczność zabawką do pana dyspozycji nie jest dla mnie przyjemna. Skąd mam wiedzieć, czy nie powróci pan za sto lat, żeby wypróbować na mnie swoje fantazyjki? Na jakiej podstawie mam wierzyć, że jutro jeszcze nie nadeszło?

- Boisz się, że jesteś tylko marionetką, mój drogi przyjacielu. Ten strach stanowi część twojej kondycji, a nawet jest jednym z jej najistotniejszych aspektów. Sam musisz o tym zdecydować, postępując tak, żebyś nie pozostał marionetką. Oczywiście nie jesteś Napoleonem,

ale dysponujesz środkami, żeby wznieść się ponad poziom tego, co całkowicie nieistotne. Z tego zresztą powodu cię wybrałem. Żeby się pocieszyć, powiedz sobie jednak raz na zawsze, że nic z tego, czego się obawiasz, nie dotyczy ciebie. Gdybym powrócił za sto lat, nie zdasz sobie z tego sprawy. Poza tym zależy mi na tym, żebyś nie znał swej przyszłości.

- Rozumiem, mam uwierzyć słowu Bożemu. Przyznaję, że przychodziło mi to łatwiej, zanim pana poznałem. Przy okazji, Lucjanie, czy istnieją istoty pozaziemskie? To idiotyczne, ale jestem ciekaw...

- Idiotyczne, ale dobrze pomyślane, mój drogi dialektyku. Ta pozornie nieznacząca informacja stanowi jednak część przyszłości. Na nic zda się próbować mnie przechytryć, żeby otworzyć szczelinę w twojej kondycji, a potem targować się o inne, istotniejsze szczegóły. Nie, zależy mi na tym, żeby chronić twoją niewiedzę. Gdybyś zastanowił się nad tym jak trzeba, zobaczyłbyś, że nie podaję ci żadnych, absolutnie żadnych nowych informacji, które nie byłyby już zawarte w twoim umyśle. Moja rola ogranicza się do tego, żeby pomóc ci uporządkować myśli, zachęcić cię do uważnego rozpatrzenia hipotez, które zbyt pochopnie odrzuciłeś. Postępuję w ten sposób również dla twojej ochrony, gdyż zależy mi na tobie; zależy mi na twojej otwartej przyszłości. Wy, stworzenia, boicie się ryzyka, nawet jeśli jest ono waszym wyłącznym zbawieniem. Macie obsesję przyszłości, chcecie gwarancji; odkąd istnieje świat, odwołujecie się do różnych guru, jasnowidzów i horoskopów. Tymczasem jedyna metafizyczna zaleta życia polega na tym, że jest otwarte, a nie zamknięte pod postacią przeznaczenia. Poznanie przed czasem zakończenia powieści zamienia dzieło sztuki w prasową wzmiankę o niecodziennym wydarzeniu. Powinieneś być tego świadomy po tym wieku mesjanistycznych historycyzmów, które nie przyniosły żadnej promiennej przyszłości. Mrówki, termity, oto zamknięte społeczeństwa; ich przyszłość znana jest z góry, gdyż stanowi część przeszłości. Koniec czasu zapowiedziany przez małego Jezuska jest ułudą równie prymitywną jak Leninowski ostateczny triumf komunizmu czy raj na ziemi w wydaniu kultury amerykańskiej. Podążajcie za tego rodzaju utopiami, a w końcu staniecie się równie szczęśliwi i pozbawieni trwogi jak mrówki czy termity. Moja gra zawiera inne możliwości, ale mimo wszystko nie mogę nad wami czuwać i bezustannie wpajać wam upodobania do wolnego życia.

- Czy to jest cel pana wcieleń?

- Ależ nie! Inkarnuję się wyłącznie po to, żeby się zabawić. Gdyby wasz świat zdumiał tak bardzo, że zapanowałaby w nim rodzaj szczęśliwej wieczności, może zmieniłbym zdanie i

dodał mu trochę życia. Gra jest bardziej skomplikowana, niż na to wygląda. Na przykład feudalizm trwał w Średniowieczu przez dziesięć wieków; to strasznie długo. Objawiła się wówczas zwykła mała bakteria *Yersinia pestis* i nagle wszystkim wstrząsnęła czarna dżuma. W try miga populacja Europy schudła o jedną trzecią i wszystko ruszyło z dużo bardziej ekscytującego punktu wyjścia. Nie przejmuję się tym za bardzo. Nie przestaję być dumny z moich początkowych kalkulacji i gratuluję sobie, że udało mi się stworzyć taki piękny wszechświat.

- Czy to nie nadużycie pojęcia piękna, Lucjanie? Są granice!

- Przeciwnie. Piękno to wyraz ogółu tego, co istnieje. Nie krytykuj pochopnie mojego dzieła. Już Tomasz z Akwinu w swojej „Summa theologiae” przyznawał, że nie można skonstruować kosmosu wypełnionego życiem i wigorem, żeby nie prowadziło to zarazem do zepsucia, rozkładu i cierpienia. Ten kontrast pomiędzy skrajnościami jest ceną, jaką trzeba zapłacić, żeby nie doznawać landrynkowatych mąk wieczności. Wiem, o czym mówię. Stworzenia ukatrupiają się wzajemnie, zgoda. Ale to zwalnia miejsce, rozwija humanistyczne uczucia, wprowadza pewną równowagę w sferach nadmiernie niestabilnych. Skutek jest podobny do tego, który wywołała *Yersinia pestis*, a jednak nie przyszłoby ci na myśl, by uznać tę biedną bakterię za niemoralną. Ona rozwija się wedle swoich możliwości, a wy możecie się przed nią bronić. No, ale o tym więcej podczas naszego następnego spotkania. Tej nocy przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą o grze, a jeszcze nie poruszyliśmy sprawy jej reguł. Na ten temat też ci nie wyjawię wszystkiego. Musisz sam się domyślić niektórych, innych znów przewidzieć konsekwencje. Moja obecność przy tobie i zmiany, jakie wywoła w twoim życiu, stanowi dobry punkt wyjścia do refleksji. Zdarza mi się także rozgrywać inne rodzaje partii, nie po to, by nauczyć czegokolwiek jakieś stworzenie, lecz by popchnąć je do kresu jego potencjalności lub przetestować jego przekonania. Moje obserwacje konkretnej sytuacji prowadzić mogą do roboczych hipotez, które stosuję następnie, żeby opracować strategie całych partii albo ograniczonych ruchów pionków służących osiągnięciu odleglejszych celów. Ileż to razy na przykład słyszałeś, jak jakiś śmiertelnik mówi: ach, gdybym miał takie to a takie zdolności... Albo: nie robię tego, do czego jestem stworzony, bo nie mam po temu warunków... Moja obecność może wówczas okazać się katalizatorem gwałtownych zmian. Bynajmniej nie zawsze jestem na miejscu, w którym dzieje się coś interesującego, lecz gdy tylko się o tym dowiem, czuję się zainspirowany. Wielki, pełen przesądów moralista umiera na atak serca w ramionach

zbyt namiętnej prostytutki bądź też znany ze swej homofobii ksiądz Kościoła okazuje się pederastą - oto małe, zabawne, wielce obiecujące opowieści. Zniknięcie pewnych niepotrzebnych albo zbyt trudnych do zniesienia istot może komuś przynieść ulgę i otworzyć mu możliwości, których istnienia do tej pory nie podejrzewał. U innych - przeciwnie - ciężar, jakim jest odpowiedzialność za istoty bezużyteczne, może okazać się płodny w etyczne reakcje niezależnie od tego, czy są pozytywne czy negatywne. Często nie sposób przewidzieć, jak zachowa się stworzenie postawione w danej sytuacji. Nawet jeżeli moje hipotezy okazują się często fałszywe, tym lepiej; to dowód, że gra zachowuje ciągle swój aspekt tajemniczości i niedookreśloności. Przegrywanie nie sprawia mi przyjemności i chcę, żebyś wiedział, że jestem graczem upartym, namiętnym i bardzo cierpliwym; jestem też zdolny przewidywać niekiedy bardzo złożone i odległe posunięcia figur. Czasem moje przewidywania nie od razu się sprawdzają z powodu drobnych nieprzewidywanych czynników, lecz jeśli moje prognozy są słuszne, na dalszą metę uzyskam dużo ciekawsze rezultaty. Przyznać należy, że pionki oddziałują na siebie wzajemnie w sposób niesłychanie złożony, rzecz by można fascynujący, i pod koniec symultanicznych, na pozór niezwiązanych ze sobą partii, w których ponoszę częściową porażkę, z powodu właśnie tych współistniejących niepowodzeń objawia się nowy wspaniały układ. Możliwości zawarte w ludzkim mózgu nie przestają mnie zadziwiać. Pomyśl na przykład o rozpadzie bloku komunistycznego, tego marzenia i grobu milionów stworzeń. Po pierwsze, gdyby ten blok nie istniał... Jeżeli, gdyby, ciągle te zdania warunkowe nabrzmiały potencjalnościami, dla śmiertelników na zawsze niespełnionych. Ale oto pewnego dnia blok zawalił się sam z siebie; był to tylko mit jak wiele innych, liturgia trzymająca na uwięzi indywidualne namiętności. I co się wtedy dzieje, Iwanie? Zaczynają się tam wyrzynać bardziej niż kiedykolwiek, i to z dzikością, którą trudno byłoby przewidzieć w czasie zimnej wojny; bieda i przemoc są tak wszechobecne, że każą żałować dobrych stalinowskich czasów. Partie gry, które jak można było sądzić, zamrą w czymś w rodzaju ataraksji, przeciwnie, rozwinęły się i pozwoliły na uwidocznienie tego, co było jedynie uśpione na flankach wielkiego imperium. Wychodząc od idei wolnościowych, Rosjanie wytworzyli bezprzykładny totalitaryzm, żeby popaść następnie w rodzaj kapitalistycznego barbarzyństwa kontrolowanego przez dawnych aparaczyków, którzy stali się kryminalistami. Bardzo przenikliwy musiałby być ten, kto by wszystko przewidział nie zajrzawszy na ostatnie strony książki. Ale gdy traktować cały ten ciąg wydarzeń jako powieść, z czysto estetycznego punktu widzenia przyznać wypada, że jest to bardzo podniecające. Istoty ludzkie napawają mnie

ludyczną radością. Na początku mówiłem sobie, że jeśli kiedykolwiek stworzenia dojdą kiedyś do tego, że same będą się mogły wyobrazić, uczynią to nie tracąc nic z wszystkich sprzeczności zawartych w inicjalnym rozbłysku racy. I okazuje się, że miałem rację. Wspaniały ze mnie artysta! - podsumował z afektacją Lucjan.

- Zanim podejmie pan swą opowieść, Lucjanie, proszę mi pozwolić na jeszcze jedno pytanie. Potrafię sobie wyobrazić partie, które sam bym rozegrał, gdybym był na pana miejscu. Proszę ze mnie nie drwić. Przyznaję, że najpierw spróbowałbym drobnych ludzkich małości, tak jak pan powiedział przed chwilą. Sądzę nawet, że poszedłbym dalej; miałbym zapewne jakieś plany osobiste, projekty bardziej altruistyczne. Wyływałyby z moich własnych skłonności, z moich przekonań. A co jest myślą przewodnią w realizacji pańskich interwencji?

- Przede wszystkim, Iwanie, miło mi słyszeć, że moja gra cię interesuje. Doskonale zdaję sobie sprawę, że uważasz mnie za moralnego śmiecia. Jak mogłoby być inaczej, skoro jesteś stworzeniem śmiertelnym? Wszelako wiem też, że fascynuje cię ta gra, mimo że rozgrywający jest łajdakiem. Nie zmieniając żadnej reguły, zamieniłbyś po prostu swoje miejsce pionka na moje. Zastanów się przez chwilę. Jeśli myślisz, że jestem podły, oznacza to tylko tyle, że posiadam władzę, której ty nie masz. Na moim miejscu postępowałbyś tak samo jak ja. W istocie szybko zrozumiałbyś, że wszystkie twoje szlachetne złudzenia doprowadzą najwyżej do totalitarnego spokoju mrowiska. Nie powiem ci nic poza tym, ale to odpowiedź na twoje pytanie. Twoja kolej, żeby to przemyśleć, cierpliwie poczekać i nauczyć się ogarniać wszystkie zmienne, zamiast impulsywnie reagować. Pomyśl o grze w szachy, a zobaczysz, że tylko dzieci i wariaci przywiązują się do pionków w oderwaniu od ich pozycji na szachownicy. Zresztą moralne koncepty nie dotyczą żadnej gry; gra to wytwór umysłu. Gdybym dał dzisiaj śmiertelnikom alternatywę: albo wszystkiego nagle zaprzestać, albo kontynuować jakby nigdy nic, wiesz doskonale, jaka byłaby ich odpowiedź. Tylko kilku oszołomów albo skner wybrałoby całkowite unicestwienie. Jeśli naprawdę tego chcą, niech popełnią samobójstwo i dadzą żyć większości. Nawiasem mówiąc to, jak prowadzę grę, dotyczy was wyłącznie w sposób czysto teoretyczny; potraficie wszystko wyjaśnić odwołując się do praw przyrody albo do przypadku. W czym więc problem? Zawdzięczacie mi przecież wasze piękne życie pełne zmiennych kolei losu, ten świat jakże piękny i dziki, wszystkie te drobne przyjemności, dla których gotowi jesteście dać się posiekać. Więc jest jak najbardziej sprawiedliwe, że mogę się przy tym odrobinę rozerwać...

- W porządku, Lucjanie. Nie chcę się okazać niewdzięcznikiem. Jednak skoro już

dyskutujemy, musi pan przyznać, że to, co pan przed chwilą powiedział, dziwnie przypomina odpowiedź Boga na skargi Hioba: ja jestem szefem, wszystko stworzyłem bez twojej pomocy, więc się zamknij. Nie mam nic przeciwko temu, ale to przecież pan nie może ścierpieć Jahwe.

- Ileż złośliwości w tym małym Iwanie! - wykrzyknął rozbawiony Lucjan. - Nie uda ci się sprawić, żebym cię znienawidził.

- To szczęście niepojęte!

- Nie masz do końca racji. Szkoda byłoby, żebyś zachował o mojej grze tak niewłaściwe wrażenie. Hiob został ukarany przez Boga pysznego i na przekór wszelkiej sprawiedliwości. Przyznaję, że ten Bóg to sadysta, psychopata, a poza tym marny gracz; jego ostateczna odpowiedź Hiobowi to jeden z najlepszych przykładów głupoty i irracjonalności religii. Wierz i podporządkuj się - oto co wszystkie głoszą. Ja widzę tę sprawę inaczej i nie taję, że podziwiam Hioba. Ten człowiek był uosobieniem próżności i uporu i z tego właśnie powodu wkurzał Jehowę. Za pomocą ograniczonych środków Hiobowi udaje się rozegrać partię, upokorzyć swojego Boga i pozostawić jedyny w swoim rodzaju przykład wszystkim przyszłym graczom. Gdybym był na miejscu Jahwe, zacząłbym od tego, żeby doprowadzić Hioba do popełnienia kilku małych grzeszków, tak żeby partia naprawdę miała sens. Jahwe nie potrzebował wiele, zaledwie małej wymówki, ale - impulsywny i egocentryczny - zapomina o tym szczególnie i zaczyna grę z absurdalnych pozycji wyjściowych. Na jego miejscu najpierw poszukałbym drobnych rys w charakterze Hioba. Tchnąłbym w niego na przykład sporą dozę testosteronu i obdarzyłbym go towarzystwem Służek sprzed okresu pokwitania, które po przebudzeniu patriarchy pielęgnowałyby jego ciało. Z powodu porannej erekcji starzy cnotliwcy są na te rzeczy wrażliwi, zwłaszcza gdy tylko otworzą oczy. Co do pani Hiobowej, być może odwołałbym się do jakiegoś wypadku albo wysłałbym ją w długą podróż, żeby wyeliminować ją z sytuacji. Może odeszłaby na zawsze, najlepiej dyskretnie, biedula była wszak stara, pobożna jak jej małżonek i z pewnością pragnęła połączyć się ze swym stwórcą. Pojmujesz teraz różnicę? Ten przykład lepiej pomoże ci zrozumieć kunszt prawdziwego gracza. Poza tym jaki sens prowadzić grę z takim prawym starcem jak Hiob? Po to, by zaimponować diabłu? Wątpliwa przyjemność... Nie, Iwanie, wolę natury mroczne, targane wielkimi namiętnościami czy zmagające się z głębokimi kompleksami, i niejednoznaczne sytuacje. To co Jahwe uczynił z Hiobem, należy do dziedziny cudów, to czyste objawienie swojego istnienia bez jakiejkolwiek strategii czy ludycznego wyrafinowania. Wiesz, że gdy przystępuję do gry w określonej sytuacji, stosuję wyłącznie

ludzkie środki. Wolę dogłębnie przeanalizować postaci dramatu, żeby oprzeć się na ich własnych skłonnościach, nie stosując środków przymusu. Uwiedzenie nie jest przymusem, łączy obydwie strony gry w związku zgoła erotycznym. To prawda i zaręczam ci, że zdarzało mi się rezygnować z danych wyjściowych albo je modyfikować, gdy urzekał mnie urok niektórych stworzeń. Uwiedzenie stanowi ryzyko nawet dla mnie. Inne stworzenia przeciwnie, wydawały mi się tak odstręczające, że nie mogłem się powstrzymać, żeby nie poprowadzić dalej tego, co z początku było tylko zwykłym taktycznym planem. Środki, jakie stosuję, są wyłącznie ludzkie, inaczej wszechświat stałby się nędzną jarmarczną strzelnicą. Ale też przypomnij sobie, że lubię grać do końca; gdy jestem owładnięty jakimś pomysłem, zachowuję go na długo i rozwijam uciekając się do pomocy wszystkich dostępnych mi środków. I nigdy nie stosuję siły, co wyklucza zamordowanie przeciwnika, chyba że jego zgon uznać można za wyzwolenie czy zadośćuczynienie. Zdarza mi się być bardzo miłosiernym dla przeciwników dużego kalibru. Ale gra pozostaje prawdziwa dla natur mocnych i odważnych, zaś jej reguły są obiektywne - to nie napady złego humoru czy próżności jak w wypadku Jahwe.

- Doceniam to, Lucjanie, i przyznaję panu całkowicie rację. Mój komentarz zmierzał wyłącznie to dookreślenia pewnych drobnych szczegółów. Ja również podziwiam Hioba. A przy okazji, co by pan zrobił, żeby przeciwstawić się grze Jahwe, gdyby był pan na miejscu Hioba?

- Dobrze to rozegrał - odparł Lucjan po chwili zastanowienia, w czasie której Iwanowi zdawało się, że jego rozmówca nerwowo zmarszczył brwi. - Reagując z pozycji bytu niższego, Hiob mógł go tylko wkurzać. Zagrał więc rolę przyzwalającej ofiary, zapewniając jednocześnie o swej wierze w Boga dobrego, acz niezbyt troszczącego się o swoje stworzenia. To była wyrafinowana taktyka. Posunął się tak daleko, jak pozwalała mu na to jego własna sytuacja wierzącego i podwładnego. Decyzja była doskonała i przyniosła zamierzone skutki. Tyle że nie zemścił się na Jahwe. Na koniec Bóg przywrócił go wprawdzie do łask, ale przecież Hiob nie mógł odpłacić mu pięknym za nadobne. Sądzę, że cierpiał na próżno; w języku szachów uznaloby się to za pat albo remis. Niemniej jego ból był rzeczywisty, gdy tymczasem Jahwe zabawiał się jak rozkapryszone dziecko w towarzystwie diabła. Co do mnie, nawet odpłacenie tą samą monetą nie wydaje mi się wystarczające, gdy afront nie jest niczym motywowany. Pojęcie zemsty zawiera przebicie stawki niezbędne w razie, gdy chodzi o to, żeby dać nauczkę i zniechęcić do riposty. W moim mniemaniu Hiob ostatecznie przegrał.

- Cóż mógł zrobić innego?

- Nie wiem. Zawsze trudno stawiać hipotezy w odniesieniu do utworów fikcyjnych. Trzeba samemu znaleźć się w konkretnej sytuacji, żeby przyszły nam z pomocą dobre pomysły. Nie wiem. Mógł głośniej wyrazić swoje rozczarowanie wobec Boskiej sprawiedliwości, odwrócić się od rabinów albo podburzyć młodych... O, mógłby się zemścić tworząc od razu chrześcijaństwo. Oto co naprawdę wkurzyłoby Jahwe: Hiob ogłasza się bękartem Boga i zakłada nową religię - zakonkludował Lucjan, wybuchając śmiechem.

- Dobrze! - potwierdził Iwan.

- Oczywiście, że dobre, mój drogi. W pewien sposób jest to kolejny wniosek twojej rozprawy. Za każdym razem gdy cię cytuję, rozpromieniasz się. Cóż, robi się późno, muszę odejść.

- Już? - wyrwało się trochę zawiedzionemu Iwanowi.

- Tak, tej nocy nie mogę pozostać dłużej. Wzywają mnie drobne nieprzewidziane okoliczności w innych partiach. Poza tym jako że nie wydajesz się skory do zorganizowania orgii ze swoją pulchną sąsiadką, muszę dostarczyć trochę rozrywki temu kochanemu Lucjanowi. Ma tylko jedno niedługie życie, więc powinien skorzystać ze swojego obdarzonego temperamentem ciała. Nigdy nie inkarnuję się dwa razy w ten sam sposób, a lubię odpowiednio nagradzać cielesne powłoki, którymi posługuję się, żeby prowadzić grę. To sprawiedliwe.

- Nie zaprasza pan kolegów? - spytał Iwan.

- Nie, koniec z cudami. Zależy mi na tym, żeby niczego na siłę nie przyspieszać. Przyjemności, które odpowiadają Lucjanowi, mogłyby ci się wydać zbyt plugawe albo cię wystraszyć. Sam musisz o siebie zadbać. Twoja piękna Izabella jest obok, na wyciągnięcie ręki. Być może nie wiesz, że jest adwokatem. Ale uwaga, jest gorsza od sukuba. Ci prawnicy są bardzo roszczeniowi i uważają, że wszystko im się należy. Korzystają z życia żarłocznie i bez skrupułów. Przede wszystkim nie daj się zdominować. Adwokaci są bardzo zaborczy i kłótlivi; gdy wpadnie im w ręce jakiś smakowity kęs, łatwo go nie wypuszczą. Już cię zauważyła, a twoja nieśmiałość podsyca jej pożądanie. Taka spełniona zawodowo, ale czująca się samotnie kobieta może się okazać lepsza w łóżku niż dziwka. Miałbyś trochę odmiany od młodzieńczych amorów z tą twoją kelnereczką. Mógłbyś nabrać trochę doświadczenia nie ryzykując zbyt wiele, bo pani adwokat lubi pieniądze, a ciebie uważa za splukanego. No, lulu, Iwanku, i do następnego razu. Niech ci się przyśni coś miłego.

Minęliśmy się na schodach w mojej kamienicy. Moja sąsiadka Izabella wracała późno z rozplomioną twarzą i naręczem pakunków tak wielkim, że miała trudności z zachowaniem równowagi. Zaskoczony zareagowałem na jej uśmiech i pomogłem zanieść do mieszkania kilka prezentów. Wracała z przyjęcia w biurze i była w nastroju bardziej niż radosnym. Dotąd mieliśmy w zwyczaju pozdrawiać się tylko skinieniem głowy, choć jej fizyczna obecność za każdym razem mnie podniecała. Tego dnia przeciwnie, zachowaliśmy się tak, jakbyśmy byli w zażyłych stosunkach. Zaprosiła mnie do siebie nalegając, żebym dał się skusić na kieliszek wina. Pod płaszczem miała wydekoltowaną suknię z lejącej się tkaniny, która podkreślała jej bujne kształty, nie ograniczając jednak ich ruchów. Ta kobieta cała emanowała seksem i wydawała się zachwycona moją obecnością. Z niezwykłą swobodą przedstawiła mi się i zapytała mnie o imię. Przypominam sobie, że wspomniała o tym, że jest adwokatem, i oznajmiła mi, że po francusku forma żeńska od *maître* - „mecenas”, to *maîtresse*, czyli zarówno „mecenaska”, jak „kochanka”, „metresa”. Podczas gdy opowiadała mi szczegóły przyjęcia, z którego powróciła, jej twarz była bardzo ekspresyjna, a uśmiech zachęcający, chociaż unikała patrzenia mi prosto w oczy. Potem w milczeniu wypiliśmy wino, każde onieśmielone obecnością drugiego. Wyznała mi, że za dużo wypiła, i poprosiła o wybaczenie swojego oszołomienia, równocześnie się do mnie przybliżając na kanapie. Nasze uda zetknęły się, czułem emanujące z jej ciała ciepło; jej oddech wydawał się urywany. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, tak że prawie nie zdałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Gdy dotknąłem wewnętrznej strony jej uda, zareagowała długim westchnieniem i odwróciła się, żebym ją pocałował. Delikatnie kwaskowaty zapach jej perfum podziałał na mnie

upajająco, a moje pieszczoty sprawiały, że otwierała się pożądliwie. Jęcząc, kierowała moimi dłońmi, w miarę jak ją obnażałem. To co nastąpiło, przekroczyło wszelkie granice mojej wyobraźni. W kolejnych uniesieniach jej twarz zmieniała się w zadziwiający sposób, raz dziewicza, kiedy indziej jak dzikiego zwierza lub groteskowa, a jej oczy zapalały się pełną gamą kolorów. Piersi i pośladki obejmowały mnie jak ssawki, zmuszając, bym złączył się z jej ciałem, roztapiając się na koniec w czymś na kształt zamkniętego w sobie bólu. Jej ciało poddawało się moim uściskom, a moje palce orały je aż do krwi; nurkowałem w lepkich i wilgotnych otchłaniach nie wrywając z niej słowa skargi, nic poza śmiechem i jękami rozkoszy. Byliśmy już to na miękkich tkaninach, już to w morzu pośród alg i ostrych muszli, aby kolejno pieścić się i ranić, nie mogąc zaznać ukojenia. Izabella uśmiechała się, zanim na nowo otwierała usta i wpijała się we mnie zębami. Podróżowaliśmy w ten sposób po naszych ciałach, wnikając zarazem w nasze wnętrzości w ludożerczej frenezji, niezdolni położyć kres tej krwawej masakrze.

Obudziłem się oszołomiony, zlany potem, próbując krzyczeć. Był wczesny ranek, w pokoju było zimno, a regularne tykanie zegara powoli przywracało mnie do rzeczywistości. Czuję jeszcze swój urywany oddech i przyspieszone bicie serca. Przede wszystkim nie potrafiłem uwolnić się od zatrważającego poczucia realności emanującego z tego długiego, ponurego majaku. Na pościeli z ulgą stwierdziłem brak śladów krwi; tylko pozostałości moich samotnych zmaz. Wokół ten sam zwykły ład; z kuchni dobiegał znajomy pomruk lodówki. Mogłem rozróżnić odgłosy pierwszych samochodów na ulicy. Izabella śpi niewinnie w swoim łóżku - mówiłem sobie, żeby się uspokoić - i nikt nie był świadkiem perwersji mojego umysłu. Wyłącznie mojego umysłu - upewniałem się - to wszystko stało się tylko w mojej głowie!

Żeby dojść do siebie, musiałem wstać i dokonać przeglądu całego mieszkania. Wrażenie strachu nie znikło pomimo widoku samowara i pustej butelki po szkockiej. Wysznięte korniszony leżały na talerzu obok popielniczki po brzegi wypełnionej niedopałkami. Żadnych śladów wizyty Lucjana poza moimi notatkami spisanymi zaledwie czytelnymi gryzmołami. A przecież przypominałem sobie go z taką samą wyrazistością jak Izabellę i nasze szaleństwa.

Bez wątplenia przyśniło mi się to; rodzaj erotycznego marzenia, które przybrało kształt wywołującego trwogę koszmaru, ale pomimo wszystko było to tylko senne marzenie. Taka Izabella mogła istnieć tylko w moich fantazjach; gdyby było przeciwnie, powinienem był ją zabić. Zapach perfum i intymna woń w nozdrzach nie przestawały przekonywać mnie, że było

odwrotnie. Ale dlaczego postać Lucjana zachowała w mym umyśle to samo wrażenie obecności co senny koszmar?

Lustro w łazience przekonało mnie w końcu, że nie noszę śladów paznokci ani zębów, chociaż obolałe mięśnie mogły świadczyć, że długo się z czymś zmagalem. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz i nic w mieszkaniu nie wydawało się niepokojące.

Wziąłem długi prysznic i z dzbankiem pełnym mocnej kawy w zasięgu ręki zacząłem przeglądać odręczne notatki z ubiegłego wieczoru. Dostyc dokładnie udało mi się odtworzyć meandry dyskursu Lucjana, podobnie jak moje pytania. Bez żadnej wątpliwości był tutaj we własnej osobie i długo razem dyskutowaliśmy. Skąd zatem ten brak strachu w jego obecności, moja jakże łatwa akceptacja, jeśli teraz, już sam, owładnięty byłem trwogą?

Czy Izabella była jedną z jego kreatur, figurą podstawioną, żeby mnie pilnować? Bez wątplenia nie; mieszkała w tym domu, jeszcze zanim się tu wprowadziłem i nigdy nie usiłowała się do mnie zbliżyć. Już wcześniej o niej myślałem, pociągała mnie fizycznie, co Lucjan zapewne dostrzegł. Podejrzywałem, że to on zesłał mi ten realistyczny sen po to tylko, aby mnie podniecić lub zrobić mi wątpliwego gatunku dowcip. Albo też przeciwnie, chciał wpłynąć na mnie w nadziei, że zniszczy moje uczucia do Soni? Niewątpliwym skutkiem wspomnienia mojego zachowania w czasie snu była deprecjacja miłosnych uniesień i to napawało mnie poczuciem wstydu pomieszanym z odrazą. Zastanawiające, że odczucia te nie były w stanie całkowicie zatrzeć realnych aspektów zmysłowej rozkoszy, których natrętne wspomnienie było bardzo wyraziste. Czułem się tak, jakbym popełnił jakąś zbrodnię, ohydny gwałt, jednocześnie nie mogąc wymazać z umysłu podniecającego obrazu przyzwalającej ofiary. Czy naprawdę była moją partnerką w rzeczywistości, czy też po prostu zaaranżowałem moją fikcję w taki sposób, aby ukryć cierpienia ofiary?

Te pytania bez odpowiedzi i wiele jeszcze innych zaprzętały mój umysł przez część przedpołudnia. Powoli pod wpływem kawy i zimna zacząłem myśleć w sposób bardziej uporządkowany. I tym razem z mojej rozmowy z Lucjanem zapamiętałem przede wszystkim to, że nie objawił mi niczego, o czym bym wcześniej nie pomyślał. Sam to przyznał. Zdawałem sobie sprawę, że nic oryginalnego nie miały też w sobie pytania, jakie sobie zadawałem na temat mojego koszmaru z Izabellą. Pomimo przepaści, jaka dzieliła doświadczenie każdego z nas, opowieść Tiaga, czy raczej narracja, w jaką zamieniałem właśnie jego opowieść, zawierała prawie takie same pytania. Całkiem zresztą możliwe, że nie pochodziło to od Tiaga, ale zostało w

ten sposób przekształcone przez mój umysł, gdy wysłuchiwałem jego zwierzeń. Jak mogłem być pewien, że wszystkiego nie zniekształciłem na swoją modłę, że odtąd jego historia jest dostępna wyłącznie poprzez zamknięte ramy moich zapisków? Skądinąd czy mogło stać się inaczej? Kolejne fragmenty jego opowieści były liczne, lecz chaotyczne i gdyby je po prostu zestawić, nigdy nie stałyby się wystarczająco spójne, by mógł je zrozumieć ktokolwiek poza nim samym. Nie da się wykluczyć, że on sam nigdy nie byłby zdolny do stworzenia spójnej całości i że ten rodzaj granicznych doświadczeń musi pozostać niezborny. Czy zatem kiedykolwiek byłby usatysfakcjonowany sposobem, w jaki uporządkowałem jego wyznania, postacią, którą stał się w mojej dziwacznej fikcji?

Lektura ciągu dalszego jego opowieści wydała mi się w tym momencie sprzyjająca przygotowaniu spotkania, na które byłem z nim tego dnia umówiony. Odczuwałem także potrzebę zatarcia śladów mojego dwuznacznego snu, pogrążając się w przejrzystości moralnego doświadczenia Tiaga.

Nie od razu zdałem sobie sprawę, że mieli zamiar mnie uwolnić. Zresztą zupełnie nie wiedziałem, co działo się na zewnątrz, i żyłem zaabsorbowany automatycznymi zdaniem, które przepływały przez mój umysł. Od pewnego czasu nie byłem już w stanie czytać, gdyż moje oczy nie mogły znieść wpadającego przez judasz światła. Stałem tyłem do drzwi trzymając książkę na wysokości zamkniętych oczu; wydawało mi się, że w tej pozycji ciągi recytacyjne sprawiają mi mniejsze cierpienie. Dzisiaj już wiem, że w istocie wszystko mieszało się i że żyłem w stanie bezustannego stuporu, nie próbując bronić się przed halucynacjami, które splatały się z moimi myślami. Droga do latryny stała się niesłychanie uciążliwa i musiałem okrywać się kocem, żeby uniknąć oślepienia. Eskortujący mnie strażnicy wykazywali dużo cierpliwości, sądzę nawet, że pomagali mi dużo bardziej, niż mieli przykazane. Gdy zostawałem sam, po zamknięciu judasza zdarzało mi się słyszeć muzykę lub długie rozmowy sprawiające, że zapominałem o nieustającym szmerze zdań Biblii. Kiedy indziej słyszałem dziwaczne krzyki albo gwar dzieci na podwórzu szkolnym. Moje ciało zdawało się nadymać, nadymać powoli jak balon; bywało, że unosiłem się w powietrzu mając bardzo wyraźne odczucie, że spoglądam na siebie leżącego na cemencie. Wszystko toczyło się w bardzo zwolnionym tempie, nawet moje powietrzne piruety albo kiedy cela kołysała się, a ja tkwiłem przyklejony do sufitu. Świat całkowicie utracił swój kierunek i oś, nie miałem żadnej miary czasu, a mój apetyt coraz bardziej ustępował miejsca pragnieniu.

W ogóle nie pojąłem, o co chodzi, gdy przyszli przenieść mnie do szpitala marynarki. Podróż w zamkniętym furgonie przyprawiała mnie o mdłości; niezdolny zachować równowagę, kilkakrotnie uderzyłem się w głowę, ponieważ wehikul kołysał się dużo szybciej niż ściany mojej celi. Tak czy inaczej niczego nie widziałem.

W szpitalu jeszcze zanim mnie umyli, szczelnie zawiązali mi oczy. Spływająca po moim ciele ciepła woda była tak przyjemna, że o mało nie zasnąłem na stojąco. Pielęgniarz, który mnie mył, bez przerwy recytował ojczyznę i zdrowaśki, jakby odmawiał różaniec. Potem dali mi zastrzyk, podłączyli do kroplówki i przywiązany do łóżka rzemiennymi paskami zapadłem w głęboki sen.

Spałem i spałem, dawali mi się napić zupy i zasypiałem na nowo. Czasem zdawałem sobie sprawę, że siedzę na sedesie, kiedy indziej znów czułem, że jestem myty, ale wszystko to odbywało się w przyjemnym stanie półsnu i w absolutnej ciemności. Pewnego dnia zaprowadzili mnie gdzieś na badanie wzroku. Potem nosiłem okulary takie, jakich używają spawacze, ale przymocowane do twarzy plasterkami. Świat docierał do mnie w tym okresie przez gęsty granatowoszary filtr, dzięki niemu bez większych trudności mogłem mieć otwarte oczy. Rozróżniałem niektóre przedmioty i wpadające przez okno światło.

Jacyś ludzie przychodzili zajmować się moimi ranami, ogolić mnie czy zmienić pościel. Potem zacząłem jeść sam, nie będąc jednak w stanie określić, co właśnie przeżywam. O zmierzchu, zanim zapalano światło, mogłem zdjąć na kilka chwil moje okulary, żeby przyzwyczajać się do oglądania świata gołym okiem. Gdy odczuwałem ból, wkładałem je z powrotem i zdejmowałem na nowo, gdy wielką salę chorych oświetlało jedynie światło emitowane przez ekran telewizora. Zdaje się, że wszyscy inni chorzy byli marynarzami; nigdy nie odzywali się do mnie, ale częstowali mnie papierosami i pomagali mi, gdy tego potrzebowałem.

Niewątpliwie z powodu aplikowanych mi lekarstw biblijny strumień w mojej głowie tracił na sile; w ciągu dnia słyszałem tylko cichy szmer w tle, w którym od czasu do czasu rozpoznawałem kilka konkretnych fragmentów. Wieczorami, zanim usnąłem, powracał obsesyjnie, ale na bardzo krótko, gdyż wkrótce zaczynały działać środki usypiające.

W miarę jak czułem się coraz lepiej, jak moje wnętrze zaczęły prawidłowo funkcjonować, powrócił strach przed torturą, a wraz z nim przytomne wspomnienie tego, co się stało. Na powrót stawałem się człowiekiem, ale odnajdywałem w sobie tylko wprawiające mnie w drżenie wstyd i samotność. Łzy napływające mi ni stąd, ni zowąd do oczu były dla innych

znakiem, że nie jestem szalony; czasami pielęgniarze opóźniali godzinę podania mi środka usypiającego, żeby przez chwilę ze mną pogawędzić. Nie wiedziałem, co im powiedzieć, a ich - jakże przecież ludzkie - gesty paraliżowały mnie tak bardzo, że zamykałem się w milczeniu. Próbowali mnie pocieszyć, mówiąc o nadziei rychłego uwolnienia. Najwyraźniej nie byłem przeznaczony ani do zabicia, ani do tortur. Instrukcja w moim dossier mówiła, żeby możliwie jak najlepiej zamaskować na moim ciele ślady tortur, dobrze mnie odżywiać i nie oszczędzać środków uspokajających. Więcej pielęgniarze nie wiedzieli, ale uważali to za dobre wiadomości. Z reguły cywilni więźniowie byli umieszczani w szpitalu marynarki tylko przejściowo, a zabiegi, które im robiono, ograniczały się do utrzymania ich przy życiu. Pielęgniarze wiele już widzieli i sądzili, że zostanę wypuszczony na wolność, chociaż nie mam wpływowej rodziny ani przyjaciół, którzy mogliby zabiegać o moje uwolnienie.

Pod prysznicem miałem możliwość obejrzenia pozostałości tortur. Te wyżłobione blizny, poźółkłe plamy martwicze na skórze, ślady przypalania, połamane zęby, spuchnięte nogi i krzywo odrastające paznokcie nie wydawały się naprawdę przynależać do mojego obolałego ciała. Spoglądałem na nie jak na rzeczy odległe, niezdolny powiązać je z wyraźnymi wszak obrazami cierpienia, jakie mi zadano. Pielęgniarz, który modlił się pomagając mi się myć, wydawał się dużo bardziej niż ja poruszony tymi bliznami; dotykał ich tylko z największą ostrożnością, jakby chodziło o coś zaraźliwego. Myślę, że nie robił tego z pogardy, lecz z szacunku i z obawy, żeby mnie nie urazić.

W dalszym ciągu w świetle dnia widziałem jak przez mgłę i trudno mi było rozróżnić to, co znajdowało się w pewnej odległości. Nawet szare dni wydawały mi się słoneczne i od mrużenia oczu miałem wokół nich zmarszczki. Rzecz zadziwiająca, w bardzo przyciemnionym świetle na małą odległość zacząłem - jak mi się wydaje - widzieć z nadzwyczajną ostrością; z tej odległości przedmioty jawiły mi się tak precyzyjnie, że stawały się dziwaczne, prawie nierealne. Długimi godzinami wpatrywałem się w drobne nieznaczące kształty, które przyciągały mój wzrok niespodziewanymi szczegółami, i wówczas szmer w umyśle oddalał się jak słyszane z dużej odległości morskie fale.

W tym somnambulicznym stanie spędziłem najwyżej dziesięć dni, gdy ubrany po cywilnemu lekarz wezwał mnie na badanie. Na widok mojego obnażonego ciała nie był w stanie ukryć irytacji i odezwał się do pielęgniarzy tonem, którego nigdy nie zapomnę: „Co za zniszczenia! Nie mogliście znaleźć innego? Każcie mu zrobić prześwietlenie płuc, odczyt

Wassermanna i próbę tuberkulinową. Nie ma potrzeby czekać na wyniki. W formularzu wpisać wynik negatywny”.

Zaprowadzono mnie następnie do biura, w którym oficerowie zapytali mnie, czy mam w mieście rodzinę lub przyjaciół, którzy mogliby przynieść mi ubrania. Nie miałem nikogo, moi rodzice nie żyli już od dawna, a pokój, w którym mieszkalem, został obrócony w perzynę przez policję w przeddzień mojego aresztowania. Również oni nie ukrywali swojej irytacji wobec tego aspektu mojego spustoszonego życia, aż jeden z nich wykrzyknął: „Przecież ten chłopak nawet nie istnieje! Można by było wysłać w jego miejsce kogokolwiek innego i nikt by tego nie zauważył.” Powtórzyli pytanie, uznając za niemożliwe, by nie istniał na świecie nikt, kto nie mógłby mi pożyczyć ubrania. Czy nie miałem kogoś, kogo należałoby zawiadomić w razie zgonu?

Jak mogłem im wytłumaczyć, że nie, że jestem na świecie sam jak palec i wielce zdziwiony, że jeszcze żyję? Czy wiedzieli chociaż, co to być samotnie? Wszyscy ci oficerowie pochodzili z rodzin mieszczańskich i nie potrafili pojąć, że ogromna większość ludu nie była w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa stałych więzów rodzinnych ani trwałych przyjaźni. Te rzeczy kosztują. Więźniowie, których uwalniano, zamiast wrzucić ich ciała do wspólnego grobu, rzadko pochodzili ze środowisk robotniczych. Sytuacja zecera takiego jak ja, studiującego wieczorowo i próbującego polepszyć los swoich bliźnich, wydawała im się tym bardziej skandaliczna, że w tym kraju biedacy nigdy nie zajmowali się polityką. Polityka była luksusem dla intelektualistów i obowiązkiem dla wojskowych. Reszta powinna się zadowolić karnawalem, piłką nożną i niedzielną mszą. Sami dziennikarze nie sprzeciwiali się tej wizji całości; pochlebiając władzy, czuwali nad tym, żeby każdy spokojnie pozostał na miejscu wyznaczonym mu przez Boga.

Mój ojciec był biedakiem, niewykwalifikowanym robotnikiem budowlanym, a matka sprzątała i robiła pranie w bogatych domach. Dzieci rozpierzchły się nie wiadomo jak, w sposób jak najbardziej naturalny. Wiedziałem, że jeden z moich braci jest kierowcą autobusu, ponieważ któregoś dnia zobaczyłem go za kierownicą autobusu, do którego wsiadłem, żeby dojechać na oddalone przedmieście. Uśmialiśmy się z tego przypadkowego spotkania i z tego, że rozpoznaliśmy się po tylu latach. Wysadził mnie na moim przystanku rzucając zwykłe „do widzenia” i pojechał dalej. To, że zostałem zecerem, było dziełem zwykłego przypadku. Tyle że podczas przerw w pracy, żeby dać odpocząć oczom i oddalić się od wyziewów płynnego ołowiu z linotypu, zamiast jak inni wygrzewać się na słońcu, pozwalałem, by jakaś dziwna ciekawość

przyciągała mnie do wszystkich tych zadrukowanych stron, które prasa wypluwała jak dzień długi. Zecer powinien ograniczyć się do tego, żeby nie zastanawiając się złożyć na opak wszystko, co mu dali do złożenia. Nie jest od tego, żeby czytać, ale od łączenia odpowiednio przyciętych kawałków ołowiu, ponieważ gdy zajmuje się tym, co znaczą te podobne do siebie metalowe tabliczki, zaczyna marzyć, co może stać się przyczyną wielu nieszczęść. Słowa są dobre, każde nazywa jakąś istniejącą rzecz, ale zdania są zdradzieckie; często zmieniają rzeczy, które istnieją i z czystej chęci uwiedzenia mieszają to, co istnieje, z tym, co - jak się uważa - istnieć powinno. To nie jest dobre, sprawia, że traci się upodobanie do małych rzeczy pozostających w naszym zasięgu. Czyż to przekłete przyzwyczajenie do lektury nie sprawiło, że utraciłem wszystko, a potem pogrążyłem się w obłądnie?

Pielęgniarz odprowadzając mnie do wspólnej sali nie krył radości; według niego wkrótce miałem odzyskać wolność. Tego wieczoru przyniesiono mi cywilne ubranie i parę butów. Nazajutrz zanim przetransportowano mnie na lotnisko do bazy wojskowej, dostałem okulary przeciwsłoneczne.

Więźniowie posuwali się gęsiego w dużym oddaleniu od siebie, żeby się nie porozumiewać. Każdemu z nas towarzyszył wartownik uzbrojony w pistolet maszynowy. Cudzoziemski samolot stojący w odizolowanej części pasa startowego oświetlały jak na filmie reflektory. Noc była chłodna i słyszałem cykanie świerszczy.

Kompletnie nie wiedziałem, co się dzieje, ale uspokajał mnie widok innych więźniów. Niektórzy byli w moim wieku; każdy trzymał w ręce walizkę lub worek i spokojnie szedł do samolotu. Jeden z nich, mężczyzna z siwymi włosami, był w kajdankach. Eskortowali go oficerowie. Była tam też młoda kobieta w towarzystwie dwóch zakonnic w szarych habitach.

Na pokładzie czekali na nas cudzoziemcy po cywilnemu. Każdego z nas posadzono w osobnym rzędzie foteli. Nie wolno było rozmawiać. Oficer i dwóch uzbrojonych strażników ostatni raz sprawdzili każdego więźnia i przekazali załodze nasze dokumenty podrózne. Gdy zamknięto od wewnątrz drzwi, staliśmy się apatrydami. To nie miało żadnego znaczenia. Kiedy samolot opuścił przestrzeń powietrzną kraju, podano nam posiłek i ludzie, którzy się znali, zaczęli ze sobą rozmawiać. Odwróciłem głowę w stronę okna i oczekując na sen, oddałem się recytacji fragmentów Biblii. Gdzie nas zabierano? To też było bez znaczenia. Na zawsze pozostanę w mojej czarnej celi zajęty własnymi sprawami.

Byłem dosyć zadowolony z tego, co napisałem. Ten krótki tekst stanowił rdzeń mojej książki o Tiagu. Po nim miały się znaleźć obfite fragmenty naszych rozmów w formie dialogów i monologów, którymi chciałem oddać brzmienie jego własnych słów. Te fragmenty, zbyt niespójne lub urywane, mogły nabrać pewnej jedności przez odesłanie do wcześniejszego bardziej linearnego rdzenia. Moje własne pytania i podtrzymująca je refleksja moralna również zyskałyby na tym punkcie odniesienia, który pozwoliłby je uściślić i uogólnić. Jednakże pozostawało mi jeszcze zredagowanie najtrudniejszej części, tej, w której po przybyciu do naszego kraju i fizycznie już podleczoney Tiago zaczął uświadamiać sobie swoją sytuację. Tortura sama w sobie należała już do przeszłości, ale odcisnęła niezatarte piętno na jego duszy i nie chciała ustąpić miejsca nowemu życiu. Przeszłość nie chciała stać się przeszłością; nie tylko prześladowała ofiarę niespodziewanymi nawrotami, ale wykrystalizowała się w rodzaj tożsamości, w której mogła się ukryć. Ten punkt wydawał mi się najokrutniejszym afrontem, gdyż przekraczał granice przestrzeni i czasu, żeby zniewolić torturowanego nawet pod nieobecność oprawcy. Jak uwolnić Tiaga z tego kaftanu bezpieczeństwa i otworzyć go na to, co życie mogło przynosić nowego? Fakt, że tożsamość ofiary jest mimo wszystko bardziej komfortowa niż całkowity brak tożsamości, ale była to mimo wszystko forma więzienia. Jakim podstępem mógłbym pomóc Tiagowi, żeby zaczął odczuwać odrazę do swojej kondycji i spróbował dać sobie drugą szansę? Bez wątplenia coś w tym rodzaju zarysowałyby się w miarę redagowania tego, co postanowiłem umieścić po jądrze książki. Mimo wszystko odnosiłem wrażenie, że nie dysponuję wszystkimi danymi, dlatego że mi ich nie ujawnił albo też dlatego że ukryte były jeszcze w moich notatkach w oczekiwaniu, aż objawi mi je uważna lektura. W rzeczywistości, wiem już dzisiaj, tym, co w opowieści Tiaga wywoływało we mnie największy odruch sprzeciwu - a co uważałem za jej najistotniejszy element - była ta część, która mogła dotyczyć mnie samego. Gdybym był na jego miejscu, na pewno stymulująco działałoby na mnie fantazjowanie o zemście. Każda istota zachowuje się wprawdzie w sposób, który jest jej właściwy, ale też każdy reaguje na inne elementy sytuacji. Byłem wówczas zbyt zajęty sobą, żeby móc to przyznać.

Tego popołudnia spotkałem go uśmiechniętego, ale mimo że w dobrym humorze, nie miał ochoty opowiadać mi o sprawach swojego kraju. Gdy spytałem go, czy w gazetach wyczytał coś nowego, odpowiedział mi wymijająco, twierdząc, że dziennikarze ograniczają się do powtarzania sloganów reżymu, o niczym naprawdę nie informując. Według niego gazety malowały zbyt

piękny obraz rzeczywistości, ponieważ był to portret, który podobał się tym, co potrafią czytać. Szybko zmienił temat, z radością przyjmując moje zaproszenie na piwo.

„Pod Łajbą” Sonia, zajęta uprzątnięciem ze stołów po południowym posiłku, pozdrowiła mnie najpiękniejszym z uśmiechów. Nie bez pewnego skrępowania przedstawiłem jej Tiaga, bo choć byliśmy w tym samym wieku, on wydawał się przy mnie bardzo zniszczony; moje szczęście jawiło mi się prawie nieprzyzwoite w odniesieniu do jego życia. On wszakże robił wrażenie, że poznanie Soni sprawiło mu przyjemność. Po raz pierwszy na swój jak zawsze dyskretny sposób zaczął zadawać mi pytania na temat mojego własnego życia.

Opowiedziałem mu o szczęśliwym przypadku, jakim było poznanie Soni, i jak bardzo nasz związek zdaje mi się czymś nowym w mojej egzystencji samotnika, że w istocie nie mam konkretnych planów, nie licząc tego, że zamierzam napisać coś na kanwie naszych *rozmów*. *Później się zobaczy. Może będę podróżował i kto wie, może będę mógł go odwiedzić, gdy powróci do swojego kraju.*

Uśmiechnął się słysząc to zdanie i zapewnił mnie, że będzie zadowolony mogąc mnie u siebie przyjąć, wprawdzie nie wie jeszcze, kiedy wyjedzie, choć już zdecydował się na wyjazd.

- To nie potrwa długo, Iwanie. Poszedłem za twoim przykładem i coś właśnie piszę, żeby współpracować z tobą przy tworzeniu książki.

Uradowałem się słysząc go mówiącego w ten sposób, tym bardziej że nie powiedział tego swym zwyczajowym tonem złamanego człowieka; przeciwnie, wydawał się bardzo spokojny.

- Tak - ciągnął. - O pewnych sprawach trudno mówić. Łatwiej wyznać je kartce papieru. To co piszę, to nic wielkiego i może nawet się powtarzam. Będziesz musiał wybaczyć mi moje błędy; nie wysławiam się najlepiej nawet w moim ojczystym języku. Ale to nie szkodzi, zrozumiesz mnie. Być może te zapiski przydadzą ci się, gdy zasiądziesz do swojej książki. Jeśli nie, po prostu je wyrzuć.

- Tiago, stary druhu - odparłem. - To także twoja książka. Gdy tylko będzie gotowa, prześlę ci egzemplarz. Być może uda się ją przetłumaczyć i wydać również w twoim kraju.

- Wierzysz w to, Iwanie? Mam na myśli, czy wierzysz, że to warte zachodu? Nie, wystarczy, jak dasz mi ją przeczytać. Zresztą chciałem cię prosić o przysługę, jeśli to nie sprawi ci zbyt dużego kłopotu. Moja prośba dotyczy tych zapisków, które dla ciebie przygotowuję. Wiesz, że nie jestem za bardzo wykształcony i często nie potrafię wysłowić się jak należy ani odnaleźć wątku wydarzeń. Czy nie pożyczylbyś mi fragmentów, które już napisałeś, żebym mógł

sobie odświeżyć pamięć? Obiecuję ci, że będę na nie uważał i zwrócę ci je zaraz po przeczytaniu.

Nie spodziewałem się takiej prośby i sądzę, że można to było poznać po wyrazie mojej twarzy. Tiago wiedział, że napisałem już rodzaj streszczenia jego historii co najmniej od chwili aresztowania, ale nigdy nie zdradzał najmniejszego zainteresowania, żeby poznać jego treść. Prowizoryczny jeszcze i fragmentaryczny charakter moich notatek sprawiał, że moim zdaniem nie dojrzały one do lektury, zwłaszcza przez głównego zainteresowanego. Bez ujęcia ich w całościowe ramy wszystko to mogło wydać się zbyt surowe, zbyt absurdalne. Czy jedynym skutkiem nie będzie pograżenie się Tiaga na powrót w zamęcie przykrych wspomnień w chwili, gdy znalazł się na dobrej drodze, żeby się od nich wyzwolić? Próbowałem zatem zyskać na czasie.

- Moje notatki są jeszcze zbyt bezładne, Tiago. Mam tylko zarys fabuły, rodzaj kanwy, którą chcę wypełnić, w miarę jak będę porządkował moje przemyślenia. Jeśli nalegasz, mogę ci je pokazać, ale to zaledwie wstęp, po prostu ciąg wydarzeń. Zbyt to surowe, jeśli interesuje cię moje zdanie... Czy jesteś pewien, że chcesz teraz powracać do tych spraw?

- Jesteś dobry, Iwanie - odparł. - Zawsze starasz się mnie nie zranić. Nie przejmuj się, nie chcę czytać twoich zapisków, żeby się zdręzczać przykrymi wspomnieniami. One wszystkie i tak są tutaj, w mojej głowie, ale teraz udaje mi się nad nimi zapanować. Ciekawi mnie, jak uporządkowałaś moje wspomnienia, szukam inspiracji - dodał z zażenowanym uśmiechem. - Chcę pozostawić ci kilka stron, gdy już odejdę, a chciałbym, żeby to pasowało do tego, co teraz piszesz. Bynajmniej nie po to, żeby wyrazić swoją opinię. Już wyrobiłem sobie pogląd, a wszystko to należy do przeszłości. W każdym razie w końcu stanie się przeszłością. No więc czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, Tiago, zawahałem się tylko z poczucia niepewności. Nie jestem pisarzem. Nie, pozwól mi to powiedzieć: jest kolosalna różnica pomiędzy napisaniem rozprawy na temat abstrakcyjnych pojęć a opisywaniem faktów, zwłaszcza zaś tych smutnych, trudnych wydarzeń, o których zazwyczaj się nie pisze. Boję się i odsłonić za wiele, i nie odsłonić wystarczająco dużo; nie przeżyłem twojej historii, znam ją jedynie ze słyszenia.

- Tak jest dobrze - odparł zamyślonym tonem. - Gdy się przeżyło tego rodzaju sytuację, nie można znaleźć słów, Iwanie. Wszystko jest zbyt pomieszane, człowiek ma ochotę powiedzieć wszystko, ale zdaje sobie sprawę, że nie ma za wiele do przekazania. Cierpienie nie jest dobre; cierpienie wstrzymuje słowa i oddech. Oto dlaczego nie chciałem przeczytać tego, co o mnie

napisałeś. Być może wszystko stanie się w końcu opowieścią, także dla mnie. Poza tym na pewno pomoże mi to w dopowiedzeniu ci brakujących fragmentów, a ja nie poczuję się mniej obłąkany.

- Zgoda, Tiago. Przyniosę ci mój tekst. Będziesz mógł zachować fotokopie i powiesz mi potem, co sądzisz. Naprawdę chciałbym, żebyś był zadowolony, żeby ta spisana opowieść dobrze ci się przysłużyła, bo jeśli nie, to po co żyć?

- No właśnie - odparł z uśmiechem. - Po co żyć? Dzięki. Będę uważał. Nie zapominaj, że jestem zecerem i umiem już szybko czytać w twoim języku, chociaż nim nie mówię.

- Przedyskutujemy to razem, jeśli chcesz. Powrócimy do tego, co wydaje ci się niejasne. Jeśli masz uwagi, nie wahaj się mi ich przekazać. Do tej pory ten tekst wydawał mi się rodzajem gry, teraz zaczynam traktować go serio. Chciałbym poznać twoje zdanie.

Sonia przyniosła nam kolejne piwa i już nie wracaliśmy do moich zapisków. Byłem przyjemnie zaskoczony tą nagłą zmianą zachowania Tiaga i nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać:

- Więc zdecydowałeś, że wyjeżdżasz?

- Tak, Iwanie, myślę, że tak. Nie jestem jeszcze pewien, ale to bardzo możliwe. No wiesz, to jedna z tych długo podejmowanych decyzji... Jesteś zaskoczony?

- Przyznaję, że tak. Sądziłem, że jesteś daleki od powzięcia decyzji. Jeszcze kilka tygodni temu czułem, że jesteś bardzo smutny, przybity. Zapewne było to tylko złudzenie, ale... Powiedz, co spowodowało tę zmianę?

- Ty, Iwanie. Twoje słowa. Kiedy coś tłumaczysz, nie potrzebujesz wielkich słów ani uczonych formułek, a wszystko staje się jasne. To także jeden z powodów, dla których chciałbym przeczytać to, co napisałeś. Żeby móc lepiej myśleć. Ale pomogłeś mi także jako człowiek. Dobrze jest mieć takiego przyjaciela jak ty. Teraz wiem, że jest gdzieś ktoś, kto myśli o mnie czule. I robisz to nawet nieproszony, niczego się w zamian nie domagając. Byłem bardzo zmieszany, zarazem wzruszony i zmieszany, gdyż miałem wrażenie, że nie zasługuję na twe pochwały. - Moja relacja z Tiagiem nie była całkiem bezinteresowna, a jego moralny problem pociągał mnie bardziej może niż jego osoba. Powiedziałem mu to. - To niczego nie zmienia, Iwanie - odparł spontanicznie. - Prawdą jest przecież, że zbliżamy się do ludzi, z którymi łączy nas jakieś powinowactwo czy wspólne zainteresowania. Jeżeli moja przeszłość cię zainteresowała, tym lepiej; zyskałem w ten sposób przyjaciela. Moje życie wygnańca było

łatwiejsze, bo wiedziałem, że przyjdiesz ze mną pogawędzić. Poza tym nie wierzę, że jesteś tak wielkim egoistą, jak mówisz. Problem moralny ma może i wydźwięk filozoficzny, ale nie przestaje być problemem ludzkim. Oddałeś mi głos, a ja dzięki temu mogłem zebrać myśli. Widzisz, nie jestem jeszcze całkiem zdecydowany, żeby wyjechać, dlatego właśnie że boję się cię utracić, nie móc więcej opowiadać ci i wysłuchiwać tego, co masz mi do powiedzenia. Przyzwyczajamy się do ludzi... Przed chwilą powiedziałem ci, że wyjadę, ale zrobiłem to trochę po to, żeby się popisać, żeby cię uszczęśliwić, gdyż wiem, że nie lubisz widzieć, jak pogrążam się w obłędzie, ale również dlatego, że kiedy przedstawiałeś mnie swojej dziewczynie, wasze twarze były takie szczęśliwe, że i mnie zachciało się być szczęśliwym. Jest bardzo ładna, pasujecie do siebie. Życzę ci, żebyś był szczęśliwy.

To zadziwiające, że o rzeczach tak miłych i wzruszających potrafił mówić tak swobodnie. To tematy, których mężczyźni w naszym kręgu kulturowym nigdy na ogół między sobą nie poruszają. Ale kiedy uśmiechał się w ten charakterystyczny dla siebie sposób, patrząc mi prosto w oczy, docierało do mnie stopniowo, co znaczy dla niego mieć przyjaciela.

- Zatem rozważam wyjazd - powtórzył po chwili milczenia. - Wszystko co mówiłeś o obłędzie, o tym, jak szaleństwo ogarnia nas, kiedy przebywamy w samotności, to wszystko dało mi do myślenia. Nie chcę już żyć z dala od innych, na dodatek wpadając w ich szpony za każdym razem, gdy zaczynam myśleć. Próbuję uwierzyć, że tortury przestały działać z chwilą, gdy temu skurwysynowi pułkownikowi Figueiredo odechciało się mnie torturować, i prędzej czy później dojdę do tego. Udałoby mi się uwolnić, gdybym tylko był w stanie naprawdę uwierzyć w to, co powiedziałeś o szaleństwie. Wierzę ci, wierzę, że jesteś szczerzy. Ale istnieje wiara, którą odczuwa się głową, i taka, którą odczuwa się całym ciałem. Jeżeli dzieje się tak, jak mówisz, Iwanie, my ludzie jesteśmy zawsze o włos od obłędu. To przerażające...

- Powtarzam ci, Tiago, że dobrze zrobiłaby ci wizyta u psychiatry. Przynajmniej dowiedziałbyś się więcej, specjalista podałby ci przykłady, których nie znasz. Cóż chcesz, człowiek to istota bardzo krucha.

- Nie, tak jest dobrze. Wolę o tym nie rozmawiać. Tobie powiem słowo czy dwa, poza tym nie warto o tym wspominać. Tym bardziej nie ma sensu tracić na to czasu, jeśli to nie prawda, a czysty obłąd. Postaram się, żeby nigdy nie zamknięto mnie już w ciemnościach, i sprawa będzie załatwiona. W moim kraju mawia się: „Nie wierzę w czarownice, ale wiem, że istnieją”. Najlepszy sposób, żeby się przed tym bronić, to o tym nie myśleć. Sprytnie, co? To

ludowa mądrość; brzmi jak bzdura, kiedy wszystko jest w porządku, ale cała jej głębia objawia się, gdy zaczyna być źle. Będę więc unikał pojedynczych cel i postaram się nie myśleć o czarownicach. To przejdzie. Rozumiesz, co miałem na myśli mówiąc przed chwilą o tobie? Jesteś uosobieniem zdrowego rozsądku, nawet gdy wyjaśniasz problemy teologiczne. Zazwyczaj brzmią one bardzo tajemniczo, budzą trwogę i pogrążają w ciemnościach sprawiających, że człowiek czuje się samotny. W moim kraju o tych sprawach mówi się zawsze z dreszczem bojaźni, jak w Wielki Piątek wieczorem w kościele. Ale kiedy słucham ciebie, wszystko staje się jaśniejsze, prostsze. Szkoda, że nie mogłem skończyć studiów...

- Nie jest za późno, Tiago. Dużo łatwiej studiować, gdy się sobie zadaje pytania. Kiedy człowiek jest młody, studia są nudne, bo nie wie się, od czego zacząć, wszystko wydaje się bardzo ważne. Potem, gdy życie nauczy nas trochę o nas samych, zaczynamy zadawać sobie nasze własne pytania i wtedy odnajdujemy naszą własną drogę pomiędzy tym wszystkim, czego można się nauczyć. Zresztą niezależnie od tego, czy wyjedziesz czy zostaniesz, nic nie przeszkadza ci się zapisać na uniwersytet. Tutaj musiałbyś poświęcić co najmniej rok, żeby lepiej opanować język. Tam mógłbyś podjąć naukę na poziomie, na którym ją przerwałeś. Tak czy inaczej pozostaniemy w kontakcie i będę mógł ci pomóc posyłając książki.

- Dziękuję, Iwanie, bardzo dziękuję. Na pewno pozostaniemy w kontakcie. Nie zapomnę wszystkiego, co dla mnie zrobiłeś.

W tamtej chwili nie wiedziałem, że nasze egzystencje staną się nierozzerwalnie ze sobą związane ani jak bardzo jego obraz prowadzić mnie będzie w mroku mojego własnego życia.

Zaskoczony i zbity z tropu jego wylewnością, nie zwróciłem wystarczającej uwagi na nagłą zmianę w jego zachowaniu. Wówczas pomyślałem, że tak to już jest, że zmiana narasta powoli i niepostrzeżenie, aż nagle staje się decyzją narzucającą się jak konieczność. Powiedziałem sobie, że być może nie doceniłem wagi wiadomości o amnestii z powodu jej niemoralnego charakteru, ale że w głębi ducha Tiago był bardzo przywiązany do swoich korzeni i zawsze odczuwał nostalgię, tyle że była ukryta, oczekując przyzwolenia na powrót do kraju. Przypominam sobie jednak również, że ta nieznaną mi u niego lekkość, ta prawie beztraska wydała mi się nieco pochopna, nie pozbawiona pewnej frywolności. Byłem raczej przyzwyczajony do Tiaga melancholijnego, mrocznego, a chwilami wręcz płacznego; często czułem się zażenowany w obliczu jego niekontrolowanych emocji. On tymczasem zmieniał się tak szybko... Przez ułamek sekundy niedyskretna kropla rozczarowania zabarwiła moje myśli.

Natychmiast przewyciężyłem to egoistyczne odczucie i mogłem się już tylko radować pierwszymi objawami wyzdrowienia mojego przyjaciela.

Wieczorem w łóżku rozmawiałem z Sonią o Tiagu. Tego dnia zobaczyła go po raz pierwszy. Wywarł na niej przykre wrażenie smutku i fizycznej kruchości; zdziwiła się, gdy jej powiedziałem, że jest w moim wieku. Jak ja cieszyła się jego wyzdrowieniem, ale bardziej zajmowała ją myśl, czy owa sławetna amnestia była prawdziwa, czy nie jest to tylko pułapka mająca na celu zwabienie w sidła wygnańców. Wydawało mi się to nieprawdopodobne; cudzoziemscy dziennikarze byli na miejscu, wydawało się, że reżym się zmienił, a przede wszystkim nikomu nie powinno zależeć na tym, żeby znęcać się nad takim biedakiem jak Tiago, który odciął się od swoich dawnych towarzyszy. Soni to nie przekonało.

- Nie wiem - powiedziała bardzo zatroskana. - Ja nie wróciłabym tak łatwowiernie do kraju, gdzie toleruje się takie barbarzyństwo. To zacznie się na nowo, to silniejsze od nich. Kiedy się spędziło całe życie tutaj, nie sposób wyobrazić sobie, że ludzie zdolni są do takiego okrucieństwa. Ludzkie życie nie ma tam żadnej wartości. Czy to naprawdę możliwe, Iwanie, żeby to istniało, wszystkie te okropieństwa, które pokazują w telewizji?

Przypominam sobie, że uznałem to ostatnie zdanie za bardzo zabawne, ale też urocze i bardzo typowe dla mojej małej Soni. Reagowała jak pełna dobrej woli współczesna dziewczyna, nawet jeśli jej opinie zdradzały całkowitą nieznajomość problemów społecznych i wszystkiego, co wykraczało poza granice jej zamkniętego świata. Była zdrowa jak zwierzątko; nie sposób było nie zareagować z prostotą i rozczeniem na jej sposób bycia. Zatem zamiast próbować jej wszystko wyjaśnić, co mogło zepsuć nam nastrój, roześmiałem się tylko i pocałowałem ją.

- Nie gniewasz się, co? - zapytała, zaskoczona moją miłosną reakcją.

Tiago był daleko, Lucjan również, a Sonia była tym, czego mi było potrzeba, żeby podnieść się na duchu, żeby zapomnieć o wątpliwościach, chorobliwych fantazjach i mrocznych zakątkach świata. Pieszcząc się postanowiliśmy, że spędzimy kochając się kilka dni w jakimś wiejskim hoteliku. Potem wyjedzie, żeby świętować Boże Narodzenie z rodziną.

Po powrocie wczesnym wieczorem do swojego mieszkania Iwan zastał w nim Lucjana. Siedział przy stole i rozkładał na talerze zawartość kilku kartonowych opakowań z jedzeniem.

- Witaj, Iwanie - rzekł, nawet się nie odwracając. - Zamówiłem do domu chińszczyznę z doskonałej restauracji. Zdejmij płaszcz i siadaj.

- Widzę, że czuje się pan jak u siebie - odparł niezadowolony Iwan. - Nie przypominam sobie, żebym pana na dzisiaj zapraszał.

- Nie gniewaj się, mój stary. To na przeprosiny za moje nagłe zniknięcie ostatnim razem. Wiedziałem, że wezwiesz mnie dziś wieczorem, i chciałem ci sprawić niespodziankę. Lubię dobrze zjeść, a ty zgorzkniejesz, jeśli będziesz się odżywiać wyłącznie korniszonami. Zależy mi na tym, żebyśmy dziś wieczorem zażyli przyjemności. Wyobrażam sobie, że zastanawiałeś się nad moją grą i głowę masz pełną podchwytliwych pytań. Zacznijmy więc, zanim jedzenie wystygnie. Białe wino jest w lodówce.

Nie sposób się na niego gniewać, Lucjan jest naprawdę aż nadto sympatyczny - pomyślał Iwan już podochocony na myśl o jedzeniu. Poza tym, dlaczego nie, również był zadowolony, a w głowie kłębiły mu się pytania.

Lucjan miał pantagrueliczny apetyt i z rozkoszą pochłaniał olbrzymie porcje z przymrużonymi z zadowolenia oczami, doradzając Iwanowi, żeby skosztował ten czy inny kęs, który uważał za wyjątkowo smakowity. Wino było wyśmienite i musiało kosztować fortunę. W czasie posiłku żaden z biesiadników nie podejmował problemów metafizycznych. Potem Lucjan uparł się, że pozmywa; wyjaśnił, że nie chce, aby Iwan pomyślał, że jego gość jest

przyzwyczajony do tego, żeby go obsługiwać, a zresztą jak twierdził, odczuwał pewną przyjemność, bawiąc się wodą mydlaną.

- Często zdarza mi się inkarnować w dziecko, po to tylko żeby robić bańki mydlane - wyznał. - To cudowne, Iwanie, przypomina trochę stwarzanie świata. Trudno to wytłumaczyć, ale spójrz kiedyś w oczy małego dziecka, które puszcza bańki. Dowiesz się z nich więcej o kreatywności niż z wszystkich ksiązek świata. Dostrzeżesz w nich błysk pasji artysty, podobnie jak pogardę dla kruchości jego dzieła. Szkoda, że stwórcy tak często zapominają o tych pierwszych doświadczeniach i tak szybko mieszczenieją.

Zasiadłszy na powrót w fotelu, Lucjan zapytał mimochodem:

- Więc ofiarowałaś moje ukłony twojej sąsiadce Izabelli?

- Nie sposób pana oszukać, Lucjanie - odparł Iwan. - To właśnie od niej powinniśmy zacząć. Pańska koncepcja gry wydaje mi się wielce złośliwa. To pan wpadł na pomysł tego niewinnego sennego marzenia?

- Tak, a co w tym złego? Chciałem dać ci rekompensatę za to, że nie zaprosiłem cię na łajdactwa Lucjana. Taka mała fantazja, żeby cię ukołysać...

- Ma pan dosyć szorstki sposób kołysania.

- Nie podobało ci się? Ale poczekaj, poczekaj, Iwanie! To nie tak... Zesłałem ci możliwość sennego marzenia, to wszystko. To jak ją wypełniłeś, to już twój problem. Nie kierowałem tobą. Trochę mnie wprawdzie zdziwiło, że taki miły chłopiec jak ty zdolny jest do tego rodzaju fantazji. Lepiej bym zrobił, zabierając cię ze sobą.

- To nieprawda! Nie ja jeden jestem odpowiedzialny za tę masakrę. To wykluczone.

- No i znowu moja wina albo wina diabła. Pan Sierow zapomina, że zawsze cierpiał na koszmary, i to na długo przed tym, zanim się poznaliśmy. Mówię ci, Iwanie, musisz trochę przewietrzyć swoje życie. Oddałem ci do dyspozycji kamerę i sytuację, ale za scenariusz odpowiedzialność ponosisz ty sam. Sam widzisz, że nie umiesz korzystać z rzeczy prostych... Lubię zbiegi okoliczności, a ponieważ Izabella była sama w łóżku, jej też zesłałem sennie marzenia z tobą. Tyle że droga pani mecenas, jakkolwiek pyskata w życiu publicznym, w sennym marzeniu, które sobie zafundowała, okazała się aniołem słodyczy i zmysłowości. Gdybyś był widzem w jej małym intymnym kinie, zawstydzilibyś się swojego grubiaństwa. Bądź pewny, że obydwójce, każde ze swej strony, robiliście to samo, ona jednak okazała się zdolna do wielkiej elegancji, zwłaszcza w rzeczach, które robiła po raz pierwszy, natomiast teolog szybko przeszedł

do uderzeń i pazurów, a na dodatek - pragnąc udowodnić swoją potencję, żeby ukontentować damę

- nie zadowolili się stanem swojego kutasa, lecz wyposażyli się w rodzaj tłoka od lokomotywy parowej. Nie, Iwanie, nie mam w tym żadnego udziału. Gdy spotkasz ją przypadkiem, pokłoń się jej nisko; z uśmiechem na ustach ofiarowała ci prawdziwą ucztę. Nazajutrz poszła do pracy bardzo odprężona, marząc o tobie. Tymczasem panu Sierowowi przydałby się egzorcysta. Mój drogi, ja proponuję, ale nigdy niczego nie narzucam. Nigdy nie można przymusić do rozkoszy; najwyżej można ją ułatwić, trochę ją ukierunkowując choćby po to, żeby pokazać, że nie jest się pruderyjnym. Zamiast stosować się do cikliwych przykazań, powinieneś pomyśleć o tym, żeby za swoją pierwszą wskazówkę moralną przyjąć: „Kochaj ciało bliźniego twego tak, jak chciałbyś, żeby on kochał twoje”. Ta formuła pozwoliłaby uniknąć wielu głupstw. Mój drogi, kochać swego bliźniego to zbyt mgliste, to może znaczyć kochać jego paluch, jego kałasznikowa lub jego cierpienie w zależności od definicji, jaką nadaje się słowu „bliźni”. A co, jeśli śmierdzi? Może lepiej by było, żeby nauczył się myć... Jeśli zaczyna się od jego ciała, jest to nie tylko przyjemniejsze, ale też pozwala uniknąć kochania nieznanym czy tych, którymi się brzydzimy. Ciało pozwala lepiej poznać i ocenić tych, którzy się do nas zbliżają. Co do twojego ponurego snu, bądź w każdym razie pewien, że nikt inny o nim nie wie; gdy twoja sąsiadka będzie robiła do ciebie słodkie oczy, udaj, że jesteś choć trochę podobny do miłego chłopca, którego w wyobraźni rozdziewiczyła, a jeszcze mi za to podziękujesz.

- Ta niedyskrecja, Lucjanie, najbardziej mnie w panu drażni - odparł Iwan wyraźnie nie w sosie. - Nigdy nie myślałem w ten sposób o wszechobecności Boskiej. Mam wrażenie, że zawsze grzebie pan w naszym gównie.

- *Cave, cave, Dominus videt. Cóż chcesz, za bardzo lubię ludzkość, to silniejsze ode mnie. Jesteście moimi stworzeniami, to wy dostarczacie mi rozrywki. Tak, widzę wszystko albo raczej wszystko, co może się okazać interesujące. Zarówno wasze gówno, jak i wasze piękne czyny. Ale powiedz mi, czy to nie ty wyrzucałeś mi, że nie widzę gówna świata? Czy nie jest przypadkiem tak, że kiedy chodzi o twoje gówno, stajesz się podejrzliwy, a gdy w grę wchodzi cudze, powołujesz się na moralność. W istocie bardzo to pocieszające. I jakie chrześcijańskie, pozwól mi zauważyć. Jeśli pragniesz stać się spójny, powinieneś wzbogacić swoją moralność o trochę większą dawkę cnoty. Cnota to po łacinie *virtus*, „męskość”, „odwaga”, rzymska wersja greckiego *arete*. Przypomnij sobie „Iliadę”, a pojmiesz, że arystokracja i cnota od początku były*

ze sobą związane jako jedyna podstawa etyki. Współczucie to wynalazek przeznaczony dla słabych, dla tych, którzy lubią móc igrzać z dwuznacznością, jak również dla tych, którzy chcą dominować w świecie wypełnionym słabymi. Wobec cierpienia śmiertelnika grecki heros nie próbuje pocieszać; przeciwnie, używa miecza, żeby przyspieszyć śmierć tego, kto cierpi, i oszczędzić mu katuszy upokorzenia. W „Etyce nikomachejskiej” Arystoteles wykazuje zresztą, że honor jest miarą cnoty, ale cnoty osobistej; *aristos* oznacza „najlepszego”, nie „najbardziej miłego” ani „najbardziej zakompleksionego”. W „Iliadzie” *polemos* - „wojna” - jest prawdziwą przestrzenią, w której najlepszy mierzy się z innymi. Robi to nie dla jakiegokolwiek nagrody materialnej, ale żeby zyskać swój własny szacunek. Taka jest, Iwanie, intymna istota gry: ryzyko, wewnętrzne napięcie, niepewność i możliwość udowodnienia swojej odwagi w symbolicznej przestrzeni piękna, ładu i harmonii. Tego właśnie chciałem, stwarzając świat; nie dla osobistej chwały, ale wyłącznie dla własnej przyjemności. Na chwałę z uczestnictwa w grze zasługują tylko stworzenia odważne. Dopiero judaizm i chrześcijaństwo rozwały wszystko tą swoją moralnością rodem z arabskiego bazaru; moralnością dwudzielną: jedną dla silnych, a drugą dla słabych. Oto prawdziwe świństwo!

- W porządku, Lucjanie, zrozumiałem. Ale niech się pan nie unosi. Nie chcę, żeby pan mnie przekonał chwytami retorycznymi. Jest pan zbyt wielkim uwodzicielem, a ja mam konkretne pytania.

- Mam nadzieję, mój drogi. Twoje pytania pozwolą mi bez wątpienia docenić różnorodne aspekty gry, których nawet nie podejrzewałem. Wszystko co powiedziałem, to nie moralizatorski dyskurs, ale sedno każdej z obiekcji, którą zamierzasz przeciwko mnie wytoczyć - podsumował z prowokacyjnym uśmiechem.

- Chce pan kontrolować moje pytania?

- Nie, moja uwaga miała na celu trochę cię ukłuć, jak drażni się byki, żeby uzyskać piękny spektakl. *Olé!*

- Zaczynamy, po kolei. Tylko proszę zbytnio nie dywagować. Po pierwsze więc, zgadzam się z przywołanym przez pana cytatem ze świętego Tomasza z Akwinu dotyczącym złożoności świata. Uznaję też istnienie odrobiny cierpienia dla kontrastu ze szczęściem. Moje pytanie brzmi tak: dlaczego tak wiele cierpienia dla niektórych i dlaczego Bóg nie usunie jak najszybciej zła, jeśli ma po temu środki?

- To bardzo stare pytanie. Gdybyś bardziej kochał literaturę niż metafizykę, wiedziałbyś,

że twoje pytanie jest wariantem tego, które Piętaszek stawia Robinsonowi Crusoe: jeżeli Bóg jest silniejszy od diabła, dlaczego pokonanie go zabiera mu tak wiele czasu? Przeczytaj odnośny fragment, a zobaczysz, że próbując odpowiedzieć Piętaszkowi, Robinson gmatwa się w sofizmatach i kończy tym, że Bóg ostatecznie przebacza diabłu. A przecież to dokładnie apokatastaza, która zgubiła twojego Orygenesusa i sprawiła, że został potępiony jako heretyk. Pisziesz o tym w swojej rozprawie. Powróćmy do świata jako gry, a zrozumiesz, co to oznacza. Gra zakłada, by tak rzec, równowagę pomiędzy ruchem pozytywnym a negatywnym. Sprawa jest prosta, gdy mówimy o ekologii, populacjach zwierzęcych, w sumie o wszystkim, co nie jest człowiekiem. Jeśli zgadzasz się z Akwinatą, katastrofy naturalne nie należą do moralności, ta zaczyna się bowiem wraz z istotą ludzką. Zatem żeby rzecz uprościć i uniknąć wszelkiego pomieszania, uznajmy od razu ogół wszechświata z wyłączeniem ludzi za doskonały, piękny i harmonijny. Zgadzasz się?

- Tak.

- Tak? Jedno małe tak? Sądzę, że to zasługuje co najmniej na niewielką pochwałę, czyż nie?

- Tak, Lucjanie. Jest pan wielkim artystą. Brawa dla pańskiego świata!

- Otóż to, Iwanie - przyznał pochylając głowę. - Moja skromność nie pozwala mi wymagać więcej od egoistycznych stworzeń. Cóż, musisz się zgodzić; nie masz wyboru. Bez tej różnorodności wszechświat byłby zbyt ubogi; byłby nudny i przewidywalny jak wieczność. Ale jako totalny egoista, którym jesteś, z tego bogactwa wyłączasz człowieka w taki sam sposób, przeciwko któremu obruszałeś się przed chwilą, gdy w grę wchodziły twoje własne lubieżne fantazje. To wykluczenie człowieka mogłoby wielce urazić inne naczelne, a ty nie byłbyś w stanie podać im wystarczającego powodu dla swojej decyzji, i tak od wykluczenia do wykluczenia, schodząc po drabinie świata zwierzęcego, ameba mogłaby domagać się moralności amebowej i uważać za usprawiedliwione wykluczenie z niej wirusa. Oto pierwsza rysa. Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Zatem dla przyjemności życia w bogatym swą różnorodnością świecie ludzie zgadzają się, aby uważać ich za jedynych wybrańców i z dziedziny moralności wykluczają wszystkie inne stworzenia. To z ich strony obrzydliwe i chce cię uprzedzić, że doprowadzi do zniszczenia ich pięknego środowiska. Ale tak właśnie jest. Pożera się wszystko, karczuje roślinność i wprowadza nieskończoną serię szczegółowych zastrzeżeń odnoszących się do poszczególnych gatunków, które komplikują moralność. Na koniec nie wiadomo już, o czym

mowa. Tępi się komary, bo są niewygodne, ale byłoby bardzo źle widziane, gdybyś chciał poderżnąć gardło ujadającemu jak dzień długi pudelkowi sąsiada. Chroni się małe foczki, a zarzyna małe prosiaczki i zajada jagniętami, unikając wszelako gotowania ich w mleku ich własnej matki. Gdy afrykańskie niemowlę ginie szybciej niż obsiadające je muchy, jest to mniej szokujące, niż gdyby było białe, pulchne i synem turysty. Bądź pewien, że sygnalizuję to wszystko zawieszając jakikolwiek osąd moralny. Moim celem jest wykazanie ci trudności czysto dychotomicznego sądu odnoszącego się do klas i zdań. To nie kończy się na zwierzętach czy Afrykanach. Chińczycy oskarżani są o okrucieństwo, gdy zaraz po urodzeniu duszą dziewczynki; szanujący ludzkie życie Hindusi nie duszą swoich dziewczynek, ale raczej porzucają je żywe na publicznych śmietnikach, żeby zajęły się nimi sępy. Potępia się Chińczyków, a sławi hinduską mądrość, gdyż ta ostatnia jest bardziej dyskretna i obłudna, a więc bardziej niewinna. Mógłbym w nieskończoność mnożyć wypadki dwulicowości, w których trudności syntaktyczne i semantyczne nie sprawiają wam jakiegokolwiek przykrości.

- Nie mógłby pan raczej powrócić do mojego pytania? Dywagujemy.

- Bynajmniej nie dywagujemy, mój drogi przyjacielu, napawamy się dialektyką. To zawsze niesamowita przyjemność mówić źle o swoim bliźnim, żeby pokazać, że jesteśmy lepsi, żeby na pierwszym planie postawić siebie. No dobrze, pozostanę przy ludziach i przymknę oczy na ich hipokryzję. Powiedzmy, że aspirują do szczęścia i nienawidzą cierpienia. Tu właśnie, Iwanie, są dane, których brakuje w twoim rozumowaniu. Radzę ci znowu powrócić do literatury, do naszego poczciwego Dostojewskiego i jego mitu Wielkiego Inkwizytora. Postawił problem po mistrzowsku. Ja jednak zachęcam cię do spojrzenia na niego w inny sposób. Zastanowisz się nad tym później, porównując dwie perspektywy, Wielkiego Inkwizytora i moją, a zdasz sobie sprawę, że chodzi o tę samą odpowiedź. Otóż: można powiedzieć, że ludzki mózg jest najbardziej spektakularnym osiągnięciem w historii mojej gry. Jesteście naczelnymi, a tym samym należycie do reszty stworzeń zwierzęcych. Jako tacy nie jesteście podporządkowani regułom moralności, lecz regułom gatunku. Skądinąd posiadacie jednak zdolność do uświadamiania sobie waszych czynów i do wydawania dychotomicznych sądów. Oto krytyczny i piękny etap ewolucji gry, który da się streścić w kilku prostych zdaniach. Najpierw więc mamy do czynienia z unifikującą myślą przez opozycję do globalnej rzeczywistości zbyt złożonej dla kategorii tego nowego mózgu. Następnie - i jako wniosek - mamy unifikujący zmysł moralny przeciwstawiony ogółowi sprzecznych pragnień. Pragnienie poznania równe jedynie swojemu egocentryzmowi *versus*

mózg będący w istocie jedynie narzędziem orientacji, wytworzone przez tę samą rzeczywistość, którą ma ambicję poznać. Bardzo płodna wyobraźnia sprzęgnięta ze środkami zbyt ograniczonymi, by ją zaspokoić. I wreszcie miłość i nienawiść, żądza władzy i potrzeba samotności, czułość i przemoc, wszystko to wkomponowane w skrajną wrażliwość połączoną z głupio zimną logiką. Żeby spuentować, można by dorzucić wolę bycia bogiem zanurzoną w kałuży mózgu z endokrynologicznym napędem. Jeśli przełożyć wszystkie te sprzeczności na język teologii, dochodzimy do zdań typu: Chrystus przychodzi wyzwolić nas z mocy diabła, zatem diabeł jest niezbędny, aby Chrystus nie był zbyt cenny. Gorzej jeszcze: aby wszystko było zrównoważone, wielkość Chrystusa okaże się funkcją wielkości diabła. *Sine diabolo nullus Deus*. Zresztą jak doskonale pamiętasz, Anzelm z Canterbury flirtował z hipotezą, że Chrystus był tylko pułapką, którą Bóg zastawił, żeby odplacić diabłu pięknym za nadobne i w ten sposób uratować swój honor. Oto równanie między dobrem a złem. Zło i dobro nie istnieją więc w przyrodzie, a jedynie w waszym mózgu; to kantowskie czy augustiańskie kategorie, za pomocą których wyjaśnacie wasze własne wzajemnie sprzeczne czyny. U Greków słowo *diabolos* oznacza „przeciwnika”; w ich wizji świata to poprzez tego „przeciwnika” *aristos* udowadnia sobie, że jest cnotliwy i zyskuje zaszczyty. Bez diabła nie ma cnoty.

- Nie nadążam, Lucjanie.

- Uściślam. Wasz mózg nie potrafi myśleć o rzeczach inaczej, jak sprowadzając je do praw logiki, a przede wszystkim do prawa wyłączenia trzeciej możliwości. Ale ja nie stworzyłem świata wedle praw waszej logiki zdań. Niestety logika tego, co istnieje, jest o wiele szersza niż wasza! Macie piękny mózg, lepszy niż wszystkie inne, ale w przeciwieństwie do mózgu zwierzęcia wasz myli się, uważając, że ma rację. W praktyce to często działa, co daje wam poczucie wszechmocy, ale też nie zawsze, co znów pogrąża was w zamięcie. Oto dlaczego inżynierowie i wojskowi są tak dumni ze swojej myśli technologicznej, a filozofowie i poeci uważają ich za ostatnich imbecylów. Każdy ma absolutną rację, ale tylko w granicach swojej dziedziny kompetencyjnej. Ci, co zajmują się rzeczami prostymi, mogą się zadowolić diadami i prawem wyłączenia trzeciej możliwości. Ci, którzy zajmują się rzeczywistością złożoną, muszą odwołać się do mitu triad. Triady zaś nie mają nic wspólnego z waszymi możliwościami rozumowania, gdyż zakładają istnienie nie wyłączonej trzeciej możliwości, co jest absurdem. Stąd ogólne pomieszanie, aporie, hipokryzje, zdrada i tchórzostwo, mity, poezja i cała reszta, która czyni rzeczywistość ludzką wzniosłą, a do pasji doprowadza inżyniera czy wojskowego.

Poczekaj, Iwanie, pozwól mi na ostatni mały przykład, a potem wracamy do konkretów. Przyznaję, że to bardzo świńskie, ale to arcyłudzki przykład, który pomoże ci uchwycić piękno mojego argumentu. Niektóre zwierzęta mają stek. W trosce o porządek i specjalizację w trakcie doboru naturalnego wytworzyły się dwa otwory. Tymczasem człowiek nie przestaje wtykać nosa w dziurę, która nie ma nic wspólnego z seksualnością. Anus, ten trzeci wykluczony, fascynuje was tak bardzo, ponieważ istnieje. Teraz mnie pojmujesz?

- Jest pan świntuchem, Lucjanie!

- Dziękuję, mój drogi. Wiem, ile podziwu i wrażliwości jest w twoim okrzyku. Dzięki. Nasze zdrowie, Iwanie - rzekł podnosząc swoją szklankę ze szkocką. - A także tych małych pozostałości po ewolucji, które są solą życia.

- Nie ma wątpliwości, Lucjanie, sodomia jest *idée fixe* Boga, jego obsesją.

- Mylisz się, mój drogi. To obsesja ludzi, ja się nią tylko bawię. Czy znasz słynną „Summa angelica” z 1534 niejakiego Angela di Chiavasso, która była czymś w rodzaju podręcznika do grzechów w intencji wszystkich spowiedników? Znajdziesz tam to rozkoszne i zarazem niewinne potwierdzenie wszechobecności trzeciego wykluczonego, nawet jeśli sam anus tam nie figuruje: „Niezależnie od sposobu, w jaki stosunek został zaczęty i dopełniony, grzechu śmiertelnego nie ma, jeżeli nasienie wpuszczono do właściwego otworu i w taki sposób, by kobieta mogła je zachować”. Widzisz, Iwanie? To zresztą coś więcej niż *idee fixe*, to rodzaj paradygmatu ludzkiej seksualności. Nie zapominaj też o miłości safickiej. Wszędzie znaleźć można te perły spowodowane niezdolnością logiki do podzielenia rzeczy na dwie nieprzepuszczalne klasy, te jakże liczne paradoksy stanowiące o uroku ludzkiej myśli. Wypijmy za Bertranda Russella, który zbyt był inteligentny, żeby nie pomyśleć o moim małym przykładzie stosownym do jego paradoksu: naturalny mózg pragnący poznać naturę, której jest częścią.

- Wymiguje się pan, uciekając w te dygresje.

- Nie, Iwanie, szukam rozrywki. W istocie odpowiedziałem na wszystkie twoje obiekcje, i to w czasie naszej pierwszej rozmowy. To ty nie chcesz zaakceptować, że świat jest grą, a ja artystą. Spinoza pojął i zaakceptował moją grę; nie chciał się nawet wypowiadać na ten temat, gdyż etyka miesza się wówczas z kosmologią.

- Przyznaję, Lucjanie. To co pan mówi, ma sens, toteż nie będę tego kontestować. Ale to sens globalny. Gdy myślę o przypadku indywidualnym, nie mogę się już zgodzić. Każde życie ludzkie jest niepowtarzalne, a zdarza się, że jego jedyną cechą charakterystyczną jest cierpienie.

To nie jest sprawiedliwe.

- Po pierwsze, to pretensjonalne z waszej strony myśleć, że każde życie ludzkie jest niepowtarzalne. Są do siebie dosyć podobne i są sobie warte, jak życie innych zwierząt. Nie jestem wam winien żadnych przywilejów tylko dlatego, że jesteście obdarzeni świadomością śmierci. Ponadto jeśli trajektoria jakiegoś życia nacechowana jest cierpieniem, mam to w nosie, ma to w nosie gra i mają to w nosie inne stworzenia. Ty również masz to w nosie, o ile nie masz z tamtym życiem nic wspólnego. Już to mówiłem. Pionki zostały stworzone dla mojej gry. Nieistotne, czy cierpią czy się dobrze bawią.

- Rozpatrzmy na przykład przypadek Tiaga. Zna go pan, jak mniemam.

- Tak, oczy wiście, jakżeby inaczej, skoro zawzięłeś się, żeby poświęcić swoje życie temu indywiduum? Ale uprzedzam cię, to zwykły wariant przypadku Hioba i nie wniesie niczego nowego do naszej dysputy.

- Wariant?

- Tak, tyle że na niego zawzięł się nie Jahwe, a sadyści z sił zbrojnych. Również w Trzecim Świecie wojsko rekrutuje swoich członków spośród brutalni; daje im bardzo uproszczoną, manichejską ideologię nacjonalistyczną, a za zadanie podtrzymanie istniejącego systemu wszelkimi dostępnymi środkami. Oprawcy Tiaga Cruza utrzymują się u władzy siłą; jedynym sposobem, żeby ich powstrzymać, jest przeciwstawienie im większej siły, czy to środkami militarnymi czy prawnymi. Tiaga wkręcił w imadło i zmiażdżył wysoko postawiony sadysta. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć? Jedyna nauka, jaka z tego płynie, jest taka, że nie trzeba dopuszczać sadystów do władzy. Nie widzę innej.

- A Tiago jako jednostka?

- Doskonale wiesz, że pozostaje mu zemsta. Jestem zachwycony pracą, jaką nad nim wykonałeś, jeśli to chciałbyś usłyszeć. To piękne z punktu widzenia moralności. Ale więcej nie zrobisz. Nie możesz wymazać przeszłości.

- Mógłby pan, Lucjanie, trochę lepiej opatrywać rany swoich stworzeń - zaproponował Iwan zamyślonym tonem.

- Widzę, dokąd zmierzasz. Nie, mój drogi. Nie chcę nic wiedzieć o waszych wewnętrznych kategoriach moralnych. Interwencyjka tu, jakiś cudzik tam, przy okazji jakaś kanonizacja i za chwilę skompromituję się do szczytu tą waszą watykańską bigoterią. Czy chciałbyś również, żebym mył umierających i latał z kapeluszem zbierać jałmużnę? Tu miałbym

wetknąć do dzioba hostyjkę, ówdzie machnąć dobrze namoczonym kropidłem? Nie, Iwanie. Zajmujesz się Tiagiem, bo stał się postacią twojej fikcji i nie wiesz, jak dalej pociągnąć jego historię. Robisz to z czystego egoizmu, z autorskiej próżności. Gdzie według ciebie miałbym stworzyć raj dla wszystkich ofiar? Potrafisz sobie wyobrazić mnie otoczonego przez resztę wieczności wszystkimi tymi? słabeuszami? W try miga musiałbym się postarać o piec do kremacji, żeby do niego wszystkich powrzucać; wszyscy trafilibyście wtedy do piekła, a ja zostałbym bez mojej gry. Nie, raj i piekło to dwie idiotyczne hipotezy, zwykłe ludzkie małostkowości. A przy okazji uważam, że to głupota wymyślić piekło, w którym nie ma nadziei; sądzę, że rozczarowanie jest dużo gorsze niż rozpacz, gdyż utrzymuje ono człowieka, który cierpi, w jego człowieczej kondycji. W tym samym sensie raj, w którym nie byłoby ryzyka, bardzo szybko utraciłby całą swoją atrakcyjność. Otóż zamiast tych dwóch bzdur macie swoje ziemskie życie, a ono ma w sobie to co najlepsze z obydwóch światów. Czyż to nie jest bardziej ekscytujące?

- Powiedział pan, że Tiago jest postacią z mojej fikcji. Nie ma pan racji - podkreślił Iwan.
- Jego cierpienie jest, do cholery, realne! Nie ma pan prawa go negocjować. Hioba przynajmniej przywrócono do poprzedniego stanu, natomiast Tiago stracił wszystko.

- Przykro mi, Iwanie. Nie z powodu Tiaga, ale z twojego. Takich Tiagów jest legion, stanowią część gry; to pionki, które zbija się, żeby posuwać się naprzód. Powiedziałbym nawet, że Tiago rozegrał swoją partię, i to stawia go wyżej od ciebie. Ty jesteś całkowicie zanurzony w fikcji, gdyż fikcja wydaje ci się dziedziną pozbawioną ryzyka. Sądzisz, że możesz w niej robić wszystko z niczego, nie zdając nikomu sprawy ani nie ryzykując swojej skóry. Uważasz, że w fikcji można grać w Pana Boga i w diabła nie ponosząc konsekwencji, czyż nie tak? Przypominasz mi tych autorów, którzy każą swoim postaciom popełniać wszelkie niegodziwości, myśląc wyłącznie o pięknie toczącej się właśnie historii lub o dreszczach, które będą odczuwać czytelnicy.

- Sofizmaty, Lucjanie. Mimo wszystko istnieje różnica pomiędzy istotą ludzką a postacią, różnica poziomu egzystencji. Tiago istnieje w rzeczywistości, postaci powieści są tworem wyobraźni. Już kilkakrotnie użył pan tej metafory postaci, ale jest zbyt naciągana.

- Co ty o tym możesz wiedzieć...? - spytał Lucjan bardzo zamyślony, z wzrokiem wpatrzonym w dal, jakby obawiał się dokończyć zdanie.

Iwan zaskoczony zamilkł w oczekiwaniu. Lucjan wydawał się nagle nieobecny,

znudzony, na jego twarzy zarysował się grymas rozgoryczenia.

- Co się stało? - spytał wreszcie zaniepokojony Iwan. - Nie czuje się pan dobrze?

- Iwanie! - wykrzyknął Lucjan szeroko się uśmiechając. - Jaki ty potrafisz być kochany, mój drogi! Martwisz się o mnie. To wzruszające! Nie obawiaj się, czuję się doskonale. Zróbmy sobie najpierw herbaty. To pomoże mi powziąć ważną decyzję. Poczekaj chwilę, spróbuję wyłożyć ci jaśniej moją myśl, zamiast usiłować ją usprawiedliwiać. To niebezpieczeństwo, które grozi każdemu artyście: chcieć, żeby za wszelką cenę pokochano jego dzieło. Kiedy się inkarnuję, przyklejają się do mnie te ludzkie słabostki; to stanowi część uroku moich interwencji, chociaż często prowadzi mnie do impasów, które mogą uchodzić za sofizmaty.

Iwan czekał w milczeniu. Raz jeszcze, zasiadłszy w salonie przy herbacie i whisky, Lucjan podjął swoje wyjaśnienia:

- Przypominasz sobie, że mówiłem ci o śmierci jako o podstawowej sile napędowej wszechświata? O negacji, ale także o śmierci, tym cudownym wynalazku, którego dobrodziejstwa nigdy nie zaznam. Otóż zrobiłem z niej ważny użytek w architekturze mojej gry i ofiarowuję ją też jako nagrodę dla waszych pełnych nieszczęść istnień. To jedyna pochodząca bezpośrednio ode mnie nagroda, jaką was obdarzyłem, ale nie jesteście w stanie docenić jej wartości, gdyż nie znacie mąk wieczności. Przypomnij sobie, że „chaos” pochodzi od greckiego rdzenia *kaein*, który oznacza „ziewać”. Grecy przeczuwali, czym jest wieczność, i nie obawiali się tak bardzo śmierci.

- Czy to było przyczyną pana niesmaku sprzed chwili?

- Nie, to tylko preambuła. Przed chwilą rozmyślałem, czy mam prawo uczynić ci pewne wyznanie, czy nie będziesz zbyt wstrząśnięty dowiadując się czegoś nowego. Jak sam zauważyłeś, to co objawiłem ci do tej pory, nie było specjalnie nowe. Jednakże oryginalna informacja może potężnie wstrząsnąć całym twym umysłem. Nie wierz mi zatem na słowo; zanim się przyzwyczaisz, potraktuj to, co ci za chwilę powiem, jako prawdopodobną hipotezę. W każdym razie wyda ci się to tak dziwaczne, że twoje poczucie śmieszności nie pozwoli ci wyciągnąć z tego od razu wszystkich wniosków. I to będzie w tej chwili bardzo korzystne.

- Więc jednak przekaże mi pan apokalipsę... Czarujące. Zastanawiam się, jaką jeszcze katastrofę jest pan w stanie wymyślić. Już mam gęsią skórę, Lucjanie.

- Zobaczysz, to bardzo subtelne. Przed chwilą rozmawialiśmy o postaciach powieściowych, a ty słusznie odrzuciłeś tę metaforę opisującą los przedstawicieli gatunku

ludzkiego. Wówczas przyszedł mi do głowy paradoksalny obraz powieściopisarza piszącego powieść o swoim życiu pisarza. Niemożliwe, nieprawdaż? To byłoby tak, jakby ustawić naprzeciw siebie dwa lustra po to, żeby spróbować uchwycić obraz; rezultatem byłyby tylko anamorfoza pustych przestrzeni. Powieściopisarz nie może być zarazem sobą samym i swoją postacią, bo niemożliwa jest relacja odwrotna; jego postać nie może być nim. Chodzi o dwa odrębne rejestry rzeczywistości, przy czym rejestr postaci jest w nieunikniony sposób podporządkowany rejestrowi autora. Fikcja nie może mieszać się z rzeczywistością, autor więc z definicji kłamie.

- Nie kłamie - zaproponował Iwan. - Stwarza inny świat, symboliczny, rządzący się swoimi własnymi prawami. Kłamstwo zakłada rzeczywistość, fakty.

- Oczywiście fikcja to inny świat, który nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Autor kłamie, jeśli twierdzi, że jego książka jest rzeczywistością, a nie fikcją. Problematyczny jest przypadek wszelkiej próby biografii czy autobiografii, a często nawet utworów historycznych. Ale przyznajesz, że fikcja jest odrębnym światem. Zatem posłuchaj uważnie i nie przerywaj. Pozwól się raczej ukołysać mojej hipotezie.

Lucjan dołał sobie herbaty, wziął papieros z paczki Iwana i z wyraźną przyjemnością zapalił.

- Tytoń jest kadzidłem w liturgii ducha - zaczął wypuściwszy w powietrze doskonałe kółka dymu. - Moja gra jest moją fikcją, nie z gatunku literackich czy filmowych, ale z gatunku realnych. To gatunek - jako zbyt złożony - niedostępny śmiertelnikom. Wasze pragnienie mocy zawiera niejasną nostalgię za tym rodzajem gry, w którą tylko ja mogę grać. Ty, Iwanie, podobnie jak wszystko, co istnieje, jesteś moją postacią. Nie stworzyłem cię dzisiaj ani z niczego; jesteś konieczną konsekwencją inicjalnego algorytmu, wewnętrznych praw wszechświata i wariantów jego narracji w formie, w jakiej rozwinęła się do tej chwili. Podobnie jak fikcja powieściowa, świat ma również swoje reguły rozwoju wewnętrznego i istnienia, w których centralne miejsce zajmuje śmierć. Spisuję tę fikcję dla swojej własnej przyjemności i pozwalam sobie na drobne wycieczki do fikcji jako postać w ten sam sposób, w jaki Hitchcock pojawiał się w swoich filmach. Wielu pisarzy przebiera się w ten sposób, żeby wniknąć w swoje własne powieści w przebraniu postaci i przeżywać ich przygody; mogą zawrzeć w nich także swoich przeciwników, żeby się zemścić, jak to między innymi czynił Dante, który odnajdywał w piekle wielu swoich żyjących jeszcze współczesnych. To drobna przyjemność oddalająca ode mnie

nudę wieczności, a od pisarzy nudę rzeczywistości. Do tej pory to rozumiałe?

- Tak, wszystko w porządku. Ale w dalszym ciągu jesteśmy w metaforze.

- W hipotezie, mój drogi. Słuchaj. Gdy stworzyłem świat, odwołałem się do pojęcia śmierci, ale żeby nadać jej odpowiednią wartość, musiałem obdarzyć ją odrobiną wieczności, podobnie jak Chrystus, żeby go doceniono, potrzebuje diabła. Pragnienie nieśmiertelności u ludzi i nieumiarkowanie waszego mózgu zawierają pewien aspekt wieczności. Jednakże to nie wystarczało, żeby zrównoważyć śmierć. Potrzeba było trochę prawdziwej wieczności, w takiej samej ilości jak śmierć, inaczej śmierć byłaby dla ludzi zbyt pociągająca i byłiby zbyt skłonni do samobójstwa albo mogliby się zagłodzić na śmierć, co na jedno by wyszło, prawda? Trzeba było zatem stworzyć w świecie precyzyjną przeciwwagę dla śmierci. Tego w każdym razie pragnąłem przede wszystkim dla siebie - stanu autentycznego ryzyka pomiędzy absolutną nieśmiertelnością a absolutną śmiertelnością. Do inicjalnego algorytmu włożyłem przeto w wymaganej ilości stosowne składniki i czekałem, aż pojawi się wasz mózg. Gdy tylko pierwsze człowiekowane zaczęły grzebać swoich zmarłych, byłem pewien, że dobrze obstawiłem mój zakład. Wiesz już, że nie czekałem na pojawienie się ludzi, żeby dobrze bawić się moją grą, ale muszę ci wyznać, że wszystko stało się nieskończenie bardziej interesujące, odkąd zaczęliście wykorzystywać wasze możliwości. Miło jest inkarnować się w drzewo, w kamyk czy w kometę albo nawet w zająca w otoczeniu pełnym lisów, ale nic nie dorównuje przygodom z ludźmi. Ach, mylisz się myśląc tylko o seksie i jego odmianach. Po tysięcznym akcie seksualnym, gwałcie czy asyryjskiej orgii z młodymi żydowskimi dziewczycami, czy jesteś w pozycji mężczyzny czy kobiety, przyznasz, że to w nieunikniony sposób staje się nużące. Intrygi też nie zawsze są pasjonujące; wojny mają wprawdzie pewien urok, ale kiedyś się kończą, klęski głodu są nudne, a epidemie dżumy śmierdzące... Przyznaję, że wszystkie te drobne sprawy, gdy się nawiną, w dalszym ciągu mogą mnie rozerwać, dlatego też staram się za każdym razem inkarnować w inne ciało, żeby podkreślić efekt nowości. Wszelako już od dłuższego czasu szukam chwil odprężenia, jak śmiertelnicy, gdy bez specjalnego zainteresowania oglądają telewizję. To ciało na przykład miało pewne oczekiwania, w całkowicie zrozumiałym sposób ciekawe było pewnych rzeczy, pozwoliłem więc sobie na niektóre szczególne doświadczenia, bardziej dla jego przyjemności niż dla swojej. Lucjan jest osobnikiem gatunku ludzkiego i jako taki ma pewne potrzeby chociażby przez wzgląd na swą wewnętrzną koherencję. Resztę, znając jej bujność, pozostawiam twojej wyobraźni. Jak widzisz, to doświadczenia śmiertelników doznawane pośród innych śmiertelnych istnień i

czułych ciał, które pomimo ich egzotycznego posmaczku są bardzo odległe od mojej wiecznej natury. Żeby naprawdę się rozerwać, potrzebuję przede wszystkim doświadczeń podobnych moim, zawierających moją dawkę wieczności. Sam doskonale wiesz, że kiedy czytasz dobrą powieść, powieść pasjonującą, przyjemność, jaką odczuwasz, wynika przede wszystkim z możliwości utożsamienia się z niektórymi postaciami; muszą być do ciebie choć trochę podobne. Jeżeli główna postać jest ci całkowicie obca, bardzo trudno wykrzesać z siebie zainteresowanie. Bywa, że całkiem przeciętna powieść wydaje się niektórym czytelnikom bardzo dobra, gdy tymczasem arcydzieło nie poruszy wcale innych odbiorców. Przyczyną jest narcyzm będący zasadniczą właściwością wyobraźni. Oto dlaczego mężczyźni tak rzadko gustują w powieściach napisanych przez kobiety i odwrotnie. To dwa światy zbyt odrębne, stykające się ze sobą tylko w sytuacjach wyjątkowych, prawie paradygmatycznych, które to przypadki stanowią później punkt odniesienia dla poszukiwania szczęścia i dla miłosnych uniesień reszty ludzkości na sposób podobny platońskim ideom. Tak już jest. To zapewnia kontynuację poszukiwań szczęścia tym bardziej intensywną, że - poprzez kontrast - porażki wzmagają świetlistość ideału. Zbliżamy się więc do sedna objawienia. Jestem pewien, że przeczuwasz, o co mi chodzi, chociaż nie ośmielasz się w to uwierzyć, tak bardzo zuchwała jest ta podskórna myśl. Niestety, Iwanie, nie mylisz się! Jestem zachwycony, że stworzyłem coś na mój obraz. Również wy, moje stworzenia, tworzycie światy, tak jak ja stworzyłem wszechświat. Powiesz mi, że to światy fikcyjne; równie fikcyjne jak mój - odpowiem ci na to. Ale - wykrzykniesz - one nie istnieją realnie, postaci z naszych fikcji nie cierpią, nie żyją na tym samym poziomie egzystencji co rzeczy świata. Czy jesteś tego naprawdę pewien, mój drogi Iwanie? Mówiąc tak, wyrażasz być może pogardę dla mojej kreatywności. Dlaczego ja, wielki artysta, miałbym się bojaźliwie zatrzymać przed tą wspaniałą możliwością dostarczenia sobie rozrywki także poprzez gry, których sam nie wymyśliłem? Pozbawiłbym się bardzo intensywnej przyjemności, którą jest bawienie się fantazjami moich własnych stworzeń. Czerpanie przyjemności wyłącznie z ich ciał staje się na dłuższą metę nudne. Tak, Iwanie, wszystkie wasze wyobrażone postaci są żywe. Nie uświadamiacie sobie realnej egzystencji tych płodów waszego umysłu z dwóch powodów. Po pierwsze, ta świadomość mogłaby za bardzo was powstrzymywać z powodu waszych przesądów moralnych, waszej tendencji do chronienia swoich bliskich, w rezultacie więc wasze opowieści stałyby się bezbarwne. Ponadto chciałem w ten sposób odwzorować cechę mojej osobowości, która dostarczyła mi wiele marzeń. Na początku, zagłębiony w moim początkowym onanizmie i

znudzony swoimi własnymi fantazjami, wiele eonów poświęciłem na zastanawianie się, co też inne bóstwa mogą teraz tworzyć w swych chaotycznych kosmosach. Ale nie życzyłem sobie, żeby o tym wiedziały, chciałem, żeby tworzyły w dalszym ciągu, jakby były same ze swymi dziełami. Znasz waszą bezbrzeżną ciekawość intymnych spraw waszych bliźnich; wyobraź więc sobie moje boskie wścibstwo, nieskończenie bardziej potężne. Skręcałem się z chęci wniknięcia w umysł innych bóstw, żeby je skopulować i ze swej strony również dać się zapłodnić. Wyobraź sobie, jak bardzo wasze małe fantazje są znikome wobec majestatu moich. Książki, wasze dzieła fikcyjne, wszystko co przechodzi przez wasze umysły, jest wielce fascynujące, a wy delectujecie się bardziej tymi światami wyobrażonymi niż światem realnym. Rozumiem was. Ale, mój drogi Iwanie, powiedzieć, że nie istnieją realnie, to podjąć wielkie ryzyko. Otóż to! Nic nie wiecie o sposobie istnienia tych fikcyjnych stworzeń, gdyż istnieją na poziomie egzystencji odmiennym od waszego. Mózg, którym dysponujecie, nie może operować tym rodzajem logiki, ponieważ wikła was w paradoksach, jak wyżej podany przeze mnie przykład pisarza spisującego swą własną historię. Ja nie jestem poddany tego typu ograniczeniom, mogę zatem zanurzyć się w świecie waszych fikcji, śmiejąc się przy tym z twoich moralnych dylematów. Ależ tak, mój drogi. Postępujcie ze swoimi stworzeniami tak jak ja z moimi, pozwalając sobie jednocześnie wyrzucać swemu stwórcy niedoskonałość świata. Posunę się dalej, Iwanie: wasze okrucieństwo jest nieporównywalnie większe niż moje. Prawdą jest, że wszelka estetyka, z moją na czele, ma swą przyczynę w kondycji niedoskonałości. Tyle tylko że wasz wszechświat jest otwarty; zależało mi na tym, żeby wyposażyć go w najbardziej totalną wolność, żeby zmaksymalizować czynnik ryzyka, zarazem gwarantując każdemu stworzeniu nagrodę w postaci śmierci. Tymczasem wasze fikcyjne stworzenia żyją w światach zamkniętych, teleologicznych, w których każdy pojawiający się szczególnie nieuchronnie nakierowany jest na konkluzję. Ich los jest tym bardziej nieunikniony, że często zapominacie, żeby je zabić pod koniec waszych opowieści. Mój drogi, jesteście nieubłaganymi strażnikami; drzę na myśl o kontraście pomiędzy głoszonymi przez was wymogami moralnymi a otchłaniami nikczemności, które stwarzacie. Napawacie mnie dumą i nie przestaję kontemplować was z podziwem.

- No cóż - wyrzekł Iwan wzdychając po dłuższym milczeniu. - Bardzo dobrze, mój drogi Lucjanie poeto. Ma pan boską wyobraźnię, jestem urzeczony. Na dodatek właśnie wymyślił pan nowy gatunek literacki: fikcję teologiczną. Z trudem ogarniam wszelkie implikacje tej nowinki, ale pewien jestem, że Watykan gorzko pożałuje, że nie zastrzegł sobie praw autorskich na utwory

apologetyczne.

Lucjan zaśmiał się bardzo zadowolony, oczy mu błyszczały. Wziął kolejnego papierosa. Zapalił go, jednym łykiem opróżnił szklaneczkę szkockiej i zaciągnąwszy się głęboko, wypuścił w twarz swojego rozmówcy gęstą chmurę dymu.

Iwan odnalazł się natychmiast w bardzo starym szpitalu w towarzystwie jakiejś biednej kobiety. Wchodzili właśnie po schodach, gdy usłyszeli wycie, od którego zimny dreszcz przeszedł im po plecach. Strażnik w uniformie drwiąco poinformował ich, że krzyczał mąż kobiety i że zdarzało mu się także tańczyć. Gdy podeszli do wyściełanej celi, Iwan zobaczył chorego w napadzie ostrego szaleństwa, człowieka, który rzucał się we wszystkie strony, krzycząc i drżąc jak opętany. Nieszczęśnik nazwiskiem Coupeau nie rozpoznał swojej żony i kontynuował swoją piekielną rundę dookoła celi z wykrzywioną twarzą, błyszczącymi oczami i niewidzącym spojrzeniem. Jego gorączka była tak intensywna, że powietrze dymiło na powierzchni jego ciała; jego słowa nie miały sensu, tym bardziej że - jak się zdaje - posługiwał się jakimś francuskim żargonem, którego Iwan nie znał. Kobieta rozmawiała ze strażnikiem, potem z lekarzem; w tym czasie Iwan znalazł się wewnątrz celi, zamknięty z szaleniec. Usłyszał, jak kobieta ucieka po schodach, ale sam nie ruszył się z obawy, by szaleniec go nie dostrzegł. Strażnicy oddalili się, również udając, że nie słyszą jęków i skarg wydawanych przez Coupeau. W czasie nocy Iwan pozostał zamknięty wraz z nim, ale szaleniec zdawał się go nie zauważać. Nie przestawał krzyczeć i podskakiwać, rzucając się na ściany. Cały czas wstrząsały nim ponadto spazmy.

Gdy Iwan otworzył na powrót oczy, znów siedział w swoim salonie naprzeciwko dopalającego papierosa Lucjana. Zaskoczony poczuł, że ogarnia go trwoga, a w piersiach miał dziwaczne odczucie, jakby nie mógł nabrać do płuc wystarczająco dużo powietrza.

- Uspokój się, mój drogi - odezwał się do niego Lucjan kładąc mu dłoń na ramieniu. - Poczekaj, naleję ci porządnego drinka. Weź papierosa. Nic się nie stało. Masz, pij. Drobną niedyspozycją. Zapewniam cię, że różnorodność egzystencji bywa zdumiewająca. Pał, dobrze ci to zrobi. Idę zagrzać wodę na herbatę. Poczekaj na mnie, siedząc w fotelu z wyciągniętymi nogami. O tak, nie ruszaj się.

Iwan przerażony posłuchał. Lucjan powrócił z herbatą i nalegał, żeby mu dolać jeszcze trochę szkockiej.

- Wybacz, drogi Iwanie. Sądzę, że działałem zbyt pochopnie. Uspokój się, to nie był

napad szaleństwa i nie pogrążyłeś się w halucynacjach. Pomyślałem sobie, że dobrze zrobię pozwalając ci poeksperymentować trochę ze światem, który nazywałeś fikcyjnym. Może wybrałem niewłaściwą książkę. Powinienem być lepiej ci to wyjaśnić, ale nic nie zastąpi własnych przeżyć. To sprawia, że stajemy się mniej sceptyczni.

- Czy to była utrata przytomności? - spytał wreszcie Iwan popijając herbatę.

- Nie, to było „W matni”, powieść Zoli. Nie czytałeś tego? Przeczytaj zatem i odnajdź ten fragment ostatniego rozdziału, w którym Gerwazyna odwiedza Coupeau w przytułku na chwilę przed śmiercią tego ostatniego. Nie spodziewałem się, że dasz się zamknąć w celi, sądziłem, że wybierzesz towarzystwo żony albo jednego ze strażników, żeby odwiedzić innych szaleńców. To się zdarza.

- Śniłem o powieści?

- Nie, pozwoliłem ci przeżyć ją jako widz i uczestnik, nie jako czytelnik, żeby dać ci wgląd od wewnątrz w sposób życia postaci.

- Postaci żyją? Nie żartuje pan?

- Bynajmniej, żyją tak samo jak ty czy reszta śmiertelników. Tyle że ich egzystencja predestynowana jest intencją autora. Wszystkie żyją wiecznie, czy raczej wiecznie odżywają, przynajmniej tak długo, jak trwa ten wszechświat, książki lub ludzka pamięć, tego jeszcze dokładnie nie wiem. Wiele jeszcze musi się wydarzyć, żebym mógł się na ten temat wypowiedzieć. Jedno jest pewne: przeżywają swoich autorów. Nie wiem, jak umierają; zapomniane książki, obrazy i sztuki teatralne wydają się już nie istnieć. Wszakże tak długo, jak długo jeden z was o nich pamięta lub jeśli istnieją zagrzebane gdzieś jakieś ich egzemplarze, w dalszym ciągu żyją i odtwarzają swoje przeznaczenie. Los nie do pozazdroszczenia, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Lucjanie, to nieprawda! Niech się pan przyzna, odegrał pan przede mną jakąś magiczną sztuczkę...

- Pomyśl o tym najpierw jako o hipotezie, tak będzie łatwiej. Nie pozwól, żeby przygniótł cię jej ogrom; pobaw się powoli tą myślą, żeby się rozerwać. Zobaczysz, że jest pełna możliwości i bez trudu się do niej przyzwyczaisz.

- Chce pan powiedzieć, że Hamlet też...?

- Wszyscy: Makbet, Elektra, Edyp, Odyseusz, Moby Dick i Achab, Gregor Samsa, Kurtz. Najpierw pomyślałem o tym, żeby cię wysłać do pewnego opactwa, w którym schroniła się

dziewczyna imieniem Justyna, ale nie chciałem za bardzo tobą wstrząsnąć. Mnisi są tam bardzo lubieżni, a wiem, że już nawiedzają cię mokre koszmary. Wszyscy, Iwanie, wszyscy oni istnieją, każda z postaci zamknięta w swojej fabule, a niektórzy nawet w dziełach wszystkich, jak właśnie u Zoli czy u Balzaka. Czasem pisarze z trudem rozstają się ze swoimi stworzeniami, w czym jestem do nich trochę podobny. Chodzi o rodzaj czułości w okrucieństwie, której moralisci nie przestają mi wyrzucać, napawając się jednocześnie fikcyjnymi fabułami.

- Powiedział pan, że obrazy też?

- Tak, jakkolwiek istnieją zastygłe w takiej lepkości, że zastanawiam się, czy naprawdę żyją. Brakuje im tej czasowej przechodniości, która charakteryzuje życie, toteż wyznam ci, że zanadto mnie nie interesują. Wolę toczące się opowieści, takie, w których ludzie naprawdę doznają uczuć i wrażeń. Na obrazach, kiedy postaci się dotykają, nawet w scenach intensywnego fizycznego cierpienia, są od tak dawna zastygłe, że z pewnością utraciły poczucie tego, co się z nimi dzieje. Jeszcze krzyczą, drżą, ale bez żywości postaci dyskursu narracyjnego. Powiedziałbym po prostu, że postaci na obrazach są bardziej dekoracyjne.

- Nie mogę w to uwierzyć, Lucjanie. To takie śmieszne. Proszę się przyznać, że to żart.

- Jak chcesz, mój drogi sceptyku, jak chcesz... Prawdziwe objawienia nie są przeznaczone dla uszu każdego. Gdy chodzi o opowieści o potworach i diabłach czy wreszcie o coś, co możecie sobie łatwo wyobrazić, jak dziewica obnażająca się przed pastuszkami, wszystko jest w porządku, ale niech tylko choć trochę przekroczę możliwości waszej wyobraźni, istotnie popadam w śmieszność. Nie w cudowność, wystaw sobie, tylko w śmieszność. Przywykłem do tego. Mimo wszystko nie możesz zaprzeczyć, że ta mała nic nieznacząca hipoteza ucisza wszelkie moralne obiekcje, czyż nie?

- Musiałaby jeszcze być możliwa.

- Jest bardziej niż możliwa. Jest prawdopodobna. I to cię irytuje, bo zanim jeszcze w nią uwierzysz, dostrzegasz wszystkie jej implikacje. Na przykład jeśli mój ideał jest natury estetycznej, nie ponoszę wobec ludzi żadnej odpowiedzialności. A nie możesz zaprzeczyć, że wszelka kosmogonia, zanim zacznie podpadać pod etykę, w apodyktyczny sposób przynależy do dziedziny estetyki. Podobnie wszelkie stworzenie niezależnie od tego, jakie jest. Stwórca jest wolny, ponieważ jego ideał jest ludyczny. Mimo że później chciałby wyjaśnić swoje intencje, na początku zawsze jest ludyczny jak dziecko puszczające bańki mydlane. Pewien poeta francuski powiedział na ten temat wielce zasadnie, że wbrew regułom niemożliwy jest jakikolwiek

sceptycyzm.

- Oznaczałoby to, że oprawca też może się mienić estetą.

- Przyjacielu, nie chcę zakładać żadnej religii ani niczego głosić. Pomyśl między innymi o markizie de Sade, o Lautréamontie; jest ich legion... Skądinąd przyznaję, że niektóre jednostki odgrywają swoje fantazje w sposób wielce niezdrowy, poza literaturą przypisując sobie prawa do kreatywności i przedstawiania gustu bardziej niż podejrzanego. Jeśli wam wadzą, wy musicie je przepędzić. U zwierząt społecznych, na przykład szympansov, gdy tylko jakiś osobnik wykazuje wobec grupy skłonności zbyt groźne, zbyt odstręczające, zostaje zlikwidowany. Wy, ludzie, zachowujecie się czasem z tolerancją graniczącą z nieodpowiedzialnością. Bawi mnie to, gdyż dodaje memu dziełu pikanterii. Ale poczekaj, pozwól, że opowiem ci więcej o wykwintnej przyjemności, której doznaję z praktykowania mojej gry na wyższym poziomie, jakim jest odwiedzanie waszych fikcyjnych światów. Po pierwsze jak każdy czytelnik cieszę się wolnością, mogę wszystko powywracać do góry nogami bez żadnego ryzyka. W waszym świecie, jak już wiesz, muszę uważać; w fikcji wystarczy, że się usunę, a dzieła podejmują dalej swoją wcześniejszą krystalizację. Wszystko dzieje się tak jak wówczas, gdy obdarzony zbyt dużą fantazją czytelnik zamyka książkę: jego fantazje nie pozostawiają w tekście żadnych śladów. Zatem mogę na przykład wziąć Emmę Bovary, ożenić ją z kochankiem, żeby potem delektować się mieszczańskim małżeństwem z miłości; w tym samym czasie obserwuję świeżo rozwiedzionego doktora Bovary'ego, który odnajduje rozkosz i młodość w ramionach tancerki z luksusowego kabaretu. Mogę też wysłać Emmę do burdelu tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie będzie radzić; albo odstąpić ją jako dziewczynę dla kolonisty w Kanadzie, tak zwaną „córkę króla”, poczciwemu wieśniakowi prowadzącemu farmę na odludziu. Ta farma otoczona byłaby lubieżnymi Indianami zapożyczonymi z książki Fenimore'a Coopera, ale przyprawionymi sosem uwarzonym przez Henry'ego Millera. Mogę nawet, jeśli sobie tego wiesz, kazać jej odbyć pielgrzymkę do tego klasztoru, w którym schroniła się mała Justyna i dołożyć ingrediencje zapożyczone zarazem z Szekspira i z Moliere. Wyobrażasz to sobie? To tym bardziej interesujące, że mogę pracować nad kilkoma książkami jednocześnie, tak żeby wyłowić z każdej to co w niej najlepsze, żeby moja fabuła stała się frapująca. Na dodatek robię to bez jakiegokolwiek wysiłku, gdyż ludzie włożyli w swe dzieła sumę tego, co może być interesujące, bez dłużyzn i powtórzeń właściwych swojej egzystencji. Jeśli inkarnuję się w jakąś postać, przyjemność pomnaża się nieskończenie. Wybieram zresztą z wielką starannością ten rodzaj

inkarnacji, co zmusza mnie do grzebania przez dłuższy czas po bibliotekach po to, aby zmaksymalizować ryzyko i efekty kontrastu. Pewnego razu na przykład, inkarnowany w Don Kichota, dałem się zamknąć w sanatorium w Davos, żeby porozmawiać z Naphtą i Settembrinim, a Hansa Castorpa wysłałem do jednej z fabuł Johna Updike'a, gdzie prowadził życie młodego żonkosia z przedmieścia. Efekt był piorunujący dla wszystkich uczestników. Wyobraź sobie, jakie to niesie możliwości: księżna de Clèves w świecie Normana Mailera, postać Woody'ego Allena przemierzająca bajki braci Grimm. „Mój przyjaciel Meaulnes” w scenariuszu przerobionym przez Octave'a Mirbeau z Bukovskim w roli głównej; „Rybak islandzki” z postaciami Jeana Geneta, albo co byś powiedział na Poego i Lovecrafta poprawiających Prousta... Wspaniałości, mój drogi, nieskończone wariacje. I w przeciwieństwie do zwykłego odczytania postaci nabierają życia, krwawią i ejakulują jak wy. W niecodzienny sposób wydobyć można nie tylko intrygi, ale też malarskie bogactwo dzieł. Pomyśl na przykład o fuzji „Gargantui” Rabelais'go z „Przemianą” Butora: to co w pierwowzorze było tylko kilkoma niedopałkami na ziemi, staje się bujną obfitością brudów i odpadków ludzkości we wszystkich kształtach i barwach, a na dodatek opisane z nieprawdopodobnym bogactwem szczegółów.

- Także Chrystus? - spytał ironicznie Iwan.

- Oczywiście, podobnie jak ten bufon, jego papa. Wszystko dzieje się w sposób, w jaki ludzie postrzegają świat, co pozwala na osiągnięcie skrajności nigdy niespotykanych w waszym codziennym życiu. Oto dlaczego darzę pisarzy tak szczególną estymą. Człowiek pospolity często marzy, miewa fantazje, ale nie siląc się na wyrafinowanie, które popycha artystę do tworzenia opowieści. Siedzę zatem wasze światy wyobrażone od początku czasu, co pozwala mi gardzić waszymi etycznymi deklaracjami.

- Nie wierzę panu, Lucjanie. Jestem przekonany, że kłamie pan, żeby mnie uwieść i odwieść od zadawania pytań. Proszę poczekać, zatrzymajmy się, żeby rozważyć pewien drobny szczegół, zgoda? Nawet zakładając, że ta osobliwa historia jest prawdziwa, rysa na pańskim rozumowaniu bierze się stąd, iż ludzie nie wiedzą, że sprawiają realne cierpienie swoim wyimaginowanym postaciom. Chwileczkę! Zgadzam się, że zabawiamy się dzięki naszemu mózgowi; stwarzamy nieistniejące sytuacje, których celem jest rodzaj katharsis nie pozwalającej nam przejść do czynów. Wyobraźnia jest niewątpliwie zarazem najbardziej wzniosłą i najbardziej brudną spośród naszych funkcji, ale też stanowi dowód, że nie zadowolamy się czysto zwierzęcą częścią naszej natury. To funkcja transcendencji. Jeżeli nawet służy do zadawania cierpień, to w

większości wypadków służy wszak życiu. Przed chwilą mówił pan, że stanowi przeciwwagę dla śmierci; zgadzam się: bez funkcji symbolicznej pozabijalibyśmy się albo popełnili samobójstwo. Jednakże tu kończy się wieczność, Lucjanie - z nami i z naszym brakiem umiaru. W tym znaczeniu świadomy jestem, że nasza sytuacja jest lepsza od pańskiej.

- To wszystko? - spytał z pobłażliwym uśmiechem Lucjan.

- Nie, pozostał jeszcze drobny szczegół. Nie rozumiem, dlaczego próbował mnie pan przekonać o prawdziwości tej śmiesznej bajki o życiu fikcyjnych postaci.

- Powiedziałem ci, żebyś potraktował ją jako hipotezę; to ułatwi ci życie. Nie mówiłem ci, żebyś w nią uwierzył, i nie zmuszaj się do tego. Powiedzmy, że ja w nią wierzę. Ty zdecyduj sam, jesteś wolny.

- Nie, Lucjanie, oszukuje pan. Jeśli jest pan wszechmocny, jak to pan udowodnił, zmuszony jestem wierzyć we wszystko, co pan mówi. Albo jest pan halucynacją, albo Bogiem. Nie mam zatem wyboru, chyba że znowu zamknę się w paradoksie Kreteńczyka. Zatem życzę pan sobie, żebym uwierzył, a pana sztuczka z dymem z papierosa nie była niewinna. Proszę się przyznać!

- Jedynym wyznaniem, jakie mogę ci uczynić, mój drogi, jest to, które już uczyniłem: wielkie cuda są mniej wiarygodne niż magiczne triki. Z moimi słowami zrobisz, co uznasz za stosowne. Tak czy inaczej na nic zdadzą się inne sztuczki, jak je nazywasz; zawsze pozostaniemy na poziomie wyobrazonego. Zastanów się mimo wszystko nad tym: powiedziałeś mi, że nigdy nie czytałeś „W matni”. Przeczytaj tę powieść, a zobaczysz. Myślę, że to może być dowód.

- Być może - rzekł zamyślony Iwan - albo to jeszcze jedno z tych sennych marzeń, którymi manipuluje pan wedle swego widzimisię. Muszę wyznać, że nigdy nie przywiązywałem zbytnej wagi do literatury.

- A przecież właśnie piszesz.

- Dobrze pan wie, że to nie jest fikcja. Piszę, żeby dać świadectwo, nie Bogu lecz ludziom. Wierzę, że moją powinnością intelektualisty jest rejestrowanie tego rodzaju ludzkich doświadczeń. Kiedy czytam historię Hioba, nie robię tego dla postaci Jahwe ani dla jego młodego fagasa przemawiającego jak urzędnik, ale dla Hioba, dla niego i dla mnie. Jestem także przekonany, że autor tej opowieści był wolnomyślicielem. Książki tego rodzaju usprawiedliwiłyby się same, nawet gdyby bajka, którą chce mi pan wmówić, była prawdziwa.

- Jesteś tego pewien, Iwanie? Nawet ryzykując, że na wieczność przedłużysz cierpienia

Tiaga?

- Dobrze pan wie, Lucjanie, że to co wycierpiał, jest już nieskończone. Nie tylko jego życie, ale jakże wiele innych zostało spustoszonych dla przyjemności możliwych tego świata. Dla pana przyjemności, bo pan jest ich Bogiem. Więc nam, pionkom, pozostaje tylko dać świadectwo, chociażby po to, żeby pana wkurzyć.

- Mój drogi przyjacielu, czuję, że tracisz do mnie zaufanie. Cóż, wybierając sceptycyzm przynajmniej stajesz się spójny. Szkoda! Zastanów się mimo wszystko, zanim tak lekkomyślnie zagrasz życiem bliźniego. Nie jesteś dobrym Bogiem.

- Ja także mogę grać dla zabawy - odciął się Iwan.

- Oczywiście, i będę tym zachwycony. Nie zapominaj więc, że gra rządzi się swoją własną etyką i że etyka ta jest przede wszystkim estetyką ryzyka.

- Będę o tym pamiętał. Dzięki temu nie zapomnę też, że wszechmocne duchy lubią czasem zwodzić innych. A propos, Lucjanie, zwracam pana uwagę na jeden punkt, którego dotąd nie poruszyliśmy: nigdy nie dał mi pan dowodu, że nie jest pan diabłem.

- Jakimże on potrafi być pochlebcą! - wykrzyknął Lucjan robiąc obsceniczny gest. - Kocham cię, mój drogi. Umiesz mi się przypodobać.

- A więc...

- A więc jestem zachwycony, to wszystko - odparł Lucjan. - Utożsamiasz mnie z tym, co stworzenia wymyśliły najwznieślijszego: jak mógłbym się nie czuć urzeczony? Co jeszcze miałbym ci powiedzieć? Wiesz już, że podoba mi się imię Lucyfer. Ale uwaga, nie jestem upadłym aniołem. Pochlebia mi to, gdyż diabeł jest kwintesencją waszej podwójnej natury: zwierzęcej i myślącej. Traktuję więc twoje podejrzenie jak największy z komplementów. Wy, stworzenia, twierdzicie, że szanujecie Boga i nienawidzicie diabła. Ale pomyśl o wszystkich dziełach umysłu dotyczących diabła i jego piekła, które wytworzyliście; tymczasem Bogu i jego rajowi poświęciliście tylko utwory drugorzędne. Cóż, mówi się kompetentnie tylko o tym, co się dobrze zna. Swojego Boga traktujecie jak statystę w dramacie, w którym główną rolę odgrywa Lucyfer. Dobrze wiesz, że nawet jego upadek, samotność i perspektywa wiecznego potępienia poruszają was i pobudzają. To wszechwładzy Boga nie możecie znieść. Zawsze gdy objawia się jakiś buntownik, potępiaacie go, równocześnie poświęcając jego pamięci wspaniałe opowieści: Ewie, wężowi, Kainowi, żonie Lota, Hiobowi, nawet Chrystusowi... Uwielbiacie bunt; nienawidzicie natomiast władzy, która nastaje, skoro już pożre buntownika.

- Nie tego chciałem się dowiedzieć, Lucjanie. To wszystko jest mi dobrze znane. Ale ponieważ dobry Bóg jest ojcem diabła, pozwolę sobie przynajmniej wątpić w jego uczciwość. Nie przestaję się natomiast zastanawiać, dlaczego mnie pan uwodzi. Mam prawo zadać sobie następujące pytanie: a może jest dla mnie tak miły po to tylko, żeby mnie wystrychnąć na dudka, a potem naigrawać się z moich reakcji? Czy to nie jest tym, co się nazywa partią: okpić swoje pionki, wyrwać je z ich kolein, żeby wywrócić do góry nogami ich życie?

- Oto dokładnie to, co autorzy nazywają dramatem, komedią lub tragedią. Musical i burleska również mnie interesują, Iwanie, podobnie zresztą jak sporty i wojna, wynalazki i wszelkiego rodzaju wytwory. Gra jest obszerniejsza, niż zdolny jesteś pojąć. Uspokaja mnie, że w dalszym ciągu wątpisz. W partii, którą z tobą podjąłem, jedynym niebezpieczeństwem było to, że staniesz się bigotem. Możesz być zatem zadowolony z mojej otwartości. To nasze przedostatnie spotkanie, a stwierdzam, że nie masz mi do zadania żadnego interesującego pytania. Wałkowaliśmy tylko od nowa te same problemy postawione już w „Księdze Hioba” i przez Eklezjastę. To zawsze przebiega tak samo: człowiek obiecuje sobie zadać tak wiele pytań, które wydają się bardzo podchwytliwe, a kiedy objawia się gotowy na wszystko odpowiedzieć Bóg, człowiek zdaje sobie nagle sprawę, że nie ma prawdziwego pytania, że zawsze wiedział o tym, czego chciał się dowiedzieć. W istocie chcecie tylko, żeby Bóg zdał sprawę ze swoich czynów, żeby się usprawiedliwił, żeby próżne stworzenie zajęło miejsce sędziego i mogło kontynuować swoje małostkowości, niczego nie zmieniając. Oto dlaczego utopie nie mają szans powodzenia, Iwanie: istota ludzka jest ostrożna i bojaźliwa. Jak jednak oczekiwać po tobie innych pytań, skoro wszystko już zbadałeś w swojej rozprawie? Obydwaj zajęliśmy jasne stanowiska, ty wszakże z obawy przed egzaminatorami ograniczyłeś się do zbytnej subtelności, co doprowadziło do zaciemnienia problemu. Odtąd nie będziesz już mógł chować się za zagmatwanym stylem. Wygraliśmy pierwszą rundę, ale splendor sływa na ciebie. W czasie naszego następnego spotkania wyrażę sugestie co do możliwych rozwinięć rozgrywanej partii. Tylko sugestie, gdyż nie chcę brać odpowiedzialności za twoje decyzje.

- Zrozumiałem, Lucjanie: jest pan nieodpowiedzialny.

- Każdy gracz jest nieodpowiedzialny wobec świata; szanuje tylko grę i swoją namiętność. Artyści również są nieodpowiedzialni; oto dlaczego mogą dokonać tylu fascynujących rzeczy. Bez wątpienia zauważyłeś, że kobiety szaleją za artystami, ale na mężów wybierają raczej bankierów. Cóż, opuszczam cię, mój drogi. Zobaczymy się na krótko na

ceremonii pożegnalnej; potem rozstaniemy się na zawsze, mam nadzieję, że w dobrych stosunkach.

Lucjan wstał, skinął głową i zniknął.

Obudziłem się bardzo wypoczęty, spokojny, bez lęku, który towarzyszył mi ostatnimi czasami. Wspomnienie dyskusji z poprzedniego dnia nie wiązało się z natrętnym wrażeniem obłądu. Lucjan wydawał mi się zwykłym kolegą, z którym mógłbym prowadzić intelektualną rozmowę, i nie irytowała mnie nawet jego zamaskowana paternalizmem arogancja.

Przed południem przeglądając notatki i poprawiając tekst o Tiagu, rozmyślałem również o rozmaitych interesujących punktach odnoszących się właśnie do fikcyjnego aspektu wszelkiej narracji. Zdawałem sobie sprawę, do jakiego stopnia ukierunkowałem swoje zapiski tak, aby uniknąć nieodpartego wrażenia, że pułkownik Figueiredo chciał posłużyć się swoją ofiarą, jak pan posługuje się niewolnikiem. Gorzej niż niewolnikiem, zwykłą zabawką. Usiłowałem nakierować narrację na ofiarę, żeby uniknąć akcentowania aspektu absolutnej dominacji sprawowanej przez oprawcę. Było to ważne, gdyż jeżeli dosłownie odczytałem wyznania Tiaga, sylwetka pułkownika mogła się wielokrotnie jawić mniej potworna. W opisie konfrontacji między dwoma stanowiskami, z których jedno ma za sobą siłę, a drugie jest jej podporządkowane, niebezpieczeństwo polega na możliwości utożsamienia czytelnika z tym, który wydaje się mniej upodlony. Ja sam wysłuchując jego opowieści, od początku odczuwałem tę ambiwalencję, zwłaszcza gdy sytuacji podporządkowania towarzyszyły wyraźne określenia emocjonalne. Świadom, jak bardzo trudno jest przekazać w formie pisemnej szlachetność cierpienia, jeżeli pragnie się równocześnie oddać szczegóły cierpiącego ciała, odwoływałem się do konceptów abstrakcyjnych, metodycznie kontrolowałem hierarchię przymiotników i w sposób prawie przebiegły posługiwałem się analogiami, żeby odsłonić brzydotę ciała, a zarazem poza nią wyjść.

Rezultatem był tekst jednoznaczny i dobrze ukierunkowany, ale całkowicie gubiłem się w cielesnej rzeczywistości cierpienia. Udało mi się wprawdzie zachować moralny aspekt zniewagi, lecz w całej tej tragedii był on najmniej istotny. Przeciwnie, w ciele najbardziej ucierpiało to, co w nim ludzkiego, ów fundament, na którym opiera się wszelka moralność i wszelka tkanka społeczna. Wszakże słowa okazały się niezdolne do wypowiedzenia tego, gdyż cierpiące ciało, które usiłowałem przywrócić do życia poprzez dyskurs, było wstępnym warunkiem wszelkiego akcesu do słowa.

Z powodu tego wszystkiego Tiago pozostawał istotnie postacią fikcyjną pozbawioną konkretnych wrażeń, zwykłą przynależną do świata wyobrazonego funkcją, którą ucieleśnić mógł tylko ogromny wysiłek ze strony czytelnika. Ponadto wiedziałem, że tylko czytelnik sam mający za sobą rzeczywiste doświadczenie tortury potrafiłby tchnąć nieco treści w to, co usiłowałem przekazać.

Zastanawiający zbieg okoliczności: Tiago najpierw stał się stworzeniem swojego oprawcy, by potem przemienić się w fikcyjną postać narratora własnej historii, przedmiotem dyskusji pomiędzy Lucjanem i mną, aby na koniec zredukować się do roli zwykłej postaci przeznaczonej dla hipotetycznego czytelnika. W żadnym momencie nie znajdował się w pozycji podmiotu, nawet gdy przemawiał bezpośrednio do mnie. Był bezustannie innym, tym, o kim się mówiło, tym, kto nieodwracalnie spadł w jakąś dokonaną przeszłość realną lub gramatyczną. Człowiek, który w nim był, zakrzepł, a moje zapiski nie przyczyniały się do wyciągnięcia go z tej skorupy.

Nie mogłem uczynić niczego, żeby naprawić sytuację, i żałowałem, że obiecałem pożyczyć mu notatki. Jak jednak mógłbym mu odmówić? Czy dostrzeże, do jakiego stopnia musiałem odwołać się do literatury, żeby spróbować go uszlachetnić? Czy bezpiecznie było ukazać mu tę tożsamość ofiary, wykrystalizowaną już i wygodną, w momencie gdy mówił, że pragnie się od niej uwolnić?

Po południu spotkaliśmy się u niego w mieszkaniu; ciągle jeszcze zajęty był przeglądaniem gazet. Wydawał się zadowolony, że mnie widzi. Dobrą chwilę spędziłem słuchając go mówiącego o kilku artykułach, które wyciął i których ważność usiłował mi wytłumaczyć. Były to na ogół - banalne, jak mi się zdawało - fakty czy zwyczaje z jego kraju, których za bardzo nie rozumiałem: wydarzenia muzyczne, różnice w cenach rozmaitych produktów żywnościowych, jakieś drobne wydarzenia z życia prowincji. Dla niego jednak były

to nabrzmiało znaczeniem ewenementy ujawniające rzeczywistą sytuację polityczną. Jego zainteresowanie wydawało się autentyczne i uradowałem się na myśl, że codzienne sprawy jego ojczyzny zajmują go do tego stopnia bez wątpienia dlatego, że zdecydował się na powrót. Wołałem wszakże nie podejmować tej kwestii, gdyż zdążyłem przemyśleć sprawę tego moim zdaniem dosyć jeszcze problematycznego powrotu. Tiago stracił wszystko, był prawie kaleką, nie sądziłem, żeby mógł podjąć swoje dawne zajęcie zecera. Jak miał zamiar przetrwać początkowy okres? Myślałem, żeby mu pożyczyć trochę pieniędzy, i czekałem wciąż na odpowiedni moment, bojąc się, żeby go nie urazić. Zapewne okazja sama się nasunie i wtedy będziemy mogli otwarcie pomówić o podróży - myślałem.

Potem poszliśmy „Pod Łajbę”. Tiago zdawał się wracać do żywych. Opowiedział mi, że coraz częściej zdarza mu się przechadzać po mieście i wzdłuż portu, przyzwyczajając oczy do światła. Przypominam sobie poczynioną przeze mnie uwagę, że gdy jego cera przestanie już być taka blada, w swych ciemnych okularach będzie mógł uchodzić za turystę. Rozbawiło go to i zwierzył mi się, że w istocie w czasie swoich spacerów nie czuje się jak obcokrajowiec, który tyle już miesięcy przeżył w tym mieście, ale jak turysta, przejezdny. Oto dlaczego, choć zwiedził nawet oddalone dzielnice, zawsze powracał do portu.

- Port, Iwanie, to miejsce, z którego wyruszę w drogę powrotną. Zabawiam się patrząc na statki i zgadując, skąd przybywają, w nadziei że na którymś z nich powiewać będzie bandera mojego kraju. Nie wiem, czy zebralbym się na odwagę, żeby odezwać się do marynarzy. Nie wiedziałbym, co im powiedzieć. Ale ta myśl podoba mi się i bawi mnie.

- Sądziłem, że polecisz samolotem? - powiedziałem.

- Lotnisko jest zbyt daleko i nie ma takiego uroku jak port. Samoloty wzlatają i znikają w mglistym niebie, natomiast o statkach można marzyć, jak płyną na południe. Woda jest niczym droga, można sobie wyobrazić, jak się nią podróżuje. Przeworza to fanaberia dla bogatych, Iwanie. W porcie są biedacy, dziwki, marynarze; czuję się w nim bardziej swojsko.

- A więc naprawdę rozważasz...

- Oczywiście, myślę o tym coraz częściej i od samego myślenia robi mi się przyjemnie... Moje spacerki po mieście bardzo pomagają mi w rozmyślaniach nad tym, co się wydarzyło. Zdaję sobie sprawę, że długi pobyt tutaj był rodzajem czyśćca, w którym tylko czekałem, aż w prawdziwym tego słowa znaczeniu oczyszczę ciało. Gdy wysiadłem z samolotu, agenci Urzędu Imigracyjnego wysłali mnie na wstępne badanie lekarskie jeszcze w obrębie lotniska. Wszyscy

byli bardzo mili, ale nie mogli ukryć swojej odrazy na widok stanu, w jakim się znajdowałem. Lekarz oddzielił mnie od grupy i polecił przewieźć karetką do szpitala. To było po mojej myśli, bo obawiałem się, że pozostawią mnie samego z innymi wygnańcami i będę musiał z nimi rozmawiać. Odczuwałem też dziwne wrażenie wobec tego ciała, jakby do mnie nie należało, jakby było czymś w rodzaju trumny, w której zamknięty jest mój umysł. Pozwoliłem więc całkowicie sobą kierować, a tymczasem po mojej głowie defilowały biblijne wersety. Rzeczy zewnętrzne wnikały w moje zmysły wbrew mnie, ale nie miały na mnie wpływu. Zachowałem jednak bardzo wyraźny obraz mojego przybycia do szpitala, opieki, jaką nade mną roztoczono, przypominam sobie pełne szacunku milczenie, nawet łzy, których niektóre pielęgniarki nie potrafiły ukryć, gdy opatrywały moje rany. Ale to nie było moje ciało, byłem pogrążony w jakimś śnie czy stanie upojenia. Nie zmuszali mnie do mówienia, ale wszyscy oni - jestem tego pewien - próbowali pieścić mnie czułymi słowami, uśmiechami czy pozdrowieniami. Nie rozumiałem języka i wszystko wydawało mi się bardzo, bardzo odległe, tak bardzo, że często budząc się nie wiedziałem, gdzie jestem. Czekałem. Przez okno mojego pokoju mogłem zobaczyć miasto, całe ośnieżone, unoszące się w masach pary jak gigantyczna chmura. Wieczorem wszystko było wspaniałe, iluminowane kolorami, z których biel wydobywała blask jak z kryształów. Nie czułem nic. Zdarzało mi się płakać czy raczej to moje ciało płakało czasem samo, chociaż nie miałem pojęcia, jakie wspomnienie tak mnie poruszyło. Zresztą przyglądałem się sobie płaczącemu w taki sam sposób, w jaki spoglądałem na przyjemność mojego ciała pod ciepłą wodą prysznicą. Oglądałem się też jedzącego, a w palarni, gdy pielęgniarz częstował mnie papierosem, zadziwiały mnie zręczne ruchy moich dłoni potrafiących go utrzymać i zapalić nie parząc się przy tym. Sądzę nawet, że moja twarz odpowiadała uśmiechem, a może nawet na widok ich rozczulającej mimiki łzy napływały mi do oczu. Lecz w ten sposób reagowałem nie ja, tylko moje ciało. Umysł pogrążony był wciąż jeszcze w osłupieniu, wczepiony w biblijne zdania, oczekujący, aż powrócę na powierzchnię rzeczy.

Mówił cicho ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni. W oczywisty sposób przywoływał prawie zatarte wspomnienia, odwołując się nie do szczegółów, lecz do atmosfery całości, która mimo wszystko wmykała mu się.

- Nie wiem, jak długo pozostałem w szpitalu - podjął po długiej chwili. - Gdy uznali, że mogą mnie wypisać, przenieśli mnie do czegoś w rodzaju centrum przejściowego, będącego rodzajem dormitorium, w którym przebywali inni obcokrajowcy. Nie było tam moich towarzyszy

podróży; później też z rzadka jedynie i przypadkowo spotykałem niektórych z nich w biurze imigracyjnym. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy; być może oni także pragnęli zachować milczenie. Dostałem nowe dokumenty, wyjaśniono mi, że będę dostawał środki na życie, i wreszcie znaleziono mi mieszkanie, w którym do tej pory mieszkam. To w nim spotkaliśmy się po raz pierwszy, gdy przedstawił nas sobie pastor anglikański. Przypominasz sobie? Jestem przekonany, że wywarłem na tobie bardzo niekorzystne wrażenie... Ależ tak, Iwanie, pozwól, że ci to opowiem, to ważne. W istocie nie będąc pewien, czego ode mnie oczekujesz, na twoje pytania odpowiadałem zdawkowo. Byłem zdumiony, że mówisz moim językiem; twój akcent był tak dziwny, wszystko wydawało się takie wyzbyte kontekstu, że z trudem interpretowałem wrażenia wizualne, nie mogąc do końca pojąć, o co chodzi. Za bardzo przypominało to obraz telewizyjny. Przyzwyczajałem się do tego powoli, w miarę jak przychodziłeś do mnie uczyć mnie swojego języka; wówczas dopiero mój umysł zapragnął uczestniczyć w naszych spotkaniach.

Powiedziałem mu, że zwróciłem uwagę na jego ogromną powściągliwość w odniesieniu do mnie, co sprawiało wręcz wrażenie, że narzucam mu się swoją obecnością.

- Nie, Iwanie, nie narzucałeś mi swojej obecności. Przeciwnie, oczekiwałem twoich wizyt, gdyż regularność, z jaką mnie odwiedzałeś, pozwalała mi powrócić do rzeczywistości. Zmuszałem się też do wykonywania drobnych prac domowych, jak sprzątanie, gotowanie, spacer dookoła kwartału domów, a wszystko wyłącznie po to, żeby uciszyć usypiającą mnie biblijną kantylenę. Bywałem rozdrażniony, bo twoje przybycie przerywało jedną z tych drobnych czynności, a w tamtym okresie nie potrafiłem łatwo przejść od jednej czynności do drugiej. Byłem rodzajem automatu pozbawionego zdolności adaptacyjnych. Gdy byłem pozostawiony samemu sobie, obrazy, które mnie osaczały, były zbyt przerażające. Wierz mi, wyczekiwałem twoich odwiedzin. Poza tym w miarę jak opowiadałem ci moją historię, kierując się tropem twoich pytań, rozproszone zdarzenia układały się w uspokajającym porządku. Byłeś jak nitka naszyjnika, zawsze gotowy do przyjęcia wedle swojego ładu każdej osaczającej mnie absurdalnej wizji, każdego wspomnienia, żeby przekształcić je w perły, przydzielić im właściwe miejsce i stworzyć z nich harmonijny ciąg. W pewien sposób zwracałeś mi czas. To było z twojej strony bardzo szlachetne... Tak, Iwanie, dziękuję ci. Nie wzbraniaj się, pozwól mi powiedzieć, co myślę. To nieistotne, że celem naszych spotkań był postęp w pracy nad twoją książką. Pozwoliłeś mi grać w twojej grze, co pozwoliło mi powrócić do życia. Teraz, gdy nasz naszyjnik jest prawie gotowy, chciałbym zobaczyć, jak wygląda.

- Wybacz mi, Tiago, jeśli zniekształciłem twoje słowa - zastrzegłem się.

- Nie szkodzi, Iwanie. Ja też niezbyt dobrze wiem, co się tam działo ani jak w różnych okolicznościach reagowałem. Moje wspomnienia są mgliste i często nie byłem nawet pewien, czy dobrze odpowiadam na twoje pytania. Sądzę, że połątałem strzępy wspomnień, czasem przez prostą dedukcję. Jak ci już mówiłem, naszyjnik nie powstałby bez nici twojego umysłu. Zastanawiam się skądinąd, czy wszystko to naprawdę się wydarzyło czy też Tiago po prostu popełnił samobójstwo po pierwszym seansie tortur. Dzisiaj gdybym był na jego miejscu, na pewno spróbowałbym to zrobić.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś...

- Ponieważ sprawy potoczyły się inaczej. Ale kiedy teraz o tym myślę, zadaję sobie to właśnie pytanie. Być może dlatego, że można postawić sobie pytanie o śmierć dopiero wówczas, gdy powróci się do świata żywych, a ja w tamtym momencie już nie żyłem, nie byłem już istotą ludzką w pełnym słowa znaczeniu. Również dlatego ciekawi mnie to, co napisałeś: pragnę zrozumieć, jaka siła utrzymała mnie przy życiu. Podczas wszystkich miesięcy spędzonych tutaj żyłem w niezbyt wielkim zamęcie, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz gdy się przechadzam, gdy nie osacza mnie już szaleństwo, zaczynam sobie zadawać to pytanie.

- Oto co spisałem do tej pory. Nie czuję się jeszcze zadowolony z tego, co tu jest... - powiedziałem podając mu kopertę. - To fotokopie, możesz po nich pisać do woli. Ale poczekaj, proszę, przeczytasz je u siebie. Ja również chciałbym zadać ci kilka pytań, gdyż niektóre fragmenty są bardzo trudne do napisania.

Jego radość była oczywista, widziałem, że powstrzymuje się, żeby nie zacząć czytać od razu; ograniczył się do ściskania koperty, jakby chodziło o coś cennego.

- Robię postępy w tym, co piszę - powiedział po chwili. - Sądzę, że dla mnie to trudniejsze, nie tylko dlatego, że nie jestem przyzwyczajony do pisania. Także dlatego, że to, co się przeżyło, wydaje nam się bardzo ważne, a każdy szczegół wydaje się niezbędny, nawet jeśli niektórzy tego nie rozumieją. Tak czy inaczej posuwam się naprzód. Spieszno mi przeczytać twój tekst, żeby móc się lepiej wysłowić. Będę się kierował tym, co już wiesz, a wówczas łatwiej będzie mi dorzucić to, czego brakuje.

Rozstaliśmy się po wypiciu dwóch piw, umówiwszy się na kolejne spotkanie po moim powrocie z eskapady z Sonią. Pamiętam, jak serdecznie, z nową u niego męską energią uściśnął mi dłoń, i jego słowa:

- Widzisz, Iwanie, czuję się lepiej, czuję się silny, jakbym nagle odmłodził. Dzięki raz jeszcze.

Podróż w towarzystwie Soni była rozkoszna. Wynająłem samochód i wyruszyliśmy wieczorem w kierunku gór. Rozmowa z Tiagiem napełniła mnie poczuciem wielkiego spokoju i cieszyłem się, że byłem świadkiem, jak odzyskuje siły vitalne. Mówiłem sobie, że słowa Lucjana okazały się zbyt pesymistyczne; każdą poszczególną egzystencję powinno się rozpatrywać według jej własnych zasług i niezależnie od sytuacji nie powinno się lekceważyć siły stworzeń. Jego arystokratyczna wizja świata była może i piękna, ale nie była bynajmniej kompletna.

Sonia również stanowiła część tego życia mniej szlachetnego - Lucjan nazywał ją „kelnereczką” - ale jakże ludzkiego. Było to jedyne życie dostępne mi jako stworzeniu i obiecywałem sobie, że odtąd nie będę go już lekcewał. Wystarczyło popatrzeć na młodzieńczą radość przejawianą przez Sonię w czasie podróży, żeby cała reszta wydała mi się zwykłym koszmarem bez znaczenia.

Sezon jeszcze się nie zaczął, więc w górach nie było wielu wczasowiczów. Znaleźliśmy sympatyczną oberżę, gdzie można było również dobrze zjeść; okno naszego pokoju wychodziło na zaśnieżony las. Wieczorem po zgaszeniu świateł wszystko pogrążone było w niebieskawej poświacie.

Dni były piękne, niezbyt zimne, połyskiwał świeży śnieg. Przechadzki zaostrzały nam apetyt. Potem rozgrzani, z zaczerwienionymi policzkami, wślizgiwaliśmy się pod kołdrę, żeby bawić się i kochać aż do utraty sił. Jej perlisty śmiech w moich męskich ramionach, jej czułość przerywana uroczymi jękami, wszystko zresztą, a przede wszystkim jej młodość i beztroska sprawiały, że czułem się zuchwały i spełniony. Ona również była szczęśliwa: mówiło o tym jej ciało, spojrzenie, sposób, w jaki oddawała się biorąc mnie, w jaki biegała po śniegu i wybuchała śmiechem, gdy upadała.

Bardzo trudno wysławić te wszystkie proste rzeczy; tak samo trudno, jak przychodziło mi zwerbalizować rzeczywiste cierpienie mojego przyjaciela Tiaga. Trzeba byłoby odwołać się również do obrazów, dźwięków i zapachów, ciepła skóry i delikatności drżenia, jeśli pragnie się wyrazić, czym są ludzkie emocje odczuwane przez każdą osobę w milczącej intymności swojego ciała. W przeciwnym razie nie wychodzi się poza metafory.

Cztery dni i pięć nocy szczęścia. Byliśmy bardzo zakochani w czasie podróży powrotnej i

zaskoczeni tym, co się z nami działo. Milczący i poważni, uważnie spoglądający, być może dlatego, że baliśmy się życia po naszym krótkim dziecięcym miesiącu miodowym. Ale byliśmy także zdecydowani, że więcej się już nie rozstaniemy. Koniec z wahaniem! Miałem ochotę korzystać z życia. Zaproponowałem Soni, żeby wprowadziła się do mnie na początku stycznia, gdy powróci jej współlokatorka.

Wieczorem Iwan odwiózł Sonię do jej mieszkania, a następnie pojechał zwrócić samochód do wypożyczalni. Było bardzo zimno, ulice pokryła gruba warstwa brudnego lodu, ale jego dusza była radosna. Cieszył się także na umówione nazajutrz spotkanie z Tiagiem i obiecywał sobie, że pilnie popracuje nad książką, żeby dokończyć ją jak najszybciej. Ten projekt również należał do przeszłości, do jego minionego życia, żarliwie pragnął go więc podsumować, żeby przejść do nowego etapu swojej egzystencji. Zresztą koniec wydawał mu się bliski i nawet dosyć łatwy; sądził, że nareszcie znalazł właściwą konstrukcję i klimat korzystny dla swojej narracji, którą bez sztucznych zabiegów doprowadzić miał do ukierunkowanej na przyszłość konkluzji moralnej. Tak postanowił, ponieważ i sam Tiago wynurzał się ze swej otchłani.

Po powrocie do swojego mieszkania zdziwił się, zastając tam Lucjana.

- Ach, to pan... - potrafił tylko wykrztusić na widok swego gościa, który siedząc przy biurku czytał jego notatki.

- Zdziwiony? - spytał Lucjan z uprzejmym uśmiechem. - Wybacz, mój drogi, czekałem na ciebie. Niespodziewany rozwój wypadków wzywa mnie w dalekie strony, ale zależało mi na spotkaniu z tobą, jak ci to ostatnim razem obiecałem. Nie mogę się rozsiadać, więc odłóż bagaże i rozgość się, a ja tymczasem zaparzę herbaty.

- Odchodzi pan na dobre?

- Tak, Iwanie. Nie sądzę, żebyśmy mieli sobie jeszcze dużo do powiedzenia. Zaczynasz nowy okres w życiu, budzisz się na swoją prawdziwą osobowość, moje zadanie skończone. Jest jeszcze niezliczona liczba problemów, o których moglibyśmy dyskutować, i sądzę, że wypełni ci to czas po moim odejściu. Tak będzie lepiej. Dyskutując razem, tylko byśmy się powtarzali. Zastanawia mnie jednak, że nie wykazałeś żadnej ciekawości dla osoby Chrystusa. Jeszcze nie tak dawno był twoim idolem.

- Proszę poczekać, Lucjanie. Muszę iść do toalety. Niech pan sobie zrobi herbaty i proszę mi nalać whisky. Widzę, że nie rozstaje się pan ze swoją butelką.

Po powrocie do salonu, gdy Lucjan krzątał się po kuchni, Iwan zauważył, że jego papiery są w nieporządku. Bez wątpienia szperał w nich jego gość. Najwyraźniej to myszkujące bóstwo miało słabość do intymnych spraw swoich stworzeń.

- Jak widzę, kolejny raz nie uszanował pan mojej nieobecności - odezwał się Iwan, gdy Lucjan przyniósł imbryk z herbatą i szklanki. - Czyżby moje zapiski aż tak bardzo pana interesowały?

- Mój drogi, nie interesuje mnie ich treść, ale styl. Treść znam od dawna. Przejrzałem je, żeby zobaczyć, czy masz szansę zostać pisarzem z prawdziwego zdarzenia. Nie zapominaj, że twoje historie to coś innego niż metafizyka. To w dalszym ciągu fikcja, choć środki są odmienne; opowieści pisze się, żeby ktoś je przeczytał; do tego potrzebne są środki artystyczne. No więc dlaczego nie pomyślałeś o Chrystusie?

- Pomyślałem, ale nie wspominałem o nim przez wstydlivość - odparł Iwan.

- Wstydlivość?

- Tak, Lucjanie, ze wstydu. Udało się panu przekonać mnie o tak wielu sprawach z taką łatwością, że ciągle wątpię: zastanawiam się, czy to ja sam siebie nie przekonałem, posługując się pana słowami jak lustrem. Ale to pan sprawił, że powstrzymałem się od pytań o Chrystusa. Całkowicie zgadzam się z panem, że Jahwe jest krwawym dyktatorem. Jednakże obawiałem się wulgarnych dykteryjek o Chrystusie, których zapewne by mi pan nie oszczędził, więc wolałem ich nie wysłuchiwać. Nie rozumie pan? To na pewno dlatego, Lucjanie, że jest pan mistrzem gry, nie pionkiem. Nam pionkom zależy na pięknie naszych opowiastek, na naszych bajeczkach, jeśli pan woli. Chrystus jest dla ludzi paradygmatem nie jako Syn Boży, ale jako ofiara możnych. Fascynuje nas i uspokaja jego pokora i niewinność, kontrast tego, kim był, z barbarzyństwem panów i dyktatorów. Niewątpliwie przypomina pan sobie, co powiedział o dziewiętej, gdy wszystko zmroczniało: *Éli, Éli, lema sabachtani?* W tym momencie był jednym z nas, Lucjanie. Każda ofiara zawsze wykrzykiwała to samo zdanie, nigdy nie otrzymując odpowiedzi. Rozumie pan? Chociaż to prawda, iż wiara w to, że miałby być synem Boga, zawsze psuła mi przyjemność myślenia o nim. Mimo to nie chciałem, żeby zbrukał go pan swoimi słowami.

- Dobrze powiedziane - westchnął Lucjan. - Twoje słowa ukazują mi, że nabierasz odwagi. I mądrości. Nie wspominałem o postaci Chrystusa, ponieważ ja również nie gardzę nim jako jednostką. Pogardzam tylko tym, czym stał się później, tym, czym uczynił go ten parszywy demagog Paweł z Tarsu. Mogę cię zapewnić, że pomimo swego szaleństwa Chrystus był nawet

dosyć sympatyczny, a prawie wszyscy członkowie jego grupy byli wesołymi kompanami. Gdybyś tylko mógł sobie wyobrazić, co tak naprawdę wyprawiali w tym czasie ci młodzi Esseńczycy trochę na bakier z prawem, ty również polubiłbyś go jeszcze bardziej. Jednakże cóż chcesz, historię piszą zwycięzcy, a prawdziwe włóczęgi rzadko pozostawiają po sobie ślady. Judasz, jego najlepszy kumpel, przeszedł do historii jako zdrajca; Jezus został odcieleśnionym aniołem, jego koleżkowie - hordą nawiedzonych oszołomów i nikt nie wielbi Maryi i jej kumpelek za ich prawdziwe wdzięki. Szkoda, że nie zażyczyłeś sobie poznać ich prawdziwej historii. Może któreś nocy ześlę ci sen; to będzie spóźniony prezent w podziękę za twoją kolaborację.

- Nie kolaborowałem - zaprotestował Iwan. - Ograniczyłem się do słuchania pana. Jest pan całkowicie odpowiedzialny za swoje słowa, Lucjanie. Proszę sobie przypomnieć nasz układ: każdy pozostaje na swoich pozycjach, bez uwielbienia.

- Oczywiście, oczywiście. Pamiętam. Ale nie musisz się unosić, mój drogi. Dzisiaj wieczorem przyszedłem w ściśle określonym celu. Nie mam wiele czasu; pozwól mi mówić i nie przerywaj. Potem zrobisz, co uznasz za stosowne. Gdy już odejdę, z pewnością zadasz sobie następujące pytanie: co mogę zrobić teraz, czego nie mogłem zrobić, zanim poznałem tego pocziwego Lucjana? W praktyce oznacza to: jak będziesz mógł rozgrywać interesujące i produktywne partie w świecie gry, który przed tobą odsłoniłem? Zależy mi więc, żeby zostawić ci kilka sugestii, zanim odejdę. Zawieś osąd i posłuchaj; już samo wysłuchanie mojego punktu widzenia pozwoli ci pogłębić znajomość gry. Jesteś całkowicie wolny, a to właśnie wolność wywołuje napięcie, gdy inauguruję jakąś partię. Zgoda?

- Zgoda. Zamieniam się w słuch. Wyznaję, że trochę mnie to ciekawi, gdyż ciągle nie mogę zrozumieć, co mogło pana we mnie zainteresować. I zastanawiam się jeszcze, czy nie jest pan zwykłym obłudem mojego przekarmionego teologią umysłu. Proszę jednak mówić!

- Tak jest bardzo dobrze, Iwanie. Po pierwsze stwierdzam, że za bardzo zajmujesz się tym, co robią inne stworzenia, a zaniedbujesz swoją własną osobę. W twoim doktoracie mowa jest o dobru i złu, a na koniec praktycznie utożsamiasz Boga z diabłem. Zgadzasz się z tą konkluzją i pochlebia mi ona, wszakże w gruncie rzeczy jaka to różnica dla ciebie, dla dalszego ciągu twego istnienia? Będziesz żył i umrzesz sam, a twoje życie stanie się tym, co mogłeś z nim zrobić. Zatem czyż nie jest stosowniej żyć i pozwolić żyć innym? W cytowanych przez ciebie tekstach jest jeden autorstwa Ewagriusza Pontyjskiego, „De octo spiritibus malitiae”, z którego

mogłeś wyciągnąć dużo więcej, osobistą korzyść. To najbardziej wnikliwe uwagi o duszy ludzkiej, jakie kiedykolwiek napisano. Nie przypominasz sobie? Tego się spodziewałem. Czasami cytuje się jakiś drugorzędny tekst nie przeczytawszy go tak dokładnie, jak by należało, i w rezultacie nie dostrzega się spraw fundamentalnych. Odświeżę ci pamięć. Ewagriusz wykazuje w tym dziele, że człowiek w swej podwójnej naturze jest jakby upadłym duchem; psychika ludzka jest siedliskiem namiętności, emocji i zmysłowości. Te skłonności wywołują to, co on nazywa *logismoï* albo złymi myślami, o których wspomina ewangelia Mateusza: „Z serca bowiem pochodzą złe myśli...” (Mt, 15,19). Wedle tegoż Ewagriusza jest osiem diabłów, z których każdy wyspecjalizowany jest w określonym *logismos*, które w porządku rosnącym pod względem ważności i niebezpieczeństwa nazywa: *gula, luxuria, avaritia, tristitia, ira, acedia, vanitas* i *superbia*. To je w 599 papież Grzegorz Wielki przemianował na siedem grzechów głównych, wykreślając *tristitia*, czyli melancholię. Inspiracja Ewagriusza sięga Horacego i źródeł greckich, ale później scholastyka, Reformacja i Kонтreformacja do tego stopnia rozmyły i zniewieściły naturę tych grzechów, że utraciły one wszystko, co w nich było drapieżnego w odniesieniu do duszy ludzkiej. Po soborze laterańskim w 1215 stały się zwykłą ściągą dla spowiedników w intencji lubieżnych mnichów i oprawców czarownic. Rozwiął się gdzieś element cnoty i panowania nad sobą zawarty w tekście Ewagriusza, a całą prawie przestrzeń zajęły upajające figury trzech pierwszych *logismoï*. Tymczasem Ewagriusz doradzał ascecie, by zmierzył się najpierw z łakomstwem, pożądlivością i skąpstwem, tak aby przygotować go na stawienie czoła pięciu przywarom wyższym. W istocie bowiem *logismoï* nie były pierwotnie grzechami, lecz namiętnościami duszy, jakże ludzkimi słabościami, które usiłowały odwieść samotnika od kontemplacji. Jeśli weźmiesz w nawias refleksje na temat Boga i ascetyzmu, zachowując tylko psychologiczną inspirację Ewagriusza, zauważysz, że te *logismoï* stanowią kolejne etapy panowania nad sobą w celu zwiększenia wolności i władzy. Chodzi o wolność czysto osobistą, poprzez którą samotnik oddala się również od słabości i nędzy swoich współczesnych. Co więcej, w swojej analizie Ewagriusz tworzy prolegomena do czegoś w rodzaju kombinatoryki *logismoï*. Dowodzi na przykład, że niezmiernie rzadko cierpi się równocześnie z powodu łakomstwa i intelektualnej próżności, gdyż pierwsza zakłada ociężałość wnętrzości wykluczającą abstrakcyjne myślenie. Tak samo jest z pożądlivością i skąpstwem, gdyż pełna realizacja pierwszej wymaga cielesnych ekscesów, jeśli nie wręcz trwonienia energii na próżno, jak to było w przypadku Onana i jego nasienia. Natomiast *acedia* (nie zaś to, co

zwykło się przedstawiać później pod nazwą „lenistwa”) albo demon południa - skłaniający samotnika do odwrócenia się od zajęć szlachetnych, duchowych na korzyść trywialności spraw tego świata - łatwo sprzęga się z pożądliwością, z próżnością, a w najlepszym razie nawet z pychą. Para próżność - pycha symbolizuje wyzwanie rzucone przez człowieka Bogu, a jeśli dochodzi do tego melancholia, może dać początek spektakularnym buntom, które wyrażają się poprzez dzieła sztuki, odkrycia naukowe, jak również poprzez heretyckie i godne anatemy filozoficzne konstrukcje. Przemysł na swój własny użytek te różnorodne warianty, nie zapominając przeciwiczyć ich w praktyce, a pozwoli ci to na stworzenie trafnej analizy tego, co nie pozwala ci się rozwijać. Przede wszystkim więc w odniesieniu do relacji z kobietami z wielkim pożytkiem będziesz mógł przemyśleć warianty związane z pożądliwością. Na przykładu jeśli zależy ci jedynie na parze pożądliwość - melancholia, by przeżywać młodzieńcze miłości, to twój problem. Zastanów się jednak, czy twoja kelnereczka nie wołałaby od czasu do czasu jakichś bardziej męskich wariantów, jak pożądliwość - pycha, przyprawionych odrobiną gniewu; być może ingrediencja ta jest niezbędna, żeby zawibrowała jej samicza duszyczka. Nie wiem. Ty sam musisz improwizować z każdą kobietą, która cię zechce, w zależności od jej własnych inklinacji. Nie należy skądinąd lekceważyć pary pożądliwość - łakomstwo, bo może się okazać bardzo zabawna, choć z reguły bywa dosyć plugawa. Twoja sąsiadka Izabella - znasz wszak jej bujne krągłości - mogłaby bez wątpienia nauczyć cię czegoś nowego na ten temat. Pomyśl także o sprzężeniu *acedia* - *vanitas* i zastanów się następnie, czy twoja książka o Tiagu rzeczywiście traktuje o tym nieszczęśniku czy też jest on może jedynie spowodowaną próżnością dewiacją twojego talentu podporządkowanego anachronicznemu chrześcijańskiemu współczuciu, które potajemnie kołacze się jeszcze po twej duszy. Lecz pomyśl przede wszystkim o zastanawiającym fakcie, że w całej historii grzechów głównych, począwszy od ich greckich prapoczątków, nikt nigdy nie uznał za stosowne włączyć do nich okrucieństwa. Odpowiesz mi być może, że okrucieństwo jest mieszaniną gniewu, próżności i skąpstwa z okazjonalną domieszką pychy i pożądliwości. A jednak nie. Istnieją osobnicy, którzy specjalizują się w nim na zimno, rzecz by można z powodów estetycznych, jak inni specjalizują się w łakomstwie lub skąpstwie. To fakt. Dlaczego zatem okrucieństwo nie figuruje na tej liście? Po prostu dlatego, że nie interesuje władzy; to forma jej sprawowania, a nie przywara. Okrucieństwo w większym jeszcze stopniu niż pycha jest paradygmatem władzy absolutnej we wszelkich jej przejawach, począwszy od tej, jaką dziecko sprawuje nad osobnikami słabszymi od siebie. Okrucieństwo jest zresztą zbyt

zakorzenione w człowieku jako rodzaj ponurej dewiacji waszego mózgu istoty człekokształtnej, która aspiruje do bycia Bogiem. Żadne inne zwierzę nie pastwi się nad swoim bliźnim. Okrucieństwo staje się naganne dopiero wówczas, gdy oprawca traci władzę na rzecz innego, wyżej od niego postawionego, który osądzi tamtego oskarżając go o okrucieństwo, żeby umocnić swoją własną dominację. Wypada przeto powrócić do starej prawdy, że moralność jest zawsze moralnością zwycięzców. Cnoty główne albo kardynalne to przeciwnie, paradygmaty na użytek słabych: zachęcają do podporządkowania się. Osiem przywar Ewagriusza to natomiast paradygmaty na użytek silnych, ponieważ zachęcają do braku umiaru i transgresji. Zatem, mój drogi Iwanie, zemsta - której nie bez powodu nie dołączono do listy cnót - jest jedyną szlachetną odpowiedzią na nieszczęścia twojego Tiaga Cruza. Ale czy zdolny jest jej dopełnić? Doskonale pytanie. Prawdziwy oprawca, specjalista od okrucieństwa, oszczędza życie swojej ofierze wówczas jedynie, gdy jest pewien, że nie przestanie ona cierpieć. W przeciwnym wypadku likwiduje ją. Tiago był zatem praktycznie martwy, i to od dawna, chociaż zawziął się, żeby nie szczeznąć. Twoja interwencja w jego życie była wspianała i gratuluję sobie, że pomyślałem o skrzyżowaniu z twoją partii, którą rozgrywałem z nim.

- Z Tiagiem? - wykrzyknął Iwan. - Pan, z Tiagiem?

- Oczywiście. Rozgrywałem z nim bardzo długą partię, która zakończyła się szczęśliwie dzięki mojej interwencji. Mogę cię zapewnić, że wczoraj odszedł. Wkrótce dostaniesz od niego wiadomość.

- Tiago odszedł? Nic nie mówiąc?

- Dostaniesz od niego wiadomość i zrozumiesz wszystko, co się zdarzyło. Dopomógł nam rzecz jasna skutek jednego z tych cudownych zbiegów okoliczności, ale - tym razem na skutek twojej interwencji - Tiago dojrzał do powzięcia decyzji, przypadek stał się więc koniecznością. Szczęśliwe zakończenie. Gratuluję ci, a właściwie samemu sobie, że wybrałem cię na partnera. Od jakiegoś czasu straciłem już nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Irytował mnie swoim bezustannym biadoleniem. Jęczał tylko, jakby zależało mu na swojej pozycji ofiary; graniczyło to z perwersją. Byłem już o włos od zniecierpliwienia, bo nie lubię przegrywać, zwłaszcza kiedy całkowicie angażuję się w tak długą i elegancką strategię poświęconą pojedynczemu stworzeniu.

- Nic mi pan nie powiedział. Odmówił mu pan nawet pomocy - wykrztusił osłupiały Iwan.

- Oczywiście. Gdy rozgrywam jakąś partię, rezygnuję z odwoływania się do nadludzkich

mocy. Gra to dla mnie sprawa bardzo poważna. Nie wspominałem ci o tym dlatego właśnie, żeby zachować nieprzewidywalność ruchów pionków, ich wolność działania. Mógłbyś się zniechęcić, stracić dla niego zainteresowanie lub zmienić zdanie. Gorzej jeszcze, mógłbyś wziąć moje życzenia za rozkazy, a wówczas nie miałbym w tym żadnej zasługi. Wolę działanie subtelniejsze i nigdy niczego nie narzucam. Działacie zgodnie ze swoim sumieniem, to bardziej przypadkowe, bardziej ryzykowne. Ale grałem z nim od dawna, od chwili jego aresztowania. Nie, nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, mój drogi, nie interesowała mnie jego pozycja ofiary. Raczej jego absurdalna sytuacja, która wydawała mi się pełna możliwości, zwłaszcza że był całkowicie bezbronny wobec swoich oprawców. A ten strzęp człowieka, który znasz, był przedtem wspaniałym, bardzo silnym człowiekiem. Możesz mi wierzyć, wyzwania były niewyobrażalne.

- Przepraszam, że źle o panu pomyślałem, Lucjanie - odezwał się Iwan rzucając mu pełne podziwu spojrzenie.

- Nigdy za nic nie przepraszaj, mój drogi. Nie musisz usprawiedliwiać się ze swojej wolności.

- Mimo wszystko jest pan skromny.

- Ach nie, Iwanie, mylisz się. Ta wada jest mi obca. Skromność jest fałszywą reakcją u tego, kto zna swoją wartość, a pretensjonalną u tego, kto odnosi jakiegokolwiek zwycięstwo. Przy wyborze Tiaga kierowałem się wyłącznie potencjalnym pięknem gry. Równie dobrze mógłbym wybrać jego oprawcę, gdyby miał jakieś interesujące atuty. Wszelako pułkownik Figueiredo był zwykłym brutalem, jednym z tych licznych ludzkich śmieci bez żadnej wartości ludycznej; pospolitym fanatycznym drobnomieszczaninem, jak to często bywa w wypadku ludzi przebierających się w mundury. Miał brzydką krzykliwą żonę i nieładne, pozbawione inteligencji córki, które usiłował dobrze wydać za mąż, żeby wzmocnić swoją pozycję społeczną. Na nic by się zdało złądaczyć je, sprawić, by stały się dziwkami czy komunistkami; pułkownikowi byłoby na rękę, gdyby się ich pozbył. Zesłać na niego cierpienie? Po co, Iwanie? Czyż jestem strażnikiem brata mego lub naiwnym obrońcą uciśnionych? Prowadzę w tej chwili zbyt wiele interesujących partii, żeby zajmować się jakimś nędznym stworzeniem. Poza tym jego miejsce zająłby zaraz inny oficer, młodszy, ambitniejszy lub bardziej próżny.

- To nieistotne, Lucjanie, jestem zadowolony. Proszę o wybaczenie. Niech mi pan pozostawi odrobinę złudzenia, że mimo wszystko tkwią w panu resztki dobra. Tak jak pan

powiada, przyzwyczajamy się do tych, którzy są nam bliscy i pragniemy ich dobra. Przywiązałem się do Tiaga. Próbując spisać jego historię, ja również o mało nie popadłem w zwątpienie, gdyż nie udawało mi się odnaleźć w niej aspektów moralnych. Wszystko wydawało mi się banalnym ciągiem przypadków, w których zapadał się jak pospolita ofiara. Mnie również nie podobała się jego rola w tej tragedii. Teraz znowu odradza się we mnie nadzieja.

- Uważaj na to, co zrobisz, mój drogi. Zastanów się trochę, zanim zamienisz go w fikcyjną postać, jeśli zamierzasz to zrobić po to, żeby nie kłamać albo dać nadzieję tym, którzy cierpią. Nie zapominaj nigdy o zdaniu Augustyna z „De libero arbitro”. Powiada on, że aby nie zbrukać piękna wszechświata, wstyd przewiny nie powinien nigdy istnieć bez piękna zemsty. Ale niech to będzie zemsta ludzka, tutaj i teraz. Po tym życiu nie macie żadnego innego. Pozostają po was jedynie wasze dzieła fikcyjne, ale nie zachowacie żadnej kontroli nad użytym, jaki z nich uczynią inni, gdy was już nie stanie. Większość czytelników otwierających książkę ma w sobie tak mało fantazji i frywolności, że zastanawiam się czasem, czy można ich jeszcze nazwać „graczami”, nie wspominając o tej małej hipotezie, którą przebiegle zasiałem w twoim umyśle podczas naszej ostatniej rozmowy. Nie zapominaj też o mądrości Wielkiego Inkwizytora, gdy wyrzuca Chrystusowi: „Zamiast zapanować nad ludzką wolnością, zwiększyłeś ją i obciążylesz jej mękami duchowe królestwo człowieka na wieki.”

- Pomyślę o tym, obiecuję. Ale jeszcze na to za wcześnie, Lucjanie. Historia Tiaga ciągle trwa. Być może dopiero się zaczyna.

- Kto wie. Trzeba zaufać możliwościom gry; jej ruch ma majestatyczną harmonię. Mam nadzieję, że z czasem to pojmiesz. Co do ciebie, Iwanie, zaczynasz stawać się interesującym graczem, chociaż musisz się jeszcze wiele nauczyć, nabrać doświadczenia, a przede wszystkim wyzbyć się swoich moralnych przesądów. Oto dlaczego poleciłem ci dzieło Ewagriusza Pontyjskiego. Zapomnij o mnichu i bigoterii, a zachowaj ten aspekt jego dzieła, który ujawnia arystokrację tego umysłu, aspekt męskiej siły i samotności. Wówczas zastosujesz jego mądrość do wszystkich form przyjemności, również tych najbardziej zaawansowanych, którymi są formy ducha i gry. Wykorzystaj tę refleksję nie po to, żeby stać się ascetą, ale żeby zacząć kroczyć ludyczną drogą ku władzy. Ewagriusz konkludował, że celem ćwiczenia się we wszystkich *logismoi* było osiągnięcie stanu zwanego „apatia”, nieobecnością emocji, to znaczy stanu, który predysponuje do poznania niebiańskiego. Tyle że, dla twojej informacji, raj nie istnieje. Dlaczego zatem nie poświęcić się władzy, która jest najwyższą znajomością gry świata? Ten kto ma

władzę, posiada nie tylko moralność, lecz również prawdę o swoim czasie. Ponieważ nie istnieje życie po śmierci, posiada on absolutną prawdę w okresie, gdy prowadzi grę. To oczywiste. Historia jest sprawą żywych. Co za różnica dla Stalina, że po jego śmierci rozpadło się stworzone przez niego imperium? Żadnej różnicy nie widzą też zrehabilitowane pośmiertnie ofiary. Ale zachowaj kurs. Energia, którą zużyłeś na swoje studia, jest zbyt cenna, żeby trwonić ją na kwestie metafizyczne. Teraz chodzi o zdobycie władzy realnej, co łatwo osiągniesz, jeśli skierujesz się ku prawdziwym źródłom mocy. Ponieważ znasz naturę gry, poświęć się polityce, dziennikarstwu, finansom. Pozbądź się wszelkich skrupułów i zmierz z tymi, co są pozbawieni moralności. Pozostawiam ci moją walizkę. To nie dar, ale inwestycja, żeby zobaczyć, do czego jesteś zdolny, jakie szczyty jesteś w stanie zdobyć. Aleksiej Karamazow był mnichem, który zrzucił habit, i do tej pory nie wiem, co mógłby zrobić, gdyby dysponował twoimi atutami. Oto partia, którą przekazuję w twoje ręce.

- Lucjanie, nie wiem... - zawahał się Iwan.

- Niczego nie narzucam, proponuję. Postąpisz zgodnie ze swą wolną wolą. Czyż nie powiada się, że nawrócony grzesznik więcej wart jest w moich oczach niż dziesięciu sprawiedliwych? Przypomnij sobie: wyrzucałeś mi, że świadomie nie używam swojej władzy. Zobaczmy, do czego jesteś zdolny w analogicznej sytuacji. Czy potrafisz pobić elegancję tego pocziwego Josifa Wissarionowicza? Ależ tak... za konkluzjami twojej rozprawy kryje się amoralna arystokratyczna wizja. To stoi w sprzeczności z twoimi przesadami na temat dobroczynności i braterstwa. Pogardzasz biednymi i nic nieznaczącymi; służą ci tylko do pisania książek, które ciebie samego stawiają na piedestale. Zatem dlaczego pozostać szeregowym nieznanym intelektualistą, odmawiającym udziału w grze świata? Zdobądź władzę i sprawuj ją, żeby narzucić swój ład. W literaturze nie ma żadnego ryzyka, ludzie mają w nosie, co myślą pismaki. Ludzie chcą rozrywki, to jej wszak szukają oglądając dzienniki telewizyjne. Przystąp zatem do działania i dostarcz im mocnych wrażeń; może skłoni ich to do zmiany przyzwyczajeń. Udało ci się z Tagiem; dlaczego nie rozszerzyć działalności wykorzystując stosowne środki? Pomyśl o tym. Ale postępuj tak, żeby wykorzystać wszystkie moje nauki; wszystkie, nie tylko te, które ci odpowiadają. Oczekaj, aż dobrze pojmiesz, bo daleko ci jeszcze do zrozumienia prawdziwego ducha gry, ducha poruszającego pionkami. Pewnego dnia zdasz sobie sprawę, że jestem bardziej wyrafinowany, niż wyglądam, mój drogi Iwanie Sierowie.

- Wspomniał pan o swojej walizce. Co to znaczy?

- Zobaczysz. To część tajemnicy, rodzaj szczeliny wolności, którą wprowadzam do twojej sytuacji. Ale weź na wstrzymanie, zanim dowiesz się, co zawiera. Nie działaj pochopnie; wielkie partie wymagają cierpliwości. Pomyśl o Tiagu i o moim zwycięstwie; długoterminowe kalkulacje wymagają uporę i pobłażliwości, a także - jeśli to możliwe - dużo humoru. Ostatnia rada: uważaj na melancholię i ukierunkuj swoją pychę przeciwko swoim prawdziwym przeciwnikom. Z Bogiem, Iwanie. Albo z diabłem, jeśli wolisz. To pojęcia synonimiczne, a różnica jest nieistotna. Obiecuję, że nie ujrzysz mnie już więcej; nie ma sensu mnie wzywać. Jesteś na świecie sam i sam umrzesz. Jedyna twoja nadzieja w grze, choćby w bólu i smutku.

Lucjan wstał, napełnił szklankę po brzegi szkocką i wypił jednym haustem. Mrugnął do Iwana i zniknął na zawsze.

Dźwięk dzwonka do drzwi wyrwał mnie z głębokiego snu. Był to listonosz, który dostarczył mi przesyłkę poleconą. Natychmiast rozpoznałem pismo Tiaga. Przesyłka nosiła datę sprzed trzech dni; pakiet był starannie przygotowany. Zawierał szkolny zeszyt, trochę pieniędzy i list:

Witaj, mój drogi Iwanie. Wybacz, proszę, że odszedłem tak szybko, nie uściskawszy cię i bez wyjaśnień. Byłeś dla mnie więcej niż bratem, toteż mam odwagę popełnić samobójstwo także dlatego, że czuję w oddali twoją obecność. Wybacz mi i nie sądź, że jestem niewdzięcznikiem. Życzę ci, żebyś był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Nie myśl, że jestem tchórzem ani że szaleństwem natchnął mnie widok mrocznej wody między kadłubami statków. Nie, Iwanie. Tak długo się w nią wpatrywałem, tak bardzo jej pragnąłem, że cieszę się mogąc nareszcie się w niej zagłębić. Żałuję tylko, że nie spotkamy się już z sobą, żeby porozmawiać. Wszystko inne jest bez znaczenia, bo wreszcie wyzdrowiałem. Niczego sobie nie wyrzucaj. Odejście nigdy nie miało dla mnie żadnego innego sensu poza tym właśnie. Rozmyślałem o tym od dawna, ale powstrzymywało mnie coś idiotycznego, jakiś dziwaczny obłąd. Pojmiesz to lepiej, czytając mój zeszyt. Teraz twój przyjaciel Tiago będzie wreszcie mógł odpocząć.

Dzięki za twoją przyjaźń i za cenne rady. Bez ciebie pozostałbym po prostu szaleńcem żyjącym sam na sam ze swoimi majakami. Ale na powrót jestem człowiekiem wolnym.

W moim mieszkaniu zostawiłem list adresowany do policji. Czy mógłbyś się wszystkim

zająć? W moim zeszycie znajdziesz również niewielką kwotę pieniędzy, którą zaoszczędziłem na wydatki, które to spowoduje. Czy mógłbyś załatwić, żeby pochowano mnie jako katolika, gdyby moje ciało nie podryfowało na południe? Być może wyda ci się to śmieszne, ale z powrotem czuję się na tyle wolny, żeby uwierzyć w Boga.

Zegnaj, Iwanie, mój bracie. I wybacz mi.

Tiago Cruz.

Musiałem przeczytać list dwukrotnie, zanim dotarło do mnie jego znaczenie. Zbyt wstrząśnięty, żeby jasno myśleć, ubrałem się pośpiesznie i pobiegłem do mieszkania Tiaga w nadziei, że znajdę go jeszcze żywego. Wiedziałem jednak, że jest martwy. Lucjan powiedział mi to wyraźnie i tylko moja próżność nie pozwoliła mi go zrozumieć. Odczuwałem ogromny zamęt jak podczas ataku gorączki, a w głowie kłębiło mi się zbyt wiele myśli zaprawionych głąką wściekłością i goryczą rozczarowania. Oto moja rola w tej historii: posłużył się mną, żeby popchnąć Tiaga do samobójstwa. Oto szczęśliwe zakończenie jego chorobliwej gierki, owoc mojej współpracy. To było jak koszmar: nie sposób cokolwiek pojąć. Dlaczego chciał jego śmierci, jeśli Tiago nikomu nie zrobił nic złego? Czyż nie powiedział, że oprawca porzuca swoją ofiarę, gdy jest pewien, że będzie w dalszym ciągu cierpiał? Jeżeli nie, likwiduje ją. Zlikwidował mojego przyjaciela, żeby nie pozostawiać śladów, a może dlatego, że Tiago powracał do życia. Czy to Lucjan był prawdziwym oprawcą?

Te pytania z największą szybkością przebiegały mi po głowie, a ja niezdolny byłem do wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków; odpowiedzi znajdowały się być może w zeszycie Tiaga. Lucjan o niczym mnie nie informował, traktował mnie jak zwykłą marionetkę.

Mieszkanie było zamknięte na klucz; dozorca znał mnie, więc gdy mu powiedziałem, o co chodzi, zgodził się otworzyć. Wszystko było tam w największym porządku, bez oznaki impulsywnego działania czy rozpacz. Moje obydwie książki leżały równiutko na stoliku obok kartki papieru, na której było napisane: „Te książki należą do Iwana Sierowa.” Na łóżku w widocznym miejscu, wraz z dokumentami tożsamości, leżała zapieczętowana koperta adresowana do policji. Również ubrania były porządnie poskładane, lodówka opróżniona, a worek na śmieci stał w kącie.

Wezwani na miejsce policjanci zajęli się sprawą, mnie zaś polecili pójść na komisariat, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Sami mieli zawiadomić władze imigracyjne.

Na posterunku wydawali się już wiedzieć o samobójstwie; ciało odpowiadające rysopisowi Tiaga wyłowiono niedługo po tym, jak mężczyzna rzucił się do wody w porcie. Zdarzyło się to wcześniej rano, ale marynarze z zacumowanego opodal statku byli świadkami sceny i zawiadomili policję.

Funkcjonariusze zatrzymali fotokopię listu przesłanego mi przez Tiaga i po krótkim przesłuchaniu poprosili, żebym poszedł do kostnicy zidentyfikować ciało. Oczywiście nie powiedziałem im nic o Lucjanie. Tak czy inaczej byłem wówczas za bardzo wzburzony, żeby jasno myśleć, a podejrzenie, że mógł być jedynie moją halucynacją, wzmagало tylko moje poczucie winy. Jeśli Lucjan nie istniał, być może ja i tylko ja byłem przyczyną śmierci Tiaga. Czyniłem wysiłki, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków, żeby zawiesić osąd w oczekiwaniu na więcej obiektywnych danych.

Kazali mi czekać w kostnicy, gdyż lekarz sądowy odpowiedzialny za sekcję zwłok postanowił towarzyszyć mi przy identyfikacji zwłok. Siedząc tam prawie w przeddzień Bożego Narodzenia, przypominam sobie, że pomyślałem, jak bardzo moje teoretyczne rozważania odległe były od konkretnej rzeczywistości śmierci. Kostnica była zwykłym biurem rządowym, miejscem, gdzie ludzie rejestrowali fakt opuszczenia życia, żeby wszystko odbywało się w należyтым porządku, bez możliwości błędu. Wątpliwe przypadki oczekiwały na możliwe do przyjęcia lub definitywne rozstrzygnięcie. Ludzkie egzystencje były tam katalogowane na podstawie ostatecznej klasyfikacji, co przywiodło mi na myśl słowa Lucjana: wszystkie są siebie warte. Tragiczne życie mojego przyjaciela przestało istnieć; Tiago Cruz stał się zwykłym kartonem ułożonym w porządku alfabetycznym w gigantycznym katalogu byłych mieszkańców miasta. Numerem bez znaczenia.

Funkcjonariusze chodzili leniwie tam i z powrotem, bez pośpiechu wypełniając swoje obowiązki, bez wątplenia dlatego, że w kostnicy wszelki pośpiech wydaje się śmieszny. Nieliczni interesanci przybyli, żeby zidentyfikować inne zwłoki, miny mieli poważne, prawie uroczyste i oczekiwali na wezwanie z rezygnacją, którą odczuwa się wobec wielkich biurokratycznych instytucji. W tym miejscu osobiste istnienie stawało się w istocie kategorią wielce pretensjonalną.

Nie byłem jeszcze w stanie wyobrazić sobie martwego Tiaga. Miałem dziwne wrażenie, że Tiago nie może leżeć w jakiejś schłodzonej szufladzie, że niebawem to nieporozumienie się wyjaśni, a ja będę się czuł ośmieszony, że niepotrzebnie alarmowałem władze. Wydawało mi się, że nawet jego śmierć jest częścią fikcji, zwykłą śmiercią książkowej postaci; walczyłem z

wrażeniem absurdalności wynikającym z faktu, że jestem oto tutaj, sądząc, że postawią mnie twarzą w twarz z prawdziwym trupem, a nie ze zdaniami czy metaforami.

Lekarz sądowy przyjął mnie najpierw w swoim biurze i wypytał mnie, kim jest dla mnie osoba, którą przyszedłem zidentyfikować. W kilku słowach streściłem mu, jakie stosunki łączyły mnie z Tiagiem i co o nim wiedziałem. Na wzmiankę o torturach, których padł ofiarą w przeszłości, lekarz wykazał zaciekawienie i wyznał mi, że to najbardziej zaskoczyło go w czasie autopsji. Istotnie mężczyzna, którego wyłowiono w porcie, nosił zadziwiające ślady dawnych tortur, których w całej swej karierze patologa nigdy jeszcze nie widział.

Poszliśmy zobaczyć ciało. To był z pewnością mój przyjaciel Tiago Cruz. W swej umartwionej nagości do złudzenia przypominał gotycką wersję Chrystusa, ale jego twarz była spokojna, niemal uśmiechnięta. Nieznacznie nabrzmiała szeroka rana z lewej strony głowy z lekka burzyła symetrię twarzy, nadając jej ironiczny wygląd, jakby chciał mrugnąć okiem. Ponieważ dotknąłem tej strony jego twarzy, lekarz uznał za swój obowiązek wyjaśnić:

- Śmierć była natychmiastowa, nie cierpiał. Zanim dotknął wody, zapewne uderzył się w wystającą część nabrzeża i zmarł na skutek uszkodzenia mózgu. Płuca zawierały bardzo niewiele wody, ponieważ wpadając do niej, już nie oddychał.

Zwrócił moją uwagę na blizny po dawnych poparzeniach i na stan dłoni oraz stóp. Przy pomocy nadzorca, który nam towarzyszył, lekarz odwrócił ciało, żeby pokazać mi plecy całkowicie pokryte jasnofioletowymi pręgami i czerwonymi plamami w kształcie gwiazd.

- To niesamowite - podjął lekarz. - Wiedzieć, że ten rodzaj tortur istnieje to jedno, ale co innego zobaczyć ich realne ślady na ludzkim ciele. Można by rzec, że to poparzenia od przypalania cygarami. Tu, na plecach, jak również na podszwach widać blizny po uderzeniach zadanych cienkim metalowym biczem. Nie licząc źle zrośniętych złamań, które widać prawie wszędzie na zdjęciach rentgenowskich. Jego odbyt to jedna zablizniona masa i bez wątpienia stał się praktycznie bezużyteczny do kontrolowanego oddawania stolca. Jądra są zmumifikowane na skutek wielokrotnego zgniatania w przeszłości. Na obydwu nerkach stwierdziłem liczne nienaturalne guzki, których przyczyną mogły być uderzenia gumową pałką. Oczywiście są też poparzenia na skutek wyładowań elektrycznych; umiejscowione wewnątrz tkanek, łączą niewielkie blizny na przeciwległych stronach ciała, gdzie przystawiane były elektrody, zwłaszcza w okolicy łonowej. To zadziwiające, co ten człowiek musiał znieść, wliczywszy w to późniejsze skutki odniesionych obrażeń. Najbardziej niewiarygodne jest jednak to, że pozostał przy życiu.

Na jego miejscu popełniłbym samobójstwo już dawno temu... Musiał głęboko wierzyć w Boga.

Słuchałem tego, co mówi lekarz, w stanie oderwania od rzeczywistości, pogrążony we wrażeniu absurdalności, choć nie potrafiłem oderwać wzroku od nieruchomego ciała. Następnie zamknęli szufladę i mój przyjaciel zniknął z tego świata. Lekarz poszedł ze mną, żebym podpisał jakieś dokumenty, w tym krótką relację z tego, co wiedziałem o przeszłości Tiaga. Urząd imigracyjny skontaktuje się ze mną niebawem w sprawie wydania mi zwłok; to będzie zwykła formalność, ale funkcjonariusz sądził, że mimo wszystko poczekają na zgodę ambasady.

Wracając do siebie ulicami pełnymi bożonarodzeniowych dekoracji, czułem się bardzo smutny. Smutny, lecz również zawiedziony, zgorzkniały, ze ściśniętym gardłem. Przede wszystkim byłem skonfundowany i zawstydzony, że nie potrafiłem zrozumieć oczywistych znaków przygnębienia, które dawał mi Tiago. Ponadto czułem się zwykłą marionetką w rękach Lucjana, jak zbyt łatwowerne dziecko, które w przewrotny sposób oszukano. Na wszelkie sposoby usiłowałem odzyskać równowagę; odczuwałem też nieskończoną potrzebę wzięcia w ramiona Soni; wiedziałem, że nie mam prawa wszystkim tym się z nią podzielić. Byłem sam z obrazem ciała Tiaga, tego ciała, które będę odtąd nosił w sobie każdego dnia. Sonia była przyszłością.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłem do niej. W moim stanie umysłu sądziłem, że wybrałem niewłaściwy numer. Trochę sztuczny głos telefonistki odpowiedział mi, że nie ma takiego numeru. Raz jeszcze wystukałem numer. Ten sam głos. Wybrałem ponownie i znowu okazało się, że ten numer nie istnieje. Zdjęty paniką pobiegłem do jej mieszkania. Nie odpowiadała na dźwięk dzwonka. Wszedłem do budynku i nie panując nad sobą, długo łomotałem do drzwi. Hałas przyciągnął uwagę sąsiada; zza uchylonych drzwi powiedział mi, że nikt tam nie mieszka, że mieszkanie od dawna stoi puste. Jak szalony pobiegłem po dozorcę, który powiedział mi to samo, dodając, że w budynku nie mieszka żadna Sonia. Nalegałem; chciałem obejrzeć mieszkanie. Chociaż był wystraszony, zgodził się mi je pokazać. Istotnie weszliśmy do pustego niezamieszkanego mieszkania; co więcej, było mi najzupełniej obce. Dozorca usiłował mnie uspokoić, ale uciekłem biegiem. Przypominam sobie, że potem godzinami przyglądałem się sąsiednim domom, bo wierzyłem jeszcze, że pomyliłem numer.

„Pod Łajbą” młodą nieznaną kelnerkę przedstawiono mi jako jedyną Sonię, która tam kiedykolwiek pracowała. Dziewczyna знаła mnie zresztą z widzenia i przypomniała sobie, że kilka dni temu przedstawiłem jej kolegę, z którym siedziałem przy stoliku. Smutny starszy pan w

ciemnych okularach - powiedziała mi. Nie przypominała sobie natomiast, żeby widziała mnie w towarzystwie kogokolwiek innego.

Odszedłem w ciemną zimną noc jak pijany duch. Wszystko wokół mnie wirowało; czułem się niezdolny wynurzyć się na powierzchnię rzeczy. Niemniej miałem wrażenie, że nie śnię, że jak najbardziej znajduję się w realnym świecie, w którym wszystko ma wyraźne, ostateczne kontury. Dlaczego więc moje życie tak nagle się rozpadło?

Ulice dzielnicy portowej były mroczne i puste. Przypominam sobie, że szukałem schronienia w kącie przy wejściu do hangaru. Usiadłszy na ziemi, natarłem sobie twarz i skronie kawałkami lodu, żeby złagodzić gorączkę. Tak ukryty śledziłem okolicę w śmiesznym oczekiwaniu, że pojawi się Lucjan, że po prostu przyciął się jak ja, żeby napawać się moją rozpaczą, śmiejąc się swoim obscenicznym śmiechem. On albo może nawet Tiago, ktoś musiał przyjść, ktoś bez wątplenia będzie tamtędy przechodził, żeby wskazać mi drogę. Ale nie, chowałem się raczej przed samym sobą, upokorzony myślą, która powoli zaczynała się narzucać jak oczywistość: Sonia była inną inkarnacją Lucjana, innym sposobem, żeby mnie opętać, żeby popchnął Tiaga do samobójstwa.

Mijały godziny i intensywne zimno zmusiło mnie do wybudzenia się na moją własną rzeczywistość. Zostałem wykorzystany, posłużono się tym, co we mnie najlepszego, i tym, co najgorszego, żeby odegrał wątpliwą rolę w tragicznej sztuce, a potem porzucono mnie, bezwartościowego jak łachman. Myśląc o Soni cierpiałem w dwojnasób; czułem się samotny i zdradzony, a równocześnie obsesyjnie nasuwały mi się obrazy miłosnych igraszek Lucjana i Soni. Widziałem, jak naigrawają się ze mnie, jak śmieją się i spółkują w sposób rozkiełznany, zwierzęcy, by potem znowu śmiać się ze mnie i naigrawać.

Moje niepewne kroki i oszołomienie zawiodły mnie do portu, w pobliże iluminowanych nabrzeży, na których bezustannie pracowały ogromne dźwigi. Byłem skostniały, w głowie czułem zamęt, ale coś we mnie mówiło, żeby nie podchodzić do brzegu, nie patrzeć w mroczną parującą wodę. Włączyłem się tak na los szczęścia, powstrzymując pragnienie wejścia do którejś z tawern, żeby się ogrzać, z obawy by nie doszło do kolejnego dziwnego spotkania.

Moją uwagę przyciągnął mały sklepik, w którym świeciło się jeszcze światło. Wszedłem do niego w nadziei, że ochłonę. Był to sklep ze starzyzną, wypełniony bezwartościowymi rupieciami. Właściciel, staruszek o oleistej cerze i brudnej brodzie, od razu ostrzegł mnie, że właśnie miał zamiar zamykać i że nie ma czasu nic mi pokazać. Być może wystraszył się mojego

dzikiego i rozchełstanego wyglądu. Poprosiłem, żeby pozwolił mi zostać tylko przez chwilę, żebym mógł się ogrzać, i zapewniłem, że potem sobie pójdę. Wówczas zobaczyłem mały samowar dymiący jeszcze za parawanem. Sklepikarz powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem i łamiącym się głosem o cudzoziemskim akcencie zaoferował mi herbatę. Wobec mojego zdziwienia ponowił zaproszenie pod pretekstem, że wyglądam na chorego, a herbata rozgrzewa lepiej niż alkohol. Zgodziłem się; nalał mi gęstego płynu do wyszczerbionej szklanki przypominającej z grubsza te, które Lucjan ofiarował mi wraz z samowarem.

Zapytałem go wówczas, czy przypadkiem nie ma na sprzedaż innego samowara. Odpowiedział mi, że nie, że przez całe lata miał jeszcze jeden, ale sprzedał go kilka tygodni temu.

- Piękny samowar, cały niklowany. Bardzo mi go brakuje - powiedział. - Sprzedał mi go pewien marynarz; przepił pieniądze, a potem rzucił się do wody. Zapewne ukradł go, żeby mieć za co pić i odważyć się skończyć ze sobą. O, proszę popatrzeć, stał tam, w kącie szafy.

- Kto go kupił? - zapytałem ze ściśniętym sercem.

- Nieznajomy, taki jak pan. Może nawet był do pana podobny. Tak, był jak pan, nieznajomy. Gdy szuka się samowara w środku nocy... Tędy przechodzą tylko nieznajomi, ci, co się zagubili w życiu, żyją chimerami przemierzając porty... Czy to przypadkiem nie był pan? Jeśli pan go już nie chce, odkupię go.

Zbliżyłem się do miejsca, gdzie przedtem stał samowar. Na ścianie bardzo stare fotografie w szerokich ramach ukazywały zaśnieżone krajobrazy lub zapomniane plaże. Jedna z nich natychmiast przyciągnęła moją uwagę: było to zdjęcie o nieregularnych brzegach w kolorze sepii, którego pigment zaczynał już blaknąć. Stała na nim uśmiechnięta, ubrana w staromodny ubiór Sonia otoczona małymi dziećmi w marynarskich ubrankach. Nie miałem cienia wątpliwości. To z całą pewnością była Sonia ze swoją ładną buzią i tym samym uczesaniem, ale co najmniej pięćdziesiąt lat temu. Ten, kto kupił samowar, musiał spojrzeć na to zdjęcie i zainspirować się nim. Ale kto kupił samowar: Lucjan czy Iwan Sierow?

Na moją prośbę sklepikarz przeszukał pudełko, żeby zobaczyć, czy nie ma innych zdjęć tej kobiety; sprzedał mi fotografię z ramką za śmieszłą sumę.

- Nie zna pan jej, a chce pan jej zdjęcie - zauważył z kwaśną miną. - Nie ma co, dzisiejsza młodzież jest dziwna; teraz zakochują się w duchach. Przecież ta kobieta mogłaby być pańską babką...

Pomogłem mu zamknąć sklep i poszliśmy razem w kierunku centrum. Jego towarzystwo działało uspokajająco, chociaż przez całą drogę nie powiedział ani słowa.

- Słyszał pan o człowieku, który przedwczoraj o świecie rzucił się do wody? - spytałem, gdy mieliśmy się rozstać.

- Nie, ale to nie ma żadnego znaczenia - odpowiedział. - Tutaj w porcie ludzie często się zabijają, już się na to nie zwraca uwagi. Żegnam! Jeśli chce pan samowar, proszę przyjść za kilka dni. Może się zdarzyć, że jakiś marynarz będzie chciał taki sprzedać. Teraz proszę się iść wyspać, bo pan zachoruje.

Po powrocie do siebie pozostałem w tym samym stanie osłupienia, wpatrzony w samowar na stole, w ramkę ze starym zdjęciem Soni i w dwie książki, które pożyczyłem Tiagowi. Był to „Lord Jim” i „Martin Eden”. Zdziwiałem się, że bohaterowie tych powieści umarli po tym, jak zemścili się na świecie, spełniwszy to, czego żarliwie pragnęli. Czy Tiago przeczytał je? Nigdy się tego nie dowiem. Pomyślałem również o jego zeszycie, ale byłem jeszcze zanadto wstrząśnięty, a myśl o samobójstwie była zbyt kusząca, postanowiłem więc odłożyć lekturę jego wyznań. Nóż sprężynowy, który dał mi Lucjan, był dużo bardziej enigmatyczny i na serio zastanawiałem się, czy wszystko to nie było również wyreżyserowane, żebym to ja z kolei odebrał sobie życie. Przecież tak bardzo podkreślał swoją troskę, żeby nie pozostawiać śladów. Tylko dlaczego miałby pragnąć mojej śmierci? Albo śmierci Tiaga? Czy przypadkiem nie oszalałem? Ale przecież byłem pewny, że spędziłem z Sonią wakacje w górach.

Przez cały dzień nic nie jadłem i pierwsza szklaneczka szkockiej bardzo mnie uspokoiła. Przede wszystkim chciało mi się pić, pragnąłem zmyć wypełniający mi usta smak goryczy. Woda miała słodkawy odświeżający smak, który sprawił, że zadrzałem. Gdy nalewałem drugą szklaneczkę szkockiej, przypomniałem sobie o walizce Lucjana.

Była na swoim miejscu, pod łóżkiem. Długo wahałem się, zanim wziąłem nóż, żeby sforsować zamki. Nie mogłem sobie wyobrazić, co zawiera. I bardzo bałem się tego, co nazwał „częścią tajemnicy”, „szczeliną wolności”. Nagle gdy z roztargnienia dotknąłem jednego z zamków, walizka otworzyła się sama. Lucjan przed swym odejściem zadbał o to, żeby otworzyć ją kluczykiem. Jakież było moje osłupienie, gdy otworzywszy walizkę zobaczyłem, że jest po brzegi wypełniona pieniędzmi. Wielkie banknoty porządnie ułożone, ale używane. Numery serii nie powtarzały się. Prawdziwa fortuna, bez słowa wyjaśnienia ani sugestii śladu pochodzenia.

Więc to była ta inwestycja w moją przyszłość... Łajdak. Alternatywa bardzo

dychotomiczna: z jednej strony nóż, żeby sobie poderznąć gardło, a z drugiej fortuna, żeby pomóc mi w zdobyciu władzy. Bez żadnego szacunku dla mojej osoby, gdziekolwiek był, bawił się moim dylematem. Byłem wolny, bez wątpienia, ale w imadle wolności wyznaczanej jego kaprysem. Z wszystkiego zadrwił; posłużył się mną jako Lucjan i jako Sonia, a teraz wskazywał mi drogę, żeby upiększyć swoją grę. Roztaczał nade mną opiekę, jak ktoś w rodzaju Wielkiego Inkwizytora, żeby oddalić ode mnie torturę trwogi. Musiałem tylko wybrać, a on zacznie się bawić.

Sądzę, że odruch buntu powstrzymał mnie w tym momencie przed podpaleniem domu i poderżnięciem sobie gardła. Potem, na spokojnie czytając zeszyt Tiaga, mogłem wreszcie ułożyć moją własną strategię gry.

Dni, które nastąpiły po zidentyfikowaniu przez Iwana Sierowa zwłok Tiaga Cruza, wypełnione były gorączkową aktywnością malowniczych mieszkańców miasta.

Gdy tylko Iwan rozpatrzył się w sytuacji, zaczął działać pośpiesznie, ale w sposób bardzo skoordynowany, potrafiąc wykorzystać swoje logiczne i dialektyczne uzdolnienia do działania tyleż skutecznego, ileż niecodziennego. Trzeba powiedzieć, że gotówka, którą dysponował w tak ogromnej ilości, otwierała mu drzwi do ludzi o najbardziej surowych zasadach moralnych, tym bardziej że żadna ze stron nie wymagała jakiegokolwiek pokwitowania czy innego dowodu zawarcia transakcji. Przewyciężając swoje indywidualistyczne skłonności młody doktor teologii zatrudnił cały legion żebraków, prostytutek i żigolaków, klientów tawern, a nawet kilku studentów uniwersytetu, którzy uważali za zabawne to osobliwe i dobrze płatne przedsięwzięcie.

W istocie Iwanowi na rękę był także długi termin wydania zwłok Tiaga, jaki wyznaczyły władze. Najwyraźniej nikt nie chciał jego ciała, więc propozycja Iwana, że weźmie na siebie odpowiedzialność za uroczystość pogrzebową, była doskonałym wyjściem; niemniej należało dopełnić stosownych procedur. To opóźnienie pozwoliło również Iwanowi zatrudnić kilku dziennikarzy; ci, łasi na nowe informacje w martwym sezonie poświętecznym i bez wątpienia osobiście zobowiązani, z przyjemnością upublicznili wydarzenie. Przez cały tydzień poprzedzający pogrzeb Tiaga zdawało się, że dzienniki odkryły nagle okropieństwa dyktatury i swoją szlachetność kraju osiedlenia dla wygnańców. Postać Tiaga Cruza stawała się więc rodzajem alibi dla nieczystego sumienia czytelników i dziennikarzy. Ambasada dopiero za jakiś czas zareaguje i zbierze materialne środki, żeby skontrować tę falę oskarżeń; ale gdy wreszcie

rozda łapówki, żeby wyciszyć sprawę, uroczystości pogrzebowe będą już odprawione.

Było oczywiście policyjne śledztwo i późniejsze zabiegi o wyjaśnienie sprawy ze strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych; rozmach wydarzenia sugerował nawet możliwość udziału elementów wywrotowych obcego pochodzenia. Ale Iwan potrafił dobrze się ukrywać i ukazywał się tylko w swojej roli teologa całkowicie nieświadomego stojących za tą sprawą ogromnych środków finansowych. Skądinąd pomimo gniewu, rozmyślając nad ułatwieniem, jakie stanowiła zawartość walizki, musiał przyznać, że Lucjan miał niezwykle zmysł praktyczny.

W dniu pogrzebu już od wczesnych godzin rannych, zwabiony obietnicą materialnej rekompensaty i wielkiego bankietu, który czekał na uczestników po uroczystości, przy bramie cmentarza zebrał się tłum nędzarzy i beneficjentów opieki społecznej. Zgromadzili się tam również dlatego, że chodziły pogłoski o hojnym rozdawnictwie wina, piwa i wódki. Pierwsze ciężarówki, z których rozdawano kawę i ciastka, zjawiły się na miejscu wcześniej, więc tłum cierpliwie czekał, ochoczo napełniając sobie brzuchy. Zmobilizowani na tę okoliczność południowoamerykańscy muzycy usiłowali się rozgrzać, mocno uderzając w perkusję i tańcząc w miejscu. Wesola drużyna linoskokczków rozdawała dzieciom balony, maski i słodycze.

Wszyscy, także dziennikarze, oczekiwali na kondukt, ale nikt nie wiedział, gdzie odbyła się msza żałobna. Iwanowi zależało na tym, żeby był to skromny kościółek, jakby zmarły był człowiekiem z gminu. Za sowite wsparcie dzieł dobroczynnych parafii stary portugalski ksiądz zgodził się odprawić mszę po łacinie jeszcze przed świtem i tylko w obecności Iwana.

Po mszy Iwan i ksiądz wypili butelkę dobrego wina pod smażone sardynki, używając trumny jako stołu. Iwan wypalił papierosa, myśląc o ciele Tiaga samotnym w swojej trumnie, ale nareszcie spokojnym. Eskorta z zakładu pogrzebowego, sześciu chwatów w cylindrach - Iwan uparł się na cylindry choćby po to, żeby postawić na swoim - zaniósł trumnę do otwartego karawanu, który czekał na pobliskiej ulicy razem z limuzynami przystrojonymi kwiatami. Trumnę przykryto pstrokatą flagą kraju Tiaga i czerwoną chorągwią, po czym kondukt ruszył w drogę.

Przejechali klucząc przez dzielnice nędzy i wzdłuż portu, a na każdym przystanku limuzyny wypełniały się tłumem z najróżnorodniejszych warstw społecznych, w tym piękną kolekcją dziwek i transwestytów ubranych w swoje najpiękniejsze stroje. W pewnym momencie wypełniony muzykami autobus wysunął się na czoło konduktu i rozweselił ludzi napływających rano do centrum miasta. Tworzyły się kolejne korki, ale dochodząca z autobusu wściekła muzyka

rozpraszała zdenerwowanie kierowców.

Przewidziany przez Iwana odstęp między przybyciem na cmentarz dygnitarzy kościelnych i konduktu pogrzebowego niebezpiecznie się wydłużył z powodu meandrów, jakie przebył karawan, żeby objechać całe miasto. Gdy podjechali pod bramę cmentarza, zgromadzony tłum przywitał ich okrzykami radości, ponieważ ich przybycie zbiegło się z rozdawaniem trunków i jedzenia. Nieliczni policjanci nie byli w stanie przerwać pracy ludziom rozdającym alkohol z samochodów osobowych i furgonetek. Zgromadzeni pili do dna z napełnionych po brzegi wielkich plastikowych szklanek, które wydawały się w cudowny sposób ponownie napełniać.

W niesłychanej kakofonii sześciu karawaniarzy w cylindrach podniosło trumnę i uroczystym krokiem weszło na cmentarz; przewodzili im muzycy. W ślad za konduktem tłum jedzących i pijących rozciągnął się wachlarzem na śniegu i pomiędzy grobami. Niektórzy już teraz siadali to tu, to tam, żeby obgryźć udko kurczaka i napić się, co nadawało temu uświęconemu miejscu charakter jarmarcznego święta. Jednakże podwiezieni limuzynami transwestyci i dziwki poważnie potraktowali swoją rolę; w towarzystwie wielkiej liczby wiernych podążyli za konduktem; większość z nich śmiała się i wykonywała wymowne gesty, niektórzy nawet posuwali się tanecznym krokiem. Byli też tacy, co płakali rzewnymi łzami.

Czekający przy grobie dygnitarze kościelni nie byli zachwyceni tym wyuzdanym konduktem, ale nie mogli się ruszyć z miejsca i zależało im na zapłacie. Na pięćdziesiąt kroków od grobu ktoś nakazał muzykom zaprzestanie gry, a zgromadzonym milczenie. Po przywołaniu do porządku niezdyscyplinowanych gwar ustąpił miejsca czemuś bardzo wzruszającemu. Młode kobiety w habitach szarytek, które pojawiły się nie wiadomo skąd, rozdawały czerwone róże dziwkom i transwestytom, a potem reszcie zgromadzonych. Pośród okrzyków radości rozległy się pierwsze takty marszu żałobnego Mozarta granego przez ukrytą nieco dalej sekcję instrumentów blaszanych. Wzruszony kondukt podszedł do grobu.

Jak ustalono, ceremonia była krótka. Księża w zbytkownych szatach liturgicznych pobłogosławili trumnę i oddali głos dziwnemu starcowi. Iwan miał szczęście trafić na tego malowniczego starego człowieka i przekonał go, żeby przyszedł na cmentarz wygłosić mowę pogrzebową. Był to anarchista hiszpański, który wyemigrował jeszcze w czasie wojny domowej i odtąd wegetował pogrążony w oparach alkoholu i wspomnieniach.

- Żegnaj towarzyszu Tiago Cruz - krzyknął do mikrofonu zdartym głosem. - Zabili cię

faszyści i militaryści twojego kraju przy współdziałaniu wszystkich kapitalistów świata. Ale my, biedacy, oddajemy ci hołd, towarzyszu. *No pasaran!* - zakończył, potrząsając zaciśniętą pięścią, zanim zatoczył się do tyłu.

Wówczas spuszczone do grobu ciągle spowitą w obydwie sztandary trumnę, a muzycy znowu rozpoczęli swoją kakofonię. Ludzie ustawili się rzędem, żeby rzucać do dołu czerwone róże, a tymczasem inni rozdawali uczestnikom pieniądze. Później najbardziej interesującą częścią pogrzebu stały się pizze, kurze udka i alkohol i nikt już nie pamiętał o Tiagu. Tu i ówdzie zaczęły się tańce, zdarzały się również drobne utarczki, ale ku niezmiernej uciechu tłumu do bramy cmentarnej podjeżdżały kolejne ciężarówki wyładowane jedzeniem. Zaimprovizowane kordony policji usiłowały zaprowadzić pozory ładu, gdyż dzika fiesta w każdej chwili mogła przekroczyć granice przyzwoitości.

Trzymając się na uboczu, Iwan mógł nierozpoznany uczestniczyć w całej uroczystości. Zanim odszedł, dyskretnie uregulował ostatnie rachunki z księżmi i pracownikami zakładu pogrzebowego, przekazując im koperty z pieniędzmi. Gdy opłacił już wszystkich i rozdał resztę pieniędzy, odszedł. Dziennikarze, fotografowie i kamerzyści na próżno poszukiwali rodziny zmarłego lub organizatorów uroczystości; wywiady przeprowadzić mogli tylko z biedakami, dziwkami i pijakami.

Piknik przerodził się oczywiście w zamieszki, gdy policjanci próbowali przerwać bezpłatne rozdawnictwo napojów alkoholowych. Przewrócono ciężarówki z jedzeniem, a butelki i kamienie poszybowały ponad grobami przy szaleńczych dźwiękach samby. Sprowadzono oddziały uderzeniowe, za pomocą pałek i gazu łzawiącego wypędzając z cmentarza ostatnich biesiadników. Ogromny sukces!

Po pogrzebie Tiaga powróciłem do siebie. Siedząc przy stole, czekałem na Lucjana. Doskonale wiedziałem, że nie przyjdzie, że nie przyjdzie już nigdy. Ale wiedziałem też, że łajdak był tutaj, że mnie słyszał. Więc mówiąc do samego siebie, wyjaśniłem mu, co miałem zamiar zrobić.

Oto jak spożytkowałem pana pieniądze, Lucjanie. To była piękna impreza i jestem pewien, że Tiagowi bardzo by się spodobała, zwłaszcza gdyby znał całą historię. Teraz my dwaj musimy się rozliczyć. Przyznaję, że po pana wyjeździe byłem skonfundowany, ale wybaczyłbym nawet to, że przebrał się pan za Sonię. Mimo wszystko była rozkoszna i nauczyła mnie, co to

miłość. Ale nie mogę wybaczyć tego, co pan zrobił Tiagowi. Odkąd przeczytałem jego zeszyt, mogę panem tylko gardzić. Oszukuje pan i zawsze będzie oszukiwał, bo taka jest natura pana małodusznej rozrywki. Zawsze będzie pan bydlakiem; teraz wiem, że pionki nie mają względem pana żadnych zobowiązań. Ta gra mogłaby być piękna w rękach innego gracza, kogoś, kto byłby również wrażliwy na siłę słabych. Ale zagram w nią choćby dlatego, żeby wkurzyć swojego stwórcy. Czy to nie pan powiedział: słaby nie może nic, najwyżej bezustannie wkurzać? Ale ja rozegram moją własną partię zainspirowaną tą, którą rozgrywał Tiago. Wydaje mi się, że szło mu całkiem nieźle. Im więcej o tym myślę, tym bardziej podziwiam biednego Tiaga. Cóż to był za wspaniały człowiek! Chciałbym zobaczyć pana na jego miejscu i podziwiać wszystkie podłości, do których byłby pan zdolny. Jedno jest pewne, Lucjanie, nie będzie pan miał drugiego Stalina i nie przyczynię się do tego, żeby odkrył pan inne możliwości Aleksieja Karamazowa. Pan natomiast, przynajmniej w moich oczach, na zawsze pozostanie ojcem Karamazowem, łotrem i błaznem. Oto mój pierwszy ruch. Wydałem prawie całą zawartość walizki. To co pozostało, pójdzie na dobroczynność, dla kloszardów i innych istot bez znaczenia, jak je pan nazwał. Nie zostanie złamany grosz. Nie chcę pana mocy ani pana obrzydliwego wiatyku. Niech pan sobie przypomni jedyną prawdę, którą dotąd znalazłem, żeby skontrolować pańską wszechwładzę: to nie ja podjąłem decyzję, żeby się urodzić. Oto odpowiedź, którą Hiob powinien był dać swojemu oprawcy; nie tylko zresztą on, wszyscy inni, którzy padli ofiarą totalitarnej władzy. Stwarzając mnie, podobnie jak każde inne stworzenie, zaciągnął pan względem mnie zobowiązanie odpowiedzialności. Każdy powinien czuć się zobowiązany względem swoich stworzeń, żeby zapewnić im wolność, nawet gdy są zwykłymi książkami. Jeśli nie jest pan zadowolony, mój drogi Jahwe, w każdej chwili może mnie pan unicestwić. Mam to gdzieś, podobnie jak miał to gdzieś Tiago. W przeciwnym wypadku sam musi pan rozegrać moją partię. Istnieje pan tylko poprzez mnie, tak jak artysta istnieje tylko poprzez swoje dzieło. A celem mojej partii będzie wkurzanie pana i możnych, których jest pan Bogiem. Jedyny krzyk, jaki usłyszysz pan z moich ust, będzie brzmiał: Dlaczego upiera się pan, żeby nas nie porzucić? To znaczy, pieprzony Jahwe, że albo wrócisz do swojego wieczystego zacisza pozostawiając nas w spokoju, albo przyłożysz się do tego, żeby naprawdę ulepszyć tę grę, która należy do nas. Nie chcę raju na ziemi, bo raj sprawia, że się gorzknieje - jest pan tego dowodem. Chcę trochę więcej ładu między ludźmi, to wszystko, a jeśli to niemożliwe, to przynajmniej niech pan się przestanie bawić naszymi nieszczęściami. Niech pan się wszakże nie łudzi, nie przemawiam jak wielcy

inkwizytorzy. Oni są w Rzymie i w Waszyngtonie, we wszystkich siedzibach przedsiębiorstw i we wszystkich władzach, a pan zachowuje ich tam, bo dobrze pilnują pana interesów.

Muszę się jeszcze zastanowić nad planem mojej gry; na tego rodzaju pytania nie istnieją gotowe odpowiedzi, ale spróbuję je wymyślić, tak jak to zrobiłem z pieniędzmi, które mi pan zostawił. Dobrze to wymyśliłem, nieprawdaż? To był piękny hołd złożony pańskiemu adwersarzowi, temu diabłu Tiagowi, temu, który pozwalał panu istnieć. Na początek nie zrobię nic specjalnego. Poczekam na pana tutaj z herbatą i korniszonami, być może pisząc moje bezwartościowe książeczki, ale bezustannie panem gardząc. Do polityki, dziennikarstwa i finansów będzie pan musiał sobie poszukać innej marionetki i biada jej, jeśli wpadnie w ręce biedaków. Co do grzechów głównych, niech się pan nie obawia, znajdę sobie inną Sonię, tym razem prawdziwą, pełną wad jak ja, a przy tym równie ludzką. Przecież inspirował się pan kobietami, które istnieją, więc nie będzie trudno znaleźć pośród nich taką, która zadowoli się prostym życiem. Mam czas, nie mam nic innego do roboty. Koniec z błahostkami, Boże Ojczy! Zaczynamy grę!

Nie mam nic do stracenia, a gdybym musiał rozstrzygnąć ostatni paradoks, mam nóż sprężynowy. Tak, Lucjanie, Boże Ojczy czy diable, kimkolwiek pan jest; a jeśli pan nie istnieje, jeśli to wszystko było tylko fikcją, fikcją stałem się również ja.

ZESZYT TIAGA

Mój drogi Iwanie, właśnie skończyłem lekturę Twoich zapisków i cieszą się widząc, co uczyniłeś, żeby moja historia stała się piękniejsza. Raz jeszcze dziękuję Ci za Twoją wielkoduszność. Czytając Cię, czułem się tym Tiagiem Cruzem, o którym mówisz, chociaż nie był tak wspaniały, jakim go opisujesz. Był tylko człowiekiem, ale dla mnie to już bardzo wiele. Twoje zapiski dają mi siłę, żebym ja też z powrotem stał się człowiekiem i mógł swobodnie podejmować decyzje. Wyda Ci się to dziwne, bo mówię o odebraniu sobie życia. Ale zrozumiesz, co mam na myśli, mówiąc „być wolnym”, gdy to przeczytasz.

Człowiek, którego poznałeś, to nie byłem ja, ten Tiago nie był Tiagiem, którym byłem dawniej. Zrozum, że ten skurwysyn pułkownik Figueiredo nie znęcał się nade mną bez powodu. Byłem poważnym przeciwnikiem. On i inni wojskowi byli po prostu tchórzami i potworami. Liczyłem się z ryzykiem, kiedy zaangażowałem się w pomoc dla moich bliźnich. Nie chcieliśmy ani komunizmu, ani władzy; chcieliśmy tylko trochę sprawiedliwości takiej, jaka jest w Twoim kraju, trochę szacunku dla osoby ludzkiej. Ale to wystarczyło, żeby wywołać ich nienawiść, bo marzy im się, żeby ich arystokratyczne i niewolnicze społeczeństwo trwało wiecznie.

Nieważne! Ci oprawcy byli przeszkodą, którą musiałem brać pod uwagę. Chociaż gardzę nimi i życzę im śmierci, byli mimo wszystko częścią mojego losu. Normalnie popełniłbym samobójstwo albo oni by mnie wykończyli. Inni bojownicy zajęliby moje miejsce i tak dalej aż do

chwili, gdy ludzie staliby się szanowani jako stworzenia Boskie.

Ale nie umarłem dlatego właśnie, że opuściłem życie nie umierając do końca. O tym chciałem Ci powiedzieć. Niestety oszalałem, gdy tylko zaczęli mnie torturować po aresztowaniu. Stało się to nagle i nie pozostawiło mi żadnej szansy. Przez długi czas myślałem, że to co działo się w moim umyśle, jest prawdziwe, a im bardziej nasilał się mój obłęd, tym bardziej głupio trzymałem się życia. Gdyby nie to szaleństwo, umarłbym na samym początku nie wycierpiawszy tak wiele. Ale jak trafnie zauważyłeś, szaleństwo tworzy tak realną wizję rzeczywistości, że łatwo się pomylić. Toteż zamiast zajmować się prawdziwymi rzeczami, człowiek odwraca się od nich i zagłębia w takich, które nie istnieją.

W trakcie naszych rozmów potrafiłeś wytłumaczyć mi wiele rzeczy i przywróciłeś mnie między żywych. Lektura tego, co o mnie napisałeś, wreszcie mnie wyzwoliła i teraz już jestem gotowy świadomie wykonać ten gest, od którego w więzieniu odwiódł mnie obłęd. Niczego sobie nie wyrzucaj, Iwanie. Tiago był martwy już od dawna, tylko jego ciało zapomniało umrzeć. Dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi odzyskać honor i położyć kres mojej dzisiejszej kalekiej egzystencji.

Przypominasz sobie zapewne, na jakie pytanie chciałem poznać odpowiedź czytając Twoje zapiski: co trzymało mnie przy życiu? Jedyna odpowiedź to - szaleństwo.

Nie mam już w sobie energii, ani żeby wrócić do mojego kraju, ani żeby się zemścić. Zresztą los odebrał mi i tę możliwość. Pomiędzy kartkami jednej z książek, które mi pożyczyłeś, znajdziesz wycięty z gazety nekrolog tego skurwysyna Figueireda, który awansował na generała. Spotkam się z nim w piekle i potrafię się zemścić jak trzeba, możesz być tego pewny. To ciało, które mnie nosi, jest mi już niepotrzebne. Dziękuję Ci za dyskrecję na ten temat, a nawet za to, że zechciałeś zachęcać mnie do snucia planów. Byłeś fajnym kumplem i dlatego zostawiam Ci tych kilka linijek, w których próbowałem dodać pewne szczegóły do tego, o czym Ci już opowiedziałem.

To co napisałem, nie przyda Ci się zapewne do Twojej książki, bo są to rzeczy dziwne, ale ja teraz już wiem, że w szaleństwie nie ma nic do rozumienia. Niemniej powinno to zaspokoić Twoją ciekawość. Nie potrafiłem uporządkować tych rzeczy ani składnie o nich napisać, zresztą to nie miałoby sensu. Po prostu przepisałem moje zapiski do tego zeszytu starając się, żeby pismo było czytelne. Zniszcz je potem i wspomnij mnie czasem jako przyjaciela i bojownika.

Przyszedł do mojej celi zaraz po aresztowaniu. Był to mężczyzna młody jeszcze, spokojny,

ale można w nim było wyczuć jakieś zniecierpliwienie albo jakby silną wolę z odrobiną uporu. Pokazał mi różne sposoby popełnienia samobójstwa przed pierwszymi przesłuchaniami. W tym momencie pomyślałem, że to podstęp, i obiecałem, że zabiję się, gdy tortury staną się nie do zniesienia. Wydawał się bardzo zadowolony i udawał, że ubawi go rozczarowanie jego kolegów wojskowych, gdy znajdą mnie powieszzonego na spodniach. Ciekawe tylko, że unikał odpowiedzi na moje pytania, ograniczając się do przedstawienia się jako przyjaciel, jako kolega z gry, który na mnie postawił. Nigdy nie poznałem jego nazwiska, ale jestem przekonany, że miał wyższą szarżę, bo przychodził i wychodził wedle swojego widzimisie, do tego w różnych mundurach, i to on przedstawił się później jako kapelan, żeby podarować mi Biblię.

Gdy wróciłem do celi po tym, jak przez lustro obserwowałem moją narzeczoną z adwokatem, czekał tam na mnie ten sam wojskowy. Przypominam sobie, że zachowywał się wówczas bardzo natarczywie. Byłem przekonany, że on i pułkownik prowadzają jakąś grę, żeby doprowadzić mnie do samobójstwa. Bardzo cierpiałem z powodu tego, co przed chwilą zobaczyłem, i zareagowałem złością. Wydawał się zawiedziony i przeprosił za swą niezręczność, ale nadal nalegał, mówiąc, że to doskonały moment, żeby popełnić samobójstwo, że tak czy inaczej mnie wykończą. Wydawał się tak bardzo pragnąć mojej śmierci, że być może tym odebrał mi chęć pozabawienia się życia. Twierdził, że to dla mojego dobra, ale był za bardzo natarczywy, na dodatek w sposób dosyć beztroski. Zawsze jest podejrzane, gdy ktoś tak bardzo chce naszego dobra, ale sam nie ma zamiaru ryzykować. Bo nie było mowy o tym, żeby pomógł mi uciec. „Co to, to nie - mówił mi - nie mogę tego zrobić, bo nie chcę ryzykować swojej kariery.”

To kompletnie idiotyczne, ale tak zapamiętałem. W gruncie rzeczy wszystko to było moją własną walką z myślą o samobójstwie; chciałem umrzeć jak prawy katolik. Widząc, że tak bardzo zależy mu na tym, żebym umarł, chyba zawzięłem się choćby po to, żeby się komuś przeciwstawić. Podczas tortur nie mogłem się przeciwstawić nikomu. Powoli to on stał się moim głównym przeciwnikiem. Próbowałem opierać się torturom, usiłowałem trwać choćby po to, żeby jemu się przeciwstawić.

Po seansach tortur on pierwszy przychodził się ze mną zobaczyć. Ciekawa rzecz, próbował mnie opatrywać najlepiej jak umiał i muszę przyznać, że nieźle udawało mu się zabandażować moje rany. Czasami ból zmniejszał się i dochodziłem do siebie szybciej dzięki medykamentom, które mi przynosił. I tak mój umysł całkowicie się rozregulował. Nie wiem, czy sam to wymyśliłem czy on sam mi to powiedział, ale przedstawiał mi się jako Pan Bóg. Moim

zdaniem to był raczej diabeł, bo żaden Bóg nie opatrzyłby ran nieszczęśnikowi tylko po to, żeby go szybciej odesłać z powrotem w ręce siepaczy. Ale wtedy już byłem szalony. Widziałem go w czasie tortur: śmiał się i chciał, żebym żałował, że ciągle żyję. Wiem, że to był obłąd, bo ani jego koledzy wojskowi, ani pułkownik w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Jednakże mnie wydawał się tak bardzo realny, że uważałem go za istotę prawdziwą.

Gdy wracałem do celi, znowu troszczył się o mnie i wbrew mojej woli przywracał mnie do sił. Może był jednym z lekarzy wojskowych, jednym z tych, którzy przeprowadzają doświadczenia naukowe na więźniach. Nie mam pojęcia. Prosiłem go, żeby mi pozwolił spokojnie umrzeć, żeby mnie już nie opatrywał, ale on zgadzał się dyskutować tylko o samobójstwie. Jego argumenty były dziwne, a ja żyłem w zbytnim szoku, żeby zwracać uwagę na to, co chciał mi wytłumaczyć. Cały czas była mowa o grze, o partiach szachów i o grach hazardowych. Naturalnie jedyny skutek był taki, że stwardniałem i nabrałem ochoty, żeby za wszelką cenę przeżyć.

Wobec mojej odmowy drwił ze mnie, oskarżał o tchórzostwo i mówił, że towarzysze nigdy nie wybaczą mi tego wszystkiego, do czego się przyznałem. To szaleństwo było jakby dodatkową torturą, tym razem moralną, której doznawałem w czasie, gdy moje ciało odpoczywało w oczekiwaniu na kolejne przesłuchanie. Dzisiaj wiem, że ten dziwny diabeł to byłem ja sam, bez wątplenia moja świadomość, która wyrzucała sobie, że zdradziła i nie umarła. W mojej sytuacji, która ulegała pogorszeniu, moją deską ratunku było przeciwstawić mu się, więc upierałam się jak potępieniec. Tymczasem moje ciało stawało się coraz słabsze i wszelka próba samobójstwa stawała się niemożliwa. Nieznajomy niecierpliwił się, krzyczał, że jestem tchórzem, pobożnym robakiem, i próbował przerywać mi i rozpraszać mnie, gdy się modliłem. Zaczynałem wierzyć, że naprawdę jest Bogiem, ale Bogiem dziwacznym, skłonny do urazy i próżnym. Toteż budził we mnie strach; potrafił czasem zadać ból mojemu ciału po to tylko, żeby wywołać we mnie pragnienie popelnienia samobójstwa.

Tysiąc razy prosiłem go, żeby zabił mnie własnymi rękami, on jednak zawsze odmawiał pod pretekstem, że jest odpowiedzialny za moje życie i nie pomaga tchórzom. Nie przestawał wszakże podpowiadać mi sposobów na popelnienie samobójstwa - albo ucząc mnie, jak spleść prześcieradło, żeby zrobić z niego stryczek, albo wyjaśniając, jak przeciąć sobie żyły na szyi ostrą krawędzią menażki, a nawet szkicując mi plan koszar, żebym wiedział, gdzie mogę rzucić się w przepaść.

*

Przede wszystkim był bardzo małostkowy, pyszny i na każdym kroku porównując się ze mną, wychwalał swoje własne zalety. Lecz zacząłem go naprawdę nienawidzić dopiero podczas mojego pobytu w infirmerii. Byłem wówczas zbyt słaby, przygnębiony i błagałem go, żeby mnie dobil. Były tam rozmaite instrumenty i medykamenty, więc nic by go to nie kosztowało, gdyby mnie dyskretnie uśmiercił. Ale on wolał się ze mnie naigrawać, obiecując mi tylko rozkoszne wizje, gdy zostaną osadzony w pojedynczej celi.

Były to wizje dziwaczne, które nauczyłem się zwalczać nabijając sobie głowę wersetami z Biblii. Rzeczy straszne, od których nie mogłem się uwolnić, ponieważ mrok zacierał granice mojego umysłu. Rzeczy nikczemne, zwłaszcza obrazy mojej narzeczonej, moich najlepszych przyjaciół, zezwierzęcenie, jakiego nigdy nie widziałem.

Stał się Bogiem, jedynym Bogiem mojego świata, a ja byłem świadkiem jego wstydu. Nie odebrać sobie życia, nie umrzeć, po prostu trwać przez prowokację stało się obsesją, której się uczepliłem. Ukazywał mi siłę władzy wielkich tego świata i brukał wszystko, co w biednych pokorne i piękne. Niestety wiedziałem, że ma rację. Tak urządzony był jego świat. Chociaż kochałem Chrystusa, wiedziałem przecież, że był tylko biedną ofiarą. Wiedziałem także, że po zwycięskiej rewolucji trzeba odwrócić broń przeciwko tym, którzy zdobyli władzę, gdy tylko spróbują stać się panami. Wiedziałem o tym wszystkim, bo byłem biedakiem, który usiłował wydobyć się ze swojego stanu za pomocą nauki. Wiedziałem, a on naigrawał się ze mnie, szydząc z mojego pochodzenia. Nienawidziłem tego Boga, który kazał zabić Chrystusa, i nienawidziłem wszystkiego, co mówił, żeby usprawiedliwić i wyjaśnić to morderstwo bez powodu.

Mimo wszystko miałem jakąś broń. Zdradził się, odstawiając przede mną swe pragnienie, bym zadał sobie śmierć moimi własnymi rękami. Nigdy nie pojąłem, dlaczego to musiało być samobójstwo. Jednakże gdy już poznałem jego pragnienie, mogłem mu dopiec pozbawiając go nadziei na realizację jego zamierzeń. Nie był przyzwyczajony do sprzeciwu, wierzył, że zawsze ma rację. Naśmiewałem się też z jego piruetów, jego jarmarcznych cudów i dzięki recytacji udawało mi się o nim choć na trochę zapomnieć. To było bardzo dziwne: bronić się przed Bogiem powtarzając rzeczy pozbawione sensu. Z tego powodu wpadał w ataki straszliwej złości. Za każdym razem czekałem, aż straci nad sobą panowanie i mnie zabije. Mam wrażenie, że kilka razy o mało tego nie zrobił. Wydawało się, że czyta w moich myślach i zawsze w ostatniej chwili

się powstrzymuje, zarazem zawiedziony i szyderczy. W pewnym sensie oprawcy zahartowali mnie, odbierając mi resztki nadziei. Byłem tylko wściekłością i chęcią przeciwstawienia się. Ponieważ nie mogłem się zemścić na moich katach, stawiając mu czoło, czułem się wolny.

Wszystko to trwało całą wieczność. Był Bogiem czy diabłem? Nieważne, istniał tylko on. Zwiódł mnie z mojej ludzkiej drogi i to szaleństwo nie pozwalało mi wyzdrowieć. Bezustannie czekałem na cud, czekałem, aż uzna swe winy, nie przestawałem go przeklinać i równocześnie mu wybaczać. Byłem jego sumieniem; miałem wrażenie, że powinienem zaprzestać mu się opierać, że winny to byłem wszystkim nieszczęśnikom świata, i że ta walka jest jedynym sposobem, jakim dysponowałem, żeby mu się przeciwstawić. W istocie nie mogłem się go pozbyć, bo istniał tylko poprzez mnie. Stał się moim stworzeniem, prawie moim usprawiedliwieniem, toteż nawet w bólu ta nienawiść była mi pociechą.

Dopiero po moim przybyciu tutaj, gdy przestał się mną interesować, na powrót nawiązałem kontakt ze wspomnieniami dawnego Tiaga Cruza. Bardzo mi pomogłeś, Iwanie. Teraz zdaję sobie sprawę, że popadłem w obłąd, że to wszystko było wytworem mojego rozregulowanego mózgu. To oczywiste, że nikt inny poza mną nie chciał, żebym popełnił samobójstwo. To śmieszne wierzyć, że Bóg jest zarazem tak próżny i tak uparty, żeby pastwić się w ten sposób nad pojedynczą istotą ludzką. Nie muszę już więc walczyć z chimerami i nareszcie mogę skończyć w pokoju. Znowu wiem, że Bóg jest dobry, wiem też, że wybaczy mi sposób, jaki wybrałem, żeby umrzeć. Powiem Mu, że woda w porcie była jedyną drogą, którą mogłem podążyć. Uśmiechnie się, a Chrystus zrozumie, co mam na myśli. Jemu także w cierpieniu ulżył cios włócznią pod żebra. Nie pogniewają się, że Tiago nie mógł się doczekać swojego ciosu włócznią. A może to sam Bóg zesłał mi Cię, żeby mnie poprowadzić. Spróbuj odzyskać wiarę, mój drogi Iwanie. Tylko jej Ci brakuje; poza tym nigdy nie przestałeś być dobrym chrześcijaninem.

Z Bogiem, mój przyjacielu. Zachowaj wspomnienie o odważnym Tiagu Cruzie, o tym Tiagu, z którego dumni byli jego towarzysze. Tylko on zawsze istniał.

Sergio Kokis

Psycholog i malarz artysta, Sergio Kokis urodził się w roku 1944 w Rio de Janeiro, tam też spędził burzliwe dzieciństwo i młodość. Kształcił się na uczelniach we Francji i Kanadzie, gdzie na stałe mieszka od roku 1969. Zadebiutował w roku 1994 powieścią autobiograficzną *Le Pavillon des Miroirs (Gabinet luster, 1994)*, którą uhonorowano licznymi nagrodami. Kolejne powieści - m. in. *L'art du maquillage (1997)*, *Kaléidoscope brisé (2001)*, *Le magicien (2002)* - wysoko oceniane zarówno przez krytyków, jak i czytelników, często nagradzane, wydawane w wielu krajach, ugruntowały jego pozycję jednego z najpopularniejszych pisarzy kanadyjskich.